

COFFMAN ELAINE

TECZA

(Heaven knows)

Przełożyła Natalia Wiśniewska

Nantucket, 1850

Lizzie Robinson straciła biust, który przyprawiła sobie zaledwie dwie godziny temu. I nie byłoby to wcale takie straszne, gdyby nie fakt, że zgubiła go na schodach prowadzących z rezydencji Crosbych na podwórze. I nawet to nie byłoby wcale takie upokarzające, gdyby Tavis Mackinnon nie pojawił się na szczycie tych fatalnych schodów w momencie, kiedy straciła równowagę. Sama myśl o tym przyprawiała Lizzie o zawrót głowy. Wiedziała, że nie doszłoby do tego, gdyby nie uczucia, jaki żywiła dla Tawisa Mackinnona. Tak bardzo pragnęła, żeby przestał wreszcie traktować ją jak małą dziewczynkę i dostrzegł w niej kobietę. Właśnie dlatego postanowiła wypchać stanik sukienki watą, wydawało jej się bowiem, że tylko w taki sposób może podkreślić swoją kobiecość. Kilka dni temu, gdy kupowała spory zapas waty, nie przyszło jej do głowy, że nawet z bawełnianym biustem może nie zwrócić na siebie uwagi Tawisa Mackinnona. Jej myśli zaprzętały tylko dwa pytania: Jak zdobyć sztuczne piersi oraz co zrobić, żeby Tavis je zauważył?

Tak bardzo zależało jej na tym, żeby zaczął traktować ją jak dorosłą kobietę. Była zdesperowana. Zaczęła się nawet modlić w tej intencji. Unosiła oczy do nieba, błagając: „Dobry Boże, proszę, proszę, proszę, niech on zauważy, że urosły mi piersi”. Ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że zgubi swój skarb u stóp Tawisa.

Doskonale pamiętała ten dzień, kiedy dowiedziała się, że Tavis Mackinnon lubi kobiety hojnie obdarzone przez naturę. Była wówczas na przyjęciu u państwa Starbucków i robiła to co zwykle, chowała się za palmą w rogu przepięknej sali balowej Starbucków. Myślała, że to dobry omen, ponieważ palmy są symbolem triumfu. Przez cały czas spoglądała rozmarzonym wzrokiem w stronę mężczyzny, który już od pięciu lat był obiektem jej westchnień.

On tymczasem robił to samo, co robił przez całe pięć lat. Ignorował ją. W pewnym momencie oparł się jednym ramieniem o wspaniałą, rzeźbioną kolumnę. W tle widać było ścianę, którą zdobiły sceny z greckiej mitologii. Za każdym razem, kiedy spoglądała w kierunku Tawisa, odnosiła wrażenie, że jest nie mniej cudowny niż sam Zeus.

Rozmawiał ze swoimi wiernymi kompanami i najlepszymi przyjaciółmi, Cole'em Cassidym oraz Nathanielem Starbuckiem. Lizzie odwróciła na chwilę wzrok, po czym spojrzała z uwagą na jego błyszczące buty, następnie powoli

zaczęła przesuwać wzrok coraz wyżej. Na chwilę zatrzymała się na kolanach, zanim odważyła się spojrzeć jeszcze wyżej. Miał bardzo długie nogi. Skrzyżował ręce na piersi i przez chwilę wpatrywał się w nie. Miał długie, cudowne palce, dłonie czułego mężczyzny, ramiona szerokie, a brzuch płaski. Zdaniem Lizzie, każda część ciała Tavis'a była idealna. Ale dopiero kiedy spojrzała na jego twarz, poczuła się tak, jakby znalazła się w niebie.

Gdy tak na niego patrzyła, zaśmiał się z czegoś, co powiedział Cole. Po chwili odwrócił się w stronę Nathaniela, ale Lizzie odniosła wrażenie, że spojrzał dokładnie w jej stronę. Kolana jej zadrżały, serce zaczęło bić niczym szalone, w ustach zaschło, dłonie zaczęły drżeć. Zawsze zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby Tavis nie poprzestał na spojrzeniu.

— Lizzie Robinson, co ty tutaj robisz całkiem sama? — zapytała nagle pani Starbuck, kiedy do niej podeszła.

Dziewczyna tak szybko odwróciła głowę, że liście palmy musnęły jej twarz.

— Hmm... chodzi o to, że...

Pani Starbuck uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo.

— Jesteś nieśmiała, prawda?

Lizzie nie była w stanie wydusić ani słowa, więc zamiast odpowiedzieć, skinęła lekko głową.

Pani Starbuck westchnęła, po czym spojrzała przed siebie, jak gdyby wspominała swoją młodość.

— Wiem, jak się czujesz. Uwierz mi, że każda dziewczyna przeżywa dokładnie to samo co ty, kiedy zaczyna dorastać. Najlepiej zrobisz, jeżeli pozbędziesz się obaw. Wyprostuj się, podnieś wysoko głowę, weź głęboki oddech i wydobądź cały swój wdzięk. Kiedy zrobisz pierwszy krok i zdobędziesz nowych przyjaciół, poczujesz się o wiele lepiej. Spróbuj, a wtedy zrozumiesz, co mam na myśli — powiedziała pani Starbuck z ciepłym uśmiechem, po czym odeszła.

Jak tylko Lizzie została sama, schowała się ponownie między palmowe liście. Kiedy spojrzała na Tavis'a, zapomniała o radach gospodyni.

Westchnęła cicho i ponownie pogrążyła się w rozmyślaniach. Czy ktokolwiek na świecie mógłby mieć piękniejsze usta albo bardziej męski podbródek? Nos Tavis'a był tak doskonały, jakby ktoś wyrzeźbił go w marmurze. A oczy — ach te jego oczy! — sprawiały, że za każdym razem, kiedy w nie spoglądała, miała ochotę się spowiadać, chociaż nawet nie była katoliczką. W tych oczach można było zakochać się do szaleństwa. Nie były ani niebieskie, ani szare. Zdaniem Lizzie, miały kolor nieba po burzy.

Tavis spojrział w inną stronę i nagle dziewczyna uświadomiła sobie, że wszyscy trzej młodzi mężczyźni spoglądają z zainteresowaniem w stronę odległego końca sali balowej.

Ona również popatrzyła w tamtym kierunku i zdała sobie sprawę, że obserwowali Vernelię Carrouters, która, jak zwykle, robiła z siebie pośmiewisko. Okazało się, że tym razem wypłała za dużo ponczu, przyrządzonego z dodatkiem mocnego bourbonu z Kentucky. W tej chwili Yemelia miała problem z utrzymaniem równowagi i właśnie to przyciągnęło uwagę trzech eleganckich mężczyzn.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Nathaniel. — Ona znów zmierza w stronę wazy z ponczem.

— Jeżeli wypije jeszcze jedną szklaneczkę, znajdzie się pod stołem — zauważył Cole.

— Albo pod Jaredem Crosbym — wtrącił Tavis, który najwyraźniej dostrzegł sygnały, jakie Vernelia posyłała w stronę Crosby'ego.

— Tylko traci czas — stwierdził Nathaniel. — Jared lubi kobiety, które mają w sobie głębię. Nie uważasz?

Tavis roześmiał się, po czym odparł:

— Tak, z pewnością woli głębsze dekolty.

Cole parsknął śmiechem.

— Być może Jared poszukuje głębi, ale ty z pewnością rozglądasz się za bujnymi kształtami. — Cole szturchnął przyjaciela w bok.

— Lubisz, żeby były bujne, prawdą Tavis? — zawtórował Nathaniel, zataczając dłońmi półokręgi przed swoją klatką piersiową.

Tavis wzruszył ramionami.

— Muszą być wystarczająco duże, żeby przyciągnąć moją uwagę.

— I wypełnić twoje dłonie — zasugerował Cole.

Tym razem Nathaniel roześmiał się głośno i poklepał przyjaciela po plecach.

— Och, Tavis, zawsze byłeś wielbicielem dużych biustów.

Na te skandaliczne słowa Lizzie zaparło dech. Wielbiciel dużych biustów.

Spojrziała na stanik swojej najlepszej białej sukni i zdała sobie sprawę, że jest prawie płaski. Była pewna, że gdyby mogła trochę bardziej pochylić głowę, dostrzegłaby czubki butów i nic poza tym. Zrobiło jej się przykro na myśl, że nikt nie zwróci uwagi na jej nieduże piersi. Nagle przypomniała sobie słowa pani Starbuck: Kiedy zaczyna dorastać. Ponownie spojrziała w dół, po czym westchnęła. Przykra prawda była taka, że Lizzie dopiero stała na progu dorosłości. Nic dziwnego, że Tavis widział w niej tylko dziecko, a ona zmarnowała tyle czasu, posyłając mu czarujące

uśmiechy i uwodzicielskie spojrzenia. Z pewnością nigdy nie spojrzalby na nią z miłością, tylko z rozbawieniem i pobłażliwością dla jej infantylności.

Z poczuciem upokorzenia gwałtownie odwróciła się na pięcie. Przez cały czas starała się wmówić sobie, że to tylko tymczasowa porażka. Podeszła do czarnego parawanu, który pan Starbuck przywiózł z Damaszku na swoim statku. Usiadła na jednym z dwóch identycznych krzeseł, które stały naprzeciwko siebie, i wtuliła się w róg wysokiego oparcia.

Chciała się schować. Czuła się mniejsza od myszy. Ukryła obute w satynowe pantofelki stopy za nogami krzesła, po czym oparła brodę na rękach i pograżyła się w rozmyślaniach. Zastanawiała się nad tym, co przed chwilą usłyszała o upodobaniach Tawisa, i nad tym, co mogła — albo raczej czego nie mogła — mu zaoferować.

Zmarszczyła czoło, gdy Caroline i Harriet Weatherby wyrwały ją z zamyślenia. Kiedy przechodziły obok, rzuciły złośliwą uwagę pod jej adresem. — Najwyraźniej Tavis jej nie zauważa — powiedziała Harriet. — Albo dostrzegł ją w tłumie i postanowił się ukryć. Jak zwykle Lizzie zignorowała ich złośliwe docinki. W ostatniej chwili opanowała się, żeby nie powiedzieć Harriet, że byłoby lepiej, gdyby Dewey Allison nie zauważył jej siostry Juliet; wówczas ta pojawiłaby się dzisiaj na balu, a nie siedziałaby w domu, dziergając buciki dla dziecka, które nigdy nie pozna swojego ojca.

Jednak po przemyśleniu wszystkich za i przeciw Lizzie westchnęła z rezygnacją. Nagle zrozumiała, że skoro Tavis Mackinnon lubi kobiety o wypukłych kształtach, będzie musiała zrobić wszystko, żeby uwypuklić swoje.

Pozostawało tylko jedno pytanie. Jak tego dokonać? Mogła podkreślić wargi, przyciemnić rzęsy, szczypać się w policzki, żeby wywołać rumieńce, ale co zrobić, żeby powiększyć piersi? Po kilku minutach rozmyślenia na jej ustach zatriumfował uśmiech.

Następnego dnia rano udała się do sklepu Burnella. Pan Burnell był zaskoczony jej widokiem, zwłaszcza kiedy położyła przed nim na ladzie kłębek waty do wypychania pościeli.

— Wata? — zapytał, unosząc brwi. — Nie wiedziałem, że lubisz wypychać poduszki.

— Och, bardzo lubię, panie Burnell. Może mi pan wierzyć.

Od tego dnia czekała z niecierpliwością na kolejne zaproszenie na wiosenny bal. Wiedziała że w momencie gdy Tavis Mackinnon zobaczy jej piersi, padnie jej do stóp. Nareszcie. To było takie proste. Zauważy jej biust, zakocha się, poprosi ją o rękę i będą żyli długo i szczęśliwie.

I nie myliła się. Tavis dostrzegł jej bawełniane piersi.
A nawet trzymał je w dłoni.

Kilka tygodni później Lizzie przygotowywała się na kolejny bal. Włożyła fioletową suknię z zielonymi dodatkami, która miała najbardziej wycięty dekol. Kiedy była już gotowa, stanęła przed lustrem i spojrzała krytycznie na swoje odbicie.

Nadal była płaska jak deska. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie dostrzegła w sobie żadnych oznak dorastania. Zupełnie nic. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Dorosłe kobiety mają biust, a jej klatka piersiowa była płaska.

Gdyby nie jej długie włosy, Tavis Mackinnon mógłby ją wziąć za chłopaka. Ale to już przeszłość. Wiedziała co zrobić, żeby temu zapobiec.

Podbiegła do łóżka, zrzuciła kolorową narzutę, po czym wsunęła głowę pod koronkową pościel i wyjęła stamtąd wate, którą nabyła w sklepie pana Burnella. Oddzieliła dwa kawałki o takiej samej wielkości, zmięła je, po czym uformowała i wsadziła pod bluzkę. Potem znów przejrzała się w lustrze.

Nawet Wezuwiusz byłby zazdrosny, pomyślała. Na własnych oczach przemieniłam się w kobietę. Spoglądając z dumą na swoje dzieło, powiedziała na głos:

— To dopiero są piersi.

Natychmiast po przybyciu na przyjęcie Lizzie dostrzegła Tawisa w towarzystwie dwóch przyjaciół. Na ten widok wstrzymała oddech. Kiedy orkiestra zaczęła się rozgrzewać, stanęła za imponującymi schodami, które prowadziły do sali balowej. Jej drobna dłoń w eleganckiej rękawiczce ścisnęła mocno poręcz. Z zapartym tchem dziewczyna patrzyła, jak Tavis przechadzał się u boku Nathaniela i Cole'a.

Nie chcąc tracić ani minuty, pobiegła poszukać swojej najlepszej przyjaciółki, Rebecki Fidel. Szła szybko przez zatłoczoną salę, aż w końcu dostrzegła japo drugiej stronie parkietu. Zaczęła przepychać się między tancerzami, nie bacząc na ich niezadowolone spojrzenia. Już po chwili stała obok Rebecki.

Chwyła ją za ramię i pociągnęła w kierunku drzwi.

— Chodź ze mną. Szybko! — zawołała.

— Co się stało? — zapytała Rebecca. Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, dodała: — Lizzie, na litość boską, czy mogłabyś zwolnić? Zaraz wypadną mi wszystkie kwiaty, które wczepiłam we włosy.

— Wyobraź sobie, że te kwiaty to ślad dla twojego księcia z bajki.

— Jakiego księcia? Mogłabyś mi przynajmniej powiedzieć, dokąd idziemy.

— Na zewnątrz — odparła Lizzie.

Kiedy znalazły się za drzwiami, zatrzymały się na szczycie schodów, które

wychodziły na niewielki ogród Crosbych. Okrągły księżyc świecił wysoko na niebie. Poza tym ogród rozjaśniały blade światła latarni, dzięki czemu było wystarczająco jasno, żeby dostrzec sylwetki trzech mężczyzn, stojących blisko posągu, oraz smużkę dymu, która unosiła się z cygara Cole'a.

— Mogłam się domyślić — wyszeptała Rebecca na tyle głośno, żeby zagłuszyć grającą w oddali orkiestrę.

Mimo że od wielu lat Lizzie nieustannie śledziła Tavisą i była do tego przyzwyczajona, dzisiaj czuła się niepewnie. Prawdopodobnie jej obawy wynikały stąd, że dzisiaj wieczorem wcieliła się w nową dla niej rolę, rolę kobiety. Nie była pewna, jak powinna się zachowywać, i nawet bujny biust nie dodawał jej odwagi. Stąpiła po grząskim gruncie i wiedziała, że jeżeli popełni chociaż jeden fałszywy krok, to będzie jej koniec. Spojrzała na przyjaciółkę, która jak zwykle wyglądała niczym niewinna spokojna owieczka. Ale nawet jej spokój nie pomógł Lizzie opanować nerwów.

Spojrzała w kierunku schodów, potem szybko rzuciła okiem na Tavisę i poczuła się jak łódź, która ma tylko jedno wiosło i kręci się w kółko. Tavis był dorosłym mężczyzną, a ona miała zaledwie piętnaście lat. Mimo to była w nim zakochana do szaleństwa. Wiedziała, że z piersiami czy bez nie jest odpowiednią dziewczyną dla mężczyzny, który wygląda tak jak Tavis. Był niewiarygodnie przystojny. Każda kobieta w Nantucket musiała przyznać jej rację. Dziś wieczorem miał na sobie czarny wizytowy surdut i dopasowane czarne spodnie. W pewnej chwili Lizzie zdała sobie sprawę, że Cole patrzy z zainteresowaniem w jej stronę. To spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Zaczęła się zastanawiać, co zrobić, żeby uniknąć kłopotów. Była na siebie zła, że nie podeszła do nich, zanim Cole zdał sobie sprawę z jej obecności.

Uniosła głowę, rzuciła mu kuszące spojrzenie, po czym ruszyła biegiem przed siebie, trzymając dół sukni na tyle wysoko, żeby się o nią nie potknąć. A trzech młodzi mężczyźni mogli dzięki temu podziwiać jej łydki.

Kiedy zaczęła wbiegać po schodach, zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Serce zadrżało jej niespokojnie, gdy Cole krzyknął cicho, a jego dwóch towarzyszy spojrzało na dziewczynę. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie. W pewnym momencie zatrzymała się tak raptownie, że wpadła na nią Rebecca, która biegła tuż za przyjaciółką.

W tym momencie dwa bawełniane kłębki wypadły z dekoltu i spadły po schodach na ziemię. Lizzie zapragnęła stać się niewidzialna.

Z przerażeniem spoglądała w dół. Kiedy Rebecca upadła obok niej i zobaczyła to

samo co ona, pisnęła cicho i starała się zakryć spódnicą kompromitującą bawełnę.

— Chyba już na to za późno — powiedział Nathaniel.

— Słyszałem o kobietach, które rzucają się na mężczyzn, ale nie przypuszczałem, że można zachowywać się w podobny sposób — stwierdził Cole.

Wszyscy trzej roześmiali się, co tym bardziej wytrąciło Lizzie z równowagi. Przeszedł ją zimny dreszcz i zeszywniała. Westchnęła cicho. Nagle ogarnął ją strach, że zaraz się rozplacze i wyjdzie na jeszcze większą idiotkę. Upokorzona i roztrzęsiona, podniosła się z ziemi, próbując zebrać resztki godności.

— Czy będzie nie na miejscu, jeżeli zapytam, co wy, puste głowy, chcielibyście zrobić? — zapytał Tavis, podchodząc do dziewcząt.

— Nie bądź dla nich taki surowy, Tavis — wtrącił Nathaniel. — Nie widzisz, że to Lizzie wypróbujecie na tobie swoje sztuczki? — Roześmiał się głośno.

— Najwyraźniej bardzo się w te sztuczki zaangażowała — zauważył Tavis. — Ze wszystkich najbardziej idiotycznych... — Zaciśnął usta. Jęknął cicho, po czym podszedł do Rebecki, pomógł jej wstać i spojrzał na Lizzie.

Ta wbiła wzrok w podłogę, gdzie leżały jej bawełniane piersi. Tavis pochylił się, żeby je podnieść, po czym podsunął je dziewczynie pod nos.

— Następnym razem, kiedy będziesz chciała udawać kobietę, postaraj się raczej zachowywać tak jak one. Piersi z waty nie zrobią jej z ciebie bardziej niż...

— Przestań — przerwał mu Cole.

Tavis spojrzał na przyjaciela, zaklął pod nosem, po czym wsunął bawełniane zawiniątka w drżące dłonie dziewczyny.

— Zabieraj to i swoją przyjaciółkę niemowę, zanim moja cierpliwość się wyczerpie.

Dziewczęta odwróciły się równocześnie na pięcie i ruszyły biegiem po schodach niczym przerażone owieczki, które starają się równocześnie wbiec do zagrody.

Kiedy znalazły się na szczycie, Rebecca natychmiast ruszyła do drzwi, ale Lizzie zatrzymała się na chwilę. Odwróciła się i powiedziała:

— Nienawidzę cię, Tavisie Mackinnon. Szczerze cię nienawidzę.

— Czekałem na tę chwilę — odparł, uśmiechając się do przyjaciół.

Gdy się odwróciła, wiedziała, że na nią patrzy. Jego twarz była wykrzywiona śmiechem, a na policzkach dziewczyny płonęły rumieńce upokorzenia. Kiedy obie weszły na salę balową Lizzie odezwała się do przyjaciółki:

— Chciałabym umrzeć.

— Bóg nie jest aż tak miłosierny — odparła Rebecca.

Lizzie biegła przez całą drogę do domu. Wiedziała że ojciec został na przyjęciu. Kiedy weszła do holu, wymamrotała kilka niespójnych słów do służącego, po czym ruszyła schodami do góry. Chciała jak najszybciej znaleźć się w zaciszu swojego pokoju. Rzuciła płaszcz z błękitnego jedwabiu na dziecięce krzeselko, które stało obok drzwi, po czym opadła na łóżko w stylu chippendale.

Nigdy w życiu nie czuła się taka odrzucona. Ból rozdzierał ją całą do oczu napływały łzy. Miała wrażenie, że jej serce roztrzaskało się na drobne kawałeczki. Łkała cicho z żalości, bezradności i upokorzenia. Tavis widział ją w tym stanie! Nie miało dla niej znaczenia że Cole i Nathaniel też tam byli. Mogło widzieć ją całe miasto, ale nie on.

Co gorsza, ojciec był teraz w drodze do domu. Na pewno szedł pieszo, ponieważ był zbyt wściekły, żeby zamówić powóz. Zadrzała na myśl, że będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz i wyznać całą okrutną prawdę, że znów to zrobiła.

Czy kiedykolwiek się czegoś nauczy? Pierwszy raz w życiu litowała się nad sobą. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, kogoś starszego niż Rebecca i młodszego od dziadka, kogoś, kto byłby bardziej wyrozumiały niż ojciec. Gdyby tylko żyła jej matka...

Mama umarła pięć lat temu, ale nigdy przedtem Lizzie nie odczuła tej straty bardziej dotkliwie niż dzisiaj wieczorem. Och, mamó, mamó, proszę, pomóż mi. Gdziekolwiek jesteś, proszę, pomóż mi. Jest mi tak strasznie wstyd.

Gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi frontowe, wiedziała, że to jej ojciec wraca do domu. Zdawała sobie sprawę, że w tej chwili zastanawia się, co powinien zrobić. Powoli usiadła, po czym ześlizgnęła się z łóżka i starła łzy z twarzy. Ponownie zwróciła się do matki:

— Jeżeli chcesz mi pomóc, to musisz się pośpieszyć. — Po tych słowach zaczęła liczyć. — Raz... dwa... trzy... — Wiedziała, że kiedy policzy do trzech, drzwi zamkną się za ojcem, a on stanie przy schodach i ją zawoła.

— Lizzie?! Lizzie, gdzie jesteś?

— Cztery... pięć... sześć... — Teraz zacznie jej szukać. Idąc na górę, będzie rozpinął guziki płaszcza.

— Lizzie, wiem, że tam jesteś, więc natychmiast zejdz na dół.

— Siedem... — Jest już przy drzwiach. Kiedy policzyła do ośmiu, wyszła ze swego pokoju.

Ojciec był czerwony i zasapany. Wyglądał tak, jakby był na skraju apopleksji. Surowy wyraz jego twarzy złagodniał na widok córki.

Dla nikogo w rodzinie Robinsonów nie było tajemnicą że ojciec Lizzie co wieczór

modli się na kolanach, żeby dożyć dnia w którym córka nareszcie wydorosłeje.

Aż do dzisiejszego wieczoru dziewczynie wcale nie zależało na tym, żeby wydorosnąć; zależało jej tylko, żeby Tavis Mackinnon ją zauważył. Aż do dzisiejszego wieczoru miłość do Tawisa była czymś, nad czym nawet się nie zastanawiała. Tak jak nie zastanawiała się nad reprimendami ojca.

Samuel rozłożył bezradnie ręce i przez chwilę patrzył na córkę w milczeniu. W końcu odezwał się z rezygnacją:

— Lizzie, co mam zrobić, żebyś w końcu zrozumiała? — Opuścił ręce, po czym przyjrzał się jej uważnie. — Dlaczego nie potrafisz zrozumieć tego, co staram ci się wytłumaczyć od lat? Dziecko, dlaczego ty nic nie rozumiesz?

— Czego nie rozumiem, papo?

— Że nie zdobędziesz mężczyzny, jeżeli będziesz się za nim uganiała.

— Ale ja to rozumiem, papo. Naprawdę.

— Nie, nie rozumiesz! — wrzasnął Samuel.

Stał na klatce schodowej i oddychał ciężko. Wyciągnął chusteczkę, żeby otrzeć mokre czoło. To był znak, że zaraz da córce dobrą ojcowską radę. Wziął głęboki oddech, po czym odezwał się bardziej opanowanym głosem:

— Piętnastoletnia dziewczyna nie powinna oddawać serca dwudziestopięcioletniemu mężczyźnie, ponieważ to nie ma sensu. Czy nie możesz zainteresować się jakimś chłopcem w twoim wieku? Może podoba ci się ktoś ze szkoły?

Westchnęła. Czy ojciec nie wiedział, że już na to za późno? Chłopak w jej wieku nie był dla niej odpowiednim kandydatem i nie mogłaby się w nim zakochać, nawet jeżeli to uszczęśliwiłoby tatę. Kochała Tawisa Mackinnona. Czy nikt tego nie rozumiał? To nie jej wina, że on jest już dorosły. Tylko w jego oczach widziała wiosenne niebo po burzy i tylko jego włosy były czarne niczym wody Styksu. Żaden z jej rówieśników nie wyglądał tak jak on. A koledzy ze szkoły? Byli nudni jak flaki z olejem.

Nie odpowiedziała na pytanie ojca. Znała te rozmowy na pamięć i wiedziała, że bez względu na to, co mu powie, on i tak będzie niezadowolony. Zacznie się wściekać i złościć, aż opadnie z sił.

Twarz Samuela była czerwona jak burak. Był niskim łysym człowieczkiem. Bardzo często nasuwał okulary na wysokie czoło, po czym szukał ich przez długie godziny po całym domu. Lizzie zawsze dostrzegała w nim łagodnego i bezpretensjonalnego mężczyznę. Nie był ojcem, a raczej tatusiem. Ale to wcale nie oznaczało, że ją rozumiał.

— Lizzie, moje dziecko, co ja mam z tobą zrobić?

Pytanie było zwięzłe i proste. Było także czysto retoryczne. Za każdym razem kiedy Samuel Robinson zaczynał zdanie od „Lizzie, moje dziecko”, nie oczekiwał odpowiedzi, co było mądre z jego strony, ponieważ i tak nigdy by się jej nie doczekał. Mimo to między ojcem i córką istniało dziwne porozumienie, a ich dramatyczne, aczkolwiek zabawne potyczki nigdy do niczego nie prowadziły. Ich kłótnie czasem przypominały pojedynki Don Kichota z wiatrakami, a innym razem „Poskromienie Złościcy”. Ojciec wiedział o tym najlepiej. Ona z kolei uważała że ojciec jej nie rozumie, bo nigdy w życiu nie przeżył namiętnego romansu.

Lizzie miała ochotę wziąć do ręki pamiętnik — zatytułowany „Powody, dla których będę kochała Tawisa Mackinnona do końca życia” — i uderzyć nim ojca w głowę. Czy on naprawdę nie potrafił nic zrozumieć? Czy już nie pamiętał czasów młodości, kiedy sam był zakochany?

Konfrontacje między nią a ojcem często osiągały niewyobrażalne rozmiary. Działo się tak głównie dzięki zdolnościom Lizzie do dramatyzowania i wyolbrzymiania problemów. Zawsze miała bujną wyobraźnię. W pełni czerpała z życia i z podwójnym natężeniem doświadczała wzlotów i upadków. Dziś wieczorem podjęła się katorżniczej pracy, starając się przekonać ojca, że to, co czuje do Tawisa Mackinnona jest prawdziwym uczuciem Tavis nie tylko doskonale pasował do jej romantycznych wizji przyszłego życia, ale także był jej przeznaczony. Była tego pewna Poza dwiema młodszymi siostrami Lizzie miała także sześciu starszych braci i, oczywiście, ojca. Mieszkanie pod jednym dachem z tyloma mężczyznami dało jej pewne wyobrażenie o tej płci. Już dawno temu zrozumiała że mężczyźni są krótkowzrocznymi istotami, którym brak zdolności do zachwycania się nad pięknem deszczowego dnia czy nad promieniem słońca tańczącym na zielonym bezmiarze Atlantyku. Nic dziwnego, że ojciec nie potrafił zrozumieć głosu jej serca. Tak bardzo się różnił od córki, przepełnionej namiętnościami i pragnieniami.

Nigdy nie był w stanie jej zrozumieć, a bracia nawet tego nie próbowali. Siostry były za małe, żeby cokolwiek pojąć. Taki jest kobiecy los, pomyślała kiedy przypomniała sobie słowa Tennysona:

Mężczyzna dla ziemi, a kobieta dla serca; Mężczyzna dla szpady, a ona dla igły; Mężczyzna z głową, a kobieta z sercem Mężczyzna, aby rozkazywać, a kobieta, aby być uległą; Wszystko inne to zamęt.

Ogarnął ją niepokój. *Wszystko inne to zamęt.* A ona chciała czegoś więcej.

Mieszkańcom Nantucket Lizzie Robinson kojarzyła się z huraganem albo zarazą,

która uderza niespodziewanie raz na kilka lat, ale przeminie, bo w końcu każdy musi kiedyś wydorosnąć. Dla ojca była najukochańszą i najbardziej uroczą córeczką, której dorastanie było dla niego raz zabawne, a raz przyprawiało go o zawał serca. Była mieszkanką wybuchową śmiechu i łez. Było jasne jak słońce, że Samuel Robinson kochał nieznośną córkę, ale było także oczywiste, że nie wie, co z nią począć. Zdawał sobie sprawę, że fascynacja córki o dziesięć lat starszym mężczyzną musi się skończyć. Całe Nantucket o tym wiedziało. Tavis Mackinnon był cierpliwym człowiekiem, jednak jego cierpliwość znalazła się na granicy wytrzymałości, a Samuelowi zabrakło już pomysłów, jak odizolować od niego Lizzie.

Ponownie spojrzął na córkę i odezwał się łagodnym głosem:

— Bieganie za mężczyzną niczym wygłodniały wilk za stadem owiec nie przystoi młodej damie. Nie możesz się za nim uganiać.

On jest dla ciebie za stary. A poza tym ile razy mam ci powtarzać, że kobieta nie powinna ubiegać się o względy mężczyzny? Tego się po prostu nie robi.

— Dlaczego?

Samuel rozłożył bezradnie ręce.

— Nie wiem dlaczego. Ja nie wymyśliłem tych zasad. Od zawsze rola uwodziciela należała do mężczyzny.... Tak jest napisane w Biblii, na litość boską! Nie możesz tego zrozumieć?

Dziewczyna skrzyżowała ręce i z uporem gapiała się w sufit.

— Nie, nie mogę. Miłością nie kierują żadne zasady.

Zaskoczony Samuel uniósł brwi, a potem spojrzął podejrzliwie na córkę.

— Kto ci to powiedział?

— Panna Samson.

— Panna Samson... ta szalona kobieta? Twoja nauczycielka sama nie wie, o czym mówi.

— Panna Samson wcale nie jest szalona. Mówisz tak dlatego, że jest kobietą. Przyjmij do wiadomości, papo, że to bardzo mądra osoba. Uczyła się w normalnej szkole i otrzymała dyplom. Widziałam go.

— Może mieć ten swój dyplom i może kończyć tyle normalnych szkół, ile jej się podoba ale to o niczym nie świadczy. Ona nie jest normalna.

— Panna Samson jest cudowną osobą — odparła Lizzie najsmutniejszym tonem, na jaki udało jej się zdobyć. — Nie rozumiem, dlaczego tak o niej mówisz.

— Nie zmienię zdania. Każdy, kto karmi młodą dziewczynę takimi niedorzecznymi teoriami, nie jest normalny. To dotyczy także panny Samson.

— Ona wcale nie karmiła mnie niedorzecznymi teoriami.

— W takim razie gdzie je usłyszałaś?

— To są moje własne spostrzeżenia! — krzyknęła. — Urodziłam się z głową pełną różnych teorii i pomysłów... i właśnie dlatego nie rozumiem, dlaczego Bóg stworzył mnie taką jaką jestem, i jednocześnie kazał żyć w rodzinie, która nawet nie stara się mnie zrozumieć. Dlaczego przez cały czas twierdzisz, że piękno i poezją które kryją się w mojej głowie, to tylko głupie pomysły?

— Powiem ci dlaczego. Ponieważ wmawianie ci, że w miłości nie ma żadnych zasad, to głupi pomysł, a panna Samson jest szalona, skoro mówi ci takie rzeczy.

— Panna Samson wcale tego nie powiedziała. Ona to przeczytała.

— Powiedziała czy przeczytała jakie to ma znaczenie? A skoro to przeczytała, to tylko oznacza, że na świecie jest więcej szalonych kobiet, które starają się wywołać zamieszanie. Do czego zmierza ten świat!? Wysłałem cię do szkoły, żebyś zdobyła wykształcenie, a nie żeby jakaś kobieta wbijała ci do głowy szalone pomysły. — Samuel zamilkł na chwilę, po czym przyjrzał się z uwagą córce. — Znowu czytałaś tę Browning? To dlatego wygadujesz takie niestworzone rzeczy? Lizzie potrząsnęła głową.

— W takim razie jedną z książek sióstr Bronte — kontynuował. — Nawet nie próbuj zaprzeczać. Powtarzałem ci już setki razy, że czytanie książek napisanych przez zbuntowane kobiety tylko zaśmieca ci umysł. W miłości nie ma żadnych zasad. Dobre sobie! Cóż za stek bzdur. Tylko kobieta mogła wymyślić coś takiego.

— Te słowa napisał mężczyzna, papo.

Samuel zbladł, a okulary zsunęły mu się z czoła i oparły na nosie. Podsunął je w górę, po czym wydukał:

— Mężczyzna?

Lizzie skinęła głową.

— Panna Samson powiedziała, że autorem tego tekstu jest angielski pisarz, Jon Lyly. „Złośliwość, podstęp, oszustwo, krzywoprzysięstwo, bezbożność mogą być bezkarnie popełniane przez miłość, która jest bezprawiem”.

Samuel prychnął.

— To bardzo dziwne, że potrafisz zapamiętać taki długi cytat, a nie potrafisz wbić sobie do głowy, że masz się trzymać z dala od Tawisa Mackinnona. Przyjmij do wiadomości, panno Skarbnico Wiedzy, że Jon Lyly był komikiem, a panna Samson tylko przysparza nam problemów. To jasne jak słońce.

— Dla mnie to wcale nie jest jasne — odparła pośpiesznie Lizzie.

Samuel nawet nie zwrócił na nią uwagi, tylko kontynuował swój wywód:

— Kobieta, która nazywa się Delilah Samson, nie może mieć racji.

Lizzie zbladła, ale nie odezwała się. Ojciec także zamilkł, ale na jego twarzy malowało się zmęczenie i strapienie. Doskonale wiedział, że te słowa spłyną po córce jak woda po kaczce.

Za każdym razem, kiedy mówił jej, jak powinna się zachowywać, przybierała ten sam obojętny wyraz twarzy. W innych sytuacjach robiła, odpowiednio, oskarżycielska bezradną albo euforyczną minę. Oskarżycielska mina oznaczała że dziewczyna w każdej chwili może zaatakować. W sytuacjach kiedy chciała wyglądać na niewiniątko, przybierała bezradny wyraz twarzy. Robiła tak za każdym razem, kiedy ojciec był na nią wściekły albo gdy Mackinnon chciał ją zamordować. Mina wyrażająca euforię była zarezerwowana na specjalne okazje, kiedy Tavis był rozbawiony czymś, co właśnie udało jej się zrobić. Niestety, zdarzało się to niezwykle rzadko.

Sądząc po wyrazie twarzy dziewczyny, dobrze wiedziała, że ojca irytowało jej bezmyślne spojrzenie.

— Elizabeth Amelio — zawsze nazywał ją w ten sposób, kiedy tracił cierpliwość — czy nie tłumaczyłem ci do utraty tchu, że kobieta musi cierpliwie czekać, aż mężczyzna zacznie się nią interesować?

— Tak, papo, ale Tavis nigdy nie zwróci na mnie uwagi, jeżeli będę tylko na niego czekać — stwierdziła z powagą Lizzie.

— Możesz mi wierzyć, że już cię zauważył. Problem polega na tym, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Dziś wieczorem powiedział mi, że... mam trzymać cię z dala od niego. Jak najdalej. A to oznacza, że nie będziesz siadała obok niego w kościele, przechodziła przez ulicę na jego widok, czekała przed budynkami, aż z nich wyjdzie. Nie będziesz pisała do niego listów miłosnych, śledziła go w drodze do domu, zaglądała przez okna jego biura ani mówiła młodym damom, z którymi się spotyka że jest chory na egzotyczną i zaraźliwą chorobę, którą zaraził się na Borneo.

— Nie powiedziałam, że jest chory, tylko że może być — poprawiła go Lizzie.

Twarz Samuela poczerwieniała ze złości.

— Mackinnon nigdy nie był na Borneo! — wrzasnął ze wszystkich sił.

— Skąd o tym wiesz?

— Ponieważ mi powiedział.

— Może tylko tak mówił!

— Lizzie, ten człowiek ma chorobę morską, nawet kiedy stoi kilka metrów od brzegu. Z tego powodu projektuje statki, zamiast na nich pływać. — Samuel zamilkł na moment, ale nie dlatego że zabrakło mu powietrza, tylko dlatego że nie miał nic więcej do powiedzenia. Dlaczego rozmowa z córką zawsze wyglądała jak rozmowa

ze ścianą?

Co zrobił niewłaściwie? Czy był złym ojcem? Dlaczego Lizzie nie była taka jak jej młodsze siostry? Co ją opętało? Dlaczego wstał w nią diabeł, podczas gdy Sally i Meg były prawdziwymi i aniołami?

Wziął do ręki fajkę, nabił ją, podpalił, po czym zaciągnął się kilka razy, żeby uspokoić zszargane nerwy. Po kilku minutach nadal doskonale pamiętał czerwoną wściekłą twarz Tavis Mackinnona, kiedy ten w zeszłym tygodniu przyprowadził Lizzie do domu i poinformował jej ojca, że znowu nie dawała mu spokoju.

Za każdym razem kiedy Samuel wyobrażał sobie najstarszą córkę, chowającą się za wózkiem, żeby móc śledzić Mackinnona i jego dwóch przyjaciół, kiedy poszli pływać i nie mieli na sobie zupełnie nic — byli nadzy jak ich pan Bóg stworzył! — spuszczał uszy po sobie. Tavis powiedział mu, że przyłapał Lizzie zaraz po tym, jak włożył ubranie. Jakby tego było mało, dziewczyna powiedziała mu wówczas: — Nie masz niczego, czego nie widziałabym u swoich braci... Wiele razy. Mam ich aż sześciu.

— Ale ja nie jestem jednym z nich — odparł Mackinnon, po czym złapał ją za warkocze i zaprowadził do domu. Samuel stał w milczeniu i patrzył na córkę. Żałował, że nie potrafił być dla niej bardziej surowy, ale jak mógłby na nią krzyczeć? Serce miękło mu na widok jej skruszonej twarzyczki. Być może była diabłem wcielonym, ale miała twarz anioła którą okalały złote loki. A jej oczy były niebieskie niczym kwiaty lawendy. Takie same miała jej matka.

Niestety, tylko twarz Lizzie miała anielską. Temperament i upór z pewnością odziedziczyła po mule. W ciągu trzech lat zamieniła jego życie w piekło.

Jak gdyby czytając w jego myślach, dziewczyna odezwała się łagodnie:

— Wiem, że jestem dla ciebie utrapieniem, papo.

Samuel westchnął.

— Nie jesteś utrapieniem, dziecko. Ale kiedy pojawia się Mackinnon... wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli. Twoje eskapady przyciągają więcej gapiów niż kościół wiernych.

— Wiem. Jest mi naprawdę przykro za to... za to, że znów musisz się za mnie wstydzić.

— Powinno być ci przykro, ale to niczego nie zmienia. Nie tym razem Mackinnon jest oszalały ze złości, a ja już niedługo pójdę w jego ślady.

Samuel spojrział na bladą twarz Lizzie. Za każdym razem, kiedy ją ganił, a ona bladła i robiła skruszoną minę, czuł się winny, że był dla niej taki surowy. Dlatego lubił powtarzać:

— To nie była jej wina, że jej mama zmarła, kiedy urodziła się mała Meg, tak samo jak nie była to wina Meg.

Śmierć Patience dla wszystkich była tragicznym wydarzeniem, ale najbardziej dotknęła Samuela który został sam z dziewięciorgiem dzieci. Z chłopcami mógł sobie poradzić. Jak do tej pory nie miał także problemów z Sally i Meg, ale być może dlatego że Sally miała dopiero osiem, a Meg tylko pięć lat.

W pokoju znowu zapanowała cisza. To był znak, że rozmowa dobiegała końca. Samuel westchnął.

— Idź, zobacz, co robią twoje siostry — powiedział, siadając ciężko na krześle.

Patrzył, jak Lizzie wychodzi, po czym odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit.

— Dobry Boże w niebie, co ona jeszcze zrobi?

Pofarbowała włosy. Na czerwono.

— To nie jest farba — wytłumaczyła przerażonej Rebecce. — Tylko henna. Ten sposób jest stary jak sam Egipt.

— Być może jest stary jak Egipt, ale do tego jest obrzydliwy niczym grzech — odparła jej przyjaciółka, podążając za Lizzie do sypialni.

Ten pokój doskonale oddawał charakter jego mieszkanki. Na pierwszy rzut oka był całkiem normalny, podobny do setki pokoi młodych dziewcząt, ale kiedy przyjrzało mu się z bliską można było dostrzec pewne różnice. Ściany pomalowane były na biało, a podłogę zrobiono z drewna w jasnym ciepłym kolorze. Meble stanowiły mieszankę nowych drogich mebli oraz starych gratów. Pomieszczenie przypominało trochę przytulną rupiecarnię. Zegary, lampy, lustro, stary dębowy kufer, porcelanowa miednica oraz dzbanek... Wyglądało to trochę tak, jakby rupiecie stały się potężną bronią w rękach osoby, która wie, jak urządzić z nich przytulne i wygodne wnętrza. Ze wszystkich pomieszczeń w domu tylko pokój Lizzie był prywatną oazą spokoju, choć z drugiej strony znajdował się w stanie wojny z samym sobą. To było miejsce, gdzie kupidyny i nimfy gonily się po zdobieniach na górze białych ścian, ususzone kwiaty, przewiązane jedwabną wstążką leżały na pudłach wypchanych po brzegi muszlami, ptasimi gniazdami i delikatnymi skrzydłami motyli. I nie panowały tutaj żadne zasady. To była cała Lizzie.

Rebecca zamknęła drzwi i podeszła do przyjaciółki, która przeglądała się w lustrze, najwyraźniej zachwycona swoim nowym kolorem włosów. Lizzie pochwyciła spojrzenie jej przerażonych oczu i zaczęła się zastanawiać, jak czarnowłosa przyjaciółka wyglądałaby w rudych włosach.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Co cię napadło? — zapytała w końcu Rebecca.

— Miałam ochotę na zmianę. — Lizzie spojrzała na ciemne grube pukle przyjaciółki. — Nie wyobrażasz sobie, jakie to nudne mieć włosy w kolorze piasku. Blond jest taki nudny, taki zwyczajny... jak woda. Nudny. Wcale nie działa na wyobraźnię. Kiedy jesteś blondynką, patrzysz na swoje odbicie w lustrze i nic ciekawego nie przychodzi ci do głowy. Pomyśl o jasnych włosach I co widzisz?

Rebecca wzruszyła ramionami.

— Powiem ci co. Żółcień! Właśnie to przychodzi mi na myśl. Żółty... kolor żółci. To kolor zazdrości, niestałości, symbol cudzołóstwa, przebiegłości oraz tchórzostwa. —

Lizzie wyrzucała z siebie. — Ale czerwony. — Zamyśliła się na moment. — Czerwony to taki wspaniałomyślny kolor, nie uważasz? Kiedy na niego patrzę, zapiera mi dech w piersiach. Na sam jego dźwięk tyle różnych obrazów przesuwa mi się przed oczami. Szkarłat... karmazyn.. burgund... krew... Taki piękny, taki pobudzający wyobraźnię. Wiedziałaś, że w zwiastowaniu było napisane, że czerwony oznacza hart ducha?

— Jestem pewna, że miałaś wiele hartu ducha, kiedy pofarbowałaś włosy — oświadczyła Rebecca. — Czerwony — powtórzyła po chwili, jak gdyby to, co przyjaciółka zrobiła, nie chciało pomieścić się jej w głowie. — Czerwony. Ognistoczerwony. Czerwień borówki. Przefarbowałaś je na czerwono — powtórzyła nieobecny głosem, po czym potrząsnęła głową, chwyciła Lizzie za ramię. Ta zignorowała ją.

— Czy wiesz, że w folklorze czerwień jest symbolem magii?

— To także kolor rewolucji — zauważyła Rebecca. — Wydaje mi się, że właśnie ją rozpoczęłaś. I kolor twarzy twojego taty, kiedy zobaczy, co zrobiłaś.

Lizzie ponownie przejrzała się w lustrze. Chwyciła pukiel czerwonych włosów i zmięła go w dłoni.

— Nie wiem, jak będę mogła żyć z blond włosami przez resztę swoich dni, skoro jest oczywiste, że w moim sercu płonie czerwony płomień.

— Ale nie aż tak czerwony — stwierdziła Rebecca.

Lizzie spojrzała na nią w lustrze.

— Uważasz, że jest zbyt jaskrawy?

— Jest obrzydliwy — odparła Rebecca Jednak, kiedy zauważyła wzrok przyjaciółki, dodała pospiesznie: — Nie uważasz?

Lizzie wypuściła czerwony pukiel włosów, a na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji.

— Uważam, że jest wyjątkowy.

Rebecca potrząsnęła głową.

— Sama nie wiem Nie chciałabym być na twoim miejscu. Dlaczego to zrobiłaś? Nie, nie odpowiadaj. I tak znam odpowiedź. Zrobiłaś to, ponieważ Tavis Mackinnon zaprosił Abbie Billingsley na tańce.

Lizzie udawała obojętną.

— Miałabym farbować włosy tylko dlatego, że on zaprosił tę starą brzydką Abigail?

— Dlatego że ona ma rude włosy.

Oczywiście Rebecca miała rację. Wszyscy w mieście o tym wiedzieli, również Samuel Mackinnon, który, jak to przewidziała przyjaciółka jego córki, zrobił się cały czerwony na widok Lizzie.

— Dostyc tego — powiedział do swojego najstarszego syna, Matta. — Jestem na granicy wytrzymałości. Nigdy w życiu nie podejrzewałem, że będę musiał przyznać się do porażki, ale nie mam pojęcia, co zrobić z tą dziewczyną... chyba że ją uduszę.

— Co zrobiła tym razem? — zapytał Matt.

— Pofarbowała włosy na rudo, ot co! Właściwie to na ognistoczerwony kolor. Ale to jeszcze nie wszystko. Na przyjęciu u Tattingersów podeszła do Mackinnona i poprosiła go do tańca. Wszystkie matrony omal nie pomdlały z wrażenia, a dziewczęta w jej wieku nie chcą z nią rozmawiać. Te, które jeszcze się do niej odzywają, robią to tylko w obawie przed jej wybuchowym temperamentem.

Stephen, drugi brat Lizzie, potrząsnął głową.

— Wiem, że ona robi straszne rzeczy, ale nie wydaje mi się, żeby to była jej wina.

— W takim razie czyja? Na pewno nie moja — odparł Samuel, bijąc się przy tym w pierś. — Nigdy nie namawiałem jej, żeby pofarbowała włosy na czerwono.

— Wiem o tym, tato — rzekł Stephen — Ale nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że ona potrzebuje kobiecej ręki, kogoś, kto nauczy ją tych wszystkich rzeczy, które powinna wiedzieć kobieta. Lizzie nie zachowuje się jak dobrze wychowana młoda dama, ponieważ nikt jej tego nie nauczył. Poza tym powinien się nią zająć ktoś wyjątkowy, ponieważ ona jest silniejsza niż połowa kobiet i bardziej inteligenta niż drugie pół.

— Bardzo mi pomagasz, z jednej strony tłumacząc mi, czego moja córka potrzebuje, a z drugiej mówiąc, że jest to niewykonalne.

— Powiedziałem tylko, że potrzebny będzie ktoś wyjątkowy. Na twoim miejscu wysłałbym ją do ciotki Phoebe.

— Do ciotki Phoebe? Do siostry twojej matki? O niej mówisz?

Stephen skinął głową.

— Twoja ciotka jest wdową od tak dawna, że prawdopodobnie zdażyła już zapomnieć to wszystko, co kobieta powinna wiedzieć, do tego jest strasznie wymagająca i konserwatywna. Jest perfekcjonistką przy tym ekscentryczką. Ponadto jest tak silnie związana z bostońską śmietanką towarzyską że nie poświęciłaby Lizzie nawet pięciu sekund uwagi. A nawet jeśli by to zrobiła, obie mają takie charakterki... Gdyby zaczęły się kłócić, potrzebowałibyśmy łomu, żeby je rozdzielić.

— Nie widziałeś ciotki od lat. Może złagodniała — zasugerował Matt.

— Złagodniała? Wasza ciotka Phoebe? Ha! Nawet gdyby złagodniała, to niewiele

by to zmieniło. Przy niej lód wygląda cieplej. Poza tym takie kobiety nigdy nie łagodnieją bez względu na to, ile mają lat. Podejrzewam, że jej ostry język tylko się z wiekiem wyostrzył.

— Moim zdaniem, to dobry pomysł — powiedział Matt.

— W zupełności się z tobą zgadzam — przytaknął Stephen.

— Sam nie wiem — odparł Samuel, potrząsając głową. — Jeżeli wyślę Lizzie do Phoebe, to ona mnie zastrzeli.

— Kto? Ciotka Phoebe czy Lizzie? — zapytał Stephen.

— Obie — odparł Samuel.

Stephen i Matt roześmiali się.

— Tak też się może zdarzyć. Ale moim zdaniem, ciotka jest jedyną kobietą jaką znam, która mogłaby zmienić tę dziewczynę. Będziesz miał kłopot z głowy. Jeżeli Lizzie stąd wyjedzie, przestanie sprawiać problemy — stwierdził Stephen.

— Jeśli spojrzeć na to z tej strony, pomysł nie jest taki zły — przyznał Samuel. — Muszę to jeszcze przemyśleć.

Nazajutrz rano napisał list do szwagierki. Miesiąc później otrzymał odpowiedź.

Następnego dnia po nadejściu listu od ciotki Phoebe Lizzie zeszła na śniadanie i już od drzwi usłyszała głos ojca.

— Czasami myślę, że ona jest córką samego diabła.

— Dzień dobry, ojczy — powiedziała słodko.

Samuel spojrział na zdumione twarze swoich dzieci, po czym odchrząknął i ponownie skupił się na śniadaniu.

— Czy Lizzie ma kłopoty, papo? — zapytała Meg, potrząsając główką okoloną złotymi lokami.

— Ona zawsze ma kłopoty — stwierdziła Sally. — Pani Husey mówi, że kiedy tylko ona się pojawią zawsze dzieje się coś niedobrego.

— Pani Husey jest starą plotkarą — rzuciła Lizzie.

Samuel zmarszczył czoło.

— Jeżeli nie potrafisz inaczej się odzywać, lepiej nic nie mów, Lizzie.

Dziewczyna skinęła głową.

— Pani Husey jest miłą starą plotkarą.

Ojciec wznosił oczy do nieba, mamrocząc coś pod nosem. Potem wziął do ręki biszkopt i położył go na swoim talerzu.

— Lizzie, twoja ciotka Phoebe zaprosiła cię do siebie do Bostonu.

— Kto to taki? — zapytała Meg.

Lizzie zastygła w bezruchu, po czym wykrzywiła usta i spojrzała na ojca sceptycznie.

— Ciotka Phoebe nie zaprosiłaby mnie do Bostonu, nawet gdybyś przystawił jej pistolet do głowy — stwierdziła. — Ostatni raz, kiedy ją widziałam, wytargała mnie za uszy. A potem powiedziała, że jestem najbardziej niesympatyczną, źle wychowaną i rozwydrzoną istotą, jaką Bóg stworzył.

— Co za okropna kobieta! — zakpił Matt, śmiejąc się pod nosem. Potem puścił oko do siostry.

— Nie wiem, czemu miałyby mówić o tobie takie rzeczy — dodał Stephen.

— Może powiedziała tak, bo to prawda — zauważyła Sally. Jednak szybko zamilkła kiedy Lizzie posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Kim jest ta ciotka Phoebe? — ponownie zapytała Meg.

Samuel spojrzał na najstarszą córkę.

— Być może ciotka powiedziała kiedyś coś podobnego, ale teraz zaprasza cię do Bostonu.

— Nie pojedę — sprzeciwiła się Lizzie.

— Pojedziesz.

— Nigdy nie pojedę do Bostonu — nie dawała za wygraną dziewczyna. — Możesz zamknąć mnie w pokoju. Możesz mi kazać jeść ropuchy. Możesz mnie głodzić. Prędzej umrę, niż pojedę do Bostonu, żeby zamieszkać z tą wstrętną ciotką. Meg popatrzyła najpierw na Lizzie, a potem na ojca.

— Kim jest ta ciotka Phoebe? — powtórzyła.

— Dlaczego musisz robić z tego tragedię? Nie traktuj tego jako kary — powiedział Samuel. — Napiszesz do ciotki list, w którym powiadomisz ją że z przyjemnością złożysz jej wizytę, albo na krok nie wyjdiesz z tego domu... ani Rebecca Fidel nie postawi tutaj swojej nogi. Lizzie zerwała się na równe nogi przewracając przy tym miskę.

— W takim razie zginię w tym domu... bez przyjaciół... samotna i opuszczona przez własną rodzinę. Jest mi przykro, że byłam dla wszystkich ciężarem. Jest mi przykro, że nigdy nikt mnie nie chciał. Myślę, że wcale nie jestem twoją córką. Myślę, że zostałam adoptowana.

— Skąd przychodzą ci do głowy takie bzdury? Adoptowana, dobre sobie! — Samuel potrząsnął głową.

— Skoro Lizzie została adoptowana, w takim razie możesz odesłać ją z powrotem. Mam rację, papo? — zapytała Meg.

— Meg, uważaj na to, co mówisz — skarcił ją Samuel. — Lizzie nie jest

adoptowana i nikt jej nigdzie nie będzie odsyłał.

— Nie? Przecież chcesz mnie wysłać do Bostonu, a to jest jeszcze gorsze, niż gdybym była adoptowana. Dlaczego sam nie zamieszkas z ciotką Phoebe? — uzalała się Lizzie.

Jej słowa ukłuły Samuela w serce niczym zatrute ostrze, ale nie mógł już nic odpowiedzieć, ponieważ córka wybiegła z pokoju.

Meg popatrzyła na Sally, potem na swoich braci, a na koniec na tatę.

— Dlaczego nikt mi nie powie, kim jest ta ciotka Phoebe?

— To twoja ciotka — warknął Samuel.

Przez cały następny dzień Lizzie nie wychodziła ze swojego pokoju. Za każdym razem, kiedy służący przynosił jej tacę z posiłkiem, odsyłała do kuchni nietknięte jedzenie.

Wieczorem, gdy wszyscy zebrali się przy stole na kolację, podczas której było wyjątkowo cicho, Stephen zwrócił się do ojca:

— Jak długo będziesz pozwalał, żeby ona się głodziła?

— Dopóki nie pójdzie po rozum do głowy i nie napisze tego listu — odparł Samuel.

— A jeśli umrze z głodu? — zapytała Sally.

— Nie umrze — zapewnił ją ojciec. — Ma wyjątkowo dużo much w nosie, które utrzymują ją przy życiu.

Meg otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— Lizzie nie zjadłaby much — powiedziała poważnie. — Nie lubi ich.

Samuel rozłożył bezradnie ręce.

Trochę później, kiedy już wszyscy w domu poszli spać, Sally i Meg podkradły się na paluszkach do kuchni, zdjęły mały koszyk, zapakowały do niego paczkę ciastek, smażonego kurczaka oraz owoce i zaniósł go do pokoju starszej siostry.

Cichutko wślizgnęły się do środka, starając się przy tym jej nie obudzić. Meg postawiła koszyk na stole obok łóżka Lizzie, a Sally wyjęła z kieszeni nocnej koszuli małą karteczkę z napisem: „Wszyscy Cię kochamy” i położyła ją na koszu.

Następnego dnia rano, zaraz po wyjściu Samuela do pracy, Stephen udał się do latarni morskiej, żeby porozmawiać z dziadkiem, Asą Robinsonem.

Kiedy Stephen pożegnał się z kapitanem Robinsonem, jak zwykli go nazywać mieszkańcy wyspy, Asa wyszedł do miasta. Po drodze zatrzymał się przed domem syna i postanowił wpaść z wizytą.

Wszedł do środka, zamienił kilka słów ze służącym, po czym Udał się prosto na górę, do pokoju najstarszej wnuczki.

Przez chwilę stał przed drzwiami i nasłuchiwał. Nic nie usłyszał, więc zastukał delikatnie. Lizzie nie odpowiedziała, wszedł zatem bez pozwolenia. Zastał wnuczkę przy biurku, piszącą pamiętnik. Wyglądała na przygnębioną i o wiele mniejszą i delikatną niż zazwyczaj. I Asa nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział ją tak przybitą.

— Co słyhać? — zapytał, siadając na skraju łóżka.

Lizzie podniosła głowę, a serce podskoczyło jej z radości na widok ukochanego dziadka. On na pewno mnie zrozumie, pomyślała.

— Witaj, dziadku. Jakoś sobie radzę — odparła.

— Przyszedłem z wizytą i od razu zauważyłem, że nie ma cię na dole.

— Jesteś jedyną osobą która odnotowała moją nieobecność. Westchnęła.

— Och, chyba nie powinnaś tak mówić. Słyszałem, że wszyscy za tobą tęsknią. Matt powiedział, że Meg jeszcze nie przestała płakać, tak bardzo jest jej przykro z powodu tego, co powiedziała podczas kolacji.

— Powiedz Meg, żeby się nie martwiła. Nie jestem na nią zła. To tylko dziecko.

— Dlaczego nie chcesz napisać tego listu do ciotki Phoebe? I tak prędzej czy później będziesz musiała to zrobić. Nie wyglądasz na osobę, która miałaby ochotę popełnić samobójstwo — zawyrokował. — Wiesz, że twój ojciec nie zmięknie. Nie tym razem. Nie może tego zrobić. Podjął decyzję i cała rodzina o tym wie. Nie może się teraz wycofać. Ma za dużo do stracenia. Poza tym wyjazd do Bostonu może się okazać najwspanialszą rzeczą jaka ci się kiedykolwiek przydarzyła. Jeżeli ci się nie spodoba, zawsze możesz wrócić do domu i zamieszkać ze mną w latarni. Lizzie patrzyła w jego błyszczące oczy.

— Przecież twój wyjazd nie oznacza, że już nigdy stamtąd nie wrócisz. Nikt nie chce wywieźć cię do Chin i sprzedać jako niewolnicy — kontynuował dziadek.

— Chcesz mi przez to powiedzieć, że mam napisać list do tej okropnej starej kobiety i podziękować za zaproszenie, a potem jeszcze dodać, że przyjadę z przyjemnością.

— Tak, ponieważ w głębi serca czuję, że to będzie dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Pamiętasz kazanie, które ksiądz wygłosił w ostatnią niedzielę, o proroku, który nie został rozpoznany w swoim rodzinnym mieście?

— Mniej więcej — odparła Lizzie. — Było mi bardzo ciężko skupić uwagę na mszy, ponieważ pani Husey miała na sobie ten nowy płaszcz z fok, który mąż przywiózł jej z ostatniej podróży.

Asa zachichotał.

— Tak, pamiętam, omal nie rozplynęła się z gorąca. Założę się, że pod tym futrem panowała temperatura przynajmniej siedemdziesięciu stopni Celsjusza. A nie wspomnę już o fakcie, że to nie była odpowiednia pogoda na futro z fok. — Zamilkł na chwilę i spojrzał uważnie na wnuczkę. — Szkoda że nie słuchałaś kazania ponieważ morał, który z niego płynął, doskonale pasuje do sytuacji, w jakiej się znalazłaś. Nikt w Nantucket nie da ci kolejnej szansy, ponieważ wszyscy zbyt dobrze pamiętają o twojej przeszłości. Potrzebujesz zmiany, Lizzie, żeby móc zacząć wszystko od początku. Jedź do Bostonu. Zamieszkać z ciotką Phoebe. Nie traktuj tego jak kary. Spójrz na ten wyjazd jak na możliwość odbudowania swojej reputacji, zdobycia blichtru i patyny, jakich tutaj nigdy nie zdobędziesz. Kiedy wrócisz, nie będziesz już taka jak inne dziewczyny na wyspie. Wszystkie zzielenieją z zazdrości, ponieważ zdobędziesz coś, o czym one mogą tylko śnić.

— Tavis Mackinnona — rozmarzyła się Lizzie.

— Jego też. — Asa uśmiechnął się lekko.

— Chyba mogę napisać list do ciotki Phoebe... ale pamiętaj, że robię to tylko dla ciebie — oświadczyła dziewczyna po chwili zastanowienia. — Nie jestem już temu taka przeciwna. Teraz to wszystko nie wygląda tak tragicznie jak na początku. Tylko nie wiem, jak to powiedzieć ojcu, żeby nie pomyślał, że się poddałam. — Zmarszczyła czoło, jak gdyby przypominała sobie o czymś nieprzyjemnym. — Nie lubię się poddawać.

— Wiem o tym — powiedział Asa. Nie udało mu się powstrzymać uśmiechu. — Ją na przykład, nie lubię chodzić bez swojej kapitańskiej czapki, ale są takie chwile jak choćby w kościele, kiedy po prostu muszę ją zdjąć. — Wstał z łóżka, a Lizzie spojrzała na czapkę, którą trzymał w starych doświadczonych życiem dłoniach. — Chyba powinienem zejść na dół i zobaczyć, co się tam dzieje. Czy ujrzę cię uśmiechniętą na obiedzie?

Jej twarz rozchmurzyła się jak na zawołanie.

— Zostaniesz na obiedzie?

Staruszek skinął głową.

— Zostanę, jeżeli zejdiesz na dół. — Uniósł pytająco brwi.

— No dobrze — odparła z rezygnacją. — Zejdę... chociaż muszę przyznać, że wolałabym raczej zmierzyć się z huraganem na przeciekającej łajbie.

Tak jak obiecała, zeszła na obiad. Zjawiła się w jadalni o wyznaczonej porze, co nie było w jej zwyczaju, ponieważ przeważnie spóźniała się na posiłki.

— Cieszę się, że odzyskałaś zdrowy rozsądek — powiedział Samuel. — Rozumiem, że napisałaś list do ciotki Phoebe.

— Tak, napisałam do niej — odparła z trudem maskując zadowolenie.

— A ja go wysłałam — dodał Asa. — Osobiście zaniósłem go na pocztę.

Samuel popatrzył najpierw na ojca, a następnie na szczęśliwą i rozmarzoną twarz córki.

— Co dokładnie napisałaś w tym liście?

— Że jestem bardzo szczęśliwa, że mogę odwiedzić ciotkę w Bostonie, ponieważ Nantucket nie jest odpowiednim miejscem dla osoby takiej jak ja. Że ośmieszyłam swoją rodzinę i jestem dla ciebie ciężarem, dlatego w pełni zasługuję na to, żeby mnie odesłano bez złamanego sou...

— Co to takiego sou? — zapytała Meg.

— To po francusku... moneta, której równowartość wynosi pięć centów. Przynajmniej tak mi się wydaje — wyjaśnił Matt.

— Dlaczego nie powiedziałaś po prostu pięciocentówka? — dopytywała się Sally.

— Ponieważ to słowo nie brzmi tak dobrze jak sou. To słowo jest takie melodyjne. Kiedy je wymawiasz, tańczy ci na języku — wyjaśniła Lizzie.

— Tańczy na języku! — wykrzyknęła Meg, po czym odwróciła się do ojca. — Papo, przecież mówiłeś nam, że nie wolno trzymać pieniędzy w buzi?

— Bądź cicho, głuptasie. Ona nie miała na myśli prawdziwego pieniążka. Mówiła tak, jak to czynią poeci — wtrąciła Sally.

— Moim zdaniem, Lizzie ma rację — stwierdził Stephen, który siedział przy odległym końcu stołu. — Sou ma bardzo przyjemne brzmienie.

— Mogłaś powiedzieć „złamanego grosza” — wtrącił Haydn.

Samuel odchylił się na krześle. Patrzył po kolei na każde swoje dziecko i odniósł wrażenie, że ponownie traci nad nimi kontrolę. Kiedy przyglądał się Lizzie, doszedł do wniosku, że jak na razie, ta kara niczego jej nie nauczyła. W głębi duszy żałował, że kobiety nie mogą być politykami, ponieważ jego najstarsza córka świetnie by się do tego nadawała.

Lizzie pojechała do Bostonu. Ciotka Phoebe okazała się o wiele gorsza, niż ją zapamiętała, była wysoką szczupłą i dostojną kobietą o ostrych surowych rysach twarzy i przenikliwych niebieskich oczach. Siwe włosy doskonale do niej pasowały. Poza tym miała długie chude palce. Na sześciu z nich nosiła pierścionki. Jej dykcja była nienaganną a akcent wskazywał na przynależność do bostońskiej arystokracji. Za każdym razem, kiedy się odzywała, wydawała się taka władca, że Lizzie odnosiła

wrażenie, iż nawet zmarszczki na obrusie wygładzają się pod wpływem tonu jej głosu. Kochała staroświeckie zasady i starą biżuterię. Mieszkała w kamienicy, uwielbiała marcepan i najwyższej jakości herbatę, którą podawano jej codziennie punktualnie o drugiej po południu. Miała dwa perskie koty o płaskich pyskach, z których jeden nazywał się Robin Hood, a drugi Brat Tuck. Lizzie od razu poczuła do nich niechęć. Angielski lokaj ciotki, Peterby, był tak stary i zniedołężniały, że jego kości grzechotały, kiedy chodził. W swoim pierwszym liście do Rebecki Lizzie napisała że musiał przepłynąć do Ameryki razem z Krzysztofem Kolumbem. W momencie kiedy Lizzie przekroczyła próg domu ciotki Phoebe, wiedziała że jest zgubiona. Dziewczyna stała przy ojcu i przyglądała się podejrzliwie starszej pani. Przypomniała sobie, jak opowiadał jej kiedyś, że jej panięńskie nazwisko brzmi Brewster, a człowiek, za którego wyszła za mąż, nazywał się dokładnie tak samo. Phoebe Brewster Brewster, powtarzała w myślach, kiedy głos ciotki wibrował jej w uszach.

— Ani trochę nie przypominasz mojej siostry — stwierdziła Phoebe. — Patience wyglądała dokładnie tak samo jak nasza matka. Była wykapaną Caldwellówną ale ty, co wcale mnie nie cieszy, przypominasz mnie, kiedy byłam w twoim wieku. Jesteś wykapaną Brewsterówną. To nie wróży ci nic dobrego, dziecko. Brewsterowie, a zwłaszcza kobiety z tego rodu, były ciężko doświadczane przez życie. Zawsze były silniejsze od mężczyzn o tym samym nazwisku. — Machnęła ręką. — Wielu z nich miało po prostu słaby charakter, podobnie jak mój ojciec, panie świeć nad jego wątłą duszą.

Lizzie przeszedł zimny dreszcz. Nie chciała być Brewsterówną a już na pewno nie chciała nawet w najmniejszym stopniu przypominać tej starej kobiety o kościstych palcach.

— Lizzie, przywitaj się z ciocią.

Dziewczyna nie odezwała się słowem, więc ojciec szturchnął ją delikatnie.

— Dzień dobry, ciociu.

Phoebe lekko skinęła głową po czym spojrzała z przerażeniem na szwagra.

— Lizzie? Cóż za rozdzierający uszy dźwięk. Jak na mój gust, Samuelu, to imię przypomina raczej wycie kota.

Na słowo kot dziewczyna spojrzała automatycznie na dwa zwierzaki, które siedziały na oparciu krzesła ciotki. Jeden był biały i miał niebieskie oczy, a drugi rudo-czarny o żółtych oczach. Po sposobie, w jaki na nią patrzyły, domyślała się, że wspólne mieszkanie nie wyjdzie im na dobre.

Spojrzała na ciotkę. Phoebe rzuciła okiem na siostrzenicę, po czym ponownie

zwróciła się do Samuela:

— Jak możesz nazywać to dziecko Lizzie, skoro została ochrzczona takim wspaniałym chrześcijańskim imieniem? Co ci się nie podoba w imieniu Elizabeth? Albo Amelia?

— Nienawidzę imienia Amelia — wtrąciła Lizzie.

— Nie odzywaj się, dopóki ktoś nie użyje ci głosu, dziecko — skarciła ją ciotka i spojrzała wyczekująco na szwagra. — Czekam.

Ten wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, Phoebe. Po prostu zawsze bardziej pasowało do niej imię Lizzie.

— No to masz, na co zasłużyłaś. — Starsza pani oparła dłonie na główce laski. — Jeżeli ktoś nazywa się Lizzie, to trudno od niego oczekiwać, żeby był zdyscyplinowaną dobrze wychowaną młodą damą. W dniu kiedy zaczęłaś nazywać ją w ten sposób, dałaś jej przyzwolenie, żeby mogła zachowywać się jak trzpiotka. Spojrzała na siostrzenicę i kontynuowała:

— Pierwsza rzecz, jaką musimy zrobić, to puścić w zapomnienie to straszne imię... którego nigdy nie wymówię w swoim domu. Sama myśl o nim działa mi na nerwy i wykrzywia mój język niczym żółć. — Położyła jedną dłoń na żabocie, tuż przy szyi. — Bóg był miłosierny dla Patience, że pozwolił jej umrzeć, zanim mogła zobaczyć, co wyrosło z jej dziecka. — Złapała się za głowę. — Zawsze pokładała tyle nadziei w Elizabeth. Mam rację, mój drogi?

Samuel skinął głową.

— Od tej chwili będę zwracać się do ciebie Elizabeth albo w najgorszym wypadku Eliza bądź Liza.

— Odkąd pamiętam, nazywam się Lizzie i to imię bardzo mi się podoba — oświadczyła dziewczyna.

— Bądź cicho, dziecko, albo będę musiała poprosić Peterby'ego, żeby przyniósł mi fajkę opium. Będiesz nazywała się tak, jak mi się spodoba, i odzywała się tylko wtedy, kiedy ci na to pozwolę.

Phoebe spojrzała na służącego.

— Zabierz ją do kuchni, Peterby.

— Nie zmusi mnie, żebym tam poszła — Lizzie rzuciła lokajowi ostrzegawcze spojrzenie. Wyjście z nim do kuchni było dla niej równoznaczne z wtrąceniem do lochu.

Ciotka uderzyła ją wachlarzem po rękach, po czym zwróciła się do służącego:

— Niech Liddy poda jej herbatę... w kuchni.

— Czy pani też napije się herbaty?

— Tak, w saloniku. Powiedz Liddy, żeby przygotowała filiżankę dla pana Robinsona. — Jeszcze raz przyjrzała się uważnie Lizzie, po czym spojrzała na szwagra. — Ośmielę się zauważyć, że maniery tego dziecka przyprawiają mnie o zawrót głowy.

Samuel potrząsnął głową.

— Jej maniery są zdecydowanie lepsze niż cała reszta. Muszę ci wyznać, Phoebe, że gdybym teraz wiedział, jakie problemy niesie za sobą wychowywanie dzieci, miałbym ich znacznie mniej.

Lizzie poszła za Peterbym do kuchni. Kiedy przechodziła obok ciotki, usłyszała:

— Porozmawiamy później, Elizabeth Jak tylko pożegnam się z twoim ojcem.

— Do widzenia. Nie będę za tobą płakała — wymamrotała pod nosem, zwracając się do taty.

Westchnęła, po czym rzuciła lokajowi spojrzenie pełne goryczy i złości. Młodość jest bardzo uciążliwym i wyczerpującym okresem w życiu człowieka, ponieważ przez cały czas trzeba użerać się z ojcami. Ojcowie... Nie rozumieją, czym jest miłość. Ich pojęcie o tym uczuciu jest tak ulotne jak motyl, który żyje tylko przez jeden dzień. Oni rozumieli miłość tylko jeden jedyny raz w życiu, kiedy sami się zakochiwali, a potem zatracali tę zdolność i zapominali o niej. A co do ciotki Phoebe... no cóż, ta kobieta na pewno Lizzie nie zrozumie, ale nie można jej za to winić. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie była w nikim zakochana, no i nie spotkała Tawisa Mackinnona.

Żeby zrozumieć, czym jest miłość od pierwszego wejrzenia, trzeba spotkać mężczyznę takiego jak on.

Jak większość kobiet w Nantucket Lizzie była po uszy zakochana w Tavisie Mackinnonie od pierwszego wejrzenia. Był niezwykle przystojnym mężczyzną, ale dla niej nie to miało największe znaczenie. Nie kochała go z powodu czarnych jak smoła włosów ani oczu w kolorze nieba po burzy. Nie mdlała na widok jego niewiarygodnie długich nóg ani uśmiechu, który sprawiał, że serce zaczynało jej śpiewać. Kochała go, ponieważ wyłonił się z tęczy.

W 1846 roku, kiedy Tavis Mackinnon przybył wraz z bratem na Nantucket, miała zaledwie jedenaście lat, nosiła kucyki i błękitną sukienkę z białym fartuszkim.

Po śmierci matki czuła się samotna i porzucona. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mama odeszła i zostawiła ją całkiem samą podczas gdy wszystkie inne dziewczynki na wyspie miały swoje mamy. Gdyby nie miała taty, nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ wielu tutejszych ludzi na wyspie nie miało ojców ani braci. Mężczyźni wypływali w morze i znikali czasem nawet na kilka długich lat. Wielu z nich prowadziło dokładnie taki sam tryb życia jak kapitan Ben Worth, który czterdzieści jeden lat spędził na morzu, a tylko sześć na lądzie z rodziną. Inni po prostu odpływali i nigdy nikt już o nich nie słyszał.

Na wyspie zazwyczaj do roli kobiety należało zajmowanie się domem, a także prowadzenie interesów. W przypadku Robinsonów było zupełnie inaczej. Odkąd zmarła jej matka, Samuel Robinson przejął wszystkie obowiązki związane z wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu. Poza tym zajmował się własnymi interesami w biurze prawniczym. Mimo że Lizzie miała troskliwego ojca czuła się samotna i porzucona. Bracia mieli siebie nawzajem, a papa miał jej młodszą siostrę Sally. Z kolei Sally miała małego dzidziusia, Meg. A Lizzie nie miała nikogo. Aż do chwili, kiedy na wyspę wrócił dziadek.

Przez czterdzieści lat Asa Robinson był kapitanem na statku wielorybniczym i przegapił większą część dzieciństwa Lizzie. Wkrótce po tym, jak zmarła jej matka, Asa postanowił przejść na emeryturę. Od kilku ładnych lat przemysł związany z połowem wielorybów chylił się ku upadkowi. Wszystkie wieloryby w okolicy wyspy już dawno zostały zabite, rybacy musieli więc wypływać daleko w morze na dwa lata, a nawet dłużej, żeby zebrać tyle wielorybiego tłuszczu, aby mieć z tego minimalny zysk. I właśnie dlatego w 1846 roku Asa wrócił na wyspę, a był to rok ogromnego pożaru w Nantucket.

Po powrocie zamieszkał w latarni morskiej na cyplu Brandy. Dzięki temu mógł być

blisko wszystkiego, co kochał. Lizzie. Statków. Morza.

Na Nantucket nie było publicznych szkół, dlatego Samuel Robinson tak długo, jak to było możliwe, uczył dzieci w domu. Kiedy chłopcy podrośli, wysłał ich do prywatnej szkoły Coffiną którą kapitan sir Isaac Coffin otworzył dla swoich potomków. Wielu mieszkańców wyspy było związanych z Coffinami, a ponieważ babcia Lizzie wyszła za mąż za jednego z nich, Samuel zdecydował się właśnie na tę szkołę. Zostały jednak dziewczynki w domu, ponieważ był staroświecki i uważał, że kobiety nie muszą być wykształcone.

Być może Lizzie nigdy nie poszłaby do szkoły, gdyby nie dziadek. Asa od zawsze uwielbiał matematykę i nie było dla nikogo zaskoczeniem, że najstarsza wnuczka z którą spędzał większość czasu, przejęła po nim zamiłowanie do cyfr. Kiedy skończyła jedenaście lat, potrafiła za pomocą przyrządów nawigacyjnych wyliczać odległości na mapie. Jednym z pierwszych prezentów, jakie otrzymała od dziadka, był teleskop. Wiele długich nocy spędziła w latarni morskiej z okiem przyklejonym do teleskopu.

Kiedy skończyła trzynaście lat, mogła zacząć uczęszczać do prawdziwej szkoły. Nauczyciele bardzo ją chwalili. Mówili, że jest bystra i wybija się w matematyce oraz przedmiotach ścisłych. Ale nadal większość czasu spędzała z dziadkiem. Często chodziła do latarni morskiej na cyplu i zostawała tam na soboty oraz i niedziele. Słuchała opowieści o miejscach, które odwiedził. Wiele mroźnych, zimowych wieczorów spędziła, siedząc przy stole i przyglądając się, jak starszek przesuwając ogromne reflektory albo rzeźbi ozdobne wzory na wielorybich kościach. Gdyby miłość była galaktyką dziadek byłby jej drugą gwiazdą. Nauczył wnuczkę żeglować, kochać morze... i mieć nadzieję. — Bycie dziewczynką jest prawie tak ciężkie jak żeglowanie po wzburzonym morzu — mawiał.

Asa Robinson był dla Lizzie prawdziwym błogosławieństwem. Za każdym razem, kiedy przechadzali się główną ulicą miasta, jej mała rączka spoczywała w uścisku dużej, mocnej dłoni. Stary mężczyzna szedł marynarskim krokiem z młodą, roześmianą dziewczynką o jasnych włosach i cudownych błękitnych oczach, przepelnionych miłością. Czasem Jethro Newton, który dostarczał do latarni różne towary, podrzucał Lizzie. W te dni dziewczynka spędzała z dziadkiem długie godziny. Nocami, kiedy światło latarni wskazywało drogę statkom, Asa czytał wnuczce zapiski z dziennika pokładowego albo jedną z książek ze swojej kolekcji.

Pewnego deszczowego wieczoru, po tym jak pomogła mu wyczyścić latarnię, czytał jej Miltona.

Biorą to za czarodziejską wizję Jakiś wesołych stworzeń żywiołu.

Które żyją w kolorach tęczy, I stają się. przyrzeczonymi sobie chmurami.

Dziewczynka często przerywała mu w pół zdania i pytała, skąd bierze się tęcza.

— Dlaczego widać ją tylko po deszczu?

Przyglądała się uważnie dziadkowi, kiedy zamykał książkę i zapalał fajkę, a potem z uwagą śledziła smużkę białego dymu, która unosiła się nad jego siwą głową.

— To znak przymierza, boskiego przymierza. W ten sposób Bóg przypomina nam, że więcej nie ześle na ziemię potopu, tak jak to zrobił za czasów Noego. Za każdym razem, kiedy zobaczysz tęczę, musisz zawsze o tym pamiętać. Tęcza oznacza obietnicę i nadzieję. Każda rzecz na świecie ma swoją tęczę, swój promyk nadziei.

Tego wieczoru tęcza stała się dla niej bardzo wyjątkowa. Kilka miesięcy później Lizzie szła z dziadkiem wzdłuż doków, kiedy zobaczyła przystojnego czarnowłosego mężczyznę, schodzącego po trapie na ląd. Całą jego postać opromieniała tęcza. Dziewczynka od razu zrozumiała, że ten człowiek jest kimś wyjątkowym. Przez cały czas śmiał się, ale z jakiegoś dziwnego powodu przestał się śmiać, zatrzymał się jak wryty, a jego wzrok spoczął na Lizzie. Ona także się zatrzymała.

— Co się stało, Tavis? — zapytał jego brat, Nicholas.

— Co takiego? — Tavis odwrócił się do brata. — Nic takiego — dodał, spoglądając ponownie na dziewczynkę. — Ta mała... Przez chwilę wydawało mi się, że kogoś mi przypomina.

Nigdy nie zapomniała tej chwili ani sposobu, w jaki ten mężczyzna o pięknej twarzy na nią spoglądał. Tęcza była obietnicą od Boga, tak jak powiedział dziadek. Lizzie wiedziała, że ten mężczyzna jest jej przeznaczony.

Nigdy nie przestała tak myśleć.

Nie miała jednak pojęcia, jak ciężko będzie jej przekonać Tawisa Mackinnona, że Bóg jej go obiecał. — Uparty i pełen wątpliwości jak Abraham — mawiała o nim. Przez ostatnie lata mieszkańcy Nantucket zdążyli przyzwyczać i się do widoku Lizzie, uganiającej się za Tavisem Mackinnonem po całym mieście. A młodzi mężczyźni żartowali sobie z niej.

— Goń go, Lizzie. Może się z tobą ożeni, kiedy nie będzie miał już siły uciekać.

— Nie pędź tak, Lizzie. To mała wysepka. Daleko nie odejdzie.

Zawsze kiedy się z niej śmiali, unosiła dumnie głowę i szła przed siebie, nie zważając na ich zaczepki. Uważała, że mieszkańcy Nantucket są zbyt prowincjonalni, żeby pojąć cokolwiek innego poza swoimi przyziemnymi

sprawami. Nie potrafili jej zrozumieć i dlatego wiecznie z niej żartowali.

— Nie mogę się doczekać, kiedy dorosnę — wyznała dziadkowi, po tym jak mieszkańcy zadrwili z niej wyjątkowo dotkliwie.

— Musisz być cierpliwa — odparł Asa. — Nie należy sprzeciwiać się czasowi, wiatrowi ani morzu. Nic na tym nie zyskasz i jeszcze dostaniesz po głowie od przeznaczenia. Będzie tak, jak jest zapisane w niebie, i wszystko przyjdzie w swoim czasie. — Poklepał japo dłoni.

— Poza tym ci chłopcy nie mieliby nic do roboty, gdyby nie mogli ci dokuczać. — Roześmiał się i zmierzwił jej włosy. — Nie rób takiej kwaśnej miny. Już niedługo staniesz się kobietą.

Ale Lizzie i tak wiedziała, że będzie musiała czekać jeszcze bardzo długo, a czekanie wcale nie było jej na rękę. Kiedy Peterby prowadził ją korytarzem, rozglądała się po starym skrzypiącym na każdym kroku domu ciotki. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek nazwie to miejsce domem.

— To jest panienki pokój — oznajmił lokaj, otwierając wysokie drzwi dużego narożnego pokoju z mnóstwem okien.

Lizzie weszła za nim do sypialni, którą wybrała dla niej ciotka. Pomyślała, że najwyższy czas przestać wspominać dziadka i tęsknić za domem.

— Jeżeli będzie panienka czegoś potrzebowała proszę zadzwonić po mnie albo po panią Porter. — Po tych słowach Peterby wyszedł z pokoju.

Dziewczyna rozejrzała się po pomieszczeniu, które od dzisiaj miało do niej należeć. Najpierw dostrzegła swoje walizki, najwyraźniej przyniesione tutaj wcześniej. Po chwili namysłu doszła do wniosku, że to bardzo spokojny pokój. Nad skromnym łóżkiem wisiały zasłony w kolorze alabastru. Ten sam materiał rozpostarto nad łóżkiem, tak że tworzył baldachim. Pod oknem stało angielskie biurko z orzechowego drewna, a za dużą, pokrytą perkalem kanapą stał parawan. Po drugiej stronie pokoju wisiało duże lustro, a pod nim stała różowa toaletka.

Był to pokój, który w innych okolicznościach uznałaby za uroczy, ale w obecnej sytuacji zdobyła się tylko na kilka słów komentarza — Nie podoba mi się ten dom. Nie podoba mi się Boston. A najbardziej ze wszystkiego nie podoba mi się ciotka Phoebe... i jej koty.

Położyła się na jedwabnej narzucie, przykrywającej łóżko. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ojciec chciał się jej pozbyć. A poza tym mógł ją przecież odesłać do dziadka.

Jednak najbardziej smuciło ją to, że nie pozwolił jej się pożegnać z Asą.

— Dlaczego nie mogę? Co w tym złego, papo?

— Ponieważ podjąłem już decyzję, a kiedy będę przyglądał się, jak żegnasz się z dziadkiem, znów wszystko mi się pomiesza.

Nie mogła przestać myśleć o tym, kiedy znów spotka się z dziadkiem. Wtedy, kiedy zobaczysz Tavis Mackinnona podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos, wiedziała jednak, że to nie musi być prawda. Tavis był młody i nawet gdyby ojciec kazał jej pozostać w Bostonie aż do ukończenia szkoły, Tavis nadal będzie żył. Ale dziadkowi nie pozostało wiele lat życia. Zaczekaj na mnie, dziadku. Skuliła się na łóżku. Myślami wróciła do chwili, kiedy po raz ostatni odwiedziła Ase.

Kapitan Robinson mieszkał w domu stróża latarni morskiej na cyplu Brandt, tuż przy wejściu do portu w Nantucket. Ten mały drewniany domek, otoczony zewsząd morską trawą i ruchomymi wydmami, przylegał do wysokiej wieży latarni, która z pewnej odległości przypominała wiatrak.

Kiedy Lizzie po raz ostatni szła w jej stronę, zaczynało zmierzchać. Przemierzała szybkim krokiem wilgotne piaski, które morze zalewało przy każdym przypływie. Nawet z dużej odległości widziała wieżę latarni, a jej światło już wskazywało drogę statkom. Reflektor świecił bardzo jasno, jakby chciał udowodnić, że przestarzałe reflektory firmy Lewis, w której go wykonano, nie potrzebują wymiany na nowe ulepszone oświetlenie firmy Frensel. Lizzie dobrze wiedziała że stary Lewis na cyplu Brandt dzięki jej dziadkowi jeszcze długo będzie sprawny.

Spojrzała na niebo skąpane w purpurowym świetle i wyobraziła sobie przepiękny obraz. Przypomniała sobie cudowne linijki wiersza o latarni morskiej, napisanego przez Longfellowa, i pomyślała że kiedy poeta go wymyślał, z pewnością musiał patrzeć na wieżę na cyplu Brandt.

Poczuła potrzebę wyrecytowania tych słów, ale nie chciała tego zrobić tak całkiem zwyczajnie, a już na pewno nie szeptem. Czuła dramatyzm i piękno chwili i musiała wyrazić uczucia, które nią kierowały. Nigdy nie ignorowała swoich emocji i tym razem także pozwoliła im dość do głosu.

*I kiedy zapada wieczór
Przez purpurową głębią migoczącego nieba
Przebijają się jasne promienie jej światła
Z dziwnym nieziemskim splendorem!
Wielkie statki przyplływają i wracają
Prowadzone przez jej płomień
Pełne radości, kiedy widzą jak migoce*

I machają jej na przywitanie i pożegnanie.

Uśmiechnęła się do siebie, kiedy przypomniła sobie, z jakim przejęciem przeskoczyła grząskie miejsce, po czym skierowała kroki w stronę piaszczystej dróżki. Było już prawie ciemno, kiedy postanowiła zwolnić i pomyśleć przez chwilę o Tavisie Mackinnonie. Wiedziała, że musi być cierpliwa i opanowana. W końcu nie od razu Rzym zbudowano.

— Tak, wiem — powiedziała do siebie, kiedy weszła do domu dziadka.

Asa Robinson siedział przy stole, na którym paliła się lampa naftowa. W jednej dłoni trzymał marynarską igłę, w drugiej kość wieloryba i rzeźbił w niej śliczny statek. Kiedy wnuczka weszła do środka spojrzał w stronę drzwi. Nigdy nie zapomni, jak na nią wówczas patrzył. Miał taką dziwną minę, jakby nie mógł się zdecydować, czy wybuchnąć śmiechem, czy może lepiej zachować powagę.

— Co takiego wiesz?

Lizzie wyjęła z kosza na drewno cienki patyk, po czym wrzuciła go do pieca. A potem roześmiała się, otuliła ramionami i zaczęła kręcić się dookoła po całym pokoju. W końcu zdyszana, zatrzymała się.

— Och, dziadku, wiem to, co wiem. Wiem, że powinnam wyjść za mąż za Tavisia Mackinnona. Po prostu to wiem. Jestem tego pewna jak niczego innego na tym świecie, a wiara czyni cuda. Mam rację?

— Tak jest, kapitanie — odparł Asa Robinson. — Kiedy w coś mocno wierzysz, to czujesz się tak, jak gdyby ciebie ogrzewało słońce, podczas gdy na wszystkich innych pada deszcz.

Lizzie zdjęła płaszcz i położyła go na najbliższym krześle. Obeszła stół dookoła po czym rzuciła się staruszkowi na szyję.

— Och, dziadku, ty mnie rozumiesz, prawda? Właśnie dlatego tak bardzo cię kocham.

Pamiętała ten moment tak, jakby to wszystko miało miejsce przed chwilą. Najbardziej bolała ją świadomość, że tylko on jeden na całym świecie potrafił ją zrozumieć i że właśnie od niego została na długo odsunięta. Gorące łzy spłynęły jej po policzkach i po raz pierwszy od przyjazdu do Bostonu Lizzie płakała dopóty, dopóki nie zasnęła.

Kamienica, w której mieszkała Lizzie razem z ciotką, miała trzy piętra i królowała nad ulicą Beacon, unosząc nonszalancko swój mansardowy dach. Wykonany z kutego żelaza płot, ozdobiony ornamentami przedstawiającymi perskie sceny, oddzielał podjazd od ogrodu. Dom i ogród, podobnie jak wszystko co wchodziło w posiadanie ciotki Phoebe, były doskonale utrzymane. Wszędzie dookoła Lizzie dostrzegała ślady pamiątek rodzinnych, pozycji społecznej oraz pieniędzy. Już pierwszego dnia zdała sobie sprawę, że Boston w niczym nie będzie przypominał Nantucket.

Na pierwszym piętrze kamienicy znajdowało się pięć pomieszczeń, jadalnia, salonik, salon, biblioteka oraz kuchnia. W ciemnej, ponurej jadalni stał długi mahoniowy stół oraz dwanaście krzeseł. Podłoga i boazeria wykonane były z dębu, podobnie jak kominek, który otaczały głowy lwów, cherubiny i liście roźdzeńca. Nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający Jezioro Genewskie, który ciotka przywiozła z podróży poślubnej do Szwajcarii. W saloniku panował zupełnie inny nastrój; ściany były tam ciemnozielone, a kanapy i fotele pokrywał złocisty plusz. Za szklanymi drzwiczkami kredensu, na zielonym filcu, stary kieliszki oraz zielona porcelana Wedgwooda. Nad kominkiem wisiał portret ciotki Phoebe, w naturalnych rozmiarach, namalowany w dzień jej ślubu, oraz dwa małe portreciki w owalnych ramkach, przedstawiające jej męża Charlesa Filmore'a Octaviusa Brewstera. Na jednym z nich miał roczek i był ubrany w białą sukienkę, a na drugim został uwieczniony w wieku lat dwudziestu dwóch, kiedy otrzymał dyplom ukończenia Harvardu. Na samym środku biblioteki, w której mieściła się imponująca kolekcja książek nagromadzonych przez obie rodziny Brewsterów, stał duży okrągły stół, który niegdyś należał do dziadka Phoebe. Właśnie w tym pokoju kanarek rozrzucał ziarno dookoła klatki. — To mnie doprowadzi do szału! — wrzasnęła ciotka pewnego ranka, po czym zaczęła wyciągać z donicy z palmą wątłe roślinki, które wykiełkowały z ziaren przeznaczonych dla kanarka. Lizzie nigdy nie była pewna, czy starszą panią doprowadzał do szału kanarek, czy też może aroganckie rośliny, które miały czelność rosnać tam, gdzie chciały.

Życie na ulicy Beacon upływało na ciągłym dostosowywaniu się do zasad zdrowego i zdyscyplinowanego trybu życia. Budynek był wąski, ale wysoki. Wysokie pokoje były kwadratowe, a w każdym oknie wisiały po trzy firanki. Meble były od Rosewooda, tylko piękne krzesła przy rzeźbionym stole, zdobione złotem, od Sheratona. W saloniku znajdowało się doskonale nastrojone pianino oraz srebra rodzinne, których nikt od wieków nie ośmielił się używać. Kolację z deserem, zgodnie ze zwyczajami

bostońskiej arystokracji, zawsze podawano punktualnie o siódmej. Pani Potter, gosposia, czuwała nad porządkiem w domu. Obecność Peterby'ego przypominała wszystkim o przynależności pani Brewster do wyższych kręgów. Ciasteczka, którymi częstowano gości, zawsze były idealnie wypieczone. Dla podtrzymania prestiżu ciotka Phoebe miała także własnego woźnicę, który zaprzęgał czystej krwi konia do luksusowego powozu i woził starszą damę po ulicach miasta, na prośzone herbatki, do opery albo do kościoła Świętego Pawła przy ulicy Tremont. Na początku życie w Bostonie przerażało Lizzie, jednak już wkrótce okazało się, że jest całkiem zwyczajne, nudne, staroświeckie i raczej przewidywalne. Zrozumiała także, że życie wśród bostońskiej arystokracji pozwala jej rozwijać intelekt oraz dobre maniery. Dzięki swojej inteligencji szybko zaskarbiła sobie sympatię bostończyków. Nauka gracji oraz zachowania odpowiedniego dla damy nie przychodziła jej jednak tak łatwo. Ciotka najwyraźniej wcale się tym nie przejmowała. Mawiała często, że obie wywodzą się z czystej linii od angielskich purytanów, Cabotów oraz Lowellsów, i że w ich długim drzewie genealogicznym było wielu doskonałych nauczycieli, pisarzy, i naukowców oraz przedsiębiorców.

Tak więc, podczas gdy Lizzie obsypywano komplementami dotyczącymi jej wiedzy z takich dziedzin jak matematyka i astronomia, ciotka biła ją po dłoniach wachlarzem za każdym razem, kiedy siostrzenica zrobiła coś nie tak, ale dzięki temu udało jej się uczynić z mej prawdziwą damę.

Phoebe dostrzegała w Elizabeth niepowtarzalny czar. Widziała w niej młodą kobietę o niespotykanym umyśle, wdzięku oraz złożonej osobowości, która w jednej chwili potrafi płonąć jasno i niczym pochodnia, a zaraz potem staje się ponura i zamknięta w sobie niczym najciemniejsze lochy kościoła. Lizzie miała dar do dramatyzowania, jakiego Phoebe nigdy dotąd u nikogo nie spotkała. Poza tym była na tyle przenikliwą że często znała ludzkie myśli, nawet jeżeli nigdy nie zostały wypowiedziane na głos. Pewnego razu Phoebe napisała do Samuela że jego córka ma romantyczne wyobrażenie o życiu, którego ona nie chce niszczyć, a jedynie ująć w karby.

Elizabeth miała w sobie jednocześnie cechy charakterystyczne dla dziecka i dojrzałej kobiety. Była poetką i komikiem. Kochała życie i właśnie dlatego stała się ciotce tak droga. Phoebe widziała to i żałowała, że sama nigdy nie potrafiła cieszyć się każdym dniem, który został jej dany. Lata mijały. Przyjaciele nazywali dziewczynę Lizą ale ciotka Phoebe nigdy nie zwracała się do niej inaczej niż Elizabeth.

— Jest we mnie tyle osób — wyznała pewnego dnia ciotce. — Być może właśnie dlatego mam tyle różnych imion, Elizabeth, Eliza, Lizą Lizzie. Może powinnam wybrać

jedno z nich Gdybym była tylko jedną osobą życie byłoby mniej skomplikowane.

— I mniej interesujące — odparła Phoebe. — Musisz pamiętać, Elizabeth, że tak złożony charakter ma także pewien urok, pod warunkiem, że korzysta się z poszczególnych cech swojej osobowości w odpowiednich momentach życia.

Po pewnym czasie eleganckiego i zdyscyplinowanego życia u boku ciotki Lizzie zaczęła się zastanawiać nad swoją przeszłością. Siedziała w saloniku w towarzystwie Phoebe i rozmawiała z nią na temat swojego zbliżającego się debiutu w towarzystwie. Wyciągnęła rękę po ciastko, ignorując przy tym syk Robina. Kot zeskoczył na ziemię, a Tuck poszedł w jego ślady. Elizabeth dziwiła się, że po tak długim czasie koty nadal nie mają do niej zaufania.

— Czasem trudno mi uwierzyć, że kiedyś się tak zachowywałam — stwierdziła, po raz kolejny ignorując zwierzęta. — Biedny papa Musiał mieć ze mną ciężkie życie. Wydaje mi się, że każde nowo narodzone dziecko ma w sobie pewną dawkę głupoty i absurdu, którą musi wykorzystać, zanim wydorosłeje. Właśnie dlatego każdy z nas ma swojego anioła stróża, który broni nas przed nami samymi. Chyba powinnam być szczęśliwą wiedząc, że teraz, kiedy dorosłam, nareszcie wyzwoliłam się od tych wszystkich szaleństw — dodała.

Debiut Elizabeth przebiegł gładko. Dziewczyna upięła włosy, włożyła białą suknię i zaprosiła gości na herbatę. Od tego dnia towarzyszyła ciotce na przyjęciach, gdzie zapraszano ją do uczestniczenia w grach razem z innymi młodymi ludźmi w jej wieku. Już wkrótce uroda Elizabeth Robinson zachwyciła wielu mężczyzn, a ci, którzy nie doceniali jej ładnej buzi, szanowali ją za jej niespotykany intelekt. Zawsze kiedy pojawiała się na przyjęciu, natychmiast przy jej boku pokazywali się elegancko ubrani przystojni młodzieńcy, którzy prosili ją o kolejny taniec albo o kilka minut rozmowy. Wiele razy Phoebe zdawała siostrzenicy relacje z tego, jak ten czy inny młody mężczyzna nie spuszczał jej z oczu przez cały wieczór.

I nikogo to nie dziwiło. Elizabeth była niesamowitą dziewczyną. Ciotka nazywała ją amerykańską różą w pełni rozkwitu. Miała piękną cerę i lawendowe oczy o głębokim spojrzeniu. Miała grację i subtelność południowej piękności oraz bystry umysł nowojorczyka. Do tego była praktyczna i bezpretensjonalna. Podobnie jak wszystkie kobiety z Nantucket odznaczała się silnym charakterem.

Już w pierwszym sezonie Elizabeth zaprzyjaźniła się z inną debutantką, Genevieve Beecham Jednak dopiero rok później poznała jej starszego brata Harry'ego, który studiował na czwartym roku na Uniwersytecie Cambridge.

Na jednym z przyjęć Genny zauważyła Elizabeth, po czym podeszła do niej.

— Elizabeth, mam cudowne wieści. Harry jest w mieście. Nawet nie wiesz, jak nie mogłam doczekać się chwili, kiedy go poznasz.

— Gdzie on jest? — zapytała Elizabeth, rozglądając się po sali.

— Nie przyszedł. Dopiero przyjechał i nawet nie miał czasu, żeby się rozpakować i wyszykować na dzisiejszy wieczór. Mama była bardzo rozczarowana — wyjaśniła Genny. — Och, tak bardzo bym chciała, żebyście wkrótce się poznali. Jutro o dziesiątej jestem umówiona u madame Broussard, a Harry wybiera się na konną przejażdżkę. Pomyślałam, że potem moglibyśmy spotkać się u ciebie w domu. Harry mógłby zabrać nas do Boston Common — Genny chwyciła przyjaciółkę za ramię i odciągnęła ją na bok, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy. — Chyba powinnam cię przed nim ostrzec — wyszeptała.

Liza spojrzała w jej ciepłe brązowe oczy.

— Ostrzec mnie?

— Chyba tak. Harry jest trochę arogancki... miły, ale arogancki.

Wiesz, jest niezwykle przystojny. Wszystkie kobiety biją się o niego. Jest bardzo popularny w Londynie. Tata ciągle powtarza że ta popularność nie idzie w parę z wynikami jego studiów. Najwyraźniej mój brat zbyt wiele czasu spędza w towarzystwie kobiet, zamiast ślęczyć w Cambridge nad książkami. Kiedy papa powiedział mu, że powinien znaleźć sobie inteligentną kobietę, Harry odparł na to, że inteligentne kobiety wcale go nie interesują.

— I co na to twój ojciec?

— Zapytał go, co chciał przez to powiedzieć. I wiesz, co mu odpowiedział?

— Co takiego?

— Powiedział, że inteligentne kobiety są brzydkie.

Ten komentarz wcale nie zdziwił Elizabeth, ponieważ często słyszała podobne teorie.

— Może powinien studiować w rodzinnym mieście. Gdyby poszedł na Harvard, wasz ojciec mógłby mieć na niego oko.

Genny przerzuciła kasztanowe włosy przez ramię.

— Ależ on był na Harvardzie. Ale papa dzień w dzień był wtedy zarzucany matrymonialnymi propozycjami od różnych kobiet i był tym tak zmęczony, że postanowił wysłać Harry'ego za granicę.

— Przypuszczam, że twój brat właśnie dlatego jest taki arogancki — zauważyła Elizabeth — Nigdy nie musiał zabiegać o względy kobiet.

— Chyba masz rację — zgodziła się Genny. Po chwili dostrzegła że matka patrzy znacząco w jej stronę, więc chwyciła Elizabeth za ramię i przysunąwszy się do niej

jeszcze bliżej, wyszeptała: — Mama patrzy w naszą stronę, więc muszę się śpieszyć. Chciałabym, żebyś wiedziała że wprost nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Harry'ego, i to nie tylko dlatego, że jesteś moją przyjaciółką.

— A dlaczego jeszcze?

— Ponieważ ty zrujnujesz jego teorię. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak długo czekałam na tę chwilę, gdy mój brat zrozumie, jak bardzo się mylił. Jesteś piękna i mądra, a on jest przekonany, że te dwie rzeczy nie mogą iść ze sobą w parze.

— To absurd. A ty? Jesteś piękna i tak się składa, że również inteligentna.

— Ale ja jestem jego siostrą, więc się nie liczę. On musi mnie lubić bez względu na wszystko. — Zerknęła na mamę. — Muszę już iść. Powiem Harry'emu, żeby przyszedł jutro do ciebie o pierwszej po południu. Zgadzasz się?

— Pierwsza po południu w zupełności mi odpowiada — odparła Elizabeth Starła się, żeby jej głos zabrzmiał entuzjastycznie. Tak naprawdę nie mogła iść jutro do Boston Common i nie powiedziała tego tylko przez wzgląd na uczucia Genny. Po tym, co przyjaciółka powiedziała jej na temat brata, Elizabeth wcale nie miała ochoty spotkać się z nadzwyczaj przystojnym, nadzwyczaj aroganckim i nadzwyczaj przereklamowanym Harrym Beechamem

Następnego dnia Elizabeth siedziała w saloniku przy fortepianie, kiedy pani Porter przyniosła list od jej dziadka. Dziewczyna przestała grać i, zniecierpliwiona, zaczęła rozrywać kopertę. Szybko przejrzała kilka pierwszych stron. Przez cały czas się uśmiechała. Uśmiechnęła się już, kiedy czytała początek. *Mimo że o to nie zapytałaś, może chciałabyś wiedzieć, że Tavis Mackinnon nadal jest wolny niczym morska bryza i często widuje i się go w towarzystwie różnych miejscowych kobiet.* Elizabeth położyła list na kolanach i zamknęła oczy. Odetchnęła z ulgą. Jeżeli Tawisa widuje się w towarzystwie różnych eh kobiet, to oznaczają że żadna z nich nie zainteresowała go na tyle, żeby się z nią związać. Gdyby spotykał się zjedną kobietą., wtedy mogłaby się zacząć martwić. Ponownie spojrzała na list i z uwagą przeczytała go raz jeszcze. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że ktoś ją obserwuje.

Peterby zaprowadził Harry'ego Beechama do salonu. — Zechce pan tutaj zaczekać, a ja tymczasem powiadomię panią Brewster, że pan nas odwiedził.

Kiedy Peterby wyszedł, Harry zaczął chodzić po pokoju. Gdy po raz trzeci mijał otwarte drzwi, zatrzymał się na widok bardzo atrakcyjnej młodej kobiety, która siedziała w pokoju po drugiej stronie korytarza. Bez namysłu skierował się w jej stronę. Stał przy drzwiach i przyglądał się tej uroczej osobce, pogrążonej w lekturze listu. Wyglądała jak modelka, która pozuje do portretu.

Odchrząknął i wszedł do pokoju.

— Spóźniłem się pół godziny. Mam nadzieję, że nie tkwisz w tej pozie od pierwszej.

Na dźwięk jego głosu Elizabeth natychmiast przycisnęła list do piersi. Podniosła głowę, po czym wstała i przyjrzała się mężczyźnie, który bez pukania wszedł do pokoju i zachowywał się tak impertynencko. Rozejrzała się, po czym zapytała:

— A gdzie jest Genny?

— Daj spokój — odparł Harry, podchodząc do niej. — Nie musisz przede mną udawać. Zawsze wiem, kiedy moja siostra chce mnie w coś zrobić. Wynajduje przedziwne sposoby, żeby związać mnie z którąś ze swoich przyjaciółek. Wiedziałem, że nie przyjdzie o pierwszej. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że w ogóle się tutaj nie pojawi. Właśnie dlatego się spóźniłem.

Pierwsza myśl, jaka przyszła Elizabeth do głowy, była taka, że Genny wyrażała się o swoim bracie niezwykle pobłaźliwie. Arogancki to nie było odpowiednie słowo na określenie tego młodego człowieka. Nadal była zbyt zaskoczona jego zachowaniem, żeby powiedzieć coś w swojej obronie. Odniosła wrażenie, że kobiety ulegają mu raczej z powodu jego zarozumiałości i sposobu, w jaki je traktuje, niż z powodu jego urody.

— Pani pozwoli, że się przedstawię — odezwał się ponownie. Ukłonił się sarkastycznie. — Nazywam się...

— Harry Beecham, szanowny brat Genevieve — dokończyła za niego Elizabeth. Na twarzy Harry'ego pojawiło się zaskoczenie.

— Szanowny — powtórzył, jakby chciał posmakować tego słowa. Spojrzał na nią uważniej niż do tej pory, jak gdyby szukał czegoś, co przy pierwszym wejrzeniu musiał przeoczyć. Jego twarz pojaśniała, a na ustach pojawił się leniwy uśmiech. — Prawie o tym zapomniałem. Genny powiedziała mi, że opowiadała ci o mnie, a ty nazwałaś mnie... Jakie to było słowo? Szarmancki? — Nie mogłam powiedzieć o tobie czegoś takiego. Na twarzy młodzieńca pojawiło się zaskoczenie, ale już po chwili odzyskał pewność siebie. Ponownie zerknął na dziewczynę, po czym odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

— Poznaję ten śmiech — powiedziała Genny, wchodząc do pokoju w towarzystwie ciotki Phoebe. — Przepraszam za spóźnienie. Przeżyłam piekło u krawca, a potem mój powóz został dosłownie zrównany z ziemią przez wózek, który stoczył się ulicą w dół bez niczyjej kontroli. Musiałam wynająć bryczkę, żeby tu dotrzeć. Powóz przypomina teraz stertę desek. Ojciec będzie wściekły, kiedy oszacuje szkody.

— Będzie taki szczęśliwy, że nic ci się nie stało, że prawdopodobnie nawet nie wspomni o stratach — stwierdziła Phoebe, klepiąc Genny po rękę. — Zostałam zaproszona na herbatę, a nie chciałabym się spóźnić. Bawcie się dobrze. Elizabeth spojrzała na Harry'ego i po raz pierwszy zauważyła, że kiedy na jego włosy pada promień słońca, wyglądają niczym szczere złoto i pięknie podkreślają kolor jego oczu.

— Nie musisz się o to martwić — odparła, nie spuszczać z niego wzroku. Po chwili dodała łagodnie: — W tak szarmanckim towarzystwie.

Harry roześmiał się, po czym podszedł do Elizabeth, podał jej rękę i uśmiechnął się czarująco.

— Tak uroczym towarzystwie — powiedział, taksując ją wzrokiem.

Kiedy wyszli z pokoju, Elizabeth pomyślała, że Harry Beecham jest naprawdę przystojny jak diabli, a arogancja tylko dodaje mu uroku. Był wysoki, szczupły i poruszał się z gracją. Oczy miał bardzo ciepłe, a na jego ustach często gościł uśmiech. Miał łagodną twarz, która mogła wydać się przyjazna, ale nie dostępna.

Był diabłem i czarodziejem. A co najważniejsze, Elizabeth bardzo go polubiła. Gdyby jej serce nie należało do innego mężczyzny, z pewnością zakochałaby się w Harrym Beechamie.

Niedługo po tym, jak Elizabeth poznała Harry'ego Beechama, ciotka Phoebe miała wylew. Lekarz nie odstępował jej łóżka. Starsza pani bardzo zmizerniała i straciła władzę w prawej ręce. Oprócz tego nie miała apetytu, ale jej umysł był tak samo bystry jak zawsze.

Kiedy Elizabeth po raz pierwszy weszła cicho do jej pokoju, ciotka powiedziała:

— Nie musisz chodzić na palcach i patrzeć na mnie w ten sposób. Miałam wylew, ale nadal żyję... i nie mam zamiaru wynosić się z tego świata jeszcze przez parę ładnych lat.

Mimo jej stanu zdrowia siostrzenicą która pokochała ją jak matkę, skończyła szkołę, przede wszystkim dlatego, że Phoebe nie pozwoliłaby jej przerwać nauki.

— Jak gdyby twoja rezygnacja z zajęć miała mi poprawić zdrowie — powiedziała przy herbacie. — Powiem ci coś, Elizabeth Jedyna rzecz, która może mnie uszczęśliwić, to zobaczyć, jak kończysz szkołę jako prymuska — dodała uderzając przy tym łyżeczką w filiżankę.

Dźwięk porcelany oraz obecność siostrzenicy w pokoju spłoszyły Robina i Tucka. Oba koty zeskoczyły z sofy i schowały się za firankami. W tym momencie Elizabeth zauważyła, że firanki mają dokładnie ten sam kolor, co suknia ciotki.

Dziewczyna oparła się na krześle i z uwagą spojrzała na Phoebe. Przyjrzała się ogromnej broszce, która spinała pod szyją koronkowy kołnierz. Na szczupłych dłoniach starszej pani błyszczały brylanty, szmaragdy i rubiny. Na siwoszare loki włożyła czepek z kremowej koronki. Mimo choroby i utraty władzy w prawej ręce nadal była wspaniałą, pełną życia kobietą.

— Więc? Co masz mi do powiedzenia? Czy masz zamiar zachować się jak głupiec i przerwać szkołę, czy zrobisz tak, jak Cię o to proszę?

— Masz, ciociu, jakieś wątpliwości? Powiedziałaś, że jestem taka sama jak ty — odparła Elizabeth, po czym odstawiła filiżankę i pocałowała ciotkę w policzek.

W ciągu kilku kolejnych tygodni miała wrażenie, że ciotka — traci swój blask. Jej blada twarz miała kolor wypłowiałej kości słoniowej, a żyły na dłoniach stały się bardziej widoczne.

Elizabeth spędzała z nią co najmniej dwie godziny dziennie. Zazwyczaj siedziały w sypialni, którą Phoebe opuszczała coraz rzadziej. Pewnego dnia siostrzenica przyszła wcześniej niż zazwyczaj i zastała ciotkę w nocnej koszuli. Starsza pani siedziała na łóżku, głaskając koty, które umieściły się na jej nogach. Kiedy dziewczyna weszła oba zwierzaki zeskoczyły na podłogę i schowały się pod łóżko. Phoebe patrzyła jak znikają pod narzutą. — Martwię się o Robina i Tucka — powiedziała Phoebe. — Nie wiem, co się z nimi stanie, kiedy odejdę.

— Wiesz, że się nimi zajmę — odparła Elizabeth.

Starsza pani uśmiechnęła się.

— Wiem, że to zrobisz, ale one za tobą nie przepadają.

— Nigdy mnie nie lubiły.

Phoebe prychnęła.

— Zawsze były głupie.

Elizabeth roześmiała się.

— Dziękuję za komplement.

— Nie ma za co. Co sprowadza cię do mnie o tak wczesnej porze? Tylko mi nie mów, że odkryłaś nową gwiazdę? Elizabeth uśmiechnęła się.

— Gdyby tak się stało, byłabym równie sławna, jak Maria Mitchell.

— Kim jest ta Maria Mitchell? Skądś znam to imię i nazwisko, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd.

— To ta kobieta z Nuntacket, o której ci opowiadałam. Odkryła nową kometa.

— Ach, teraz pamiętam. Więc skoro nie odkryłaś nowej gwiazdy, to co się stało?

— Chciałam ci powiedzieć, że jadę z Genny do Faneull Hall.

Phoebe uniosła brwi.

— Jedziecie tylko we dwie?
Elizabeth uśmiechnęła się.

— Harry dołączy do nas później... i zabierze nas na Blackstone Square. O czwartej major Pace wygłosi tam przemówienie.

— Major Rice zawsze był dobrym mówcą. O czym zamierza mówić tym razem? Czy rząd nadal narzeka na Irlandczyków? Pani Potts wspominała, że wpłynęło dużo skarg na tę celtycką szarańczę, od której aż roi się w starym North Endzie. — Starsza pani potrząsnęła głową. — Nie ma sensu denerwować się z tego powodu. Irlandczycy zawsze będą wśród nas, podobnie jak biedni.

— Nie wiem, o czym będzie mówił. Harry powiedział mi tylko, że major Pace wygłosi przemówienie.

Elizabeth doskonale wiedziała, że jeżeli odwiedzi ciotkę i wspomni przy niej o majorze Rice, uda jej się trochę ją ożywić. Takie rozmowy zazwyczaj pozwalały starszej pani odzyskać trochę dawnego wigoru.

W ostatnim czasie ciotka bardzo schudła. Co prawda jadła częściej niż kiedyś, ale zdecydowanie mniej. Często wrzucała łyżkę do talerza z zupą, odsuwała go i mamrotała:

— Wciąż dostaję zupę, ziemniaki, kompot z jabłek i sos z pieczeni. Nic dziwnego, że pierścionki spadają mi z palców. — Zdjęła pierścionki z prawej ręki i powiedziała: — Musisz pomóc mi zdjąć błyskotki z drugiej dłoni.

Elizabeth wykonała polecenie. Zanim zdążyła zapytać, co z nimi zrobić, ciotka poleciła:

— Przynieś moją szkatułkę z biżuterią i podaj mi klucz. Znajdziesz go w inkrustowanym pudełku, które stoi na stole przy moim krześle.

Kiedy Elizabeth zrobiła to, starsza pani poprosiła ją, żeby otworzyła pudełko. Włożyła do środka pierścionki, po czym zamknęła wieczko.

— Weź je — zwróciła się do siostrzenicy. — Nie będą mi już potrzebne.

Dziewczyna postawiła szkatułkę na biurku.

— Nie, nie tutaj! — krzyknęła Phoebe. — Weź je... do swojego pokoju. Chcę ci to dać.

— Nie mogłabym tego przyjąć.

— A niby dlaczego? Chcę, żebyś nosiła te rzeczy, jeszcze zanim umrę... albo stracę pamięć. Nigdy cię nie zrozumiem, Elizabeth. Dajesz ludziom wszystko, co możliwe. Najwyższy czas, żebyś nauczyła się także brać. Sztuka przyjmowania jest równie trudna jak sztuka dawania. Nie pozbawiaj mnie przyjemności podarowania

ci tych rzeczy. Na moich kotach wyglądałyby raczej śmiesznie. Elizabeth patrzyła na ciotkę w milczeniu. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Ta tymczasem oparła głowę na poduszkach. — Dobrze się stało, że pojawiłaś się w moim życiu — powiedziała. — Teraz mogę odejść w spokoju, wiedząc, że kochasz ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, równie mocno, jak ja. — Uniosła głowę, po czym puściła do siostrzenicy oczko. — Wszystko oprócz tych zwariowanych kotów. — Ponownie oparła głowę i zamknęła oczy. — Co ja mam z nimi zrobić? Hm. Będę musiała opóźnić trochę swoją śmierć, jeżeli szybko czegoś nie wymyślę. Elizabeth stała przez chwilę i w ciszy przyglądała się śpiącej ciotce, trzymając szkatułkę. W końcu odwróciła się, cicho otworzyła drzwi i zanim wyszła z pokoju, zauważyła jeszcze, że oba koty usadowiły się wygodnie na kolanach swojej pani.

Z powodu złego stanu zdrowia ciotka Phoebe nie mogła przyjść na uroczyste wręczenie świadectw ukończenia szkoły.

Zaraz po ceremonii Elizabeth udała się do domu. Zanim wysiadła z powozu, podziękowała Harry'emu za podwiezienie i czym prędzej pobiegła do wejścia. Kiedy wchodziła po schodach, zauważyła panią Potter.

— Och, pani Potter! — wykrzyknęła. — Skończyłam college! Proszę spojrzeć, oto mój dyplom! Czy ciocia Phoebe jest w swoim pokoju?

Gospodyni odwróciła się w jej stronę i położyła ręce na jej ramionach.

— Bardzo mi przykro, kochanie, ale mam przykre wiadomości. Twoja ciotka miała kolejny wylew. Doktor Worthington dopiero od nas wyszedł.

Elizabeth zbladła zrobiło jej się słabo. Kiedy się odezwała, głos miała niespokojny.

— Czy wszystko w porządku? Co powiedział doktor?

Oczy pani Potter napętniły się łzami. Bezsilnie potrząsnęła głową Elizabeth poczuła ucisk w gardle, a do oczu zaczęły napływać jej piekące łzy.

— Wszystko będzie dobrze, prawda?

Gospodyni przytuliła dziewczynę.

— Kochanie, tak mi przykro, że to właśnie ja muszę ci o tym powiedzieć. Twoja ciotka ma sparaliżowaną całą prawą stronę ciała Biedną wspaniałą kobietą Doktor wątpi, żeby kiedykolwiek mogła jeszcze mówić. Jednak Bóg jest łaskawy i nie pozwoli jej odebrać mowy. — Otarła oczy końcem fartuszka. — Doktor Worthington dał jej tabletki na sen Powiedział, że nie powinnaś jej teraz przeszkadzać... ona nie może się ekscytować.

Elizabeth osunęła się na schody. Łzy kapały na jej sukienkę.

— Czuję się strasznie — załkała. — Ja się śmiałam i wspaniale bawiłam, podczas gdy ona cierpiała. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy, przenigdy.

— Nie powinnaś tak mówić. Co powiedziałyby twoja ciotką gdyby usłyszała takie bzdury? Wiesz, że nawet przez minutę nie pozwoliłaby ci mieć takiej smutnej miny. Czy mam rację?

Elizabeth otarła dłonią łzy.

— Tak mi się wydaje.

Pani Potter spojrzała na coś za plecami dziewczyny. Elizabeth odwróciła się i zobaczyła Harry'ego. i — Słyszałeś? — zapytała.

Skinął głową.

— Słyszałem — odparł łagodnie. Zrobił krok w jej stronę, po czym dodał: — Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Elizabeth wstała.

— Nie ja...

— Ależ jak najbardziej — wtrąciła pani Potter. — Oboje spędzicie ten dzień tak jak zwykle. To samo powiedziałyby twoja ciotka, gdyby mogła nam towarzyszyć. — Rzuciła okiem na Harry'ego, po czym zwróciła się do dziewczyny: — Może wybierzesz się gdzieś w towarzystwie tego młodego człowieka?

— Nie mogłabym — odparła Elizabeth Położyła dłoń na ramieniu młodzieńca. — Zrozum mnie. Nie mogę teraz nigdzie z tobą pójść. Nie teraz. — Rozumiem. Jeżeli będę mógł ci pomóc, dasz mi znać?

— Wiesz, że tak zrobię.

— Wpadnę jutro i zobaczę, jak sobie radzisz, jeżeli, oczywiście, i nie masz nic przeciwko temu.

— Och, Harry. — Ścisnęła jego ramię. — Jesteś takim wspaniałym człowiekiem. Co ja bym bez ciebie zrobiła? Uśmiechnął się i delikatnie dotknął jej policzka. — Mam nadzieję, że nigdy się o tym nie przekonasz — odrzekł. Po tych słowach jego twarz przybrała poważny wyraz. — Chciałabym, żebyś dostrzegła we mnie kogoś więcej niż tylko wspaniałego człowieka. Wiesz o tym, prawda?

— Tak, wiem i bardzo mi przykro. Naprawdę.

Blask w jego oczach zgasł.

— Do zobaczenia jutro — powiedział i pocałował ją delikatnie w czoło.

Przez kilka kolejnych lat Phoebe była w coraz gorszym stanie. Elizabeth, która po zakończeniu nauki miała wrócić na Nantucket, nie chciała jej opuścić, chociaż ta ciągle powtarzała, że musi żyć swoim własnym życiem.

Pewnego dnia kiedy dziewczyna weszła do jej pokoju, ciotka czytała.

— Poprosiłam panią Potter, żeby przyniosła mi książkę. Chciałam poćwiczyć rękę podczas czytania ale mam za słaby wzrok. Słowa rozmazują mi się przed oczami. A może to nie z powodu oczu. Może to tylko mój szalony umysł nie wie, co zrobić ze słowami, które przed sobą widzę.

Elizabeth poprawiła poduszki pod głową ciotki, po czym wzięła od niej książkę.

— Zapewniam cię, że twoja głowa nadal działa jak należy. Poza tym nie musisz czytać, skoro ja mogę poczytać ci na głos.

Phoebe spojrzała na nią ostro.

— Tu nie chodzi tylko o moje oczy czy o to, że nie mogę chodzić. Następny wylew może mnie zabić; a nawet jeśli tak się nie stanie, na pewno odbierze mi mowę. Jest tyle rzeczy, o których chciałabym ci powiedzieć. Teraz jest odpowiedni moment... zanim przestanę mówić.

— Nie mów tak Doktor Worthington twierdzi, że jesteś w świetnej formie.

Starsza pani zignorowała jej słowa.

— Ściągnęłam tu dzisiaj prawników. Chciałabym, żebyś dostała w spadku ten dom i wszystko, co po mnie zostanie, kiedy odejdę. Nie patrz na mnie w ten sposób. Śmierć jest naturalnym następstwem życia. Poza tym jestem ciekawą jak wygląda tam po drugiej stronie. — Skinęła głową w stronę biurka. — Te papiery, które tam leżą, są przeznaczone dla ciebie. W tamtej teczce jest kompletna lista wszystkich dóbr, które posiadam. Znajdziesz tam akcje kolei Boston i Albany oraz ubezpieczenie w razie pożaru. Moimi finansami zarządza firma Thatcher Dweberry. Poza tym mam trochę akcji Banku Union, huty szkła w Suffolk oraz niewiele obligacji gazety „Riverside”. Wszystko zostało przepisane na ciebie.

— Nie chcę tego.

— Cóż za nonsens. Chcę, żebyś to wszystko dostała. Komu innemu miałabym zostawić spadek? Mojemu koniowi w podziękowaniu za ciągnięcie powozu?

Elizabeth uśmiechnęła się, ale po chwili jej uśmiech zbladł.

— Najwyższy czas, żebyś wróciła na Nantucket — kontynuowała starsza pani. — Zdobyłaś wykształcenie. Nic cię tu już nie trzyma.

— Nie opuszczę cię.

— Już dawno to zaplanowałyśmy... miałaś wrócić do domu po uzyskaniu dyplomu.

— To było dawno temu. Zmieniłam zdanie.

— Ale twoja rodzina...

— Teraz ty jesteś moją rodziną.

— Ja nie jestem niczyją rodziną — odparła Phoebe. — Ktoś tak młody i błyskotliwy jak ty nie powinien marnować najlepszych lat życia na zajmowanie się starą zniedołężniałą kobietą. Dziewczyna chciała coś powiedzieć, lecz ciotka nie dała jej dojść do słowa.

— Jestem zmęczona. Chciałabym trochę odpocząć. Zabierz te papiery. Chciałabym, żebyś je przejrzała. Obiecuj, że będziesz je trzymać w bezpiecznym miejscu. Obiecuj.

— Obiecuję.

Phoebe poklepała jej dłoń.

— Dobra dziewczynka — powiedziała, zamykając oczy. Elizabeth poszła do swojego pokoju, położyła dokumenty na biurku, po czym usiadła na bujanym fotelu pod oknem. Nie zapaliła światła. Wołała w ciemności ukryć łzy, smutek i ten ciężar, który przytłaczał jej serce.

Wyrzała za okno. Na niebie błyszcząły gwiazdy. Starym zwyczajem wodziła wzrokiem od jednej konstelacji do drugiej, ale jej myśli były daleko stąd. Zawsze myślała, że ciotka będzie miała udział w jej przyszłym życiu. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Elizabeth miała wrażenie, jak gdyby postarzała się o całe sto lat. Pomyślała o jasnej latarni morskiej dziadka. Tak bardzo pragnęła wrócić na Nantucket, spojrzeć na piaszczysty brzeg albo usiąść z dziadkiem w latarni i godzinami wpatrywać się w niebo. Ale musiała wywiązać się ze swoich obowiązków i nie zamierzała pozbywać się ciężaru odpowiedzialności, nawet jeżeli mogła utracić ukochanego Tawisa. Podjęła decyzję i nie miała zamiaru zmieniać zdania.

Kiedy pani Potter przyszła, żeby zawołać ją na kolację, dziewczyna spała. Wyglądała na tak wyczerpaną, że gospodyni nie miała serca jej budzić, dlatego zeszła na dół i powiedziała Peterby'emu:

— Biedna dziecina bardziej potrzebuje teraz snu niż jedzenia.

Następnego dnia po południu Elizabeth weszła do sypialni ciotki i już od drzwi zaczęła mówić:

— Nie jadę do domu.

— Nie możesz poświęcić dla mnie życia. Nie pozwolę na to.

— A ja nie pozwolę, żebyś odesłała mnie na Nantucket. Wczoraj wieczorem zdecydowałam, że zostanę przy tobie tak długo, jak to będzie konieczne. Przejrzałam dokumenty, które mi wczoraj dałaś. Będę miała z nimi sporo pracy. Dzisiaj rano spotkałam się z panem Thorntonem. Szczerze mówiąc, ciociu, twoje

księgi rachunkowe znajdują się w opłakanym stanie. Pan Thornton powiedział, że ostatnio nie zajmowałaś się swoimi sprawami, tak jak to robiłaś kiedyś. Poza tym już dawno powinnaś była sprzedać niektóre akcje. Umówiłam się z nim na kolejne spotkanie. Dał mi kilka dokumentów, które powinnam przejrzeć. Bardzo spodobał mi się świat interesów. Jest taki fascynujący, że omal nie zaczęłam żałować, iż nie urodziłam się chłopcem.

— Masz głowę do interesów. Zawsze ci to powtarzałam. Kobiety z rodu Brewsterów zawsze były dobre z rachunków. Niestety, my, kobiety, mamy wspaniałe umysły, ale to mężczyźni dzierżą władzę. Cóż za marnotrawstwo. To jeden z powodów, dla których nie wyszłam ponownie za mąż. Sama potrafię o siebie zadbać. Nie ma na świecie nic bardziej żalosego od kobiety, która uważa, że nie poradzi sobie bez pomocy mężczyzny. Jeżeli masz trochę akcji i pewną sumkę odłożoną na czarną godzinę, nie ma znaczenia, czy jesteś mężatką, czy też nie, zawsze masz kontrolę nad swoim życiem, zawsze masz coś, co pozwala ci wiązać koniec z końcem. Zatrzymasz ten dom i część moich akcji. Nie sprzedaj wszystkiego zaraz po mojej śmierci. Dopóki będziesz miała ten dom, dopóty będziesz miała dokąd wrócić. Jeśli będziesz miała pieniądze, zawsze będziesz mogła się o siebie zatroszczyć. Pamiętaj o tym.

— Będę pamiętać, jeżeli ty zapamiętasz sobie raz na zawsze, że nie wracam do domu.

— Zapamiętam, ale to nie oznacza, że popieram twoją decyzję. A teraz idź przekaż pani Potter, żeby przygotowała dla mnie czarną suknię z kaszmiru. Potem powiedz Peterby'emu, że chciałabym zjeść obiad na dole. Jeżeli nie wyjdę z tego łóżka, zeszywnieje mi kręgosłup. Już teraz czuję się tak, jak gdybym połknęła kij od szczotki.

Harry pojawiał się raz na jakiś czas w życiu Elizabeth. Kiedy skończył naukę w Cambridge, wrócił do Bostonu, żeby podjąć studia prawnicze na Harvardzie. Kilka razy odwiedzili ją ojciec i dziadek. Spotkała się także z rodzeństwem, ale nie wróciła na Nantucket. Harry ukończył Harvard w tym samym roku, kiedy Elizabeth świętowała swoje dwudzieste trzecie urodziny. Tego samego roku Phoebe miała trzeci wylew, który sparaliżował ją jeszcze bardziej i odebrał mowę. Harry odrzucił kuszącą propozycję pracy w firmie w Nowym Jorku, przyjął posadę w Bostonie, w firmie wuja. Elizabeth wiedziała, że zrobił to z jej powodu; coraz częściej poruszał temat wspólnej przyszłości.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia wybrała się na małe przyjęcie do

Howellsów. Kiedy przybyła na miejsce, Harry już na nią czekał.

— Myślałem, że nigdy nie dotrzesz — powiedział, podchodząc do niej, po czym pocałował ją w policzek. Wziął od niej szal oraz rękawiczki i podał je lokajowi. — Co cię zatrzymało?

— Czytałam gazetę cioci. Chciałam, żeby zasnęła, zanim wyjdę.

Harry wziął ją pod ramię i zaprowadził do biblioteki. Kiedy weszli do środka, zamknął drzwi.

— Harry, nie powinniśmy zachowywać się w ten sposób. Nawet nie zdążyłam przywitać się z Howellsami. Co ludzie powiedzą?

— Powiedzą, że jesteś cudowna, a ja im nie zaprzeczę — odparł, biorąc ją w ramiona.

Spojrzała mu w oczy, po czym odsunęła się.

— Harry... proszę.

Uwolnił ją z uścisku.

— W porządku, ale zostań ze mną jeszcze przez chwilę. Chciałbym z tobą porozmawiać, a w salonie jest zbyt głośno.

— O czym?

— O tobie... i o mnie. Twoja ciotka nie chce, żebyś poświęciła jej całe życie.

— Wiem o tym. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Więc co?

— Miłość. Pożądanie. Zrozumienie. Ciotka pojawiła się w moim życiu, kiedy najbardziej jej potrzebowałam. Była dla mnie jak matka. Tak wiele mi dała. Ale najważniejsze jest to, czego ja chcę. Opieka nad nią jest jedynym skromnym sposobem, żeby się jej odwdziaczyć.

— Poświęcanie życia nie jest wcale takie skromne — stwierdził Harry.

Elizabeth nie kryła irytacji.

— To moje życie. Przeżyję je tak, jak tego zapragnę. Nie jesteś moim ojcem ani mężem.

Wziął ją w ramiona.

— Nie, ale mógłbym nim być. Wyjdź za mnie, Elizabeth. Wiesz, jak długo na ciebie czekałem.

Odepchnęła go.

— Nigdy cię o to nie prosiłam. Nigdy cię do tego nie zachęcałam.

Harry złapał ją mocniej i zanim zdążyła się zorientować, jakie są jego zamiary, przyciągnął ją do siebie.

— Harry, ja...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo poczuła na sobie jego usta.

Całował ją namiętnie i pewnie. Pieścił jej wargi, smakował. Robił wszystko to, co robi mężczyzna, kiedy chce przełamać opór kobiety.

Ale ona była nieugięta.

Ten pocałunek niewątpliwie zawrócił jej w głowie i rozbudził emocje. Poczowała się tak jak wtedy, kiedy spoglądała na Tavis Mackinnona. Przez moment chciała odwzajemnić pocałunek, ale, zdała sobie sprawę, że to nie Harry ma miejsce w jej sercu.

— Nie pozwoliłam ci na takie zachowanie.

— Mężczyzna, który prosi o pozwolenie na pocałunek pociągającą kobietę, może się gorzko rozczarować. Najpierw całuj, a potem zadawaj pytania, takie jest moje motto.

— Na każdą sytuację masz przygotowane odpowiednie motto.

— Tylko kiedy jestem blisko ciebie — odparł. Znów ją pocałował, ale tym razem bardzo delikatnie. Potem oparł brodę na czubku jej głowy. — Co muszę zrobić, żebyś wreszcie zrozumiała, jak bardzo mi na tobie zależy? Jak mogę sprawić, żebyś mnie pokochała?

— Och, Harry, nigdy ci się to nie uda. Nie próbuj nawet. Poza tym ja już cię kocham... jak przyjaciela.

Złapał się za serce i zrobił głupią minę.

— Twoje słowa sprawiają mi ból — powiedział. Po chwili spoważniał i dodał: — Myślisz, że nawet jeśli się trochę postarasz, nic z tego nie wyjdzie?

— Harry... — zaczęła niepewnie. Dotknęła rękawa jego marynarki. — Myślisz, że nie wiem, jakim jesteś wspaniałym mężczyzną? Myślisz, że nie pokochałabym cię dawno temu, gdybym tylko mogła? Ale nie mogę. Nie potrafię zmusić się do miłości. Nikt tego nie potrafi.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

— Powiedz mi, dlaczego nie możesz mnie pokochać.

— Ponieważ kocham kogoś innego.

Otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— Kogoś innego? Dlaczego do tej pory o nim nie słyszałem? Kto to jest? Jak się nazywa?

— Nie znasz go. To ktoś... ktoś, kogo znałam bardzo dawno temu... ktoś z Nantucket.

— Nantucket? — Roześmiał się, po czym wyciągnął rękę w jej stronę, ale Elizabeth szybko się cofnęła.

— Dlaczego patrzysz na mnie tak, jak gdybyś wiedział coś, o czym ja nie mam pojęcia?

Roześmiał się.

— Bo wiem coś, o czym nie masz pojęcia. Bez względu na to, kim jest ten tajemniczy jegomość z Nantucket, nie jestem o niego zazdrosny. Nie przejmuję się jakimś bufonem, który przez te wszystkie lata nie odwiedził cię ani razu.

— On nie jest bufonem, a poza tym nie powiedziałam ci, że on też mnie kocha. Mówiłam tylko, że ja jestem w nim zakochana. Poznała po jego oczach, że nic nie rozumie, i odwróciła się do niego plecami.

— Nie zrobisz tego — powiedziała po czym wybiegła z pokoju, zanim Harry zdążył ją zniewolić kolejnym namiętym pocałunkiem.

Po śmierci ciotki Phoebe Elizabeth wróciła na Nantucket. Miała wówczas dwadzieścia cztery lata.

Dzika i niezdyscyplinowana dziewczyna, która kiedyś opuściła wyspę, powróciła jako prawdziwa dama. Wiele zmieniło się w jej życiu. Nauczyła się panować nad emocjami i trzymać uczucia na wodzy. Ale przez długie osiem lat jedna rzecz pozostała bez zmian. Nadal kochała Tavis Mackinnona, który był dla niej niczym promień słońca, wskazujący jej drogę do domu.

Uczucia jakie do niego żywiła, nie były już dziecinną fascynacją ani ślepym zauroczeniem młodej dziewczyny.

Kilka dni po jej powrocie, pierwszego maja, miał odbyć się bal. Elizabeth upięła złote loki w modną fryzurę, włożyła suknię z białego tiulu ozdobioną złotymi kłosami pszenicy, która, zdaniem jej bostońskiej krawcowej, była kopią sukni z najnowszej francuskiej kolekcji.

Elizabeth zawsze była piękna, ale teraz miała styl i prezencję. Lata spędzone w Bostonie pod czujnym okiem ciotki Phoebe, udany debiut w towarzystwie oraz względy, którymi darzył ją Harry Beecham, przyćmiły błędy przeszłości. Teraz miała przed sobą świetlaną przyszłość.

Przed wyjściem na bal *przejrzała* się w lustrze. Wyglądała naprawdę wspaniale. Zeszła na dół, gdzie czekali już na nią ojciec oraz brat Matt. Przez całą drogę na przyjęcie czuła się jak uczennicą która po raz pierwszy idzie do szkoły. Zastanawiała się, czy Tavis Mackinnon wie o jej powrocie do Nantucket.

Gdy pojawiła się na balu, Tavis nalewał sobie właśnie szklaneczkę ponczu. Oczywiście jak zawsze towarzyszyli mu dwaj nieodłączni kompanii, Cole Cassidy i Nathaniel Starbuck. W pewnym momencie Tavis spojrzał na ładną brunetkę, która stała po drugiej stronie sali.

— Prawdziwa piękność — ocenił.

— Zgadzasz się z tobą w zupełności — przytaknął Cole. — Znasz ją?

— Nie, ale wiem jedno. Taką kobietę mógłbym nawet poprosić o rękę — odparł jego przyjaciel.

— Podejrzewam, że jej rodzina miałaby tutaj coś do powiedzenia — wtrącił się Nathaniel, po czym uśmiechnął się szeroko.

— Jej rodzina? — zdziwił się Tavis.

— Mąż i sześciu synów — wyjaśnił Nathaniel, po czym wybuchnął śmiechem.

Wszyscy trzej zamilkli. Każdy szukał w tłumie gości nowej pięknej twarzy.

— Dzień dobry, Nathanielu... Cole... Tavis — powiedziała pani Witherspoon. Fiszbiny w jej gorsecie zatrzeszczały, kiedy obok nich przechodziła.

— Dzień dobry, pani Witherspoon — odparli i skinęli uprzejmie głowami.

Kiedy znów byli sami, Nathaniel przysunął się do kolegów i szepnął:

— Tego wieloryba powinno się zabić, żeby udowodnić, że gorset jest anomalią.

Dokończyli drinki, zaśmiali się pod nosem, po czym ruszyli w stronę wazy z ponczem. Skoro na balu nie pojawiła się ani jedna kobieta godna ich uwagi, mogli się przynajmniej upić.

— Dobry Boże! Spójrzcie na tego anioła! — wykrzyknął Cole, Stając bez ruchu.

— Przyćmiewa urodę każdej kobiety w tej sali.

Wszyscy trzej spojrzeli na tajemniczą nieznajomą.

— Kto to jest? — zapytał Nathaniel.

— Nie mam pojęcia, ale mam zamiar się tego dowiedzieć. Moje modlitwy zostały wysłuchane — odparł Cole.

— Czy ty się kiedykolwiek modliłeś? — zapytał Nathaniel.

— Zacząłem się modlić na jej widok — powiedział Cole.

Tavis zmrużył oczy. To prawdą że była piękna To prawdą że nie widział jej od siedmiu czy nawet ośmiu lat To prawdą że bardzo się zmieniła Jednak gdy tylko weszła do sali, rozpoznał ją bez wahania.

— To nie jest anioł — stwierdził cynicznie. — To czarownica w przebraniu.

— Znasz ją? — zdziwił się Nathaniel.

— Znam ją tak samo dobrze jak ty — odparł Tavis. — Niech cię nie zwodzi jej uroda.

— Mów sobie, co chcesz, mój przyjacielu, ale kobieta, która tak wygląda, nie może zostać zignorowana. — Nathaniel spojrział z zachwytem na blondynkę w białej sukni. — Szczerze mówiąc — dodał — mam zamiar poważnie się nią zainteresować.

— Czy mógłbyś mi ją przedstawić? — poprosił Cole.

— I mnie również — zawtórował mu Nathaniel.

— Nie muszę was sobie przedstawiać. Już wam powiedziałem, że ją znacie — odparł Tavis. — To nie jest anioł, tylko córka Samuela Robinsona. — Skłonił się nisko i rzekł: — Panowie, pozwólcie, że przedstawię wam niesławną Lizzie.

— Lizzie — jęknęli cicho.

Cole potrząsnął głową.

— Nigdy bym w to nie uwierzył. Mój Boże, zobaczcie, jak ona się zmieniła. Jest

cudowna i chodzi jak królowa. Skąd wiedziałeś, że to ona?

— Na świecie jest tylko jedna osobą która potrafi przyprawić mnie o ból głowy, gdy tylko ją zobaczę. To może być tylko ten bachor.

— Bachor? — zdziwił się Nathaniel. — Jak możesz tak o niej mówić? Bez względu na przeszłość teraz jest prawdziwą pięknoscią Tavis spojrzał na dziewczynę. Gdyby jej nie znał, z pewnością czułby się oczarowany.

— W przeciwieństwie do ciebie mój stosunek do niej ani trochę się nie zmienił. I bardzo się z tego cieszę.

— No cóż, staruszk, najwyraźniej ty przestałeś się dla niej liczyć. Nawet nie spojrzała w twoją stronę — zauważył Cole.

— Ale spojrz — zapewnił go Tavis.

— Nie jestem tego taki pewien. Podejrzewam, że nawet nie zdąży z tobą zatańczyć. Spójrz, ilu ma kandydatów.

— Nie tylko ze mną zatańczy, ale poprosi mnie do tańca tak jak to zawsze robiła — odparł Tavis.

— Jeżeli nawet to zrobi, czy odeślesz ją z kwitkiem tak jak zwykle? — zapytał Cole.

— Być może — odparł Tavis, spoglądając w stronę Lizzie. — A może nie. A poza tym nie zapominaj, że tańczyłem z nią od czasu do czasu.

— Stawiam pięć dolarów, że nie poprosi cię do tańca — powiedział Cole.

— Zgoda.

Elizabeth skończyła tańczyć z Albinem Hollem, po czym podeszła do Rebecki, która na nią czekała.

— Napijmy się ponczu — zaproponowała.

— Dobrze — zgodziła się jej przyjaciółka. — Po tańcu z Thadem Elmore'em nie jestem pewna, czy powinnam się napić, czy zanurzyć stopy w wazie z ponczem.

— Wydawało mi się, że wyszłaś w jego towarzystwie, żeby się czegoś napić — powiedziała Elizabeth.

— To prawdą ale zaraz wróciłam — Rebecca złapała przyjaciółkę za ramię, przyciągnęła i wyszeptwała: — Wystrzegaj się tańca z Thadem Elmore'em.

— Dlaczego?

— Kiedy tańczy, depta ci po stopach, a kiedy zaprasza cię na drinka, nie możesz się od niego opędzić.

Elizabeth roześmiała się.

— Chodźmy. Sama z przyjemnością napiję się czegoś chłodnego. Ruszyły w kierunku stołu zastawionego napojami oraz przekąskami, ale w pewnej chwili Elizabeth

chwyciła przyjaciółkę i pociągnęła ją za sobą. —

Dokąd idziemy? — zapytała Rebecca.

— Chciałaś napić się ponczu. Mam rację?

— Tak, ale idziemy w złym kierunku.

— Nieprawda. Napijemy się ponczu z innej wazy.

Rebecca zatrzymała się jak wryta.

— Tamten poncz jest przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn, dobrze o tym wiesz. Nie możemy się go napić. To byłby skandal. Wszyscy zauważą, jeżeli to zrobimy.

— Zdażymy wypić, zanim ktokolwiek zauważy, a potem będziemy udawać, że nic się nie stało. Skąd mamy wiedzieć, która waza z ponczem jest przeznaczona dla nas? — Ponieważ zawsze stawiają je w tym samym miejscu.

— Ale ja o tym nie wiem — stwierdziła Elizabeth z miną niewiniątka. — Przez długi czas nie było mnie na wyspie.

— W porządku. W takim razie idź sama — oświadczyła Rebecca i popchnęła przyjaciółkę w kierunku stołu. — Poczekam tutaj na ciebie.

— Tchórz.

— Zatwardziały tchórz. — Rebecca przytaknęła głową. Ciemne loki opadły jej na czoło.

Elizabeth zignorowała ciekawe spojrzenia mężczyzn, którzy stali przy wazie z ponczem. Uśmiechnęła się do wszystkich uroczo, wzięła dwie szklanki i napełniła je, po czym podeszła do przyjaciółki. Podała jej drinka.

— Pij szybko — poleciła. — Pan Whitterspoon zmierza w naszą stronę.

Rebecca natychmiast opróżniła zawartość szklanki, a Elizabeth poszła w jej ślady.

Po chwili podszedł do nich pan Whitterspoon.

— Moja droga Elizabeth, przecież wiesz, że paniom nie wolno pić z wazy przeznaczonej dla mężczyzn.

— A ja to właśnie zrobiłam? — zapytała Elizabeth, przyciskając wachlarz do piersi.

Pan Whitterspoon skinął głową.

— Obawiam się, że tak.

— Proszę mi wybaczyć. Widzi pan, w Bostonie poncz dla wszystkich jest taki sam.

Pan Whitterspoon spojrział na dwie puste szklanki, po czym dodał:

— No cóż, chyba nie stało się nic złego. Ale następnym razem pamiętajcie, z której wazy powinnyście pić.

— Oczywiście — zapewniła go Rebecca, robiąc przerażoną minę. — Tak mi wstyd.

Pan Witherspoon uśmiechnął się pobłaźliwie, po czym skinął głową i odszedł. Dziewczęta z trudem powstrzymywały się od śmiechu.

— To nie może być prawda. Lizzie Robinson nigdy nie pozwoliłaby wygrać panu Witherspoonowi.

Elizabeth popatrzyła przed siebie i omal nie utonęła w tych najcudowniejszych szarobłękitnych oczach.

— Miałam ochotę tylko na jedną szklaneczkę — powiedziała cicho, po czym chwyciła rąbek sukni i odwróciła się plecami od zniewalającego męskiego spojrzenia.

Tavis chwycił ją za ramię.

— Nie przywitasz się ze starym przyjacielem?

— Witaj, Tavisie. — Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

Przyglądał się jej z uwagą jak gdyby czerpał ogromną przyjemność z jej widoku. Najwyraźniej on także dostrzegł, że dorosła. Jej ciało drżało, jak gdyby w pokoju panował mróz. Nigdy w życiu nie spotkała mężczyzny, który patrzyłby na nią w ten sposób, jak gdyby chciał ją przeszyć wzrokiem na wylot. Zmieszana, odwróciła wzrok.

Gdzie się podziały dobre maniery, których nauczyła się w Bostonie? Gdzie podziały się jej ogłada? Zazwyczaj bez trudu potrafiła odnaleźć się w trudnych sytuacjach, ale teraz było to niemożliwe. Kiedy spojrzała głęboko w jego oczy, zrozumiała, że jest rozbawiony jej zmieszaniem. Być może właśnie dlatego przemogła się i odezwała.

— Wcale się nie zmieniłaś. Wiedziałam, że tak będzie.

Na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Za to ty zmieniłaś się w elegancką damę, i to bardzo mnie dziwi.

Zaczerwieniła się. Poczwała, jak ogarniają złość. Gdyby jego słowa były bezpodstawne, zrobiłaby wszystko, żeby dowieść, że nie ma racji. Ale ponieważ było inaczej, puściła jego komentarz mimo uszu.

— Nie jestem tym głupim dzieckiem, którym kiedyś byłam — odparła szczerze.

Te słowa najwyraźniej go rozbawiły. Uśmiechnął się i rzekł:

— Cieszę się, że poradziłaś sobie ze swoją dziecinną fascynacją.

— Czy ja coś takiego powiedziałam? — zapytała, spoglądając na niego z uwagą.

— A gdybym ci wyznała, że moje uczucia wcale się nie zmieniły? Gdybym powiedziała, że nauczyłam się je dobrze ukrywać? — Zaczęła odczuwać satysfakcję, że szczerowość daje jej nad nim przewagę. To było takie zabawne patrzeć,

jak stare wspomnienia Tavis Mackinnona o Lizzie walczą z nową Elizabeth Robinson. Poczła że ma nad nim władzę, i zaczęła odkrywać, jak z niej korzystać.

Teraz był najlepszy moment, żeby odejść, zostawić go bez słowa. Chciała przejść obok niego, ale on złapał ją za ramię.

— Nie zapomniałaś o czymś? — zapytał.

Spojrzała na swoje ramię.

— To chyba ty się zapominasz.

Nie puścił jej, ale rozluźnił uścisk.

— Nie uwierzę, że zmieniłaś się tak bardzo, żeby przyjść na przyjęcie i nie poprosić mnie do tańca.

— Czy mógłbyś puścić moje ramię? Ludzie na nas patrzą. Co chcesz zrobić? Wywołać scenę?

Miał czelność roześmiać się w odpowiedzi na jej słowa.

— A jeśli nawet? Przecież uwielbiasz sceny. Czyżbyś o tym zapomniała? Sceny i szpiegowanie to twoje ulubione rozrywki, jeżeli dobrze sobie przypominam. Nawet teraz każdą palmę omijam z daleka.

— To było dawno temu, to była inna dziewczyna — odparła. — To niegrzecznie z twojej strony, że mi o tym przypominasz.

Przez chwilę miała wrażenie, że ją puści, ale nie zrobił tego. Jego siła i niezwykła moc oczu... Nic nie mogła zrobić. Czowała się bezsilna. Pozostało jej tylko czekanie.

W oczach Tavis dostrzegła dziwny, nieznany jej dotąd blask. Zdawała sobie sprawę, że nie wypuści jej tak po prostu, i doskonale wiedziała dlaczego. Kobieta, którą się stała tak niepodobna do dziewczynki, jaką pamiętał, rzuciła mu wyzwanie. Kiedy na niego patrzyła zrozumiała że będzie próbował ją uwieść. Chciał za wszelką cenę przekonać się, czy potrafi wyprowadzić ją z równowagi.

— Tak łatwo zapomniałaś, jak bardzo byłaś mną zauroczona? — zapytał.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie poproszę cię do tańca jeżeli to masz na myśli. Nagle ją wypuścił.

— Dlaczego? Boisz się, że ci odmówię?

— Twoja odmowa nigdy nie była dla mnie przeszkodą — odparła. — Jednak dzisiaj wieczorem tylu dżentelmenów poprosiło mnie do tańca że nie wiem, czy uda mi się zatańczyć chociażby z połową z nich — dodała, pokazując mu karnecik.

Nawet na niego nie spojrzał. Popatrzył na nią tak, jak gdyby chciał roześmiać się jej w twarz.

— W takim razie muszę się pośpieszyć. Czy mogę mieć ten zaszczyt?

Elizabeth zdążyła powiedzieć cicho „nie”, ale i tak chwycił ją w ramiona i

poprowadził na zatłoczony parkiet. Jej ciało zdrętwiało. W głowie miała pustkę. Przez tyle czasu marzyła o tej chwili, żyła dla niej. Dlaczego więc nie czuła się szczęśliwa? To nie jest miłość! — krzychało jej serce. To nie było szczęśliwe zakończenie romantycznej historii. To prawdą poprosił ją do tańca, ale nie dlatego, że ją kochał.

Spojrzała na tę twarz, która zawsze była jej bardzo droga, i zapragnęła... Zamknęła oczy i starała się uspokoić. Próbowwała myśleć racjonalnie. Przestań się nad tym zastanawiać, karciała się w myślach Nie zapomnij się w jego ramionach Nie zatrać się w jego oczach, pod żadnym pozorem nie patrz na niego i nie uśmiechaj się, bo inaczej wszyscy się domyśla że nadal jesteś w nim zakochana. W tym momencie Tavis przysunął się do niej jeszcze bliżej i szepnął:

— Tańczysz o wiele lepiej niż kiedyś. Najwyraźniej nie tylko twoje dobre maniery się poprawiły.

— Twoje się chyba pogorszyły — odparła, po czym odepchnęła go na odpowiednią odległość.

Roześmiał się, a Elizabeth wydawało się, że oczy wszystkich zebranych w sali gości kierują się w ich stronę. Jak długo marzyła o tej chwili, kiedy znów go zobaczy? Ile razy ćwiczyła, co mu powie, kiedy się spotkają? Tak wiele zależało od tego pierwszego spotkania. W rzeczywistości nic nie układało się tak, jak to sobie zaplanowała. Kiedy czuła na sobie jego wzrok, modliła się o siłę i rozsądek.

— Knujesz coś w związku ze mną? — zapytał. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Knuję? Co masz na myśli?

Uśmiechnął się do niej, ale jego oczy nie wyrażały zupełnie nic.

— Twoje uczucia do mnie się nie zmieniły, ale twoje za chowanie owszem. Myślisz, że zainteresuję się tobą, jeżeli będziesz udawała obojętną? Znów zastawiasz na mnie pułapkę, mam rację?

Wiedziała, że z jej twarzy można czytać jak z otwartej księgi. To, co miała zamiar mu powiedzieć, oznaczało, że złoży swoje uczucia u jego stóp.

— A jeśli masz rację? — zapytała łagodnie.

Zawahał się i przez jedną cudowną chwilę Elizabeth miała wrażenie, że jej słowa go poruszyły. Jednak myliła się. Oczy Tawisa zrobiły się chłodne niczym stal, a jego głos oschły i nieuprzejmy.

— W takim razie płacz z miłości. Nigdy mnie nie dostaniesz i dobrze o tym wiesz.

— Czy to jest wyzwanie? — zapytała gniewnie.

— To ci się nie uda, Lizzie.

— Nikt nie zwraca się do mnie w ten sposób.

Uniósł brwi.

— Naprawdę? W takim razie jak mam się do ciebie zwracać, Elizabeth... Eliza... Liza?

— Wszystkie trzy formy mi odpowiadają.

Skinął głową.

— I tak ci się nie uda. Bez względu na to, jaką taktykę zastosujesz, nie uda ci się złapać mnie w sidła.

— Gdybym chciała złapać cię w sidła Tavisie Mackinnonie, mogłabym to zrobić bez najmniejszego wysiłku... gdybym tylko się trochę postarała.

— Staraj się, jeśli chcesz, ale to nie ma sensu. Ja nie szukam żony. Widziałem, co małżeństwo robi z ludźmi... mężczyzna wyrusza na pięć lat w morze, a kobieta wychowuje dzieci i spogląda na świat oczyma zaćmionymi opium.

— Nie zawsze tak się dzieje...

— Daruj sobie — przerwał jej. — Jestem zatwardziałym kawalerem Nigdy nie wygrasz. Nigdy — oświadczył z przekonaniem — To, czego nauczyli cię w Bostonie, nie wystarczy, żeby zaciągnąć mnie przed ołtarz. Poddaj się, Elizabeth. Nie możesz ze mną wygrać. Przyznaj mi rację.

Przestała tańczyć i poklepała go wachlarzem po piersi.

— Niczego nie przyznaję. Mogę udać, że nie usłyszałam twojego wyzwania, albo mogę cię zaskoczyć i je przyjąć. Nie zapominaj, że nie masz już do czynienia z głupiutkim i dzieckiem. Spojrzał na nią.

— Jesteś dojrzałą kobietą — powiedział. — Bardzo piękną kobietą. Ale ja nie jestem dostępny.

Oparła wachlarz na jego policzku.

— Nie oddałeś swojego serca innej kobiecie, prawda?

— Zgadza się.

— W takim razie jesteś dostępny. — Uśmiechnęła się słodko. — : Kto wie? Może jeszcze spędzę z tobą resztę swoich dni.

— Możesz próbować — stwierdził — Właśnie taki mam zamiar.

— Jesteś bardzo pewna siebie — zauważył.

— To nie jest pewność. Po prostu wiem swoje.

— To znaczy?

— Gdybym cię chciała Tavisie Mackinnonie, i nie miałoby dla mnie znaczenia, w jaki sposób cię zdobędę, mogłabym to zrobić. — Zamilkła na chwilę i ponownie poklepała go wachlarzem po piersi. — Pamiętaj o tym, co ci powiedziałam. —

Odwróciła się i chciała odejść.

Tavis chwycił ją jednak za rękę.

— Nie skończyliśmy tańczyć — powiedział.

— Nie skończyliśmy jeszcze wielu rzeczy — odparła po czym uniosła lekko spódnicę i zeszła z parkietu.

Tavis Mackinnon patrzył ze zdumieniem, jak dziewczyna odchodzi.

Rebecca również nie mogła ukryć zdziwienia. Patrzyła na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczyła.

— Nie wierzę, że odeszłaś od niego tak po prostu. Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś z nim rozmawiać? On jest taki cudowny.

Za każdym razem, kiedy jest w pobliżu, mój mózg przestaje pracować i nie mogę wydusić z siebie słowa.

— To zupełnie proste — wyjaśniła Elizabeth. — Za każdym, razem kiedy go widzę, wyobrażam sobie, że stoi przede mną w samej bieliźnie i trzyma palec w nosie.

Rebecca najpierw wyglądała na zszokowaną, a potem na zbitą z tropu.

— Żałuję, że mi o tym powiedziałaś — rzekła. — Już nigdy nie będę mogła na niego spojrzeć.

— W moim przypadku ta sztuczka działa doskonale — odparła Elizabeth.

Przez resztę wieczoru unikała Tawisa, ale jej przyjaciółka wiedziała, że Elizabeth nie spuszcza go z oczu. Kiedy Minnie Woodbury przyłgnęła do Tawisa, Rebecca szturchnęła Elizabeth.

— Mój Boże, spójrz tylko na nią! Wygląda, jak gdyby ktoś wcisnął ją w tę suknię na siłę.

— A ona zupełnie o tym zapomniała.

Rebecca westchnęła.

— Może powinnaś o nim zapomnieć — zasugerowała nieśmiało.

— Dlaczego?

— Ponieważ możesz wybrać sobie każdego innego mężczyznę na wyspie i dobrze o tym wiesz.

— Och, Rebecca.

— To prawda. Nigdy nie widziałam, żeby ci mężczyźni patrzyli na jakąś kobietę tak, jak patrzą na ciebie. James Woodbury ślini się na twój widok.

Elizabeth uśmiechnęła się zza wachlarza, po czym wyszeptwała:

— Ślinić może się wilk na widok owieczki.

— I co z tego?

— No cóż, patrzenie to co innego niż małżeństwo.

— To prawda — zgodziła się Rebecca, rozglądając się po sali. — Może nam obu pisane jest staropanieństwo — dodała łagodnie.

Elizabeth wiedziała, że przyjaciółka miała na myśli swoje ostatnie zaręczyny, które zostały zerwane rok temu.

— Mnie prawdopodobnie tak, ale nie tobie — odparła pogodnie. Miała nadzieję, że w ten sposób odsunie od niej pochmurne myśli. — Twój niezdarny znajomy Jason przez cały wieczór nie oderwał od ciebie wzroku.

Twarz Rebecki rozpromieniła się.

— Naprawdę?

— Czy te oczy mogą kłamać?

Rebecca roześmiała się.

— W takim razie może powinniśmy przejść obok niego... kiedy będziemy szły nalać sobie ponczu. Być może nawet spotkamy Tavis.

— Nie oddam mojego serca tej gwiazdzie — wyznała Elizabeth. — Tavis powiedział mi, że nigdy się nie ożeni. Zaczynam się zastanawiać, czy mówił poważnie.

— On wszystkim to powtarza. Jednak nikt mu nie wierzy. Wszyscy wciąż się zastanawiają nie nad tym kiedy, ale z kim się ożeni.

Wszyscy mieszkańcy Nantucket zastanawiali się, czy Tavis Mackinnon kiedykolwiek się ożeni. Niektórzy spekulowali. Niektórzy posunęli się nawet do tego, że zaczęli robić zakłady. A niektórzy po prostu się go o to pytali.

— Hej, Mackinnon, czy ty kiedykolwiek dasz się uwiązać?

A on jak zwykle uśmiechał się, wzruszał ramionami i odpowiadał:

— Bóg jeden wie.

To nie była szczerza odpowiedź, ponieważ w głębi serca był przekonany, że nigdy się nie ożeni. Nigdy nie miał nic przeciwko instytucji małżeństwa ani przeciwko kobietom. Wręcz przeciwnie, kochał je. Wszystkie. I w tym właśnie tkwił problem. Jak mężczyzna, który kocha wszystkie kobiety, może wybrać tę jedyną? Za każdym razem, kiedy ktoś podszeptował mu, że najwyższy czas związać się z kobietą, miał ochotę zapytać z którą.

Zdarzało się, oczywiście, że jakaś przyciągała jego uwagę na dłuższy czas. Wtedy interesował się nią, zabiegał o jej względy, a nawet myślał, że to ta jedyna,

ale wtedy znów chochlik zakradał się do jego serca i kazał spojrzeć na inną ładną buzię. I tak działo się bez przerwy. Najbardziej rozkoszował się chwilą pomiędzy poznaniem pięknej kobiety a przekonaniem się, że ma ona tyle wdzięku co dorsz.

Za każdym razem, kiedy nowa kobieta przyciągała jego uwagę, myśl o małżeństwie przepadała bez echa. Rozkoszował się różnorodnością swoich znajomości. Nie mógł się opanować. Zawsze gdy widział ładną buzię, czuł się jak ktoś, kto po mroźnej zimie dostrzega pierwsze promienie wiosennego słońca.

Pławił się w nich.

Już dawno temu uznał, że mężczyzna, który nie potrafi wytrzymać długo u boku jednej kobiety, nie powinien się żenić. To była jego życiowa filozofia, z którą dobrze mu się żyło.

— Możesz być z kobietą dopóty, dopóki się w niej nie zakochasz — powiedział kiedyś jednemu z przyjaciół. — Potem twoje życie zamienia się w piekło.

Innymi słowy, był zdeklarowanym kawalerem. Dzięki temu zdobył rozgłos i stał się sławny na całej wyspie. Ludzie wiedzieli o nim dwie rzeczy. Doskonale projektował statki i nigdy nie wiązał się z kobietą na dłużej niż kilka tygodni. Było powszechnie wiadomo, że wszystkie panny — oraz kilka mężatek — zagięły na niego parol.

Ale Elizabeth nie była jedną z tych kobiet. Ona nie tylko chciała zwrócić na siebie jego uwagę. Ona pokładała w nim swoje nadzieje, marzenia i całą przyszłość.

Zycie toczyło się swoim własnym torem. Elizabeth, za każdym razem kiedy spotykała Tavisę, udawała, że nie jest zainteresowana jego towarzystwem, a on swoim dawnym zwyczajem ignorował ją. Jednak od czasu do czasu czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Miała wrażenie, że jest uważnie obserwowana. W takich chwilach szukała Tavisę Mackinnona. Zazwyczaj odnajdywała go stojącego na uboczu z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Jego oczy wodziły za nią podejrzliwie, aczkolwiek spokojnie. Za każdym razem, kiedy patrzył na nią w ten sposób, nie potrafiła opanować drżenia, które ogarniało całe jej ciało. Nie była w stanie opanować miłości, zalewającej jej serce. Zawsze wtedy zastanawiała się, co kryje się za tym podejrzliwym spojrzeniem. Pewnego razu Tavisę posunął się jednak trochę dalej. Było niedzielne popołudnie. Jak zwykle po mszy Elizabeth oraz jej dwie młodsze siostry, Sally i Meg, wybrały się z wizytą do dziadka. Korzystając ze słonecznej pogody, postanowili wybrać się na piknik.

Dziewczęta spakowały kosz, a Asa przygotował bryczkę i we czwórkę ruszyli na przełaj przez wrzosowiska w stronę stawu. Po zakończonym posiłku kapitan Robinson oświadczył, że najwyższy czas na drzemkę. Położył się na kocu, nasunął

kapitańską czapkę na oczy, skrzyżował ręce na piersi i zasnął.

Kiedy zaczął chrapać, Meg i Sally znudziły się obserwowaniem dziadka i poszły zrywać dzikie kwiaty, które rosły wszędzie dookoła na łagodnych wzgórzach.

Elizabeth, pakując do kosza naczynia, obserwowała siostry. Kilka minut później zaczęła iść w kierunku bryczki.

Potem postanowiła zanieść kosz do bryczki. Kiedy schodziła z łagodnego zbocza, zobaczyła go. Siedział na koniu i z zainteresowaniem przyglądał się pojazdowi.

Wreszcie zsiadł z wierzchowca, obszedł bryczkę dookoła i się zatrzymał. Był wysoki i szczupły. Stał do niej bokiem, a słońce oświetlało jego ciemne włosy. Kiedy koń wyczuł jej obecność, zarżał cicho i wtedy Tavis ją dostrzegł.

Trudno było zignorować piękne rysy jego twarzy, pełne usta i łagodne kuszące spojrzenie. Z łatwością mogła rozszyfrować wyraz jego twarzy. Nie było to dla niej trudne, ponieważ ojciec spoglądał na nią w ten sam sposób, kiedy była małym dzieckiem, a on zastanawiał się, czy powinien ją ukarać, czy raczej przytulić. Tavis był w granatowym garniturze. Jak zawsze wpatrywała się z zachwytem w jego twarz. Ciemne brwi unosiły się pytająco nad szaroniebieskimi oczami.

— Co za niespodziewane, aczkolwiek miłe spotkanie — powie dział. — Myślałem, że ten koń uciekł komuś razem z powozem.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Uciekł? Dlaczego tak pomyślałeś?

Ponownie spojrzał w stronę konia.

— Ponieważ nie był uwiązany.

Elizabeth spojrzała na zwierzę, które spokojnie stało w trawie, i doszła do wniosku, że miał rację. Dziadek go nie przywiązał. Miały szczęście, że koń nie wrócił do latarni morskiej, pozostawiając ich bez środka lokomocji. Chociaż z drugiej strony zwierzę było już bardzo stare i prawdopodobnie nie miało nawet ochoty uciekać.

— Dziadek jest czasami trochę nieprzytomny — wytłumaczyła.

Przyjrzał się jej uważnie.

— Nie tylko on — powiedział Tavis. — Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, nie mogę uwierzyć, że Lizzie, którą pamiętam, i Elizabeth, którą mam przed oczami, to ta sama osoba.

Roześmiała się.

— Doskonale. Jeżeli dobrze sobie przypominam, nie darzyłeś Lizzie zbyt dużą sympatią.

— Czekasz na komplementy? — zapytał z rozbawieniem w głosie.

Nie podobało jej się, że ktoś z taką łatwością potrafi czytać w jej myślach. Postanowiła zostawić to pytanie bez odpowiedzi.

Przez chwilę Tavis nie odezwał się słowem. Wyglądał tak, jakby stanie obok niej i patrzeć na nią sprawiało mu przyjemność. Każdy mięsień i nerw jej ciała napinał się w jego obecności.

Przez te lata kiedy nie było jej na wyspie, Tavis prawie wcale się nie zmienił. Szaroniebieskie oczy nadal wywierały na niej ogromne wrażenie, ale nie dostrzegła w nich irytacji i zdumienia tak jak to bywało dawniej. Tavis Mackinnon, który nigdy w życiu nie spozjrzał na nią inaczej iż ze złością czy rozbawieniem, od jej powrotu zaczął patrzeć na nią w zupełnie inny sposób. Przyglądał się jej z zainteresowaniem. Być może naprawdę był nią zaintrygowany. Z pewnością nie dawała mu spokoju myśl, czy dziewczyna tylko udaje obojętność stosunku do niego, czy tak jest naprawdę. Tak bardzo chciała, żeby się nią zainteresował. W pewnej chwili z zamyślenia wyrwał ją jego głos.

— Przed chwilą powiedziałaś, że dawno temu nie pałałem do ciebie sympatią...

— Bo tak było — odparła bezbarwnym głosem — I nawet nie próbuj przekonać mnie, że było inaczej. Inaczej nie będę wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Uśmiechnął się do mej.

— Chyba nie mógłbym całkiem szczerze powiedzieć, że cię nie lubiłem... Byłaś tylko dzieckiem. Ale zawsze było w tobie coś, co nie pozwalało mi gniewać się na ciebie tak bardzo, jak się tego wszyscy spodziewali.

Gdyby w tej chwili powiedział jej, że zaprojektował statek, który potrafi latać, nie byłaby bardziej zdziwiona.

— Prawie udało ci się mnie oszukać — odparła.

Znów uśmiechnął się do niej tak, że rozgrzało jej się serce.

— Najwyraźniej to mi się udało.

— W takim razie oszukałeś również wszystkich mieszkańców Nantucket. Myślałam, że mnie nienawidzisz.

— Nienawiść to zbyt mocne słowo — odparł łagodnie. — Od czasu do czasu doprowadzałaś mnie do białej gorączki, ale nawet wówczas wracałem do domu, kładłem się do łóżka i zawsze myślałem o czymś, co zrobiłaś. Zazwyczaj zaczynałem się z tego śmiać. — Uniósł brwi. — Zawsze się zastanawiałem, jak udało ci pozbyć z włosów tej czerwonej farby.

— To nie była farba, tylko henna. Udało mi się ją... zmyć.

— Widzisz? Pamiętam wszystko, co dotyczy ciebie.

— Ale zawsze byłeś taki wściekły.

Dotknął jej policzka.

— Słodka Elizabeth, musiałem udawać. Bo jak inaczej mogłem cię do siebie zniechęcić? Byłaś dzieckiem, a ja dorosłym mężczyzną. Ludzie gadają, kiedy widzą takie rzeczy — mówił łagodnie. — Nie pozwalają takim mężczyznom wchodzić do swoich domów. Modlą się w kościele za ich czarne dusze. Trzymają swoje dzieci jak najdalej od nich i najchętniej widzieliby ich za kratkami.

Czuła, że zaczyna mu się poddawać, ale nie była w stanie zareagować w żaden inny sposób. To, co mówił, co robił, to było dla niej za wiele. Kiedy stała tak przed nim, miała wrażenie, jakby przez całe życie patrzyła na czarnego konia, który w rzeczywistości był biały.

Zanim zdążyła wydusić z siebie słowo, poczuła ręce Tawisa na swoich ramionach. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że czuła każdy mięsień jego ciała. Oparł brodę na czubku jej głowy i mówił dalej:

— Źle oceniłaś sytuację. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo rozjaśniałaś moje nudne, monotonne życie.

Elizabeth cieszyła się, że trzyma ją w ramionach, ponieważ inaczej osunęłaby się na ziemię. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Po twoim wyjeździe brakowało mi zainteresowania — ciągnął. — To dzięki tobie miałem reputację zdobywcy kobiecych serc... Nic tak nie podbudowuje męskiego ego jak zła sława. Kiedy wyjechałaś, wszystko zaczęło cichnąć. Ludzie przestali plotkować na mój temat, a dla kawalera brak zainteresowania oznacza koniec.

Zamilkł, a Elizabeth, która przez cały czas napawała się jego słowami, zrozumiała, że chciałyby słuchać jego wyznań bez końca.

— Czy to wszystko? — zapytała, z trudem panując nad emocjami.

— Nadal jesteś dziwnym stworzeniem — stwierdził. — Dziwnym, ale fascynującym.

— Będziesz musiał dać mi trochę czasu, żebym mogła zrozumieć chociaż część z tego, co mi powiedziałeś. Nigdy dotąd nie chwytalam byka za rogi. Uśmiechnął się.

— Próbowanie nowych rzeczy jest czasem bardzo potrzebne.

— Masz na myśli mnie? To znaczy ten czas, kiedy byłam w Bostonie?

Roześmiał się.

— Chyba masz rację. Wyjątkowo wyraźnie pamiętam pewien moment w moim życiu. To było dwa lata po twoim wyjeździe.

Właśnie o tobie myślałem, kiedy nagle coś zrozumiałem.

— Co takiego?

— Myślałem o tobie i o tym, co było między nami, zanim wyjechałaś. Poczułem się nagle jak nieśmiały człowiek, który polegał na kimś innym, kto zawsze się za niego odzywał. Po twoim wyjeździe sam musiałem zacząć mówić i nie miałem nikogo, kto dałby mi chociaż małą podpowiedź.

— Nie rozumiem. — Chcę ci powiedzieć, że wniosłaś w moje życie wiele śmiechu i przygody. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy, aż do momentu, kiedy odeszłaś i moje życie stało się bardzo nudne i pozbawione wrażeń.

Elizabeth odsunęła się i spojrzała na niego zdziwiona.

— Chcesz mi powiedzieć, że mnie lubisz?

Kiedy Tavis spojrzał na nią, w pierwszej chwili miał ochotę się roześmiać, ale gdy zajrzał głęboko w jej oczy, wcale nie było mu do śmiechu.

Mimo że przez dłuższy czas trzymał ją w ramionach, nie miał zamiaru jej pocałować. Patrzyła na niego z takim uwielbieniem, z takim oddaniem... Odżyły w nim dawne wspomnienia.

Nagle zrozumiał, że ta dziewczyna nie jest już tylko wspomnieniem i na pewno nie jest już dzieckiem. Dorosła. Stała się dojrzałą kobietą. Czuł krągłość jej piersi. Ogarnęło go dziwne, dotąd nieznanne mu uczucie.

Spojrzał na nią, na jej cudowne oczy i po raz pierwszy zauważył, że nie są po prostu niebieskie, ale miały intensywny odcień lawendy. Pochylił się i chciał ją pocałować w policzek na znak przyjaźni.

Ale Elizabeth niespodziewanie uniosła głowę i ich usta złączyły się w pocałunku. Tavis odskoczył do tyłu jak oparzony.

Zobaczył w jej oczach wstyd i upokorzenie, które widział w nich często, kiedy była dzieckiem. Znów pochylił się nad nią i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, pocałował ją. Coś w nim pękło. W głowie rozbrzmiewał mu ten sam dźwięk, który pojawiał się za każdym razem, kiedy kończył projektować nowy statek. W uszach słyszał dudnienie bloków stepkowych, a potem niezwykle głośny plusk i nagle zrozumiał, co to znaczy mieć w życiu cel.

Ta dziewczyna nie była już tylko ulotnym wspomnieniem, ale stała się prawdziwa i pożądał jej.

Nagle w pobliżu rozległ się chichot. Oboje podskoczyli, a kiedy się odwrócili, zobaczyli roześmianą twarz Meg Robinson.

— Czy to łaskocze?

Po tym spotkaniu Tavis unikał jej jak ognia. Tylko Rebecca wiedziała, jak ciężko

było Elizabeth za każdym razem, gdy widziała go w towarzystwie innych kobiet. Pewnego razu, kiedy od wielu tygodni poświęcał uwagę Harriet Landsbury, Rebecca nie wytrzymała i zapytała wprost przyjaciółkę:

— Elizabeth, jak ty to wytrzymujesz?

— To wcale nie jest takie trudne. Piję dużo mocnej herbaty. Chodzę na długie spacerki. Czytam setki książek i robię wiele innych rzeczy, na których mogę skupić uwagę. Siedzę długo w nocy do chwili, aż staję się zbyt wyczerpana, żeby myśleć.

Patrzę na nich i uczę się ją nienawidzić. Za każdym razem, kiedy ją widzę, przyglądam się jej uważnie i pokrzepiam się myślą o jej dużych stopach i fatalnym guście do mężczyzn. Zawsze gdy mam na to czas, wybieram się do latarni morskiej, piję dużo wina i patrzę na mewy tak długo, aż ścierpnie mi szyja. A jeżeli to także nie pomaga, koncentruję się na gotowaniu i sprzątaniu, dopóki przestaję o nim myśleć. Zawsze mogę kopnąć jego dwukólkę.

— To wcale nie byłoby takie trudne, ponieważ zawsze parkuje ją przed swoim biurem. Zauważyłaś zmianę?

— Jaką zmianę?

— Na szyldzie firmy. Na pewno pamiętasz, że dawniej widniał na nim napis „Mackinnon, Graham i Mackinnon”?

Elizabeth skinęła głową.

— Pamiętam również, że zanim Tavis i Nick sprowadzili się i na wyspę, ich wuj Robert nazywał swoją firmę „Graham — Projektowanie Statków”.

— A teraz firma nazywa się „Mackinnon i Mackinnon”.

— Czy stary pan Graham zmarł?

— Nie, ale uznał, że jest za stary do tej roboty. Przeniósł się na Cape Cod do Nicholasa.

— Dlaczego Nick przeniósł się do Cape Cod?

— Żeby być bliżej swojej stoczni. Kilka lat temu przestali budować u nas swoje okręty. Port jest zbyt płytki.

— Zastanawiam się, dlaczego Tavis nie wyjechał razem z nimi.

— Powiedział, że nie musi wyjeżdżać, bo jest tylko projektantem. Wyznał kiedyś mojemu ojcu, że nie mógłby projektować statków nigdzie indziej poza swoim starym biurem. Prawdopodobnie jest do niego przywiązany.

— Być może. Z pewnością ma kilka przyzwyczajzeń, od których nie potrafi się uwolnić — stwierdziła Elizabeth, mając na myśli jego silne postanowienie, żeby na zawsze pozostać kawalerem.

— Od kiedy popyt na kutry rybackie znacznie się zmniejszył, nie ma potrzeby

budować ich tak dużo jak kiedyś. Tavis projektuje więc inne statki. Mój tata powtarza, że niektóre jego pomysły są wręcz rewolucyjne. Pomyśl tylko! Pewnego dnia Tavis może stać się sławny.

— Wątpię w to — odparła Elizabeth, po czym zamilkła. Zastanawiała się, jakie zmiany zaszły z firmie, odkąd Nick Mackinnon i Robert Graham postanowili się przeprowadzić. Czy te zmiany oznaczały, że jej ukochany też niedługo opuści wyspę? Aż do dzisiaj nigdy nie interesowała się tym, co robi Tavis. Dopóki mieszkał w Nantucket, to nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Starła się przypomnieć sobie czasy, kiedy Nicholas i Tavis przybyli na wyspę, ale miała wówczas zaledwie jedenaście lat i nie interesowała się życiem prywatnym Tavisa.

Późnym popołudniem spakowała koszyk z jedzeniem dla dziadka i poszła na cypel do latarni morskiej. Miała ochotę z nim porozmawiać i zadać kilka pytań. Asa był jedyną osobą która mogła jej w tej chwili pomóc.

Proszę, proszę, czyż to nie moja Lizzie! — powiedział kapitan Robinson, kiedy otworzył drzwi i zobaczył ją na progu. — Zapraszam do środka. Zastanawiałem się, czy jesteś ostatnio tak zajęta, że nie masz czasu, żeby odwiedzić starego dziadka.

Elizabeth wspięła się na palce i pocałowała go.

— Dla ciebie zawsze mam czas. A ty wcale nie jesteś taki stary — odparła, spoglądając w stronę niezadowolonych pyszczków Robina i Braciszka Tucka.

— Jak radzisz sobie z kotami? — zapytała.

Przypomniała sobie dzień, kiedy wróciła z Bostonu z kotami ciotki Phoebe. Jej siostry były nimi oczarowane.

— Och, Lizbeth, przywiozłaś tego kociaka dla mnie? — zapytała Meg.

— Przywiozłam dwa — odparła Elizabeth. — Są wasze.

Ale Robin i Tuck najwyraźniej wyczuły pokrewieństwo pomiędzy Elizabeth i jej siostrami, ponieważ kiedy tylko Meg wyciągnęła rękę w kierunku Tucka, kot zaczął syczeć, drapnął dziewczynkę i uciekł, a Robin wybiegł zaraz za nim.

— Wydaje mi się, że one jej nie lubią — stwierdziła Sally. —

Mie chyba też nie.

Elizabeth, patrząc, jak zwierzaki uciekają z pokoju, westchnęła.

— No cóż, ciocia zawsze powtarzała, że te koty są głupie.

— To były koty ciotki Phoebe? — zapytała Meg.

— Tak — odparła Elizabeth, po czym przytuliła siostrę. — Nie pamiętasz ich z Bostonu? , — Nie.

Elizabeth puściła oczko do Sally, po czym zapytała najmłodszą siostrę:

— Wiesz, kim była ciotka Phoebe?

— Oczywiście, że tak. Papa często mi o niej opowiadał — odparła dziewczynka, po czym usiadła i wygładziła spódnice.

Sally spojrzała na Elizabeth — Jak widzisz, jeszcze nie wyrosła z zamięłowania do wykrzywania rzeczywistości.

Przez dwa dni starali się złapać koty. W końcu okazało się, że jedynie Matt i Asa mają nad nimi jakąś władzę. — Może powinniśmy zostawić je w latarni — zaproponował Matt. — Mnie często nie ma w domu, a nikt inny nie potrafi się nimi zająć.

— A może odeślemy je z powrotem do Bostonu? — zasugerowała Meg. — To wspaniały pomysł — zgodził się Samuel. — Nie wiem, dlaczego je ze sobą przywiozłaś, skoro najwyraźniej wcale cię nie lubią.

— Przywiozłam je, ponieważ należały do ciotki, a w Bostonie nie miał się nimi kto zająć. — Spojrzała na ojca, po czym dodała: — Oddam je dziadkowi. Najwyraźniej przypadł im do gustu. — Wiedziała że Asa nie jest miłośnikiem kotów, ale czuła że nie odmówi, ponieważ Robin i Tuck należały kiedyś do ciotki Phoebe.

Rob i Tuck mają się świetnie — odparł Asa. — To znaczy, miały się świetnie do momentu, kiedy przyszłaś. Zawsze gdy się pojawiaasz, znikają w tajemniczy sposób. Ale wiesz, dzięki nim nauczyłem się, że długowłose koty i ciemne draperie ani trochę do siebie nie pasują.

Elizabeth roześmiała się, postawiła kosz na stole, po czym odwróciła się do dziadka.

— Trzeba je często szczotkować — wyjaśniła.

— Sam się tego domyśliłem Nie zdawałem sobie tylko sprawy, że kiedy się je czesze, trzeba wkładać na siebie prześcieradło. — Spojrzał za kanapę, skąd wyglądały dwie pary złęknionych oczu. — Najgorsze jest to — dodał — że cię nie lubią. — Mrugnął do niej. — Z tego, co wiem, to są jedyne żywe istoty, które się w tobie nie zakochały.

Elizabeth chciała przypomnieć mu, że to samo mógłby powiedzieć o Tavisie Mackinnonie, ale nie odezwała się słowem Wiedziała że prędzej czy później poruszą ten temat. Tymczasem Asa zagotował wodę, po czym przygotował dwie filiżanki herbaty i postawił je na stole. Wnuczka usiadła naprzeciwko niego. Przez cały czas czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie.

— Przyszłaś mnie po prostu odwiedzić czy chcesz o czymś porozmawiać?

Odstawiła filiżankę i roześmiała się.

— Przed tobą nic się nie ukryje, prawda?

— Prawie nic. A teraz powiedz mi, co przeoczyłem. Już zdążyłaś wplątać się w jakąś historię z Mackinnonem?

— Nie, nie mam żadnych problemów, dziadku. Po prostu chciałabym się czegoś dowiedzieć.

— Co takiego chciałabyś wiedzieć?

— Opowiedz mi o jego przeszłości. Byłam strasznie młoda, kiedy przyjechał na wyspę razem ze swoim bratem, i nie interesowałam się wówczas jego prywatnym życiem.

— Szczerze mówiąc, nie wiem o nim zbyt wiele.

— Czy znasz powód, dla którego przeprowadzili się na Nantucket? Wiem, że Robert Graham jest ich wujem, a to znaczy, musi być bratem ich matki.

— Znam odpowiedź na twoje pytanie. Po twoim wyjeździe do Bostonu Robbie Graham często mnie odwiedzał. Grywaliśmy w warcaby. Wiem o nim to i owo.

— Czy kiedykolwiek rozmawialiście o Tavisie?

Asa uniósł brwi.

— Nie byłbym dobrym dziadkiem, gdybym nie skorzystał z takiej okazji i nie zdobył kilku informacji istotnych dla mojej wnuczki.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Masz rację.

— Zgodnie z tym, co powiedział mi Robbie, Tavis miał pięciu braci. Najstarszy z nich został zabity, podobnie jak ich matka, kiedy Nick i Tavis byli jeszcze małymi szkrabami. Ich młodsza siostrzyczka została wtedy uprowadzona przez Indian...

— Przez Indian?

— Przez Indian — powtórzył Asa. — To było jedno z tych wojowniczych plemion, chociaż nie pamiętam dokładnie jakie... To wszystko działo się w Teksasie. — Och, mów dalej.

— Niech sobie przypomnę, co też mi powiedział Robbie. — Siostra Tawisa została porwana przez Indian. Ojciec wziął pięciu młodszych synów i wyruszył na poszukiwanie zaginionej dziewczynki, zostawiając żonę i najstarszego syna w domu. Nie odnaleźli dziecka a kiedy wrócili, znaleźli martwe ciała matki oraz najstarszego brata. Ojciec zostawił synów i wyruszył na poszukiwanie córki. Słyszał plotki o Indianach, którzy handlują białymi dziećmi, i miał nadzieję, że jego córka jest jednym z nich. Jednak rok później chłopcy dowiedzieli się, że ojciec został oskalpowany. Pięciu braci postanowiło samodzielnie zająć się gospodarstwem, ale to była ciężka praca. Jeden po drugim zaczęli opuszczać rodzinny dom. Elizabeth nie

odzywała się przez chwilę. Zaczynała rozumieć, dlaczego Tavis nie ma ciepłych wspomnień związanych z rodziną i małżeństwem rodziców. W końcu potrząsnęła smutno głową i powiedziała:

— Wiem, że Nick i Tavis przyjechali na wyspę. Ale co stało się z trzema pozostałymi braćmi?

— Nie wiem tego na pewno, Robbie opowiadał mi o tym tak dawno temu. Sama rozumiesz. — Zastanawiał się przez chwilę, pocierając przy tym policzek. — Podobno dwóch z nich otworzyło tartak w Kalifornii. To chyba byli bliźniacy. Tak, tak, bliźniacy.

— Bliźniacy... — powtórzyła Elizabeth. Wyobraziła sobie dwóch Tavisów Mackinnonów i przez chwilę żałowała że drugi Tavis nie istnieje naprawdę. Wtedy miałyby jedną szansę więcej, żeby zdobyć jego serce.

Mogłabyś także spotkać się z podwójną odmową podpowiadał złośliwy głos.

— A co się stało z ostatnim bratem?

— Tego zapamiętałem dosyć dobrze, ponieważ jego historia bardzo mnie zaskoczyła. Okazało się, że Mackinnonowie byli Szkotami, zarówno ich matką jak i ojciec urodzili się w Szkocji. Robbie powiedział mi, że ojciec Tawisa pochodził z jakiejś szlacheckiej rodziny i jeden z jego synów odziedziczył tytuł.

— Jaki?

— Księcia.

Elizabeth zaniemówiła z wrażenia.

— Tavis Mackinnon ma brata który jest szkockim księciem? — zapytała po chwili.

Asa skinął głową.

— Tak powiedział mi Robbie Graham.

— Ale Nick i Tavis są najstarsi. To wiem na pewno. Dlaczego żaden z nich nie odziedziczył tytułu?

— Zaczekaj. Nie znam wszystkich szczegółów. Wiem tylko tyle, że Tavis oraz Nicholas zarobili tyle pieniędzy, żeby opłacić podróż statkiem na naszą wyspę. — Puścił do niej oczko. — Myślę, że resztę historii znasz lepiej ode mnie. — Zamilkł na chwilę i spojrzał na nią uważnie. — Nadał chcesz mu oddać swoje serce? Nic się nie zmieniło? Elizabeth posmutniała.

— Nie, nic się nie zmieniło — odparła. — Chociaż czasem zaczynam się zastanawiać, czy jestem całkiem normalna.

Milczała przez chwilę. Zastanawiała się, czy jest najgłupszą osobą na świecie, skoro zakochała się w Tawisie. Wreszcie potrząsnęła delikatnie głową.

— Zastanawiam się, dlaczego on nigdy nie chciał budować statków tak jak jego brat i wuj. Dlaczego zajął się projektowaniem?

— Trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego człowiek robi to, co robi. Dlaczego zostałem kapitanem statku do połowu wielorybów, zamiast zwyczajnego pasażerskiego? — Asa napił się herbaty, po czym z błyskiem w oku spojrzął na wnuczkę. — Jednak domyślam się, że to może mieć coś wspólnego z chorobą morską.

Elizabeth omal nie wypuściła filiżanki z rak.

— Choroba morska? — powtórzyła z niedowierzaniem. Nagle przypomniała sobie, że ojciec mówił jej kiedyś o czymś podobnym. To było, jeszcze zanim pojechała do Bostonu. — Nie mogę uwierzyć, że mężczyzna taki jak Tavis może mieć chorobę morską. On jest taki silny i twardy. Asa roześmiał się.

— Jak widzisz, żołądek mężczyzny nie zawsze idzie w parze z całą resztą.

— Czy kiedykolwiek widziałeś statek, który on zaprojektował?

— Dlaczego pytasz? Jesteś po prostu ciekawa, czy uważasz, że statek jego projektu od razu idzie na dno?

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Jestem ciekawa.

— Widziałem kilka. Z tego, co słyszałem i czytałem, to Tavis . rozśławia swoje nazwisko. Niektórzy twierdzą, że jest prawie tak dobry jak Donald McKay. Zawsze uważałem, że Szkoci mają zdolność mieszania marzeń z inżynierską dokładnością. Obaj są Szkotami, więc to tylko potwierdza moją regułę.

— Dlaczego traktujesz Tawisa jak Szkota, skoro urodził się w Ameryce?

— No cóż, Mackinnon jest Amerykaninem, biorąc pod uwagę miejsce urodzenia ale odnoszę wrażenie, że w jego żyłach płynie szkocka krew. Wierz mi. Pracowałem z kilkoma Szkotami i zauważyłem, że jest w nich coś, co ich łączy. Dla mnie Tavis Mackinnon jest Szkotem.

— Hmm. Słyszałam, że Szkoci są oportunistami, że są dumni i bardzo przewidujący. Podobno nie poddają się, nawet kiedy zdrowy rozsądek podpowiada, że nie ma najmniejszej szansy na wygraną. Może właśnie dlatego Tavis jest taki uparty...

Asa przechylił się do tyłu na krześle i roześmiał się.

— Nie śmiej się, dziadku — powiedziała Elizabeth. — Założę się, że Tavis Mackinnon odniósł sukces, nie dlatego że jest oportunistą, ale dlatego że jest zbyt uparty, aby budować statki, które toną.

Tavis Mackinnon z pewnością był uparty i nigdy nie postępował wbrew swoim przekonaniom. Przez kilka ostatnich miesięcy pracował nad planami nowego modelu okrętu z żelaznym kadłubem. Czegoś podobnego jeszcze świat nie widział.

Do tej pory wszystkie statki budowano z drewna, ale Tavis, w którym drzemała dusza wynalazcy, pracował nad nowym pomysłem. Zaprojektował statek, który miał być wykonany z desek i pokryty stalą. Taki statek trudno zatopić.

Kilka lat temu miał swoją pierwszą wizję złotego wieku na morzu, w której brał pod uwagę nie tylko statki napędzane parą ale także te wykonane z żelaza.

Jego rozgrzana do czerwoności wyobraźnia i miłość do projektowania statków zaowocowały. Przez trzy ostatnie lata dopracowywał szczegóły, zmieniał je, poprawiał, aż wreszcie uzyskał kompletny projekt. Podobnie jak jego znajomy szkocki budowniczy statków, Tavis przykładął dużą wagę do szczegółów i między innymi dlatego stał się sławny i ceniony.

Rozpoczął pracę nad nowym projektem wkrótce po tym, jak dokończył plan statku, który przewyższał sławną „Britannię” pod każdym względem. Był od niej o wiele bardziej bezpieczny, zdecydowanie szybszy i ładniejszy. Dzięki wrodzonej Szkotom oszczędności, koszty jego budowy były bardzo niskie. Jednak najbardziej interesowały go plany nowego arcydzieła, statku z żelaza. Ten projekt pochłonął go bez reszty.

— Jak postępy w pracy? — zapytał Nicholas, który był przejazdem w Nantucket i postanowił odwiedzić brata.

Tavis oraz jego kreślarz, młody Szkot, Robert McNabb, pochylali się nad planami i rozmawiali o możliwości zwiększenia prędkości statku. Tavis odwrócił się i machnął do brata ręką, żeby do nich podszedł.

— Chodź, coś ci pokażę.

Nicholas miał ochotę usłyszeć coś odkrywczego, dlatego z ochotą przyjrzał się planom. Kiedy wysłuchał Tawisa, który opowiedział mu o zainstalowaniu tłoków oraz ukośnych kazamat wykonanych z gąsienic na cienkich dębowych wspornikach, był pod wrażeniem.

— Chcesz mi powiedzieć, że armaty nie przestrzelą żelaznej osłony?

— Nie, jeśli użyjemy dwucalowej pokrywy. Marynarka używa jedenastocalowych armat, które wystrzelują piętnaście funtów prochu. Żeby przebić dwucalową pokrywę ze stali, potrzebowaliby broni, która wystrzeliłaby

przynajmniej trzydzieści funtów prochu.

— Skąd o tym wiesz?

Tavis uśmiechnął się.

— Ponieważ osobiście wykonałem kilka testów — odparł.

— Mój Boże! Gdzie? — zapytał Nicholas.

— Po drugiej stronie wyspy.

— Wydawało mi się, że chciałeś utrzymać swoje plany w tajemnicy?

— Bo to prawda.

— I chcesz mi powiedzieć, że nikt nie słyszał, jak wystrzeliłeś piętnaście funtów prochu?

— Trzydzieści.

— Wystrzeliłeś z armaty trzydzieści funtów prochu i nikt tego nie słyszał? Nie wierzę.

— Tamtej nocy, kiedy strzelałem z armaty, nikt mnie nie słyszał — odparł Tavis.

— Jak to możliwe?

— Pamiętasz burzę, która przeszła nad wyspą kilka tygodni temu?

— Masz na myśli tę straszną burzę z błyskawicami i...

— Piorunami — dokończył za niego Tavis.

— Niech mnie diabli! — Nicholas wybuchnął śmiechem. Po chwili jednak spoważniał. — Poczekaj chwilę — dodał. — Powiedziałeś mi, że marynarka wykorzystuje jedenastocalowe działa do wystrzelenia piętnastu funtów prochu.

— Zgadza się.

— W takim razie jak udało ci się zdobyć armatę, z której wystrzeliłeś trzydzieści funtów?

— Użyłem zwyczajnego jedenastocalowego działa.

— Dobry Boże! Proch mógł wybuchnąć ci w twarz. Mogłeś zginąć.

— Ale nic mi się nie stało — uspokoił go Tavis. — I dzięki tej próbie już wiem, że dopiero trzydzieści funtów prochu jest w stanie przebić dwucalową powłokę z żelaza.

— Tavis, jesteś nienormalny. Normalni ludzie nie robią takich rzeczy.

— I właśnie dlatego normalni ludzie nigdy nie dokonują wielkich odkryć.

— Do licha z wynalazkami — rzucił Nicholas.

Jego brat roześmiał się i zaczął związać plany.

— Właśnie dlatego ty się tym nie zajmujesz.

— Niby dlaczego? Bo jestem normalny?

Tavis roześmiał się głośno, a Nicholas poklepał go po plecach.

— Chodźmy do domu. Odprowadzę cię.

Kiedy wyszli na ulicę, w oddali rozległ się dźwięk dzwonu przy boi, który ostrzegał o niebezpiecznych płycznach w porcie. Minęli nabrzeże, kierując się w stronę Main Street, potem kościół. Gdy przechodzili obok plotkujących kobiet i wrzeszczących dzieci, Tavis spojrzał w lewo i zobaczył grupę ludzi pracujących na cmentarzu.

— Wiosenne czyszczenie nagrobków — powiedział Nicholas. — Zastanawiam się, co by się stało, gdyby jedna z tych starych plotkarek odgrzebała kość.

— Prawdopodobnie zaczęłaby ją czyścić — stwierdził Tavis.

Nicholas roześmiał się.

— Warto byłoby kogoś tam zakopać, tylko po, żeby zobaczyć, jak szybko potrafią się ruszać — powiedział, po czym obaj wybuchli śmiechem.

Zatrzymali się przed żelaznym płotem, który otaczał cmentarz. Nicholas szturchnął brata w bok i powiedział:

— Chodźmy stąd. To miejsce przyprawia mnie o dreszcze.

Ale Tavis najwyraźniej nie miał ochoty się stamtąd ruszać.

Zauważył coś, co przyciągnęło jego uwagę. Daleko przed nim, za drzewkiem owocowym, dostrzegł blask złotych loków. Po chwili kobieta zniknęła za drzewami, ale ta chwila w zupełności mu wystarczyła. Tylko jedna kobieta na świecie miała ten niesamowity kolor włosów. Rozejrzał się po cmentarzu. Widział tylko wdowy, stare panny albo zamężne kobiety. Co Elizabeth Robinson robiła w takim miejscu?

To pytanie nie dawało mu spokoju. Odwrócił się do brata i powiedział:

— Idź sam, a ja zapoluję na ducha.

Nicholas spojrzał na niego ze zdziwieniem jak ktoś, kto wynurza się z wody i nie potrafi od razu przyzwyczaić się do świata nad powierzchnią. Po chwili wzruszył ramionami.

— W porządku. Do zobaczenia — powiedział w końcu.

— Do zobaczenia.

Nicholas zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się i spojrzał na brata.

— Wybierasz się dziś wieczorem do Colemanów?

Tavis nie patrzył na niego.

— Być może — odparł.

Nicholas podążył wzrokiem za spojrzeniem brata. Nie zobaczył poza gromadą smutnych, ubranych na czarno kobiet. Wzruszył imionami, wsunął ręce do kieszeni i odszedł.

Kiedy tylko Tavis został sam, przeskoczył przez płot i ruszył w kierunku drzewka w rogu cmentarza. Po drodze skinął uprzejmie głową kilku kobietom, które przyglądały mu się z ciekawością.

Nie był pewien, czy dobrze wie, co robi. Zaczął przypominać sobie, jakim utrapieniem była dla niego ta dziewczyna w przeszłości. Dlaczego teraz sam prosił się o kłopoty? Potem przypomniał sobie, jak patrzyła na niego tamtego wieczoru na przyjęciu, i uśmiechnął się do siebie. To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Ale czy cokolwiek na świecie ma sens?

Kiedy ją zobaczył, klęczała na kolanach z dala od innych kobiet przy samotnym nagrobku. Płyta była pokryta mchem, ale nie była tak stara jak inne i bez problemu można było odczytać napis. *Patience Robinson*.

Na płycie nie widniała data ani żadne inne słowa, ale w jakiś sposób Tavis domyślił się, że to grób jej matki. Stał za nią w milczeniu patrzył, jak delikatnymi dłońmi wrywa chwasty. Sprawiała wrażenie osoby bardzo samotnej, której nikt nie rozumie. Kiedy tak na nią patrzył, nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, co on tutaj, do diabła, robi. Miał wrażenie, że traci zmysły, ale przecież nadal potrafił trzeźwo myśleć. W takim razie to nie szaleństwo kazało mu przyjść w to miejsce, ale urok tej kobiety.

Odsunął od siebie podobne myśli. Ponownie spojrzął na jej ręce i zaczął się zastanawiać, dlaczego nie włożyła rękawiczek do pielenia chwastów. Nie miał zbyt wiele czasu, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie, ponieważ Elizabeth najwyraźniej wyczuła jego obecność i odwróciła się w jego stronę. Spojrzała na niego zaskoczona.

Podszedł bliżej i zatrzymał się. Dziewczyna ani drgnęła. Patrzyła na niego z otwartą buzią. W pierwszej chwili chciał chwycić ją w ramiona i pocałować te cudowne usta, zanim zdążyłaby je zamknąć. Gdyby tak zrobił, pozostałe kobiety na cmentarzu z pewnością długo nie mogłyby dojść do siebie. Ta myśl rozbawiła go.

Badał uważnie wzrokiem każdy centymetr jej ciała. Kiedy ponownie spojrzął na twarz, ogarnęło go zdziwienie. Zazwyczaj, gdy zaglądał w jej oczy, dostrzegał jedynie psotne chochliki. Ale tym razem było zupełnie inaczej. Przez chwilę miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć, lecz nie zrobiła tego.

— Potrzebujesz pomocy? — zapytał.

— Nie... Już prawie skończyłam — odparła.

Klęczała. Okalały ją falbany sukni. Jej sylwetka rzucała cień na zieloną trawę. Obok niej stał mały drewniany pojemnik z uchwytem. W środku znajdowała się łopatką kilka roślin oraz rękawiczki. Tavis rozejrzał się i zobaczył kilka bratków zasadzonych niedawno obok marmurowej płyty.

— Bardzo ładny nagrobek. Tutaj spoczywa twoja matka?

Skinęła głową.

— Tak. — Nie powiedziała nic więcej związanego ze śmiercią matki. Nie wspomniała nawet, ile miała lat, kiedy ją straciła. — Ojciec zamówił go w Bostonie.

— Często tu przychodzisz?

— Przeszłam po raz pierwszy od powrotu na Nantucket, na pierwsze wiosenne porządki. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć chociaż jeden wolny dzień miesiącu, by tutaj przyjść... żeby powyrywać chwasty.

Tavis rozejrzał się po cmentarzu i zauważył, że wiele kobiet już dawno wyszło.

— Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego kwakrowie nie pozwalają zaznaczać grobów nagrobkami.

— Wmurowałabym nagrobek na jej grobie, nawet gdybym była kwakrem.

— W takim razie dobrze, że nim nie jesteś. Zostałabyś wykluczona ze wspólnoty.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

— To by nikogo nie zdziwiło. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś uznał ją za osobę nieśmiałą, ale w tej chwili wydawało mu się, że właśnie taka jest. Uśmiechnął się na tę myśl. Podszedł do niej jeszcze bliżej, po czym uklęknął i spojrzał na nią a ona odwzajemniła jego spojrzenie. Nie odezwała się słowem, zaczął się więc zastanawiać, czy się go boi. Odchylił jej kapelusik. Zanim zdążyła zareagować, chwycił rękę dziewczyny. Trzymał ją w obu dłoniach i przez dłuższy czas przyglądał się jej uważnie. Obracał ją na wszystkie strony i badał każdą linię, każde zadrapanie, nawet ziemię, która dostała się za paznokcie. Elizabeth chciała cofnąć rękę, ale jej na to nie pozwolił.

— Powinnaś nosić rękawiczki — powiedział i pocałował delikatnie jej dłoń.

Dziewczyna zadrzała.

— Zimno ci? — zapytał.

— Nie — odparła, cofając dłoń.

— A co z rękawiczkami? — zapytał, spoglądając w stronę pudełka.

— Ja... nie mogę w nich pracować. Muszę czuć pod palcami ziemię, trawę. Noszenie rękawiczek przypomina mi wychodzenie na dwór w kapeluszu, który zasłania ci oczy.

Roześmiał się.

— Dlaczego tutaj przyszedłeś?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — spytał, uśmiechając się.

Skinęła głową po czym odwróciła głowę, a ręce skryła w fałdach spódnicy.

— Jak ci się wydaje? — Dojrzał w jej oczach setki odpowiedzi.

— Nie wiem.

— Chciałem być blisko ciebie.

— Dlaczego?

— A dlaczego by nie?

— Ja... — zamilkła jak gdyby nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

— Nigdy nie myślałem, że jesteś nieśmiała.

— Zazwyczaj nie jestem.

— Kiedy nie ma mnie w pobliżu?

— Na to wygląda.

— Zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje. Roześmiała się. Nie była już taka spięta jak na początku.

— Ponieważ tylko ty znasz wszystkie sekrety mojej skandalicznej przeszłości.

— Wszystkie twoje wyprawy i dziwactwa? To miałaś na myśli?

Skinęła głową.

— Ale głupoty to byłoby lepsze słowo.

Z trudem opanował się, żeby nie przyciągnąć jej do siebie i pocałować. Z każdą chwilą coraz bardziej interesowało go życie tej dziewczyny. Chciał poznać odpowiedzi na wiele pytań. Była takim intrygującym stworzeniem, tak innym niż dziecko, które kiedyś znał. Była po części syreną, po części damą, po części kusicielką. Poczł, jak przyjemne ciepło zalewa jego ciało, i zaczął żałować, że odpychał ją od siebie za każdym razem, kiedy się do niego zbliżała, chociaż przecież wiedział, co do niego czuje. Poza tym zawsze wydawało mu się, że będzie najlepiej, jeżeli ją odrzuci. Ale czy rozsądek był w tym wszystkim najważniejszy?

— Mam wrażenie, że zostawiłaś przeszłość daleko za sobą — odezwał się końcu.

— Czy to znaczy, że zrezygnowałaś już ze wszystkiego?

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego. Za każdym razem, kiedy spoglądała w jego niebieskie oczy, była zaskoczona, że dostrzega w nich tyle ciepła. Kucał obok niej zgarbiony; jego ręce opadały bezwładnie na kolana. Błękitna koszula Tawisa przypominała kawałek nieba, a promienie słońca tańczyły w jego czarnych włosach. Zachowywał się tak naturalnie, był taki rozluźniony, jak gdyby podobne sytuacje trafiały mu się każdego dnia, podczas gdy ona trzęsła się z podenerwowania, a język stawał jej kołkiem.

— Chyba tak — odparła w końcu.

— Dlaczego? — zapytał, przechylając delikatnie głowę w lewą stronę.

— Nie wiem. Być może z tego wyrosłam. — Zamilkła na chwilę, po czym dodała: — Teraz twoja kolej. Dlaczego tutaj przyszedłeś?

Uśmiechnął się.

— Ponieważ jesteś bez wątpienia najpiękniejszą kobietą na całym Nantucket.

Patrzyła na niego przez moment, po czym wyciągnęła rękę przed siebie i popchnęła go na tyle mocno, że stracił równowagę i upadł. Nigdy nie był pewien, czy śmiała się z tego, co mówił, czy z niego, kiedy tak przed nią leżał.

Spojrzał na nią i stwierdził, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Była tak śliczna, ale najwyraźniej wcale nie zdawała sobie z tego sprawy.

Przeturlał się, po czym usiadł na trawie. — Czy już ktoś ci mówił, jaka jesteś piękna?

— Raz czy dwa, ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

To tylko komplement, którego nie możesz zjeść ani zanieść do banku.

Uświadomił sobie, że pochodzą z dwóch zupełnie innych światów.

Ona, podobnie jak większość mieszkańców wyspy, była praktyczna, a on żył w poetyckim, wyimaginowanym świecie.

— Czy ktoś... poza mną kiedykolwiek cię pocałował?

Od razu zauważył, że jego słowa bardzo ją zszokowały. Miał również nadzieję, że dziewczyna pamiętała ten dzień, kiedy ją pocałował.

— To nie twoja sprawa.

— To nie jest odpowiedź.

— Tak, byłam całowana. Więcej niż jeden raz.

— Podobało ci się?

Patrzyła na niego bardzo długo, wreszcie spuściła wzrok i potrząsnęła głową. Zerknęła na swoje ręce, po czym zaczęła pakować drewnianą skrzynkę. Kiedy ponownie na niego spojrzała jej wzrok był twardy i nieprzenikniony.

— Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to tak. — Po tych słowach wstała. — Dla twojej wiadomości: nasze spotkanie dobiegło końca Tavis skoczył na równe nogi, ale jedyne, co od niej usłyszał, to:

— Do widzenia panie Mackinnon.

Obserwował, jak dziewczyna niesie skrzynkę, i miał wrażenie, że nie tylko ręce jej drżą.

— Elizabeth?

Nie zatrzymała się. Musiał przyspieszyć kroku, żeby ją dogonić.

Ignorowała go do momentu, kiedy doszli do bramy. Wtedy odwróciła się i spojrzała na niego.

— Zostawisz mnie w spokoju? — syknęła.

Wyszedł za nią z cmentarza i szedł ulicą. Kiedy skręcili za róg, Elizabeth

zatrzymała się.

— Pozwól mi żyć — powiedziała.

— A jeżeli nie mogę tego zrobić?

— Istnieje słowo, które doskonale określa takich jak ty. Uniósł brwi.

— Naprawdę? Jakie?

— Impertynent — odparła. — Albo lepiej nieznośny typ — dodała i odeszła.

Abraham Lincoln został wybrany na prezydenta 20 grudnia 1860 roku. Po wyborach Karolina Południowa odłączyła się od unii. Missisipi, Floryda, Alabama, Georgia, Luizjana i Teksas poszły w jej ślady. Kraj znalazł się w stanie ciągłej wojny. Tavis znał wartość swoich projektów statku z żelaza, ale starał się utrzymać je w sekrecie. Wkrótce jednak świat i tak dowiedział się o nowym rewolucyjnym wynalazku i niebawem skontaktowali się z nim agenci z Północy oraz z Południa. I w tym tkwił jego problem.

Co prawda zawsze marzył, żeby ujrzeć swój statek na wodzie, ale z drugiej strony targały nim sprzeczne uczucia. Teksas był jego rodzinnym stanem i dlatego czuł się związany z Południem. Jego brat Aleksander nadal mieszkał w Teksasie razem z żoną Katherine oraz dziećmi. Tavis nie miał pojęcia, co brat zrobi, gdy wybuchnie wojna, ale miał przeczucie, że kiedy przyjdzie co do czego, będzie jednym z pierwszych mężczyzn, którzy zgłoszą się na ochotnika.

Z drugiej strony Nicholas i Tavis od piętnastu lat mieszkali na Nantucket i mimo że Nick i jego żona Tibbie, podobnie jak on, byli rdzennymi Teksańczykami, ich domem była teraz Północ. Jego uczucia były rozdarte. Nie mógł zawrzeć układu z jedną stroną tak, żeby nie skrzywdzić drugiej. Chciał, żeby zbudowano jego okręt, ale nie za cenę ludzkiego życia. Modlił się do Boga, żeby nigdy nie musiał wybierać pomiędzy Północą a Południem. To byłaby jego jedyna nadzieja na pozostanie neutralnym.

Ale nadzieja nie wystarczyła. Właśnie miał zamiar wyjechać do Anglii w celu pokazania swoich projektów tamtejszej marynarce, gdy ktoś wykradł jego plany i tym samym wciągnął go w wojnę.

To było niesamowite, jak bardzo pracował przez całą noc tego sądneho dnia. Przerwał, dopiero kiedy pierwsze złote promienie słońca zaczynały tańczyć po wybrzeżu, które widać było z okna biura.

Wykończony, oderwał się od pracy, wyjrzał przez okno i zobaczył pierwsze blad różowe oznaki świtu na horyzoncie. Aż do tego momentu nie zdawał sobie sprawy, że przepracował całą noc. Wyciągnął ręce i przeciągnął się, żeby rozprostować kości. Zwinął plany i umieścił je w torbie, po czym zamknął w sejfie.

Kiedy wszystko było gotowe, pogasił światła i wyszedł z biura. Chciał jak najszybciej udać się do domu, ale w połowie drogi przypomniał sobie, że zostawił klucze w gabinecie na biurku przy kubku z kawą.

Wrócił do biura i otworzył drzwi. Już chciał wejść do środka, ale nagle się

zatrzymał. Coś było nie w porządku. Wiedział o tym w momencie, kiedy usłyszał skrzypienie drzwi. W odległym kącie pokoju stał niski podejrzany typ, podobny do tych, którzy kręcą się w porcie i wzbudzają strach w porządnych obywatelach. Nieznajomy klęczał przy sejfie.

— Co do... — zaczął Tavis. Nie był w stanie dodać ani słowa więcej, ponieważ przeszył go lodowaty dreszcz. Mężczyzna wstał i odwrócił się do niego. Na jego ustach pojawił się hardy, szydery uśmiech. Na twarzy miał wypisane, że jest przestępcą. W czarnych oczach nieznajomego Tavis nie dostrzegł cienia strachu. W pewnej chwili zauważył, że mężczyzna trzyma w ręku torbę z planami, i zrozumiał, o co chodzi. Spojrzał na złodzieja. Ogarnęła go furia. Podbiegł do niego bez chwili namysłu.

Gdy zaatakował, mężczyzna wyjął nóż i rzucił w niego. Tavis uchylił się i tym samym uchronił przed śmiertelnym ciosem w pierś. Nóż wbił się w ścianę tuż za nim. Złodziej, nie czekając ani sekundy dłużej, odwrócił się, wyszedł przez otwarte okno, i wspiął się na dach i zniknął.

Tavis popędził za nim. Wyskoczył przez okno i rzucił się w pogoń. Ani na chwilę nie stracił z oczu ciemnej postaci z torbą w ręku.

Dobiegli do miejsca, w którym urywało się wybrzeże. Tam — przestępca wskoczył do małej łódki. Czekają na niego dwóch mężczyzn, którzy odepchnęli go od brzegu, w stronę, gdzie czekał na niego dwumasztowiec.

Tavis był zrozpaczony. Za wszelką cenę musiał odzyskać plany. W pewnej chwili zauważył niewielką łódź, która idealnie nadawała się, aby wypłynąć nią w morze. Nie tracąc ani chwili, odcumował ją i podniósł kotwicę.

Łódź zakołysała się na wodzie. Nie był wytrawnym żeglarzem ani miłośnikiem morza. Kochał statki, znał się na nich i z teoretycznego punktu widzenia wiedział dosłownie wszystko na temat sterowania, ale z powodu nękającej go choroby morskiej bardzo rzadko wypływał w morze. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, chwycił ster i zaczął nim manewrować. Po kilku sekundach usłyszał łopot żagli, które wypełnił wiatr. Łódź ruszyła za dwumasztowcem.

Tavis zaczął się rozluźniać, kiedy wsłuchiwał się w rytmiczne chlupanie wody, uderzającej o burtę. Kiedy minął wyjście z portu, zrozumiał, jak daleko znajduje się od brzegu. Dopiero na pełnym morzu zdał sobie nagle sprawę, że traci kontrolę nad sytuacją. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że Nantucket przypomina teraz jedynie brązową linię na horyzoncie. Wszędzie dookoła niego była tylko mieniąca się w porannym słońcu woda. Żagle trzepotały na wietrze. Właśnie wtedy jego żołądek zdał sobie sprawę z rozwoju sytuacji. Tavis poczuł, jak robi mu się niedobrze, złapał się za

brzuch i rzucił się w stronę burty.

Odchyłał głowę do tyłu za każdym razem, kiedy powracały mdłości. Zaczęła go boleć głowa. Mimo to ani na chwilę nie spuszczał dwumasztowca z oczu. Zaczął się trząść i jęczeć, kiedy świat zawirował dookoła. Oblał go zimny pot. Przełknął ślinę, ale wiedział, że to nie miało sensu.

Nie był już w stanie walczyć z mdłościami. Odwrócił się i upadł na kolana tuż przy burcie. Wsparł się na rękach, oparł głowę i zwymiotował. Przez cały czas jęczał i stękał. Schował głowę między nogi, lecz to mu także nie pomogło. Pozbawione kontroli żagle zaczęły łopotać na silnym wietrze. Nigdy w życiu nie znalazł się w tak beznadziejnej sytuacji. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to trzymać ster. Ponownie jęknął i rzucił się w kierunku burty. Niespodziewanie otworzyły się drzwi prowadzące do kabiny pod pokładem i jego oczom ukazała się jasna twarz okolona złotymi lokami.

Tavis jęknął. Co mogło być bardziej okropnego od znalezienia się z chorobą morską na pełnym morzu? Obecność na pokładzie Lizzie Robinson? Miał ochotę zakląć na ten koszmarny widok, który tak nagle wtargnął do jego rzeczywistości, ale czuł się zbyt podle. Jedyne, co mógł zrobić, to wychylić się za burtę i zwymiotować. Pragnął być teraz całkiem sam. Chciał zmagać się z torsjami w samotności, skryć się przed wzrokiem tej kobiety, a tymczasem znów zwymiotował, po czym jęcząc, osunął się na pokład. Z doświadczenia wiedział, że przez najbliższe dwa dni nie będzie z nim najlepiej i nawet kiedy choroba minie, nadal pozostanie mu przygnębiające wspomnienie Lizzie Robinson.

Nad jego głową wyl wiatr, łopotały żagle, a fale uderzały wściekle o burtę. Wszystko dookoła przypominało senny koszmar. — Dobry Boże! Co ty robisz? Chcesz nas zabić? — Usłyszał nagle tak dobrze znany mu głos.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Złapał się burty, z trudem podniósł na nogi i ponownie zwymiotował w bezkresną otchłań morza.

Gdyby zimna bryza morska, która owiała jej twarz, nie orzeźwiła Elizabeth, widok wymiotującego Tavis Mackinnona z pewnością natychmiast wyrwałby ją z senności.

Nie miała zbyt wiele czasu, żeby zastanawiać się, w jak sposób znalazł się na jej łodzi.

Rozejrzała się i zdała sobie sprawę ze strat, które poczynił. Natychmiast podbiegła do koła sterowego i zabezpieczyła je, a następnie ściągnęła żagle i przywiązała liny. Właśnie chciała zawrócić łódź do brzegu, kiedy zielony na twarzy Tavis spojrzał na nią i odezwał się słabym głosem:

— Płyn za tamtym dwumasztowcem Krew zawrzała jej w żyłach. Jak ten niegodziwiec śmiał wydawać jej polecenia, zwłaszcza po tym wszystkim, co przez niego wycierpiała. Co on sobie wyobrażał? Że jest kolejnym Napoleonem?

Posłała mu spojrzenie, które w pełni oddawało to, co myślała na temat jego zachowania.

— Posłuchaj mnie, do cholery! To bardzo ważne. Cokolwiek będziesz robić, nie spuszcza go z oczu.

Jego słowa wywarły na niej piorunujące wrażenie, mimo to nie miała ochoty mu ulec. Musiała go w końcu nauczyć, że nie wolno zadzierać z Robinsonami.

— A teraz ty mnie posłuchaj, Tavisie Mackinnonie. Jeżeli wydaje ci się...

— Jestem strasznie chory i gdyby nie to, o nic bym cię nie prosił. Teraz jednak zrób, o co cię proszę. — Zamknął oczy, zwiesił głowę przez burtę i zwymiotował.

Płyn za tamtym dwumasztowcem. Nagle coraz wyraźniej zaczęła jawić jej się w wyobraźni wizja podróży po Atlantyku z umierającym mężczyzną na pokładzie. Zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby nie zastosowała się do jego poleceń, jak bardzo byłby na nią wściekły.

Płyn za tamtym dwumasztowcem? To nie było zwyczajne polecenie, ale człowiek, który je wydał, także nie był zwyczajny. To był Tavis. Leżał naprzeciwko niej i chciał, żeby płynęła dalej w jego towarzystwie, a to oznaczało, że oprócz nich na pokładzie przez kilka dni nie będzie żywego ducha. Niewątpliwie była to okazja, na którą czekała całe życie.

Miała wrażenie, że w uszach dzwoni jej znajomy głos ciotki Phoebe, która upominają, żeby nie zapominała o zdrowym rozsądku. Elizabeth, nie bądź głupia. Jeżeli z nieba spada złoty deszcz, wyciągnij ręce, żeby napęłnić nim dłonie.

Okazja była bardzo kusząca.

Ale Robinsonowie zawsze byli ze sobą szczerzy. Tavis bawił się w pirata, korzystając z jej łodzi, i z pewnością nie miało to nic wspólnego z jego zainteresowaniem jej osobą. Mimo to wydawało jej się, że być może powinna postąpić wbrew własnej woli i przystać na jego propozycję. Im więcej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że w życiu trzeba wiedzieć, czego się chce, i nie pozwolić nikomu ani niczemu, aby zepchnęło cię z raz obranego kursu. Poza tym w miłości i na wojnie fortele są dozwolone.

Elizabeth spojrzała na Tawisa. Nadal miał zamknięte oczy. Zastanawiała się, co robi na jej łodzi. Postanowiła nie zadawać w tej chwili pytań, ponieważ i tak nie doczekałaby się odpowiedzi.

Był ubrany w brązowe spodnie i granatowy płaszcz. Miał zwichrzone włosy i bladą zaniepokojoną twarz. Poruszyła się niespokojnie, lecz on nie spuszczał z niej wzroku. Patrzył na nią w ten podejrzliwy sposób, który zawsze tak bardzo ją irytował.

— Pomożesz mi czy nie? — zapytał w końcu.

— Mogłabym to zrobić, gdybyś powiedział mi, dlaczego to dla ciebie takie ważne.

Jęknął i przez moment Elizabeth miała wrażenie, że znów będzie wymiotował.

— W tej chwili jestem zbyt chory. Ale później wszystko ci wytłumaczę. Czy chociaż raz nie możesz mi zaufać?

Właśnie miała ochotę zawrócić łódź w stronę Nantucket, kiedy zaczęło narastać w niej uczucie niespełnienia. Poczula się jak kobieta, która co prawda wyszła za męża, ale nie może mieć dzieci.

Mogła wrócić na Nantucket do swojego nudnego życia albo zastosować się do jego prośby i wyruszyć w nieznane. Nadarzyła się okazja, której nie wolno jej było zmarnować. Tak bardzo bała się pustego życia, które ciągnęłoby się w nieskończoność, podobnie jak życie ciotki Phoebe. Wzruszyła ramionami, potrząsnęła głową, po czym spojrzała w niebo.

— Czy ja kiedykolwiek podjęłam słuszną decyzję? — powiedziała, po czym odwróciła się do Tawisa i dodała: — Skoro jesteś tak bardzo chory i jednocześnie nie chcesz zawracać, to oznacza, że śledzenie tego statku musi być naprawdę bardzo ważne.

— Bo jest ważne — zapewnił ją, jęcząc. — Inaczej nie prosiłbym cię o pomoc. Czy teraz popłyniesz za tym dwumasztowcem?

— Jeżeli obiecasz mi, że wszystko mi później wytłumaczysz.

Skinął głową, po czym odwrócił ją na bok.

Nadal wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, wiele zagadek wciąż nie miało rozwiązania, mimo to była całkiem zadowolona, że właśnie w ten sposób rozstrzygnęła tę sytuację. Gdyby w przeszłości Tavis Mackinnon przyszedł do niej z prośbą, jej serce szamotałoby się w piersi jak szalone, ale tym razem zachowała spokój. Jego widok nie popychał jej już do robienia głupich rzeczy. Zdażyła się nauczyć tego, że kobieta, która spogląda wysoko w gwiazdy, może wdepnąć w... kałużę na drodze.

Być może nigdy nie dowie się, dlaczego zawróciła łódź. Być może był to widok chorego Tawisa, desperacja, którą usłyszała w jego głosie, a może pustka, jaką wypełniała.

Po południu, kiedy wiatr ucichł, Elizabeth zeszła pod pokład i znalazła kawałek materiału. Zmoczyła go, po czym położyła na karku leżącego na koi Tawisa, którego przed kilkoma godzinami z trudem wciągnęła pod podkład. Spojrzała na niego i doszła do wniosku, że teraz nie wygląda ani trochę lepiej. Ponownie położyła mu na karku zmoczoną szmatkę, ignorując jego przekleństwa i skargi, że próbuje zamrozić go na śmierć.

— Jesteś bardzo złośliwy, jak na kogoś, kto jest tak zielony jak nieświeża ryba.

Jęknął na myśl o tym, co powiedziała.

— Dziękuję za obrazowe porównanie. Gdybym wcześniej nie zwymiotował wszystkich wnętrzności, z pewnością zrobiłbym to w tej chwili. — Nie powiedział nic więcej. Przewrócił się na bok i zaczął się trząść.

Kiedy dreszcze ustąpiły, odwrócił się na plecy.

— Nigdy w życiu nie byłem taki chory. Czy ktoś kiedykolwiek od tego umarł?

— Nie wydaje mi się, ale ty możesz być pierwszy.

— Nie będę miał tyle szczęścia. Ale gdyby to ode mnie zależało, wolałbym zejść od razu. To by mi ulżyło.

— W takim razie przysłużyłabym ci się najbardziej, gdybym wyrzuciła cię za burtę. Ze wszystkich drani... Nigdy bym ciebie o to nie podejrzewała — stwierdziła z zapalem, po czym potrząsnęła głową. — Kto mógłby pomyśleć, że Tavis Mackinnon cierpi na chorobę morską? Muszę przyznać, że jestem zaskoczona.

Wzruszył ramionami.

— Wyszło mi w ustach Mam wrażenie, jakbym zjadł beczkę soli.

Mógłbym dostać trochę wody?

— Nie. Jeżeli się napijesz, znów zaczniesz wymiotować. Najlepiej zaczekać, aż miną torsje.

— Wcale mnie nie pocieszasz — rzekł i zamknął oczy.

Elizabeth patrzyła na niego przez chwilę, po czym odwróciła się i wyszła na pokład.

Godzinę później Tavis także wynurzył się spod pokładu, najwyraźniej zastanawiał się nad tym, co mu wcześniej powiedziała.

— Nie chciałem niczego ukraść — powiedział, podchodząc do Elizabeth. — A nawet gdybym chciał ukraść łódź, to na pewno nie wybrałbym twojej.

Milczała, przyglądając się uważnie, jak krew odpływa mu z twarzy, a jego cera nabiera koloru kredy. Tavis zakrył dłonią usta, po czym wystawił głowę za burtę.

— Może powinieneś zostać na dole.

— Tam czuję się jeszcze gorzej — wyjaśnił.

— Czujesz się lepiej? — zapytała po kilku minutach.

— Za każdym razem, kiedy omijamy fale, czuję się lepiej. Za każdym razem, kiedy zaczynamy się kołysać, czuję się podle. Gdzie jesteśmy? Zgubiłaś dwumasztowiec?

Elizabeth uśmiechnęła się pobłażliwie. Gdyby nie miała tyłu braci, mogłaby się poczuć urażona.

Spojrzała przed siebie w stronę szarego cienia dwumasztowca którego żagle łopotały na wietrze.

— Nie, nie zgubiłam go, ale do końca życia będę żałować, że dałam się wplątać w tę idiotyczną przygodę.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Zawsze byłam impulsywna i w gorącej wodzie kąpana. Powinieneś o tym wiedzieć.

— Masz rację.

Aż do tego momentu nigdy tak naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak są sobie dalecy. Tylko Bóg wiedział, jak bardzo go nadal kochała ale oczy Tavis Mackinnona kiedy na nią patrzył, przywodziły jej na myśl złowrogie świdrujące spojrzenie pirata. Na jego widok zawsze zaczynała zachowywać się w sposób skandaliczny.

Westchnęła, po czym spojrzała na dwumasztowiec.

— Jest bardzo szybki i z pewnością ma dobrą załogę — wyjaśniła. — I ma mnóstwo żagli — dodała, spoglądając na niego przelotnie. — Być może uda nam się do niego zbliżyć, ale na pewno nie damy rady go prześcignąć.

— To nie ma dla mnie znaczenia — odparł. Jego twarz nadal miała kolor popiołu. — Po prostu nie chcę stracić go z zasięgu wzroku. Cokolwiek będziesz robić, nie spuszczaaj go z oczu. — Tavis odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i delikatnie oparł

głowę o burzę. — Nigdy w życiu nie byłem taki chory.

— Na tyle chory, żeby zawrócić, czy nadal chcesz za nimi płynąć?

— Jeżeli masz odpowiednie umiejętności i zacięcie, płyn za nim, na litość boską. Cała moja przyszłość jest na tym dwumasztowcu.

Spojrzała na niego zaskoczona a on westchnął ciężko, jakby przygotowywał się do serii pytań, którymi miała go wkrótce zasypać, ale o nic nie pytała. Przez chwilę miała wrażenie, że Tavis znów zamknie oczy, on tymczasem patrzył na nią tak przenikliwie, że nagle zdała sobie sprawę ze swojego wyglądu.

Była ubrana w rzeczy brata, starą parę spodni i sweter. Wrzuciła je na siebie w pośpiechu, kiedy zdała sobie sprawę, że łódka niebezpiecznie się kołysze. Wybiegła na pokład i nawet nie zdążyła przeczesać włosów.

Odgarnęła kilka niesfornych kosmyków z twarzy, złapała za koło sterowe i zmieniła kurs łódki.

Nie spuszczała oczu z dwumasztowca. Bała się, żeby nie zawieść Tawisa. Od czasu do czasu spoglądała w jego stronę, upewniając się, że nadal śpi w niezmienionej pozycji. Jedno pytanie nie dawało jej spokoju. Dlaczego śledzenie tego statku było dla niego takie ważne? Kilka razy podchodziła do Tawisa i starała się go obudzić, żeby zszedł na dół, ale bez skutku.

Jego skóra była tylko trochę ogorzała przez słońce. Dla każdego mieszkańca Nantucket był to znak, że nie jest żeglarzem i Spojrzała na jego ręce. Jedna spoczywała na boku, a drugą trzymał na brzuchu.

Obie były smukłe i nieprzepracowane — kolejny znak na to, że nie był żeglarzem. Miał naprawdę piękne ręce o długich palcach, które sprawiały wrażenie silnych i czułych zarazem. Kiedy tak na niego patrzyła, poruszył się niespokojnie i zacisnął pięść. Zaczęła wyobrażać sobie, co czułaby, gdyby te ręce dotknęły jej ciała.

Ostatniej nocy znów o nim śniła. Całkiem niedawno wmawiała sobie, że nigdy więcej nie straci dla niego głowy, ale czy głupcy tacy jak ona kiedykolwiek wygrywają? Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jedno jego spojrzenie może powalić ją na kolana. Stała przed nim, kochając go tak mocno, jak to tylko możliwe, z przeświadczeniem, że dawno temu obrała kurs, z którego nie mogła zawrócić. Czy już zawsze będzie na niego czekać i modlić się, by dał jej jakiś znak?

— Czy wiesz, jak bardzo cię kocham? — wyszeptała, spoglądając na niego. Zamknęła oczy. Wszystko ucichło z wyjątkiem wiatru, który łopotał w żaglach. — Nie — wyszeptała. — Nie wiesz.

Chmury rozwiął wiatr i na niebie pojawiło się słońce. Przy takiej pogodzie z

łatwością można było dojrzeć dwumasztowiec. Elizabeth oparła głowę o burłę, rozkoszując się ciepłem promieni. Na łodzi zawsze odnajdywała spokój. Miała wrażenie, że jest nierozłączną częścią morza, a dzisiaj to uczucie jeszcze się nasiliło. Czuła w duszy dziwny spokój, tak jakby w całym wszechświecie zapanował pokój, jakby Bóg czuwał nad nią w niebie i wszystko na świecie znajdowało się na swoim miejscu.

Mimo że od dłuższego czasu wpatrywała się w dwumasztowiec, zdawała sobie sprawę, że Tavis na nią patrzy. Nie mogąc oprzeć się pokusie, spojrzała w jego stronę.

Przyglądał się jej uważnie. Jego oczy przesuwają się wolno po jej ciele. Poczowała się niepewnie. Znał ją od lat i nigdy nie patrzył na nią inaczej niż z irytacją w oczach, poza tamtym spotkaniem, gdy była na pikniku. Skąd ta nagła zmiana? Być może tak działał na niego widok kobiety w męskim ubraniu.

Kiedy słońce zaczęło grzać mocniej, zdjęła kurtkę i spojrzała ponownie na Tawisa. Natychmiast uchwycił spojrzenie dziewczyny i patrzył wnikliwie w jej oczy, jak gdyby starał się odczytać jej myśli. Odwróciła głowę w obawie, że naprawdę mogłby to zrobić.

Po jakimś czasie usłyszała że Tavis się porusza. Podniósł się do pozycji siedzącej.

— Może powinieneś dalej leżeć.

Wzruszył ramionami.

— Czuję się trochę lepiej — odparł. Rozejrzał się po pokładzie, jak gdyby widział go po raz pierwszy. — Powiedziałaś, że to twoja łódź...

— Tak. Dostałam ją na urodziny od braci, zaraz po moim przyjeździe z Bostonu.

— Co robiłaś na pokładzie o tak wczesnej godzinie?

— Spędzałam tu noc.

Wyglądał na zaskoczony, ale po chwili uśmiechnął się.

— Całkiem sama? — zapytał.

Wiedziała co miał na myśli, i bardzo ją to rozdrażniło, nie chciała jednak, żeby to spostrzegł.

— Byłam z Mattem — odparła. — Na wypadek gdybyś zapomniał, przypominam ci, że to mój brat.

— Wiem, kim jest Matt. Na wypadek gdybyś zapomniała przypominam ci, że znam wszystkich twoich braci.

~ Kiedy kupili tę łódź, nie była nowa. Obiecali, że pomogą ją naprawić i skończyli nad nią pracować w zeszłym tygodniu. Przez ostatnie dwa dni mieszkałam na pokładzie. Wyrzucałam niepotrzebne rzeczy i pakowałam wszystko co niezbędne do

podróży.

— A gdzie się podział Matt?

— Wyszedł wcześniej rano, żeby przynieść kilka rzeczy. Powiedział, że wróci po obiedzie.

— W takim razie czeka go niespodzianka.

— Będzie się o mnie martwił. Cała rodzina będzie się martwić.

— Wiem o tym i jest mi przykro.

Elizabeth milczała.

— Dlaczego zgromadziłaś tutaj tyle zapasów? — zapytał nagle Tavis. — Planowałaś jakąś wycieczkę?

— Nie, ale zawsze trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność. Weźmy chociażby nasz przykład. Nigdy nie przypuszczałabym, że będziesz dowodził moją łodzią, a ja... będę twoją załogą — dodała z wahaniem, obawiając się, że mógłby dwuznacznie odebrać jej słowa. Tavis skrzywił się; najwyraźniej żołądek znów dał o sobie znać.

— Konieczność czasami popycha nas do ostateczności. To, co się stało, jest tak samo dziwne dla mnie, jak i dla ciebie. W przeciwieństwie do... — Nie dokończył zdania ponieważ znów zrobiło mu się niedobrze. Z trudem podniósł się na nogi i chwiejnym krokiem podszedł do burty. Wychylił się na zewnątrz i chciał zwymiotować, ale nie miał już czym.

— Dlaczego nie wrócisz pod pokład? — spytała Elizabeth. — Może tym razem poczujesz się lepiej, kiedy położysz się na koi, zamiast sterczeć tutaj ze mną.

Kiedy schodził na dół, zgiął się wpół i upadł. Z trudem doczołgał się do koi.

Leżał bez ruchu przez pewien czas, zanim udało mu się wyprostować nogi. Czuł się bardzo słaby i wykończony. Sięgnął po koc, okrył się nim i zamknął oczy. Jęczał cicho, czując każdy ruch łódki.

Zacisnął zęby i patrzył tępo na wiszącą nad nim lampę naftową. Po chwili naciągnął koc na głowę. Poślanie było bardzo ciepłe. Miękkie. Pachniało kobietą.

Zamknął oczy. Leżał w jej łóżku. W łóżku kobiety. Wyobraził ją sobie nagą, leżącą obok niego, i... poczuł, że ma erekcję.

Być może Bóg miał poczucie humoru, ale Tawisa ani trochę nie śmieszyła obecna sytuacja. Gdyby nie czuł się tak fatalnie, pewnie roześmiałby się z ironią na myśl o tym niedorzecznym absurdzie.

Do wieczora Elizabeth udało się zmniejszyć odległość dzielącą ich od dwumasztowca. Modliła się, żeby światła, które widziała w oddali, należały do statku,

który Tavis tak rozpaczliwie chciał śledzić.

Próbowała wyobrazić sobie, co takiego ważnego może znajdować się na jego pokładzie. Zdawała sobie jednak sprawę, że może jeszcze minąć wiele czasu, zanim pozna odpowiedzi na dręczące ją pytania. Wyznaczając kurs na podstawie gwiazd, doszła do wniosku, że celem ściganego statku mogą okazać się Bermudy.

Następnego dnia rano przyglądała się, jak słońce unosi się nad wodą. Żałowała, że nie ma przy niej dziadka i że nie może jej teraz widzieć. Na pewno wyrecytowałyby kilka wierszy odpowiednich na tę okazję, a potem zaczęłyby opowiadać historie o wschodzie słońca albo o latach spędzonych na morzu.

Zamknęła oczy i oczyma wyobraźni zobaczyła twarz Asy.

— Dziękuję — wyszeptwała. W ten sposób chciała dać mu znać, że zrozumiała i nauczyła się kochać morze. Przez chwilę miała wrażenie, że ciepłe ręce dziadka wskazują jej drogę. Był nie tylko ojcem jej matki, ale kimś więcej. Moja bratnia dusza, pomyślała.

Zdjęła kurtkę, odwróciła się, żeby ją odłożyć, i właśnie wtedy zobaczyła Tawisa, który stał tuż przed nią.

— Dzień dobry — powiedziała. — Jak się dzisiaj czujesz? — Przyjrzała mu się uważnie. — Wyglądasz o wiele lepiej. — Uśmiechnęła się do niego, po czym dodała: — Nie jesteś już taki zielony.

— Zielony? Nie wymawiaj nawet tego słowa — odparł, spoglądając na tafłę wody. — A skoro pytasz, to mam wrażenie, jak gdyby ktoś wypchał mi usta wełną. Głowa mi pęka, zebra chyba mi się zrosły, a nogi są cięższe niż drewniane bale. Poza tym czuję się świetnie. Boże, jak się pozbyć tego obrzydliwego smaku?

— Pod pokładem znajdziesz proszek do zębów. Możesz z niego skorzystać.

Tavis skinął głową.

— Spróbuję — powiedział, ale nie ruszył się z miejsca.

— Często cierpisz na chorobę morską? — zapytała.

— Nie, ponieważ rzadko wypływam w morze. Ale kiedy już mam ku temu sposobność, choruję... za każdym cholernym razem Chwilami wydawało mi się, że jesteś o krok od śmierci.

— Ja też tak myślałem. Kiedy tak na nią patrzył, nie wiedziała, co powiedzieć. Nic mądrego nie przychodziło jej na myśl. Mogła zapytać go, dlaczego śledzą ten tajemniczy statek, ale nie zrobiła tego. Miała pustkę w głowie. Wszystkie myśli wyparowały niczym poranna mgła po wschodzie słońca. Nigdy w życiu nie wyobrażała i sobie, że obiekt jej pożądania mógłby patrzeć na nią w ten sposób. Jego łagodne

spojrzenie podziało na nią jak delikatny dotyk ciepłych dłoni. Zaczęła szybciej oddychać, serce biło jej niczym młot. A on nadal na nią patrzył i sprawiał, że reszta świata przestała się dla niej liczyć. Zamknęła oczy i otworzyła je dopiero po kilku minutach. Spojrzała na ster, po czym odszukała wzrokiem białe żagle statku, za którym podążali.

— Trzymasz ster, jak gdyby był częścią ciebie — zauważył Tavis i Elizabeth roześmiała się.

— W nocy miałam wrażenie, że jest częścią mnie — odparła rozprostowując obolałe plecy. — Od czasu do czasu udaje mi się oderwać ręce.

— Musisz być wykończona — rzekł, podchodząc do niej. — Może zejdziesz pod pokład? Ja przejmę stery.

Poczuła się zakłopotana.

— Nie chodziło mi o to...

— Wiem, ale czuję się na tyle dobrze, że mogę cię zastąpić.

— Musisz być nadal bardzo słaby. Może chciałbyś coś zjeść?

Tavis skrzywił się.

— Przez jakiś czas nie powinienem chyba nic jeść. Kiedy będę pewien, że wszystko jest w porządku, dam ci znać.

Oboje nie wiedzieli, co przyniesie im przyszłość i jak zakończy się ta podróż.

Byli jak dwoje nieznajomych, których los rzucił na te same wody.

— Lizzie Robinson — powiedział łagodnie Tavis. Wymówił jej imię tak, jakby robił to po raz pierwszy. — Jesteś zaskakującą kobietą.

Nikły promień zamigotał na twarzy Elizabeth. Minęło kilka sekund, zanim otworzyła oczy. Na początku nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest i co się wydarzyło. Kiedy rozejrzała się po kabinie, wróciły wspomnienia. Usłyszała trzeszczenie łodzi.

Zerwała się natychmiast na równe nogi, po czym włożyła kurtkę. Nadal nie miała rzeźkiego umysłu, a na jej policzku widniały czerwone kreski, które odcisnęła sobie od poduszki. Tavis stał przy sterze. Morska bryza rozwiewała jego ciemne, opadające na ramiona włosy. Najwyraźniej usłyszał, kiedy weszła na pokład, bo odwrócił się i skinął jej głową.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry — odparł.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała.

— Bóg jeden wie.

Jego odpowiedź bardzo ją zaniepokoiła. Na pewno zgubili statek, za którym podążali. Serce zabiło jej mocniej. — Dwumasztowiec? Zgubiłeś go?

— Nie, ale zauważyłem coś, co zaciekało mnie o wiele bardziej.

Podeszła do niego i stanęła na palcach, żeby mieć lepszą widoczność. Woda odbijała promienie słoneczne tak bardzo, że dziewczyna musiała przysłonić oczy dłonią. Dopiero wówczas dojrzała majaczący przed nimi ciemny cień.

— Fregata? — zapytała. Zrozumiała, dlaczego dostrzegła niepokój w oczach Tawisa.

— Tak mi się właśnie wydawało.

— Czyja?

Spojrzał w niebo.

— Biorąc pod uwagę kierunek, z którego przyłynęli, wydaje mi się, że należy do sympatyków Południa.

— Myślisz, że to jakieś spotkanie?

— Jestem tego bardziej niż pewien. Wątpię, żeby ci dranie pozwolili, żeby coś tak ważnego jak moje plany przewoził zwykły dwumasztowiec.

— Twoje plany? Masz na myśli projekty jednego z twoich statków?

Tavis skinął głową.

— To bardzo specjalny okręt... z żelaznym kadłubem.

— Z żelaznym kadłubem? Nigdy o czymś takim nie słyszałam — To wyjątkowy

projekt i dlatego te dranie tak bardzo chcą go mieć. Wiedzą, jakie korzyści może im przynieść, kiedy wybuchnie wojna.

— Ale dlaczego nie złożyli ci propozycji, zamiast wykradać twoje plany?

— Złożyli. Niejeden raz próbowali mnie przekonać. Podobnie jak marynarka Stanów Zjednoczonych. Odmówiłem wszystkim.

— Rozumiem — odparła. Nareszcie stało się dla niej jasne, dlaczego tak bardzo zależało mu na śledzeniu dwumasztowca. Cieszyła się, że nie odmówiła mu, kiedy miała na to ochotę, i nie wróciła do Nantucket. Kochała go i wszystko, co było ważnego dla niego, było ważne także dla niej.

Spojrzała na oba statki.

— Myślisz, że nas widzą?

— Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że jeszcze nie zaczęli do nas strzelać. Muszą wiedzieć, dlaczego ich śledzimy. — Spojrzał na Elizabeth, po czym zapytał: — Dlaczego nie próbowali sprzątnąć nas z powierzchni wody?

— Nie kracz — poradziła mu. — Nadal mają mnóstwo czasu, żeby podjąć taką decyzję. Być może czekali na fregatę. Tavis zmarszczył czoło.

— Boisz się? Chcesz zawrócić? — zapytał. Jego wzrok złagodniał, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że płynie z kobietą, która może się bać.

Elizabeth tymczasem nie odrywała wzroku od fregaty.

— Nie sądzisz, że jest trochę za późno na zadawanie pytań?

— To twoja łódź. Bądź ze mną szczerą. Chcesz wracać?

— A ty chcesz? Chcesz wracać? Zawróciłbyś, gdybyś mógł?

— Tak. Więc jaka jest twoja odpowiedź? Zawracamy? :

— Nie.

— Jesteś pewna?

— Tak Każda prawdziwa dama stanowczo by zaprotestowała. Prawdziwa dama byłaby przerażona. Prawdziwa dama nie spędziłaby samotnej nocy na łodzi.

Ale czy kobiety z Nantucket są prawdziwymi damami? Kobiety z Nantucket są niezależne, zdolne i dzielne. To prawda, że urodziło się tam kilku wyjątkowych mężczyzn, ale przede wszystkim wyspa wydała na świat mnóstwo wspaniałych kobiet. Takich jak Keziah Coffin, Deborah Chase, która każdego mężczyznę potrafiła rozłożyć na łopatki, Maria Mitchell, astronom, Lucretia Mott, rzeczniczka praw Murzynów, no i oczywiście Lizzie Robinson we własnej osobie.

Nantucket było miejscem, gdzie liczba kobiet przewyższała liczbę mężczyzn. Według statystyk, na cztery kobiety przypadał jeden mężczyzna. Na tej wyspie mieszkało mnóstwo starych panien, wdów i mężatek, oddzielonych od swoich mężów

na długie lata. Na tej wyspie ludzie nie znali normalnego życia rodzinnego. W okolicy nigdy nie było zbyt wielu mężczyzn, a większość obowiązków, takich jak utrzymywanie rodziny, edukacja dzieci, płacenie rachunków, spadało na kobiety.

Na Nantucket dorastające dziewczęta uczyły się prowadzić księgi rachunkowe i rodzinne interesy.

Czy chcesz zawrócić? Elizabeth pomyślała że w jej żyłach jest za dużo słonej morskiej wody, która zmieszała się z gorącą krwią Pokusa, żeby przeżyć przygodę, była zbyt duża. Spojrzała na Tawisa i zdała sobie sprawę, jak ważne było jego pytanie. Właśnie dlatego go kocham, pomyślała, bo ma w sobie coś, co budzi we mnie dzikość. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Nie przegapiłabym takiej przygody. Mam przecucie, że będę miała o czym opowiadać wnukom.

Przez chwilę wyglądał tak, jak gdyby miał się uśmiechnąć.

— Lizzie — odezwał się w końcu — jeżeli nie zawrócimy, możesz nie dożyć chwili, kiedy poznasz swoje wnuki. Oni mają prawdziwą broń.

Chciała mu wyjaśnić, że bez niego jej życie i tak nie ma sensu, że bez niego już nic nigdy nie będzie dla niej ważne, a jej życie stanie się puste. Chciała opowiedzieć mu o swoich snach i fantazjach, które zainspirowały ją żeby nazwać swoją łódź „Najdziksze Marzenia”, ale spojrzała na niego i roześmiała się.

— Gdybym miała zamiar wracać, to tylko dlatego, że przez cały czas nazywasz mnie Lizzie.

Wyglądał na zaskoczonego.

— Elizabeth — powiedział. — Będę o tym pamiętał. Już raz prosiłaś mnie, żeby cię tak nazywał.

— To prawda. Najwyraźniej o tym zapomniałeś.

— To się więcej nie powtórzy.

Skinęła głową.

— W takim razie złapmy wiatr w żagle i zobaczymy, co to za historia z tą fregatą.

Znajdowała się cały czas w zasięgu ich wzroku. Dwumasztowiec, który śledzili, schował się za nią. Po chwili fregata zawróciła i zaczęła płynąć za nim niczym kaczątko za swoją matką. Najwyraźniej oba statki kierowały się w stronę portu.

Elizabeth chciała zapytać Tawisa, co to, jego zdaniem, ma oznaczać, ale on odezwał się, zanim zdążyła otworzyć usta.

— To nie jest zwykła fregata. To okręt wojenny. Nawet z tej odległości widzę otwory na armaty.

— Co teraz zrobimy?

— Będziemy płynąć za nimi.

— A co potem? Co zrobimy, jeżeli zawiną do portu.

— Zejdziemy na ląd i zawiadomimy odpowiednie władze, że na pokładzie znajduje się złodziej.

Tavis zszedł pod pokład, żeby trochę odpocząć, podczas gdy Elizabeth przejęła ster. Do końca dnia płynęła za fregatą. Już prawie zmierzchało, kiedy zauważyła coś bardzo dziwnego. Okręt wojenny zaczął się do nich zbliżać.

— Tavis! — krzyknęła. — Tavis, chodź tutaj szybko!

Prawie natychmiast wybiegł na pokład, wsuwając w pośpiechu koszulę w spodnie.

— Spójrz — powiedziała, wskazując w stronę okrętu. — Mam wrażenie, że się do nas zbliża.

Zaklął, po czym odparł:

— Masz rację. Płyną po nas.

— Płyną po nas? — powtórzyła powoli. Nagle dotarło do niej znaczenie tych słów. — Czy to oznacza, że zaczną do nas strzelać?

— Mniej więcej — odparł, po czym odebrał jej ster.

Elizabeth złapała go za rękaw.

— Zaczekaj chwilę. Nie mam zamiaru znaleźć się w samym środku wojny.

— Nie jesteśmy na wojnie. Jeszcze nie.

— Ale możemy być, jeżeli ludzie na tym statku zaczną do nas strzelać.

— Jeżeli tak zrobią nie będziemy mieli okazji nikomu o tym opowiedzieć. Ale nie wydaje mi się, żeby chcieli strzelać. Starają się nas nastraszyć.

— Wiedzą, jak zabrać się do rzeczy. Płyną z wycelowanymi w naszą stronę działami. To robi wrażenie. Śledzenie dwumasztowca to jedno, ale atak okrętu wojennego to zupełnie co innego.

Mają nas jak na dłoni. Jesteśmy bezbronni niczym niemowlęta. — Potworne rzeczy zaczęły przychodzić jej na myśl. — Chyba nie chcesz ich wyprzedzić?

— Być może właśnie tak zrobię. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia ponieważ nie wierzę, żeby chcieli zrobić nam krzywdę. Wystrzelą raz czy dwa w naszą stronę, ale tylko po to, żeby nas nastraszyć. To nie będą celne strzały.

— W takim razie marnują swój czas. Ja już jestem przerażona.

— To zejść pod pokład.

— Mam zejść pod pokład? — Rozłożyła ręce. — Wspaniale. Czy w ten sposób śmierć stanie się bardziej znośna? Kiedy nie będę jej widziała?

— Już ci powiedziałem, że nie posuną się tak daleko.

— A jeśli się mylisz? Posłuchaj mnie, Tavisie. — Stuknęła go palcem w pierś. — Jestem gotowa ci pomóc, ale nie mam ochoty stawiać czoła całej południowej flocie.

Roześmiał się.

— Tutaj nie ma całej południowej floty — sprostował. — Skąd ci przyszedł do głowy ten absurd?

— To nie jest absurd. Płynie na nas okręt wojenny. Mam rację? Skinął głową.

— Kłopoty zawsze chodzą parami.

— Sam nie wiem Ale pamiętam czasy, kiedy byłem wdzięczny Bogu, że nie masz siostry bliźniaczki.

Elizabeth skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na niego w sposób, który nie potrzebował komentarza.

— Nie rozmawiamy o mnie. Mówimy o okrętach wojennych Przez chwilę nie odezwał się słowem, ale nagle odwrócił się i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Tylko ty potrafisz dostrzec podobieństwo pomiędzy okrętem wojennym i galaretką.

— Myśl sobie, co chcesz, ale nasze szczęście obróciło się przeciwko nam. Mój dziadek zawsze powtarza, że kiedy los zwraca się przeciwko tobie, nawet galaretka może popsuć ci zęby. Jestem neutralna i nie mam zamiaru zmieniać swojej pozycji.

Nagle w powietrzu rozległ się huk i ciemność przeszył błysk. Nad fregatą uniosła się chmura dymu. Po kilku sekundach tuż ; obok nich wpadła do wody z wielkim pluskiem kula armatnia.

— Już nie jesteś neutralna — powiedział Tavis.

— Oni do nas strzelają — stwierdziła Elizabeth z takim przekonaniem, że zaczął się z niej śmiać. — Nie chcą do nas strzelać... Czy nie to właśnie mi powiedziałaś?

— To prawda, takie były moje słowa i nadal twierdzą, że strzelają do nas tylko po to, żeby nas nastraszyć. Nie mają zamiaru w nas trafić. Ale mogą zmienić plany, jeżeli zrozumieją że nie zawrócimy.

— Może ty nie masz zamiaru zawracać, ale ja mam — oświadczyła Elizabeth, kiedy kolejna kula armatnia wpadła do wody tuż obok nich. — Celują coraz bliżej, a ja nie mam zamiaru spędzić nocy na dnie morza. — Spojrzała na okręt i zobaczyła kolejny błysk i chmurę dymu.

Bez ostrzeżenia Tavis chwycił ją za ramiona, popchnął na pokład i zasłonił swoim ciałem Usłyszała kolejny odgłos wystrzału i poczuła, jak łódź się kołysze.

— Trafili nas! — krzyknęła. — Widzisz coś? Czy jest bardzo źle?

— Nie, tylko nas musnęli. Strzelają zbyt blisko nas. Musimy postawić żagle i zawrócić. Wtedy powinni zostawić nas w spokoju — Pierwszy raz zaczynasz mówić

do rzeczy. — Elizabeth wsunęła głowę spod jego ramienia żeby móc cokolwiek zobaczyć.

— Nie podnoś się — rozkazał.

Ale ona i tak się podniosła i z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami przyglądała się Tavisowi. Po chwili łódź straciła prędkość i zaczęła dryfować.

Najwyraźniej załoga okrętu była w pełni usatysfakcjonowana takim obrotem sprawy, ponieważ ten natychmiast zawrócił i popłynął w kierunku dwumasztowca. Łódź Elizabeth nadal dryfowała. Oboje wpatrywali się w oddalający się dwumasztowiec, dopóki nie zniknął im z oczu. Kiedy znajdowali się w bezpiecznej odległości, Tavis postawił żagle.

— Już zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek wrócimy do domu — powiedziała Elizabeth.

— Możesz zastanawiać się dalej, bo nie płyniemy na Nantucket. Jeszcze nie teraz.

— Co przez to rozumiesz?

— To, co usłyszałaś.

Kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, pośpieszył z wytłumaczeniem.

— Elizabeth, powiedziałem ci, że te dranie mają moje plany. Zamierzam je odzyskać.

— Jesteś nienormalny? Śledzenie dwumasztowca to jedna sprawa, ale pchanie się pod ogień okrętu wojennego to już zupełnie coś innego. Nie możesz walczyć z całym Południem, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko stoi na ostrzu noża. Wszyscy tylko czekają kiedy wybuchnie wojna. — Spojrzała na niego czule. — Bardzo mi przykro, że tak się stało, ale to wszystko wymknęło się spod twojej kontroli.

— Jeszcze mogę je odzyskać. — Rzucił jej pełne współczucia spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Bardzo mi przykro, ale takie jest życie”. — Nie mam zamiaru zmierzyć się z całym Południem... tylko z jego niewielką częścią... i popłynę za nimi aż do portu.

— A co potem? Wyjdiesz na brzeg, żeby stanąć twarzą w twarz z lufą pistoletu?

— Oni mają coś, co należy do mnie, i mam zamiar to odzyskać. Nawet jeżeli będę musiał walczyć z pięcioma stanami, zrobię to.

— Wspaniale, wprost cudownie! Przez tyle lat wmawiam sobie, że jestem zakochana w mężczyźnie, który jest cholernym fantastą.

Tavis uśmiechnął się do niej.

— Wmawiałaś sobie, że jesteś we mnie zakochana?

— Cicho bądź i nie udawaj takiego zaskoczonego. Wiesz, jak każdy na wyspie,

że tak było. Nie pamiętasz, jak przede mną uciekałeś?

— Pamiętam, że kiedyś nie byłem wystarczająco szybki.

Elizabeth uśmiechnęła się, przechyliła głowę i spojrzała na niego, mrużąc oczy przed słońcem. — Kiedy szpiegowałeś mnie, Cole’a i Nathana, wtedy jak poszliśmy popływać. Musiałaś się wtedy napatrzyć za wszystkie czasy? — Najwyraźniej chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł opanować śmiechu.

— No jasne, żartuj sobie ze mnie. Dobrze wiedzieć, że daję coś ludziom, nawet jeśli to tylko powód do śmiechu.

Tavis przestał się śmiać i rozbawienie znikło z jego twarzy w jednej chwili. Podszedł do Elizabeth bardzo powoli.

— Jeżeli nadał będziesz na mnie tak patrzeć, być może nadarzy się okazja, żebyś dała mi coś więcej.

Następnego dnia rano fregata zniknęła we mgle. Kiedy mgła opadła, na horyzoncie nie było śladu dwumasztowca ani okrętu.

Ale daleko przed nimi majaczyła niewyraźna linia brzegowa. Tavis spojrzał przez lunetę.

— Znajdujemy się na wybrzeżu Wirginii — oznajmił. — I jeżeli się nie mylę, to jest Norfolk.

— Widzisz fregatę albo dwumasztowiec?

— Nie. Prawdopodobnie kierowali się tutaj, ale pod osłoną mgły popłynęli dalej na południe.

Elizabeth wyczuła rozczarowanie w jego głosie i była na siebie wściekła, że nie potrafiła wymyślić niczego, co podniosłoby go na duchu.

— Przykro mi — odezwała się w końcu. — Wiem, jak musisz się teraz czuć.

— Chyba nie możesz wiedzieć, co czuje człowiek, który stracił coś, czemu poświęcił całe swoje życie. — Nie patrzył w jej stronę.

Elizabeth pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy tak bardzo go kochała, wiedząc, że nie ma u niego żadnych szans. Zanim zdążyła się zastanowić, słowa same ułożyły się w zdania.

— Nie masz racji. Znam to uczucie. Znam je lepiej od ciebie.

Stali w milczeniu. Żadne z nich nie starało się pomóc drugiemu, żadne nie wiedziało, jak to zrobić.

— Co teraz? — spytała w końcu Elizabeth.

— Zawiniemy do portu i postaram się dowiedzieć wszystkiego, co tylko możliwe.

Późnym popołudniem zacumowali w Norfolk. Tak jak to przewidział Tavis, ani

okręt, ani dwumasztowiec nie zawinęły do portu. Tavis, przeklinając swój los, wyszedł na ląd i kazał jej zostać na pokładzie.

— Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł — obiecał.

— Idę z tobą.

— Nie. Chcę, żebyś na mnie poczekała. Będziesz mi tylko przeszkadzać.

— Chcę iść z tobą. Moja rodzina będzie się o mnie martwić. Powinnam wysłać do nich list, wyjaśnić im, że nic mi nie jest.

Kiedy spojrzał na nią podejrzliwie, dodała pośpiesznie:

— Niczego im nie wyjawię. Chcę tylko, żeby wiedzieli, że nic mi nie grozi. Poza tym muszę uzupełnić zapasy. Kiedy wyruszyliśmy z Nantucket, nie miałam zbyt wiele pitnej wody na pokładzie. Poza tym kończy się jedzenie.

— Mamy go wystarczająco dużo — nie zgodził się Tavis.

— Jeżeli nie napotkamy żadnych trudności, ale może zabraknąć wody.

Spojrzał na nią bez przekonania i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Elizabeth była szybsza.

— Posłuchaj, zajęłeś moją łódź. Musisz mnie jakoś udobruchać.

— No dobra, chodź — powiedział nadąsany. — Marnujemy czas.

Czekała na niego przy cumie, kiedy wrócił do doku. Spojrzał na ciężki ładunek, a potem na Elizabeth.

— Nie narzekaj — powiedziała. — Mam przecież jedną osobę więcej.

— Najwyraźniej planujesz długą podróż albo masz wilczy apetyt — rzekł, wchodząc na pokład. Odsunął paczkę sucharków, żeby zrobić sobie trochę wolnego miejsca, po czym usiadł.

— Trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność.

— Ale ta łajba jest przeładowana. Jesteś pewną że będzie pływać?

— Tak jest, kapitanie. — Uśmiechnęła się go niego. — Jestem tego pewna.

— Przypuszczam, że wysłałaś list — kontynuował.

— Tak — odparła, po czym dodała: — W pewnym sensie.

— Co przez to rozumiesz?

— Nie zastałam listonosza więc zostawiłam list u właściciela sklepu.

— A ludzie się zastanawiają dlaczego listy giną — powiedział. — Może zejdiesz pod pokład i zrobisz coś do jedzenia, a ja przygotowuję łajbę do drogi.

Elizabeth spojrzała na niego sceptycznie.

— Jesteś pewien, że sobie poradzisz?

— Jeszcze nie jest za późno, żeby zostawić cię na brzegu — stwierdził.

— Albo ciebie — odparła, spoglądając na niebo. — Nie podobają mi się te chmury. Mam nadzieję, że do rana nie będzie po nich śladu.

Tavis podniósł głowę i spojrzał w górę.

— Wygląda na to, że zanoszą się na burzę. Może powinnaś trochę odpocząć. Jeżeli pogoda się popsuje, oboje będziemy potrzebni na pokładzie. — Zapanowała cisza przerywana jedynie cichym szumem wody i odgłosem fal, które rozbiły się o łódź. Wysoko w powietrzu rozległo się nawoływanie mewy.

Elizabeth raz jeszcze spojrzała na ciemne niebo i nagle ogarnęło ją przerażenie. Skinęła głową, po czym zeszła na dół.

Otworzyła mahoniowe drzwi i zatrzymała się. W kabinie było ciemno jak w brzuchu wieloryba. Nagle uświadomiła sobie, jak daleko znajduje się od domu. Zapaliła lampę naftową. Wiedziała że wkrótce pomieszczenie wypełni się dymem, ale potrzebowała światła.

Przez pewien czas dziewczyna stała na środku i rozglądała się. Doskonale pamiętała, jak wyglądało to miejsce, zanim Stephen wyszorował pokład, a Matt

wypolerował na połysk wszystkie części z mosiądzu. Wiedziała że rodzina będzie chora z niepokoju, i miała nadzieję, że list, który zostawiła w sklepie, dotrze do nich jak najszybciej.

Pomyślała o siostrach. Przypomniała sobie, że miała pomóc Sally przy odrabianiu algebry. Meg z kolei prosiła, żeby nauczyła ją robić dżem z płatków róż.

Elizabeth zdjęła kurtkę i skupiła się na układaniu prowiantu. Kiedy wszystko było na swoim miejscu, odkroiła plaster sera, trochę kielbasy i zrobiła kanapkę. Wyszła na pokład i podała ją Tavisowi. Obok steru postawiła kubek z wodą.

Tavis, milcząc, wziął od niej kanapkę. Przez moment przyglądał się jej uważnie, jakby nigdy w życiu nie widział chleba.

— Nie musisz się obawiać — powiedziała. — Nie zatrąłam tego.

— Nie podejrzewałam cię o to — burknął, po czym odgryzł kawałek.

— Nie musisz się obawiać... przynajmniej na razie. Potrzebuję cię, żeby wrócić do domu.

Tavis jadł, jak gdyby od miesięcy nie miał niczego w ustach.

— A co potem? — zapytał.

Powrócisz do swojego życia i będziesz udawał, że nie istnieję.

— Oboje powrócimy do codziennych zajęć. Ty pójdiesz swoją drogą, a ja swoją.

— I już nigdy się nie spotkamy? — zapytał, przełknąwszy ostatni kęs kanapki.

— Podejrzewam, że nasze drogi od czasu do czasu będą się przecinały. Za każdym razem, kiedy spotkasz mnie na ulicy, będziesz kiwał uprzejmie głową, uchylał kapelusz i mówił coś w stylu: „Dzień dobry, panno Robinson. Dziwną mamy dzisiaj pogodę, nie uważa pani?”.

Nie odrywał od niej wzroku. Patrzył na nią z desperacją niczym rozbitek, który dostrzegł dryfujący pień.

— A ty? — zapytał łagodnie. — Co ty będziesz robić?

— Ja? No cóż, skinę do ciebie głową i odpowiem na przykład: „Dzień dobry, panie Mackinnon. To prawda, że mamy dzisiaj bardzo dziwną pogodę. Chyba zanosi się na deszcz, nie uważa pan?”.

Jego szaroniebieskie oczy mierzyły ją powoli. Na twarzy Tawisa nie malowały się żadne inne uczucia poza nieskrywanym podziwem. Bardzo rzadko spoglądał na nią w ten sposób. Może właśnie dlatego nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Czuli się zbity z tropu.

Tavis podał jej kubek, a kiedy sięgnęła po naczynie, złapał ją za rękę.

— Boisz się mnie, mam rację?

Nie mogła na niego patrzeć, więc uporczywie wpatrywała się w swoją dłoń.

— Nie boję się... ciebie.

— W takim razie czego?

— Niczego.

— Nie wierzę ci — odparł łagodnie i ścisnął mocniej jej dłoń. — Chodź do mnie.

— Dlaczego?

Uniósł dłoń dziewczyny i pocałował jej wnętrze.

— Czy naprawdę muszę odpowiadać na to pytanie? — zapytał. Nawet na niego nie spojrziała. — Dlaczego na mnie nie patrzysz?

— Bonie mogę. Bo czuję się jak idiotka.

— Dlaczego?

Wzruszyła ramionami. Nie starała się przed nim niczego zataić i właśnie ta otwartość była jedną z jej najwspanialszych cech.

— Bo wstydę się swojej przeszłości. Mojej dziecięcej namiętności. Ze wszystkich idiotycznych rzeczy, które zrobiłam, tego wstydę się najbardziej. Czuję się zakłopotana, ponieważ wiem, że znasz moje uczucia i nadal patrzysz na mnie jak na głupie, zaślepione tobą dziecko.

— A gdybym ci powiedział, że nie widzę cię w ten sposób? A gdybym ci powiedział, że kiedy patrzę na ciebie, dostrzegam piękną, pociągającą kobietę?

Była tak zaskoczona, że nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

— Odparłabym, że to, co myślisz, nie ma znaczenia ponieważ doskonale wiem, co ja czuję. — Położyła rękę na piersi, żeby uspokoić rozdygotane serce, po czym dodała: — Niektórzy ludzie boją się jutra, ale mnie przeraża wczoraj. Nic nie można na to poradzić, ponieważ przeszłość jest niczym lustro. Dlatego już zawsze będę czuła wstyd. I nic z tym nie zrobisz. Nic.

— Mogę spróbować. — Tavis ujął jej drugą dłoń i przyciągnął dziewczynę do siebie. — Zawsze mogę próbować.

Wyrwała mu się i zbiegła pod podkład, jakby mogła w ten sposób uciec przed przeszłością.

— Elizabeth! — zawołał za nią, ale jej już nie było.

Wcale mu na mnie nie zależy, przekonywała się w duchu, siedząc na koi. Dla niego jestem tylko drobną zmianą pogody, nawałnicą, która odciągnęła jego uwagę od przeszłości, ale która i tak przeminie. Idiotka.

— Idiotka, idiotka, idiotka — powtórzyła głośno.

Wstała, ukroiła sobie kawałek sera, zjadła dwa sucharki, po czym doszła do wniosku, że wcale nie jest głodna. Jęknęła cicho, położyła się i dopiero kiedy oparła

głowę na poduszce, poczuła, jak bardzo jest wyczerpana. Przykryła się kocem, westchnęła i zapadła w sen.

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Kiedy się obudziła, odniosła wrażenie, że spada. I rzeczywiście, spadła z koi. Otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Lampa naftowa chybotąca się niczym opętana. Dziewczyna rozejrzała się z niedowierzaniem i dopiero wtedy przypomniała sobie, gdzie jest. Wszystko wokół było wprawione w ruch i nawet tu, pod pokładem, czuła siłę wiatru. Łódź walczyła z falami. Elizabeth starała się zebrać myśli, ale nie mogła.

Na trap padł błądki promień światła. Zastanawiała się, czy jest bardzo wcześnie rano, czy po prostu niebo pociemniało z powodu burzy. Gdy wspinała się po trapie, poczuła na twarzy wodę. Fale zalewały pokład. Wiatr wył. Osłaniając oczy przed lodowatym i słonym podmuchem, dostrzegła ciemną niewyraźną sylwetkę Tawisa.

— Musimy podpłynąć bliżej brzegu. Tam fale nie są takie duże! — wrzasnęła.

Tavis zaciekle walczył ze sterem.

Elizabeth rozglądała się bezsilnie, zastanawiając się, jak może pomóc. Wiatr był bezlitosny, fale unosiły się wysoko ponad łódź. Dziewczyna spojrzała na smagane wiatrem żagle. Zanim zdążyła chwycić za liny, żeby je zwinąć, maszt spadł z pluskiem do wody.

Podbiegła do steru.

— Co ty robisz?! — krzyknęła. — Nie mamy masztu. Zostawiłeś zbyt wiele żagli.

— Nieprawda. To ta kula, która trafiła w naszą łódź, musiała uszkodzić maszt. Wiatr tylko dokończył dzieła.

— Co teraz zrobimy?! — wrzasnęła, zastanawiając się, czy w ogóle ją słyszy. Gdy kolejna fala wdarła się na pokład, Elizabeth poczuła ostry ból, który zaczął rozrywać jej głowę. Wszystko zatoneło w ciemnościach.

Ciepłe promienie słoneczne muskały jej twarz. Elizabeth otworzyła oczy. Wiatr, który jeszcze całkiem niedawno ryczał dookoła niczym rozwścieczony lew, teraz przypominał pokorną owieczkę.

— Jak się czujesz?

Odwrociła głowę i zobaczyła siedzącego obok Tawisa. W tym samym momencie przeszył ją ból. Delikatnie dotknęła głowy i poczuła ogromnego guza.

— Uderzyłam w coś.

Skinął głową.

— W ster. Bardzo się o ciebie martwiłem — powiedział łagodnie. — Już

myślałem, że nigdy się nie obudzisz.

Jakby to miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, pomyślała.

— Masz pojęcie, gdzie jesteśmy?

— Nie. Nie jestem nawigatorem, a na pokładzie nie mamy wykresów ani map.

— Ani sekstansów.

— Ani sekstansów — powtórzył.

— Nigdy nawet nie przyszło mi na myśl, że będę uczestniczyła w takiej podróży.

Tavis uśmiechnął się.

— Mnie również.

— Co teraz zrobimy?

— Będziemy dryfować... do momentu, kiedy ktoś nas znajdzie.

Albo zginiemy, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Pomógł jej wstać.

— Zejdę pod pokład i naprawię szkody — oznajmiła. — Musimy zacząć wydzielać racje żywności oraz wody, bo nie wiadomo, kiedy ktoś nas w końcu odnajdzie.

Tavis spojrzał na nią badawczo.

— Co się stało? — zapytała. — Czy burza wykrzywiła mi twarz? Czy mam podbite oczy?

— Nie, po prostu mnie zaskakujesz. — Czym?

— Po moich doświadczeniach z kobietami nigdy nie przypuszczałbym, że tak spokojnie to zniesiesz.

Elizabeth prychnęła. Chciała powiedzieć mu, co może zrobić ze swoimi doświadczeniami.

— Nie mam wyboru. Utknęliśmy na środku oceanu bez żagli. Zdrowy rozsądek podpowiada mi, że na razie nic nie zmieni naszego położenia. Nadszedł czas, żebyśmy się dobrze zorganizowali.

— Oczywiście, masz rację. A kiedy już się zorganizujemy, będziemy mogli spędzić trochę czasu razem i lepiej się poznać.

— Znam cię wystarczająco dobrze — odparła. — A ty nie masz żadnych powodów, dla których chciałbyś poznać mnie lepiej.

— Nigdy nie słyszałaś o tym, że poznanie serca i umysłu wzbogaca człowieka? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

— Znów mnie zaskoczyłaś. Biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślałbym, że będziesz skakała z radości, skoro nadarzyła ci się okazja, żeby spędzić ze mną

trochę więcej czasu.

— Może po prostu zmieniałam zdanie. — Tyle razy marzyła o chwili, gdy zostanie z nim sam na sam, a kiedy jej sny zaczęły się spełniać, nie potrafiła się z nich cieszyć. Nie była już głupiutkim dzieckiem, a Tavis Mackinnon był jeszcze wspanialszy, niż to sobie wyobrażała.

Stał przed nią wysoki i niedostępny. W jej pamięci odżyły jego ostre jak nóż, nieprzyjemne słowa, które kierował do niej, gdy była dziewczynką.

Chciała mu powiedzieć, że zbyt długo zwlekał, że teraz kocha Harry'ego Beechama, który jej go zastąpił. Ale odwróciła się i zeszła pod pokład, żeby naprawić szkody wyrządzone przez burzę. Nie miała ochoty przyznawać się Tavisowi, jak bardzo krwawi jej serce.

Wieczorem łódź dryfowała po spokojnej tafli wody, w której odbijał się księżyc. Przypominała statek widmo. Tylko czasem unosiła się na niewielkich, prawie niedostrzegalnych falach Elizabeth, która do tej pory nie opuszczała kabiny, zapragnęła wyjść na świeże powietrze i nawet niechęć do Tawisa Mackinnona nie była jej w stanie przed tym powstrzymać. Zauważyła go prawie natychmiast. Stał na rufie i wpatrywał się w mroczną wodę. Nie widziała jego twarzy, ale domyśliła się, że jest pogrążony w myślach. Tak cicho, jak to tylko możliwe, podeszła do zwiniętej liny i usiadła na niej.

Wysoko w górze niebo było czarne jak atrament, otaczało ją niczym najciemniejszy jedwab, który mienił się milionami gwiazd.

— Tamta żółta jasna gwiazda daleko na północnym wschodzie to Capella — powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że wyraża swoje myśli na głos.

— Jeżeli chociaż w połowie znasz się na żeglowaniu tak jak na gwiazdach, powinnaś wiedzieć, gdzie jesteśmy — powiedział Tavis. Podeszedł do niej i usiadł obok.

— Dziadek nauczył mnie odczytywać drogę z gwiazd — wyjaśniła, szukając na niebie znajomych konstelacji. — Co innego można robić w długie samotne noce na cyplu?

— Często zastanawiałem się, jak to jest mieszkać w latarni morskiej.

— Samotnie — odparła. — Ale dziadek wydaje się szczęśliwy. Jest blisko morza.

— Jesteście ze sobą mocno związani — stwierdził, jak gdyby był tego absolutnie pewien.

— Tak, jest mi bardzo drogi. Nauczył mnie wiele o życiu.

— A twoja ciotka?

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Kiedyś myślałam, że jest najbardziej wstrętną starą jędzą jaką w życiu spotkałam Nic się jej nie podobało. Często się kłóciłyśmy. Miałam wrażenie, że jej jedynym życiowym celem jest zniszczenie mnie. Wiesz, jakie to dziwne, prawie śmieszne, że czasem kiedy czujemy się pokonani, kiedy znajdujemy się na dnie, zaczynamy patrzeć na pewne rzeczy w zupełnie innym świetle.

— Musiała być wspaniałą kobietą.

— Była. Kiedy spoglądam w przeszłość, widzę, jak rozbierała mnie kawałek po kawałku, po to, żeby później mnie odbudować, pokazać mi moją siłę, moje zdolności. Była dla mnie kimś więcej niż matką.

— Kimś więcej niż matką? Myślisz, że to możliwe?

— Tak. Matki kochają zwykle tak mocno, że nie potrafią zadać dzieciom bólu, tak jak to zrobiła ciotka Phoebe. Matki są zbyt opiekuńcze, zbyt wrażliwe. Trzeba było mieć anielską cierpliwość i hart ducha, żeby wychować mnie tak, jak ona to zrobiła.

— I dzięki temu jesteś teraz silniejsza — zauważył.

— Tak, jestem silniejsza — przytaknęła. Bała się odsłonić przed nim jeszcze więcej szczegółów ze swojego życia, dlatego wyciągnęła przed siebie rękę i powiedziała: — Tam jest Gwiazda Polarna A tamta to Mała Niedźwiedzica. A ta trochę niżej to Wielka Niedźwiedzica.

— I dzięki temu wiesz, gdzie jesteśmy?

Roześmiała się.

— Nie. Po prostu pokazuję ci, gdzie jest Mała oraz Wielka Niedźwiedzica.

— Mądrała z ciebie — powiedział i zmierzwił jej włosy. — Czasami trudno mi uwierzyć, że jesteś tą samą osobą, która zgubiła piersi z waty tuż u moich stóp — powiedział.

— Miałam nadzieję, że już dawno o tym zapomniałeś. Tavis roześmiał się.

— Zapomnieć? Jak bym mógł?

— Mogłeś zapomnieć o mnie... Więc dlaczego miałbyś pamiętać wszystkie głupie rzeczy, które kiedyś zrobiłam?

— Uważasz, że o tobie zapomniałem?

— Oczywiście.

— Wyjechałaś na długich...

— Siedem lat — dokończyła za niego.

— Myślałem, że na osiem To ją zaskoczyło.

— Nie było mnie prawie osiem lat, bez kilku dni.

— Tak czy inaczej to strasznie długo — stwierdził. — Ale nawet wtedy nie mogłem całkiem o tobie zapomnieć. Były takie chwile, kiedy wracałaś w moich wspomnieniach, i wtedy zdawałem sobie sprawę, że bez przerwy o tobie myślę, że zastanawiam się, czy znalazłaś kogoś, kto ugania się za tobą tak, jak ty za mną. Od czasu do czasu spekulowałem nawet, jak możesz wyglądać, jak bardzo się zmieniłaś, jak wygląda twoja dorosła twarz i twoje dojrzałe ciało.

— I?

— I co?

— Czy twoje wyobrażenia były bliskie rzeczywistości?

— Nie. Rzeczywistość przerosła moje wyobrażenia ale kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz po twoim powrocie, i tak wiedziałem, że to ty.

— Niech to diabli! — rzuciła, starając się utrzymać lekki ton. — A ja miałam nadzieję, że zaskoczę wszystkich niczym burza.

— I tak było. Cole i Nathaniel nie mieli pojęcia, kim jesteś, i od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyli, byli olśnieni.

— Ale ty wiedziałaś od razu, kiedy tylko weszłam na salę balową.

— Byłaś ubrana w białą suknię ze złotymi kłosami pszenicy, i na głowie miałaś modną bostońską fryzurę.

— Jestem zdziwiona, że pamiętasz moją suknię — wyznała.

— Nie zapamiętać ciebie? Nawet po tym jak z tobą tańczyłem? A może ty o tym zapomniałaś, Lizo?

Po raz pierwszy ją tak nazwał. Odwróciła od niego głowę W obawie, że mogłaby się rozpłakać z emocji, które w niej wezbrały.

Ujął jej policzek i przytrzymał.

— Nie odpowiedziałaś mi. Zapomniałaś nasz taniec?

— Nigdy nie zapomniałam niczego, co miało związek z tobą — odparła. — Nigdy. A jeśli chodzi o taniec, to prędzej zapomniałabym, jak się chodzi.

Poczuła, jak gorące łzy spływają jej po policzkach.

— Nie przypominaj mi takich rzeczy. — Spojrzała na niego, po czym potrząsnęła głową, jakby zobaczyła coś, co sprawiło jej ból. — Nie masz prawa tak ze mną postępować — powiedziała. — Co chcesz w ten sposób zdobyć?

— Prawdę — odparł łagodnie.

— Jakie znaczenie ma teraz prawda? Czego chcesz? Poniżyć mnie jeszcze bardziej? Nie możesz zostawić mi chociaż resztek dumy? Aż tak mnie nienawidzisz? Czy twoje pragnienie zemsty jest tak wielkie, że chciałbyś zobaczyć mnie, jak czołgam się u twoich stóp?

— Może jest w tym coś więcej, niż dostrzegasz.

— Co takiego?! — krzyknęła. Zaciśnęła pięści, po czym dodała: — Powiedz mi! Co takiego?

— Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że może mi zależeć... chociaż trochę?

— Nie! — wrzasnęła. — Nigdy tego nie dostrzegałam, podobnie jak ty. Dlaczego mówisz takie rzeczy? Już jest za późno. Nie widzisz tego? Jest za późno!

— Dlaczego? Czy w twoim życiu jest ktoś inny?

Te słowa podziały na nią jak zimny deszcz, który zmył z niej całą złość, cały żal i pozostawił ją wyczerpaną. Nie odezwała się słowem.

— Jest?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — Nie wiesz? Jak możesz nie wiedzieć czegoś takiego? Jest w twoim życiu inny mężczyzna czy nie?

— Co daje ci prawo do zadawania mi takich pytań?

— Mam dobry wzrok, do cholery! Widzę, jak wyglądasz, i wiem, co czuje mężczyzna, kiedy na ciebie patrzy. Przez kilka lat mieszkałaś w Bostonie. Nie powiesz mi chyba, że przez cały ten czas nikt cię nie adorował. Dlatego powtarzam: czy w twoim życiu jest inny mężczyzna?

Westchnęła. Zaczęła ją ogarniać wściekłość.

— Tak — odparła. Kiedy zobaczyła jak bardzo rozgniewała go jej odpowiedź, była zaskoczona.

— Rozumiem — powiedział. — To coś poważnego? Poprosił cię o rękę?

— Tak.

— I?

— Nie miałam wówczas czasu, żeby zaprzętać sobie głowę takimi rzeczami. Ciotka była ciężko chora. Wtedy liczyła się tylko ona. Nic innego nie miało dla mnie znaczenia.

— Och, daj spokój. Mam uwierzyć, że tak łatwo potrafisz zapomnieć o mężczyźnie, który poprosił cię o rękę.

— Nic takiego nie powiedziałam. Harry nadal jest tak żywy w mojej pamięci jak tego dnia kiedy przyszedł po mnie i Genny.

— Kim jest ta Genny?

— Siostrą Harry'ego. Była moją najlepszą przyjaciółką w Bostonie.

— A więc pocziwy Harry uganiał się za tobą?

— Był w tym czasie w Cambridge. Kiedy zdał wszystkie egzaminy, wrócił do Bostonu i rozpoczął naukę na Harvardzie na wydziale prawa.

— I ty z tego wszystkiego zrezygnowałaś?

Powiedział te słowa tak komicznie, że nie mogła opanować i śmiechu.

— Tak, ze wszystkiego... przynajmniej na razie. Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju.

— Co takiego?

— Dlaczego tak bardzo cię to wszystko interesuje. Cokolwiek zaszło pomiędzy Harrym Beechamem i mną, nie powinno cię ani trochę obchodzić. Dlaczego zadajesz tyle pytań?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie wiem — odparł. — Bóg mi świadkiem, że nie wiem. — Po tych słowach spojrzał jej głęboko w oczy i dodał: — Ale jednej rzeczy jestem pewien. Kiedy pomyślę, że ten sukinsyn mógłby cię dotknąć, ogarnia mnie wściekłość.

Elizabeth zakreśliło się w głowie. Patrzyła na niego z otwartymi ustami i nie potrafiła ukryć zaskoczenia, które malowało się na jej twarzy. Zanim zdążyła otrząsnąć się z szoku, Tavis znów wprowadził ją w osłupienie.

— Kochasz go?

— Kocham go do szaleństwa.

— Kłamczucha — powiedział. — Nie wierzę, że kochasz go chociaż trochę. — Chwycił ją w ramiona. — Wiem, że zawsze kochałaś mnie bardziej, niż sama tego chciałaś.

Ujął jej twarz. Szeptał do niej, mówił jej komplementy i sprawił, że poczuła się jak w niebie. Spojrzała na niego i dostrzegła czułość w jego oczach, a kiedy je zamknął, wyczytała z jego twarzy, jak bardzo jej pożąda. Ciepło, które od niego biło, przyciągało ją. Czowała we włosach jego pocałunki. Po chwili poczuła ciepły oddech Tawisa na swojej twarzy i ich usta spotkały się. Tym razem nie starała się powstrzymać tego ognia który płonął między nimi. Zarzuciła mu ręce na szyję i wsunęła palce w jego włosy.

Jak gdyby w obawie, że ją straci, pocałował ją jeszcze namiętniej. Jej nabrzmiałe piersi stały się bardziej wrażliwe niż kiedykolwiek. Tavis dotknął kciukiem sutka.

Nagle wszystko, co kiedyś ich dzieliło, odżyło w jej pamięci i poczuła się nieprzyjemnie. Najwyraźniej to wyczuł, ponieważ wsunął rękę pod koszulę i zaczął pieścić jej piersi. Kiedy zsunął z niej koszulę, poczuła na skórze powiew chłodnego powietrza.

Czuła jednocześnie rozkosz i ból. Odsunęła się gwałtownie. Chciała się wycofać, zanim będzie za późno, zanim pożądanie przesłoni jej cały świat. Ale on trzymał ją mocno i nie puszczał, jak gdyby znał jej myśli, jak gdyby wiedział, co zamierzała

zrobić.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale tylko cicho jęknęła, gdy znów ją pocałował.

— Słodka, słodka — szeptał jej w twarz. — Pragnę cię, Lizo. Pozwól mi na to, Lizo. Pozwól mi się kochać.

Zbyt szybko. Za wcześnie! — krzyczał jakiś głos w jej głowie, ale nie słuchała go. Była gotowa oddać się Tavisowi i pewnie by to zrobiła, gdyby nie słowa, które po chwili padły z jego ust.

— Jestem mężczyzną, Elizabeth... mężczyzną ze wszystkimi pragnieniami. A ty jesteś taka pociągająca, tak bardzo cię pragnę.

Miał wspaniałe szerokie ramiona i wąskie biodra, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, od lat marzyła o jego dotyku, ale nie chciała dać się wykorzystać, nie chciała być z kimś, kto nic do niej nie czuje... nic poza pożądaniem.

Jego słowa dotknęły ją głęboko. Już sama nie wiedziała, co boli ją najbardziej. Czy to, że kocha go, a on nie odwzajemniał jej uczuć, czy to, że kocha go ze świadomością, że on nie czuje do niej nic więcej niż do portowej dziwki.

O tak, była taka cudowna, rozkoszna do podziwiania i miła w dotyku. Ale poza tym miała jeszcze jedną cechę. Była niedostępna.

Odepchnęła go ze wszystkich sił.

— Trzymaj się ode mnie z daleka.

Odsunął się od niej i spojrzał z żalem, a Elizabeth doskonale wiedziała, czego tak bardzo żałuje. Żałował, że nie udało mu się zaspokoić żądy. Tak właśnie myślała, więc kiedy odezwał się do mej łagodnie, ponownie ją zaskoczył.

— Widzę, że cię przestraszyłem. Uwierz mi, że nie miałem takiego zamiaru.

— Nie wierzę ci. — Nie winię cię za to. W przeciwieństwie do ciebie wiedziałem, po robiłem. Jestem wszystkiemu winien. To się już nigdy nie powtórzy.

Nigdy w ten sposób, pomyślała i odwróciła się od niego.

Tavis siedział na pokładzie jeszcze długo po tym, jak Elizabeth zeszła do kabiny. Położył się i oparł głowę na linie, na której wcześniej siedziała. Ręce wsunął pod głowę i patrzył na księżyc, który właśnie wyłonił się zza chmury i roztaczał srebrną poświatę, łączącą niebo z ziemią. Już wkrótce znajdzie się w pierwszej kwarcie i znów będzie chudy i blady, ale na razie świecił jasnym blaskiem i rzucał na pokład cienie połamanych masztów. Tavis zastanawiał się, jak naprawić sytuację z Elizabeth.

Zdał sobie sprawę, że znał ją od lat, a tak naprawdę rozmawiał z nią tylko kilka razy w życiu, a co ciekawsze nigdy przed jej wyjazdem do Bostonu nie zamienił z nią więcej niż kilka słów. Teraz nieustannie go zaskakiwała.

Ale gdyby musiał wybrać coś, co zdziwiło go w niej najbardziej, bez wahania odparłby, że jej intelekt. Zanim wypłynęli z Nantucket, nigdy w życiu nie powiedziałby, że w jej głowie jest coś więcej poza planami zdobycia jego serca.

— Powinieneś zacząć uczyć się matematyki — powiedziała mu w pewnej chwili.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał.

— Bo projektujesz statki i jeśli mam być z tobą szczerą, muszę *przyznać*, że jestem zaskoczona, iż udało ci się zejść tak daleko bez znajomości matematyki.

Nie podobał mu się sposób, w jaki to mówiła, podobnie jak nie lubił matematyki, ale bez względu na wszystko, zdawał sobie sprawę, że Elizabeth wie więcej od niego. Czując, że jeśli chodzi o matematykę, nie dorasta jej do pięt, odburknął w odpowiedzi: — Dam sobie radę.

Spojrzała na niego z pogardą.

Był wtedy wściekły jak sam diabeł i miał jej zamiar to uświadomić, ale odwróciła się od niego z wdziękiem i gracją i ruszyła przed siebie, nie racząc nawet powiedzieć coś na pożegnanie. Kiedy teraz wspominał tamten moment, musiał przyznać, że wyprowadziła go z równowagi, lecz nie czuł już złości, a jedynie rozbawienie.

Był zaskoczony, kiedy zdał sobie sprawę, że zaczyna lubić jej towarzystwo. Cenił jej lotny umysł, zaraźliwe szczebiotanie, szczerą śmiech i uwielbienie, które dostrzegał w jej oczach. To było dosyć niesamowite, że po tylu latach unikania jej teraz chciał spędzać z nią jak najwięcej czasu. Była kobietą, przy której każdy mężczyzna mógł czuć się swobodnie. Wiedziała, kiedy się odezwać, kiedy zażartować, a kiedy milczeć i dać mu trochę czasu, żeby pobył sam, a to u kobiet

rzadkie cechy. Oprócz tego była piękna, miała śliczną buzię i kształtne ciało. Nagle poczuł, że zachował się wobec niej podle. Chciał ją uwieść — nie oszukiwał się, że było inaczej — a ona na to nie zasługiwała. Wiedział, że musi jakoś to naprawić, i postanowił zrobić to od razu.

Kiedy zszedł na dół, siedziała na koi, skąpana w świetle księżyca, które sprawiło, że jej włosy stały się całkiem białe.

— Jeżeli przyszedłeś, żeby dokończyć to, co zacząłeś, to się wynoś.

Opuścił bezwładnie ramiona. Zrozumiał, że Elizabeth mu tego nie ułatwi. Nie był pewien, jak powinien się zachować. Nie był kimś, kto często przeprosza. Ponieważ nic nie przychodziło mu do głowy, w pierwszej chwili chciał ją oczarować, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, żeby trzymał swój urok na wodzy. Spojrzał na nią z błaganiem w oczach, ale na jej twarzy nie dostrzegł nic poza stanowczą odmową. Zrozumiał, że szczerść jest jedynym sposobem, żeby przekonać do siebie tę dziewczynę.

— Przyszedłem, żeby cię przeprosić.

Jego słowa najwyraźniej ją zaskoczyły. Czy naprawdę uważała go za takiego gbura, że nawet nie spodziewała się usłyszeć od niego słów przeprosin?

— Bardzo cenię przyjaźń, która ostatnio narodziła się między nami — kontynuował.
— Byłem głupcem, że starałem się zdobyć coś więcej.

— Nie starałem się zdobyć czegoś więcej — odparła, wolno i wyraźnie, chcąc mieć pewność, że dobrze ją zrozumie. — Próbowalesz mnie uwieść... a ja głupia chciałam ci na to pozwolić.

— Nie miałem zamiaru cię uwieść.

— Czyżby?

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa i znów poczuł się niepewnie. Wiedział, że stąpa po cienkim lodzie.

— To się po prostu stało. Bez względu na to, co sobie myślisz, nie za każdym razem, kiedy widzę piękną kobietę, rozpinam spodnie i mam na myśli tylko jedno.

— Ha! — krzyknęła, wstając z koi. — Nie myśl sobie, że uda ci się mnie oszukać. Wiele słyszałam o twoich eskapadach... i twoich umiejętnościach uwodzenia.

— Nie należy wierzyć we wszystko, co mówią ludzie — odparł ponuro. — Nie jestem aż taki dobry.

— Właśnie to o tobie słyszałam.

Przez następne dwa dni zachowywali się jak kamienne posągi. Prawie w ogóle się

nie odzywali. Starali się nie wchodzić sobie w drogę.

Tavis był dla niej uprzejmy i chłodny. Kiedy pierwszy rozpoczynał konwersację, prawie zawsze poruszał błahe tematy, takie jak pogoda czy jedzenie. Unikał wszystkiego, co mogłoby wywołać jakiegokolwiek emocje.

Elizabeth miała teraz mnóstwo czasu, żeby przemyśleć to, co się wydarzyło. Już zbiegając pod pokład i rzucając się na kolę, kiedy jej serce krwawiło, a zraniona duma nie dawała o sobie zapomnieć, wiedziała, że popełniła wielki błąd. Żadna kobieta o zdrowym rozsądku nie pozwoliłaby Tavisowi Mackinnonowi wysliznąć się z jej rąk. Zwłaszcza taka, która przez pół życia była w nim szaleńczo zakochana.

Dlaczego głupia duma kazała jej postępować w ten sposób? Jak długo będzie pozwalała, żeby sprawy między nimi toczyły się tak jak do tej pory? Aż oboje będą martwi?

Martwi? Ta myśl poraziła ją niczym grom z jasnego nieba. Postąpiła w sposób, który wydawał jej się słuszny, i jak na tym wyszła? Jeżeli dalej będzie się tak zachowywać, to co zyska? Nic.

Miała wrażenie, że słyszy słowa ciotki: „Elizabeth Amelio, czasami naprawdę wolę postępować słusznie, niż być szczęśliwa.

Kiedy tak siedziała na koi i gapiała się w sufit, dokonała przełomowego odkrycia. Do tego, co wydarzyło się niedawno, nie mogło dojść tak po prostu. Oboje musieli tego chcieć. Jak tylko zdała sobie sprawę z własnej winy, zobaczyła wszystko w innym świetle.

I co zamierzasz z tym zrobić? Będiesz czekała, aż będzie za późno, aż was znajdą albo umrzecie? Wiedziała, że nie zostało jej dużo czasu.

Tavis prawie cały czas spędzał na pokładzie i zastanawiał się, dlaczego Elizabeth traktuje go z wymuszoną serdecznością. Zastanawiał się również, jak długo można wytrzymać na łodzi z dziewczyną która zachowuje się w ten sposób, i nie wyrzucić jej za burtę.

Przygotowywała posiłki dla obojga, stała przy sterze przez większość czasu i wychodziła z siebie, żeby jak najlepiej odegrać swoją rolę. Ani razu nie odezwała się do niego pierwsza, ale nadal odpowiadała na pytania. Pod koniec drugiego dnia oboje znaleźli się na granicy wytrzymałości.

Z każdą minutą Tavis był coraz bardziej zirytowany. Doszedł w końcu do wniosku, że znalazł odpowiedź na swoje pytanie. Nikt nie wytrzyma dłużej niż dwa dni. Później człowiek zaczyna mieć ochotę ją udusić albo wyrzucić za burtę. Mógł to zrobić i nikt nigdy by się o tym nie dowiedział.

Jak długo będzie jeszcze znosił jej chłodną postawę? Zdawał sobie sprawę, że pozostało im niewiele jedzenia, a zapasy wody zaczynają się powoli wyczerpywać.

Potrząsnął głową. Wiedział, że za kilka dni mogą nie żyć, a mimo to wcale się tym nie martwił. Elizabeth ugodziła go w czuły punkt i obudziła w nim gniew. W jego gorącej krwi płynęło pragnienie zemsty.

Na co dzień był spokojnym bezkonfliktowym człowiekiem, więc tym bardziej nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak bardzo przejmuje się zachowaniem Elizabeth.

Właśnie to o tobie słyszałam...

Zadrzał. Za każdym razem, kiedy to zdanie odbijało się echem w jego pamięci, przychodziło mu na myśl tylko jedno słowo: zemsta.

Tavis opierał się o szczątki masztu, kiedy Elizabeth weszła na pokład. Nawet na niego nie spojrzała. Podeszła do burty, nabrała wiadro wody i zaczęła myć włosy. Patrzył na nią i starał się skoncentrować na tym, co dziewczyna robi. Chciał spojrzeć na nią w innym świetle, ale nie potrafił. Nadal miotła nim złość, wciąż czuł, jak przepelnia go jad.

Po raz ostatni napełniła wiadro słoną wodą, wylała całą zawartość na włosy, po czym owinęła głowę ręcznikiem. Odwróciła się. Ich spojrzenia skrzyżowały się i przez chwilę toczyli ze sobą niemą bitwę. Elizabeth odwróciła głowę, zdjęła ręcznik i zaczęła suszyć włosy, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości, że narasta między nimi atmosfera wrogości.

Stała przed nim. Wyglądała niczym obraz niewinności. Przerzucała włosy to w jedną, to w drugą stronę, a jej cudowne piersi podskakiwały przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Była ucieleśnieniem męskich marzeń. Na pewno specjalnie nimi potrząsa, że mnie zdenerwować, pomyślał. Ale nic z tego. Nie uda jej się mnie zwieść ani uspić mojej czujności. Nic z tego, Lizzie. Ze mną ci się nie uda. Prychnął i odwrócił się do niej plecami. Skoro ona nie korzysta z łóżka, on z przyjemnością to robi.

Zszedł pod pokład, położył się na koi i wsunął ręce pod głowę. Im dłużej jednak leżał, tym większa ogarniała go wściekłość. Bolała go urażona duma, ale bardziej złościło go to, że to właśnie ta dziewczyna miała czelność ośmieszyć go jako kochanka.

Ona, która nie poznałaby się na dobrej sztuce uwodzenia, nawet gdyby trafił jej się Casanovą we własnej osobie!

— Więc nie jestem taki dobry, tak? — powiedział do lampy wiszącej nad głową.
— Pokażę ci, jaki jestem dobry — dodał. Chwilę później wstał z koi. Pokażę ci,

pomyślał.

Elizabeth tymczasem wciąż suszyła włosy i jak zwykle rozmyślała o Tavisie i beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Wiedziała, że mogą zginąć, nie zobaczywszy już nigdy ziemi. Wiedziała, że nikt może nie przyjść im z pomocą. A tymczasem sprawy pomiędzy nią a Tavisem nie układały się najlepiej. Gdyby spojrzeć na to z tej strony, to życie bez niego i tak nie miało dla niej znaczenia.

Marty czy żywy? Tak czy inaczej był dla niej niedostępny.

Jeżeli umrze, o czym była przekonana, nie chciała, żeby towarzyszył jej ktoś, kto się na nią złości. Przynajmniej na sam koniec mogłoby uściskać sobie dłonie.

Kiedy głębiej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że jest o wiele więcej rzeczy, które mogłoby sobie zaoferować. Ale przecież właśnie wtedy, kiedy chciał to zrobić, uciekła od niego.

Nie mogła się uwolnić od myśli, że nie chce umrzeć jako dziewica. Tyle że on stracił już chyba ochotę, żeby pozbawić ją cnoty. A może jednak nie?

No cóż, pomyślała, jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Albo się zgodzi, albo nie. A jeżeli nie, to sama go uwiode, zadecydowała.

Musiała go zdobyć. Była pewna, że jej się uda. Będzie słodka jak nigdy i będzie zachowywać się niczym doświadczona kusicielka. Zanim Tavis Mackinnon zorientuje się, co się dzieje, zostanie uwiedziony.

Mimo posępnego humoru Tavis uśmiechnął się na jej widok. Najwyraźniej zaczynała dochodzić do siebie, gdyż schodząc po trapie, nuciła cicho jakąś melodię i uśmiechała się. Kiedy dostrzegła go na koi, zatrzymała się.

— Na pewno jesteś głodny — powiedziała uprzejmie. Naiwnie wierzyła, że jego uśmiech oznacza przebaczenie. Kiedy zaczął się podnosić, natychmiast znalazła się przy nim i położyła rękę na jego ramieniu. — Nie wstawaj. Odpocznij przez chwilę, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Najwyraźniej nie chciał ułatwić jej zadania, ponieważ spojrzał na nią kwaśno i odparł:

— Przemyszę to — rzucił i poszedł na pokład.

— No cóż, nie od razu Rzym zbudowano. — Westchnęła i wyciągnęła puszkę z mięsem. — Cierpliwości, Elizabeth. Cierpliwości. On ma rogi, więc daj mu pobrykać.

Na pokładzie Tavis uspokoił się i przypominał sobie postanowienie, żeby ją uwieść i w ten sposób się na niej zemścić. To nie mogło być takie zwyczajne

uwodzenie. W końcu jego reputacja była mocno zszargana. Musiał uwieść ją z zimną krwią, a to wymagało odpowiedniego zachowania. Słyszał, jak go woła, ale nie zszedł na dół. Umierał z głodu, lecz bardziej zależało mu na tym, żeby ją rozdrażnić, niż zaspokoić głód.

Kiedy zawołała go ponownie, nie bardzo się spiesząc, ruszył w stronę trapu.

— Idziesz czy nie? — usłyszał głos spod pokładu.

Uśmiechnął się i spojrzał na zegarek. Odczekał pięć minut i dopiero wtedy zszedł na dół.

Siedziała przy małym stole i stukwała palcami o blat. Widział po jej twarzy, że jest zdenerwowana, mimo to nie spojrzała na niego. Czekałam na ciebie — powiedziała słodkim głosikiem, w którym nie było śladu złości.

— Niepotrzebnie — odparł, zastanawiając się, dlaczego Elizabeth zmusza się, żeby być dla niego miła.

— Proszę. — Podawała mu jedzenie, a kiedy na nią spojrzał, uśmiechnęła się. — Jedz.

Zmarszczył czoło. Dokuczanie jej nie było wcale takie łatwe. Najwyraźniej w przyszłości będzie musiał się bardziej postarać. Spróbował to, co mu podała, po czym odłożył widelec.

— Co się stało? — zapytała.

— Czym ty mnie karmisz? Zatrutym szczurem?

Widział, jak jej usta bledną. Teraz ją mam.

— To konserwa mięsna — wyjaśniła spokojnym głosem, po czym uśmiechnęła się do niego słodko.

— Smakuje jak krowi placek — nie dawał za wygraną Tavis.

Wiedział, że przekracza granicę.

Spojrzała na niego tak, jakby miała ochotę go uderzyć albo zapytać, skąd wie, jak smakuje krowie łajno. Opanowanie nerwów musiało ją kosztować wiele wysiłku.

— Jeżeli ci nie smakuje, możesz zjeść kielbaski z sucharkami — odezwała się wreszcie, a jej słowa były tak ostre, że gdyby były kulami, z pewnością już dawno by nie żył. — Chcesz, żebym ci je podała?

Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach.

— Sam nie wiem, czy tego chcę. Masz jeszcze coś innego do zaproponowania?

Zacisnęła pięści, aż pobieleły jej nadgarstki, ale jej słowa nadal były uprzejme.

— Niestety, nie zostało nam nic poza resztką żółtego sera, paczką sucharków, puszką kandyzowanych owoców...

Nagle zamrugał ze zdumienia. Co się jej stało? Może oszalała? Może

zaszkodziło jej słońce? Naprawdę nie widziała, że on zachowuje się jak ostatni cham? Co się stało z jej dumą? Nie chciała go zamordować ani nawet czymś w niego rzucić? Zawsze była kobietą czynu, więc dlaczego teraz tak się zachowywała? Spojrzał na nią pogardliwie, mając nadzieję, że tym razem uda mu się ją zdenerwować. Kiedy i to nie poskutkowało, warknął głosem pełnym nienawiści:

— Nie kłopotz się. Nie jestem głodny. — Wstał i ostentacyjnie przewrócił krzesło, które stało na jego drodze. Uśmiechnął się. Teraz na pewno czymś w niego rzuci.

Ale Elizabeth zapytała uprzejmie:

— Masz ochotę porozmawiać?

— Niespecjalnie.

— Może przejdziemy się po pokładzie? — Wzięła głęboki oddech i patrzyła za nim.

— Wolę zostać sam.

To nią trochę wstrząsnęło. Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała się rozplakać — Dlaczego jest w tobie tyle nienawiści?

Nie miał pojęcia, dlaczego się tak zachowuje. To była jedna z tych rzeczy, których nie można przerwać, kiedy już raz sięje zacznie. Jego sytuacja przypominała jazdę w rozpedzonym wagonie. Ale zamiast wyznać jej prawdę, przechylił głowę na bok i spojrzał na nią z rozbawieniem.

— We mnie?

— Właśnie. Ja staram się być miła.

— Więc daj sobie z tym spokój — odparł. — Mogę znieść wszystko poza uprzejmością.

— Przykro mi, ale uprzejmość to jedyne, co mogę ci w tej chwili zaoferować.

— Dlaczego?

— Dlaczego miałabym nie być miła?

— A dlaczego miałabyś być?

— Chcesz mnie sprowokować?

— Ja? Wiedział, że dziewczyna zaciska zęby, kiedy mówiła:

— Ależ skąd.

— Szkoda — powiedział. — Gdybyś dała się sprowokować, nabrałabyś przynajmniej trochę charakteru. — Odwrócił się i zaczął wchodzić po stopniach. To powinno zadziałać, myślał. Teraz na pewno jest wściekła nie na żarty.

Kilka minut później stanęła obok niego na pokładzie. Stał do niej plecami, ale

poznał po jej krokach, że ma ochotę wyrzucić go za burtę. Mimo to nie odwrócił się. Jednak kiedy się odezwała, w jej głosie nie było cienia złości.

— Co za cudowna noc, nie uważasz?

Tavis otworzył szeroko usta. Słowa zamarły mu w gardle. Jej cierpliwość graniczyła z absurdem. Odwrócił się bardzo powoli.. Stała kilka kroków od niego. Jej twarz była skąpana w bladym świetle księżyca. Na moment się zapomniał i pomyślał, że jest urocza, zwłaszcza kiedy się uśmiechnęła. Nie mógł przypomnieć sobie, żeby kiedykolwiek zachowywał się gorzej niż teraz, a ona się uśmiechała. Przez chwilę gapił się na nią oszołomiony. Nikt nie potrafiłby tego znieść, nikt nie mógłby być taki odporny na jego złośliwości. Nikt.

— Co powiedziałaś? — zapytał głupio, starając się zrozumieć jej zachowanie.

— Powiedziałam, że mamy cudowną noc. Zgadzasz się ze mną?

— Była cudowna.

— Była?

— Dopóki nie weszłaś na pokład.

Najwyraźniej tego było dla niej za wiele, ponieważ oparła ręce na biodrach i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

— Co cię ugryzło? Dlaczego mnie tak traktujesz?

— Jak?

— Staram się i staram, żeby być dla ciebie miła...

— Więc przestań.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chcę, żebyś była dla mnie miła. Niczego od ciebie nie chcę, bo nie mam ochoty mieć z tobą nic wspólnego. Zrozumiałaś?

W tym momencie rozumiał, że drażnienie kobiet ma swoje wady i zalety. W jednej chwili robił najgorsze, najwstrętniejsze rzeczy, żeby wyprowadzić ją z równowagi, zaraz potem czuł się gorszy od najbardziej obślizgłego gada. Spojrzał na nią. Gwiazdy i księżyc oświetlały ją ze wszystkich stron. Morska bryza rozwiewała długie włosy, które opadały na szyję. Przez chwilę ta szyja wydała mu się bardzo kusząca.

Po tych wszystkich latach, kiedy unikał jej jak zarazy, niełatwo było mu się przyzwyczaić, że mu na niej zależy. Nagle przestał myśleć o zemście.

Znów poczuł się jak ostatni łajdak.

Kiedy zadrzały jej usta, serce mu się ścisnęło. Wszeptał jej imię, ale milczała. Rozglądała się z niedowierzaniem, jakby do końca nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, niczym mewa, która za bardzo oddaliła się od lądu. Czuł się bezradny, kiedy na pokład kapnęła pierwsza łza. Kolejna i następna. Chciał przytulić tę dziewczynę,

scałować słone ślady z policzków, a potem rozkoszować się smakiem jej ust. Ale kiedy wyciągnął rękę w jej stronę, uciekła. Został sam i brutalna rzeczywistość uderzyła go w twarz, kiedy zrozumiał co zrobił. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu. Okazało się, że zemsta, która powinna mieć słodki smak, jest zbyt gorzką żeby ją przełknąć.

No i co, głupku, teraz bez wątpienia jej dokuczyłeś. Czy nie tego chciałeś?

Nie tego, odparł w myślach. Nie chciałem tego. Elizabeth przypominała rozwinięty kwiat, który zamienia się w pączek, kiedy czuje deszcz. Ale tym razem to nie deszcz zalał jej serce. To był ból i to on był tym sukinsynem, który ją zranił. Był głupcem, kiedy pozwolił, żeby głupia duma wyzwoliła w nim złość. Wyobraził sobie siebie niczym napuszonego indora i wcale mu się to nie spodobało.

Zupełnie niespodziewanie ruszył przed siebie. Nie miał najmniejszego zamiaru jej uwieść. W tej jednej chwili był skruszonym mężczyzną, który gotów był paść na kolana i błagać o przebaczenie.

Czuł się bezradny i zakłopotany. Nie miał doświadczenia w tego typu sytuacjach, postanowił jednak spróbować.

— Elizabeth? — odezwał się, zbliżając się do koi. Leżała na kocu ubrana w białą koszulę nocną. Rękę wsunęła pod mokrą od łez poduszkę.

— Odejdź.

Usiadł obok niej i delikatnie pogłaskał japo włosach.

— Zostaw mnie w spokoju — rzuciła odpychając jego dłoń. — Proszę.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — powiedział, próbując zetrzeć łzę z jej policzka.

Spojrzała na niego i coś w nim pękło. Kiedy zajrzał głęboko w jej oczy, lśniące niczym gwiazdy, a jednocześnie pełne przerażeniu, lęku i niepewności, nie potrafił być dłużej obojętny.

Potem pogłaskał jej nagie ramię.

— Jesteś zimna.

Elizabeth załkała cicho.

— Tak, to prawda, ale nigdy nie mogłabym być taka zimna jak ty.

Przykrył ją kocem.

— Wiem, że byś nie mogła. Czasem to dla kobiety zguba. — Westchnął. Wiedział, co powinien teraz powiedzieć. — To wszystko moja wina. Przepraszam.

Uniosła głowę.

— Przepraszasz mnie? Myślisz, że po twoich przeprosinach ból, który mi sprawiłeś swoim okrutnym zachowaniem, tak po prostu zniknie? To nie jest takie

łatwe. Uczuć nie można tak sobie zamykać i otwierać niczym drzwi. Potraktowałeś mnie jak śmiecia. Za co? — Rozpląkała się. — Powiedz, co takiego zrobiłam, żeby na to zasłużyć? — Potrząsnęła głową. — Jedyнным moim błędem była miłość do ciebie — dodała, spoglądając w jego oczy. — Czy to takie straszne?

— Nie — odparł. — To nie jest straszne i wcale nie miałem tego na myśli.

— W takim razie czemu mnie tak potraktowałeś? Powiedz mi. Mam prawo wiedzieć.

— Byłem wściekły i źle oceniłem sytuację. Złość nawet tchórzom dodaje odwagi. Wcale nie staram się wytłumaczyć. Wiem, co zrobiłem... i to było złe. Zazwyczaj się tak nie zachowuję. Nie co dzień krzywdzę ludzi.

Odwrócił od niej wzrok i przez chwilę przyglądał się mrocznym cieniom, które rzucało blade światło lampy naftowej.

— Nie wiem, co się ze mną stało. Sam nie rozumiem, dlaczego zachowywałem się w ten sposób — powiedział, zrobił przerwę, a po chwili ciągnął. — Żałuję, że nie znalazłem lepszego wytłumaczenia. Uraziłaś moją męską dumę, ogarnęła mnie złość i na chwilę odebrało mi rozum. Ogarnęło mnie pragnienie zemsty.

— Świetnie ci się udało.

— Wiem — rzekł, spoglądając na nią. — Tylko że teraz, kiedy już jest za późno, zrozumiałem, że wcale tego nie chciałem. Moje zwycięstwo kosztowało mnie więcej niż ciebie, a przynajmniej tak mi się wydaje. Bardzo żałuję tego, co się wydarzyło.

— I to ma mnie uszczęśliwić?

Uśmiechnął się do niej smutno.

— Nie, ale na pewno nie powinno cię jeszcze bardziej rozzłościć. — Otarł kciukiem gorącą łzę. — Uraziłem cię i jesteś na mnie wściekła, masz do tego pełne prawo.

Elizabeth milczała.

— To takie dziwne — mówił dalej. — Wydaje mi się, że kiedy się złościsz, jesteś jeszcze piękniejsza. Zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje. Może dlatego, że kiedy kobieta jest rozdrażniona, staje się bardziej niedostępna.

Jęknęła z powątpiewaniem, po czym odwróciła się od niego. Uniosła ręce i zaczęła kreślić linie na drewnianych panelach, które pokrywały ściany. Starła się skupić na myśli, że Matt je kiedyś dla niej pomalował.

— Rozdrażniona — powtórzyła. — Czy tak nazywasz niepociągającą kobietę, która ma za mało doświadczenia żeby kogoś oczarować?

Jej słowa dotknęły go do żywego, ale wiedział, że współczucie nic tutaj nie

pomoże, a tylko pogorszy sytuację. Ona też miała swoją dumę.

— Oczarować? — Uśmiechnął się lekko. — Jesteś pewna, że właśnie to miałaś na myśli?

Wsunęła rękę pod koc i posłała mu wściekłe spojrzenie.

— Chciałam cię uwieść, ty idioto.

— Uwieść... Chcesz mi powiedzieć, że byłaś dla mnie miłą ponieważ chciałaś, żebym... — Spojrzał na jej cudowną twarz. Nie potrafił zrozumieć, jak mógł być tak zaślepiiony, żeby tego nie dostrzec. Podjęła decyzję. Nareszcie wszystko zrozumiał. Właśnie o to jej chodziło. — Chciałaś, żeby się z tobą kochał?

Skinęła głową.

— Och, Lizo — westchnął, biorąc ją w ramiona. — Nie wiesz, że właśnie to starałem się przez cały czas zrobić?

Nie była już na niego zła, ale nadal się z nim droczyła.

— Masz dziwny sposób okazywania uczuć. Moim zdaniem, zachowywałeś się jak ktoś, kto próbuje za wszelką cenę się mnie pozbyć.

— Gdybym chciał to zrobić, wyrzuciłbym cię po prostu za burtę — odparł. Uśmiechnął się, widząc, jak dziewczyna zmienia się w małe, potulne kociątko. — Chciałem się z tobą kochać, tamtej nocy byłem już tego bardzo bliski, ale ty mnie powstrzymałaś, o ile dobrze sobie przypominam.

Zmrużyła oczy.

— Och, więc tak to widzisz? Przypominam sobie kwiecistą przemowę, którą wygłosiłeś zaraz potem i w której stwierdziłeś, że czujesz się jak ostatni drań i łajdak. Jak niby miałam się, twoim zdaniem, zachować?

— No cóż, wydawało mi się, że zasługujesz na coś więcej niż twarde deski pokładu, bez względu na to, jak bardzo cię pragnąłem — Roześmiał się, po czym jęknął boleśnie na myśl o erekcji, którą miał potem przez kilka godzin. — To była bolesna noc.

— To dobrze — stwierdziła. — Dla mnie nic nie jest zbyt bolesne.

Roześmiał się z jej niewinności, po czym przyciągnął ją bliżej.

Odkrył ją, położył się obok i nakrył ich oboje kocem.

— Co ty wyprawiasz?

Chwycił ją za biodra.

— Przysuwam się do ciebie.

— Wcale nie chcę, żebyś się do mnie przysuwał. Poza tym to posłanie jest za małe, żebyśmy oboje mogli w nim spać. — Szturchnęła go w ramię. — To moje łóżko.

— To prawda, ale ja jestem silniejszy. — Położył się na niej i musnął delikatnie jej szyję, po czym wyszeptał: — To i tak nie ma znaczenia. Nie mam zamiaru iść spać. Przynajmniej nie teraz.

— Dobrze wiesz, co miałam na myśli. Nie chcę się z tobą kochać... już nie mam na to ochoty.

. — Lizo, sama nie wiesz, czego chcesz, ale na szczęście dla nas obojga ja to wiem. Mogłabyś przestać tyle mówić? — Nawet nie dał jej szansy odpowiedzieć. — Za dużo myślisz — dodał, i kiedy na chwilę przestał ją całować. — I za dużo mówisz. Przez trzynaście lat bardzo się o to starałaś. — Oparł się na jednym łokciu i spojrzął na nią. — Czy chociaż raz pozwolisz, żeby wszystko potoczyło się swoim torem?

Po zaleknionym wyrazie twarzy dziewczyny poznał, że jego słowa nie mogły wstrząsnąć nią bardziej. Po chwili lęk zniknął, a jego miejsce zajęło pragnienie i pożądanie. Niewinny głód w jej oczach zapierał mu dech.

Elizabeth westchnęła i rozluźniła się. Czuła się cudownie. Dlaczego miałyby być inaczej? Po tych wszystkich latach, kiedy tak bardzo starała się go uwieść, teraz znalazł się w jej mocy. Już nie musiała go zdobywać.

Potem pocałował jej ucho. Ssał je i delikatnie kąsał. Elizabeth jęknęła, wyginając ciało w łuk. Chciała się znaleźć jak najbliżej niego, kiedy całował każdy centymetr jej ciała. Kiedy była nieprzytomna z rozkoszy, Tavis odsunął się.

Otworzyła oczy ze zdziwienia, lecz zanim zrozumiała co się dzieje, zaczął z niej ściągać koszulę nocną.

— Chcę cię zobaczyć — powiedział. — Chcę wiedzieć, czy jesteś tak samo piękna, jak w moich marzeniach.

Zadrzała na te słowa i już po chwili była naga. Tavis podkręcił płomień lampy i nie mógł oderwać od niej wzroku. Zawstydzona dziewczyna przykryła się kocem.

— Nie rób tego — poprosił. — Masz takie piękne ciało... ciało, które... — najwyraźniej zabrakło mu słów — ...które jest zbyt wspaniałe, żeby je zasłaniać. Nie wstydz się — rzekł, kiedy zrzuciła z siebie koc. — Ciało kobiety jest dla mężczyzny niczym świątynia. Kobieta powinna czuć siłę i potęgę, kiedy mężczyzna patrzy na nią tak, jak ja patrzę na ciebie. Potęgę? Czuła się taka słaba. Była zahipnotyzowana dotykiem dłoni Tawisa, niskim głębokim tonem jego głosu. Miała wrażenie, że śni. Zawsze marzyła o tej chwili, żyła dla niej, lecz wiedziała, że on nie odwzajemnia jej uczuć.

Tavis nagle poczuł na ramieniu łzy dziewczyny. Odsunął się, choć jego ciało dopominało się jej bliskości.

I ciało zwyciężyło. Ujął dłoń Elizabeth i zsunął ją niżej na swój członek.

— Tavis...

— Już nie ma odwrotu — powiedział. — Przekroczyliśmy granicę.

Gdy przejechał ręką po jej plecach, zrobiło jej się gorąco. Nie bała się. Tak naprawdę zawsze wiedziała że właśnie tak będzie się czuła w tej chwili. Rzeczywistość okazała się tak wspaniała jak jej marzenia. Miała ochotę go dotknąć. Chciała poznać każdy najmniejszy fragment jego ciała.

Nawet w momencie największego podniecenia czuła spokój. Miała wrażenie, jakby stara Elizabeth umarła, a na jej miejsce narodziła się nowa, całkiem inna. Czuła się tak, jak gdyby wydarzył się cud. Nie dręczyły jej już żadne pytania. Przestała mieć wątpliwości.

Nie było bólu ani wstydu. Jedność ich ciał była tak doskonała i piękna.

Dla tej chwili została stworzona. Na tę chwilę mogłaby czekać aż do końca świata.

Leżał obok niej spocony i wyczerpany i taki senny. Oddychał głęboko. Rękę trzymał na jej piersi. Pocałowała go w czoło i poczuła się niczym najbogatsza kobieta na świecie.

— Teraz wiem, czym jest miłość — wyszeptała, przyciskając twarz do jego ciemnych włosów. — Po tylu latach błędzenia nareszcie znalazłam drogę do domu.

Był ciepły słoneczny dzień. Wiał delikatny wietrzyk. Elizabeth wyszła na pokład. Ocean był cichy i zielony, a świat wydawał się taki spokojny. Mała ochotę krzyczeć z radości. To nie był najlepszy dzień na umieranie, mimo to wiedziała że już wkrótce ich czas dobiegnie końca. Poprzedniego dnia zjedli ostatnie zapasy, a rano wypili ostatnią kroplę wody.

Odetchnęła i zamknęła oczy. Jej ciało rozkoszowało się ciepłymi promieniami słońca. Szum fal kołysał ją. Wszystko było takie znajome, złamany maszt, pusty pokład, promień słońca tańczący na mahoniowej balustradzie. Zamyśliła się. Była ciekawa, co stanie się z jej ukochaną łodzią. Na niej Tavis nauczył ją miłości. Tu narodziła się na nowo. I tu miała wkrótce umrzeć.

Nie miała pojęcia dlaczego właśnie dzisiaj rano, zaraz po przebudzeniu, postanowiła włożyć jedyną sukienkę, jaką miała ze sobą na pokładzie, ani dlaczego tak bardzo zależało jej na tym, żeby umyć włosy.

Nagle usłyszała plusk. Poderwała się, podeszła do burty. Kiedy się wychyliła, zobaczyła Tawisa, który wynurzył się z wody i odrzucił głowę do tyłu.

— Chodź do mnie! — krzyknął. — Woda jest na początku trochę zimna, ale...

— Potem już nic nie czujesz — dokończyła za niego, śmiejąc się. Odskoczyła do tyłu, kiedy chciał ją ochlapać. Woda była na tyle przejrzysta, że Elizabeth widziała, iż Tavis nic na sobie nie ma. Ta myśl rozgrzała ją, przywodząc na myśl wspomnienia minionych kilku dni.

Obserwował ją i uśmiechał się, jakby wiedział, o czym myśli.

Wprost nie mogła uwierzyć, że od pierwszej nocy, którą spędzili razem, minął tylko tydzień. Westchnęła. Była wdzięczna, że los dał jej szansę zasmakować prawdziwego życia.

Tavis tymczasem zanurkował i na dłuższą chwilę straciła go z oczu. Już zaczynała się niepokoić, kiedy wynurzył się kilkanaście metrów dalej.

— Szukasz mnie? — zapytał.

— Jak ci się pływało? — zapytała, gdy wszedł na pokład. Musiała się opanować, żeby się na niego nie rzucić. Tak bardzo chciała okryć pocałunkami całego jego ciało. Tak bardzo go kochała. Uwielbiała go. Napawała się jego widokiem, a serce drżało jej z radości. To takie smutne, że byli tutaj całkiem sami, podczas gdy ona miała ochotę obwieścić całemu światu, co dzieje się w jej sercu. Chciała, żeby wszyscy wiedzieli o jej podekscytowaniu, rozkoszy, zachwycie i miłości, którą obdarzyła tego

mężczyznę.

Nagle dostrzegła w oczach Tawisa coś, co ją poruszyło. W tym spojrzeniu, ciemnym niczym mokry piasek na plaży na Nantucket, dostrzegła żal. Od razu wszystko zrozumiała. Winił siebie za to, co się stało... i za to, co się miało wkrótce wydarzyć.

— Lizo, chciałbym, żebyś wiedziała... — Głos Tawisa załamał się. — Gdyby istniał jakiś sposób, żeby to wszystko naprawić...

— Wiem — przerwała mu. — Nie winię cię za to. Mówię szczerze.

— Ale powinnaś. Gdybym cię nie zmusił, żebyś ze mną popłynęła, byłabyś teraz w domu...

— Usychając w samotności, tracąc życie na pisanie wierszy i oglądanie gwiazd przez teleskop. Nigdy nie poznałabym dotyku twoich dłoni, radości, którą niesie za sobą kochanie się z kimś, nie wiedziałabym, co może połączyć mężczyznę i kobietę. Nie, za nic cię nie winię. Dziękuję ci. Gdybym miała zrobić to jeszcze raz... Nie dokończyła, ponieważ podszedł do niej, wziął ją za rękę i przytulił. Po chwili zaniósł tam, gdzie zwinięte liny pełniły rolę łóżka. Postawił ją na nogi, a kiedy chciała się położyć, powstrzymał ją. Spojrzała na niego zaskoczona lecz on tylko uśmiechnął się i powiedział:

— Bardzo ładnie wyglądasz w tej sukience... ale naga wyglądasz jeszcze ładniej.

Gdy zdejmował z niej ubranie, odchyliła głowę i zamknęła oczy, zastanawiając się, ile razy przedtem robił dokładnie to samo i jak wiele kobiet czuło to samo pragnienie jego dotyku.

Zanim zdążył ją położyć na rozgrzanym słońcem pokładzie, uklękła przed nim i opłotła ramionami jego uda.

— Boże, jaki ty jesteś piękny — powiedziała, po czym wzięła go do ust.

— O Chryste! — jęknął. Odrzucił głowę do tyłu i nie powiedział już nic więcej.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Oboje płonęli z pożądania. Kochali się dziko i namiętnie.

— Kobieta jest piękną kiedy nie ma w niej hipokryzji, kiedy nie ma w niej wstydu. Ty jesteś tak czysta i piękna niczym prawda — wyszeptał.

Był nagi, ciepły i mocny. Dotykała go, całowała, ale wciąż czuła niedosyt.

Wreszcie zamknęła oczy i zasnęła.

Śniła o ciepłym wiosennym poranku na zalanej słońcem ulicy na Nantucket. Słyszała śpiew ptaków i śmiech bawiących się na dworze sióstr.

A potem zobaczyła Tawisa, idącego ulicą i rozmawiającego z przyjaciółmi. Kiwał głową i zagadywał mijaną kobietę. Często zatrzymywał się, żeby powiedzieć coś więcej niż tylko dzień dobry.

. Widziała, jak zmierza w jej kierunku, a kiedy się zbliżył, wydukała jakieś niezdarne dziecinne zdanie i zrobiła z siebie idiotkę. Tavis nawet na nią nie spojrział, a kiedy ją minął, śmiał się z mej. Słyszała jego śmiech.

Obudziła się zdziwiona i zrozumiała że ten sen był prawdziwy, że kiedyś, zanim wyjechała do Bostonu, tak było naprawdę. Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie wskoczył na jej łódź, gdyby nie stali w obliczu śmierci? Tavis przytulił ją przez sen.

— Postaraj się zasnąć — mruknął.

— Dlaczego? — zapytała. — Już niedługo będę mogła przespać całą wieczność.

— Praktyczna w każdej sytuacji. Nawet w obliczu śmierci. — Położył ją. — Zamknij oczy — poprosił.

Zamknęła oczy i odpłynęła.

Kiedy się obudziła, miała jasny umysł. Siedziała na koi. Dokuczał jej upał i była pewna, że to właśnie ten skwar wyrwał ją ze snu. Ubrała się i weszła na pokład. Tavis, w samych spodniach, leżał w cieniu. W jego oczach dostrzegła zaproszenie. Podeszła do niego w milczeniu. W tej chwili to nieme porozumienie było wszystkim, na co było ich stać; usta wysuszone mieli tak, że nie byli w stanie mówić. Brzuch Tavis'a zapadał się, podobnie jak policzki. Jego oddech był płytki i nerwowy. Elizabeth oparła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy. Tutaj umrę. Już się nie podniosę. Ostatnia myśl, jaka przyszła jej do głowy, dotyczyła Tavis'a. Miał rację. Śmierć jest jak zasypianie.

Kiedy usłyszała głosy, ogarnęło ją przerażenie. Pomyślała że to anioły przyszły po jej duszę. Dlaczego mnie opuściłeś?! — krzyczała jej dusza. Dlaczego nie ominęła mnie śmierć? Dlaczego Ty, władco życia i śmierci, nie dałeś mi więcej czasu?

Poczuła, jak unosi się na skrzydłach aniołów.

— Co o tym myślisz?

— Prawdopodobnie odwodnienie.

— Wyglądam ą tak, jakby spali, jakby nadal żyli.

— Żyją... a przynajmniej jedno z nich.

— A ona?

— Bliska śmierci, ale nadal oddycha.

Rozum podpowiadał Elizabeth, że nie była martwą mimo to nie mogła otworzyć oczu ani się odezwać. Nie była nawet pewną czy umysł nie płatał jej figli i czy te głosy nie są tylko wytworem wyobraźni. Chciała się rozplakać, lecz straciła przytomność.

Po jakimś czasie otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą łagodne błękitne oczy, a dopiero potem zarośniętą brodą twarz. Poczuła jak ktoś unosi ją i przysuwa do jej ust kubek z wodą. Ktoś radził jej, żeby piła powoli. Chwyliła dłoń, bardzo dużą i silną,

po czym ją ucałowała.

— Śpij — usłyszała piękny głos. — Nie umrzesz.

Skinęła słabo głową. Nadal trzymała czyjąś dłoń, kiedy zapadła w mocny sen.

Gdy znów odzyskała świadomość, zobaczyła nad sobą znajome błękitne oczy, ale głos był jakiś inny.

— Wyglądasz o wiele lepiej. Na twoich bladych policzkach zaczynają pojawiać się kolory.

— Kim jesteś?

— Rob MacGregor. A ty, Elizabeth Robinson, także masz szkockie nazwisko.

— Skąd wiesz, jak się nazywam?

— Zdradził mi to twój przyjaciel.

— Tavis? — Podniosła się tak szybko, że zakręciło jej się w głowie. Rob popchnął ją na łóżko. — Nie wolno ci wstawać.

— Tavis... Czy nic mu nie jest?

— Zupełnie nic. Dochodzi do siebie szybciej niż ty, ale nie mogę powiedzieć, żeby był w świetnej formie.

Uśmiechnęła się, lecz na jej twarzy widać było zmartwienie.

Elizabeth odzyskała siły przez te kilka dni, kiedy płynęli na Nantucket. Rob powiedział jej, że znajdują się na kanadyjskim statku. Załoga dostrzegła ich na południe od Bermudów i zabrała na pokład. Tawisa widywała bardzo rzadko. W końcu nadszedł dzień, kiedy na horyzoncie pojawiła się Nantucket.

Stali razem na pokładzie, wpatrując się w linię brzegową wyspy. Zastanawiała się, dlaczego w obliczu śmierci stali się sobie tak bliscy, a w prawdziwym życiu byli dla siebie tacy niedostępni. Przyglądała się profilowi ukochanej twarzy. Tavis nie patrzył na nią i nie było to dla niej nic nowego; przez tyle lat widziała przecież w jego oczach niechęć. Zastanawiała się, czy teraz żałuje tego, co wydarzyło się między nimi na łodzi? Czy nic się między nimi nie zmieniło?

Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale przeszkodziło jej głośnie bicie dzwonów. Po chwili załoga zaczęła nadawać sygnały rękami. Elizabeth знаła je wszystkie i wiedziała, że są już bardzo blisko celu. Zmrużyła oczy, osłoniła je ręką przed słońcem i zobaczyła Nantucket.

To był jej dom. Już wkrótce będzie u siebie. Odetchnęła z ulgą, po czym odwróciła się do Tawisa. Chciała podzielić się z nim radością, ale ku zaskoczeniu zobaczyła, że już go nie ma.

Nagle poczuła, że coś straciła. Dlaczego zawsze tak się działo, że kiedy coś

odzyskała, traciła coś innego?

Z zamyślenia wyrwały ją czyjeś kroki. Gdy Tavis stanął obok niej, nie oderwała wzroku od latarni morskiej na cyplu.

— Wszystko wygląda tak samo, nie uważasz? — odezwała się spokojnie. — To dobrze, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

— Ale nie ludzie. Czy to właśnie chciałaś powiedzieć?

Spojrzała na niego, lecz nie potrafiła odczytać uczuć, które kryły się w jego oczach.

— Nie wiem. Znasz kogoś, kto się zmienił?

Tavis odwrócił głowę.

— To co się między nami wydarzyło... Chciałbym, żebyś wiedziała, że gdyby sprawa wyglądała inaczej, gdyby...

— Gdyby — przerwała mu, ponieważ obawiała się tego, co mógł jej powiedzieć; bała się tej zmiany, która w nim zaszła. — Gdyby to takie dziwne słowo, nie uważasz? Tyle od niego zależy, a z drugiej strony nic nie znaczy. Gdyby...

— Elizabeth...

Drgnęła na dźwięk swojego imienia. Liza odeszła w niepamięć. Tavis znów włożył na twarz starą maskę, znów pojawił się między nimi mur.

To, co działo się na łodzi, to już przeszłość. Pozostaną jej tylko wspomnienia, ale czy to jej wystarczy?

Statek przycumował niedaleko cypla. Marynarze rzucili kotwicę, jeszcze zanim znaleźli się przy brzegu. Po chwili do Elizabeth i Tawisa podszedł Rob.

— Spuścimy szalupę, żeby odwieźć was na brzeg. — Spojrzał na nią, potem na niego i dodał: — Dajcie znać, kiedy będziecie gotowi.

Czuła na sobie wzrok Tawisa.

— Daj nam kilka minut — poprosił.

— Po co nam kilka minut więcej? — spytała Elizabeth, i zanim zdążył odpowiedzieć, rzekła: — Powiedz kapitanowi, że jestem gotowa, żeby zejść na ląd.

Rob skinął głową, unosząc dłoń na wysokość czapki, i odszedł.

— Gdybyś chwilę poczekała...

Spojrzała na niego.

— Gdybym! Znów pojawiło się to słowo, które mnie drażni i którego nie mogę znieść. — Odwróciła się do Tawisa plecami i odeszła. Tym razem nie starał się jej zatrzymać.

Kiedy Tavis zaczął schodzić po drabinie splecionej ze sznura, Elizabeth siedziała już w szalupie i spoglądała w stronę wzgórz Wesco, których łagodne zbocza

malowały się w oddali. Gdy usiadł obok niej, nawet na niego nie spojrzała. Kiedy płynęli w stronę wyspy, minęli stado szarych fok. W innej sytuacji uśmiechnęłyby się na widok tych zabawnych zwierząt albo żałowałyby, że nie ma kawałka ryby, żeby rzucić go w stronę ciemnoszarego samca, który trzymał się na uboczu. Ale dzisiaj nic jej nie cieszyło. Poza tym obawiała się spotkania z braćmi; nie wiedziała, jak odpowiedzieć na pytania, które będą jej zadawać.

Wreszcie zerknęła w stronę statków zacumowanych przy brzegu i jej serce podskoczyło z radości. Rozpoznała statek do połowu wielorybów, na którym pływali jej bracia a to oznaczało, że są w domu. Doskonale pamiętała ten dzień, kiedy postanowili wypłynąć na „Lady Anne” w jej ostatnią podróż. Cieszyła się, że może skupić myśli na czymś innym niż na tym, co działo się między nią a Tavisem.

— Wrócili — pomyślała nie zdając sobie sprawy, że wypowiada swoje myśli na głos.

— Kto? — zapytał Tavis.

Nie spojrzała na niego.

— Moi bracia, Abel i Barret.

— Pływali na statku do połowu wielorybów — przypomniał sobie.

— Tak, na „Lady Anne”. — Pomyślała, że prawdopodobnie wszyscy jej bracia wrócili do domu na wieść o zaginięciu siostry. Serce wyrывało jej się z piersi z tęsknoty za rodziną. Przynajmniej ich odzyskałam.

Najwyraźniej Tavis czytał jej w myślach.

— Podejrzewam, że twoi bracia z Maine także są w Nantucket.

— Tak mi się wydaje. Prawdopodobnie wrócili do domu, jak tylko dowiedzieli się, że znikłam z Nantucket — odparła. — Jeżeli „Lady Anna” dopiero przybiła do brzegu, Abel i Barret na pewno jeszcze o niczym nie wiedzą.

— Możesz być pewna, że wiedzą.

Elizabeth spojrzała na Tawisa. Zaciskał usta tak mocno, że aż pobieleły. Zmrużył oczy i patrzył prosto przed siebie. Elizabeth odwróciła głowę w kierunku brzegu i dojrzała ukochane twarze sześciu braci, którzy stali na końcu nabrzeża.

Matt pomógł Elizabeth wsiąść z łódki. Kiedy stała na suchym lądzie, wpadli sobie w ramiona.

— Elizabeth... — Jego głos drżał z emocji. — Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Co się stało? Gdzie byłaś? Nic ci nie jest? — Wypuścił ją z objęć i zaczął jej się uważnie przyglądać.

Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła policzek do jego piersi. Chciała poczuć siłę i bezpieczeństwo, tak jak wtedy gdy była małą dziewczynką. Pamiętała, jak nosił ją na barana. Tak bardzo chciała, żeby te wspomnienia przyćmiły to, co zapamiętała z minionych kilku tygodni.

Ale czuła tylko pustkę i rozczarowanie.

— Mam wam tyle do opowiedzenia — odezwała się w końcu. — Sama nie wiem, od czego zacząć. Najważniejsze, że jestem cała i zdrowa... i jestem taka szczęśliwa, że widzę was razem.

Odsunęła się od Matta i spojrzała na pozostałych braci. Już po chwili wszyscy zaczęli ją ścisnąć. Jednak w pewnej chwili, jak gdyby na rozkaz, spoważnieli i odwrócili głowy w stronę Tawisa Mackinnona.

— Mackinnon — zacznij Matt — co ty robisz... — Cała uprzejmość i sympatia znikły w jednej chwili z twarzy Matta. Po chwili spojrzał na siostrę, a potem znowu na Tawisa.

Elizabeth prawie słyszała myśli starszego brata. Wiedziała, że nie jest głupi. Na pewno wkrótce domyśli się, co zaszło między nią a Mackinnonem, jeśli już tego nie wiedział. Spłonęła rumieńcem Cieszyła się, że Tavis stoi do niej plecami i nie może jej widzieć.

— To nie jest tak, jak myślisz, Matt — zaczęła tłumaczyć w pośpiechu.

Brat spojrzał na nią; na jego twarzy nadal malowało się zaskoczenie.

— Co ty mówisz? O czym miałbym myśleć? — Już po chwili dostrzegła w jego oczach niedowierzanie, a potem stało się to, czego tak bardzo się obawiała. Zacisnął pięści; twarz płonęła mu z gniewu.

— Co miałas na myśli, kiedy powiedziałaś, że to nie jest tak, jak myślisz? — zapytał Barret, podchodząc do siostry. Jego wzrok przewiercał ją na wylot. — Skąd możesz wiedzieć, o czym myślimy?

Elizabeth starała się uspokoić.

— Trochę was znam Zdażyliście już o tym zapomnieć? A nawet gdybym nic o was

nie wiedziała musiałabym być idiotką żeby nie dostrzec tego, co macie wypisane na twarzach Wiem, o czym myślicie i jakie pytanie chcecie mi zadać.

— W porządku. Nie omieszkam go zadać. Jak to się stało, że znalazłaś się z Mackinnonem na jednej łodzi? — zapytał Abel.

Elizabeth wzięła głęboki oddech.

— Mam dużo do opowiadania. To naprawdę długa historia — odparła. Rozejrzała się na nabrzeżu stało wiele osób. — Wolałabym porozmawiać z wami na osobności. Czy możemy pójść do domu? Odpowiem wam tam na wszystkie pytania.

— Wolałbym, żebyś opowiedziała nam wszystko teraz i tutaj — oświadczył Matt. Odwrócił się do Tawisa. — A ty poczekaś z nami, dopóki ona nie skończy.

— Nigdzie mi się nie śpieszy.

Elizabeth spojrzała na Tawisa. Widziała jak napięte są mięśnie jego twarzy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że tylko przez szacunek dla niej nie dał upustu złości i nie sprzeciwił się Mattowi.

— Poczula ostry ból w sercu. Była w domu. Otaczali ją ludzie, których kochała i o których myślała, że już ich nigdy nie zobaczy. Kilka metrów od niej stał mężczyzną którego pragnęła dla którego mogłaby stanąć przeciw swoim braciom Starła się zignorować przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego, coś, co na zawsze odmieni jej życie. Spojrzała na Tawisa z obawą. Szukała jakiegoś znaku, wskazówki. Chciała wierzyć, że wszystko się między nimi ułoży, że bracia nie postąpią nierozsądnie i nie odsuną go od niej.

— Wydaje mi się, że nie spodoba się nam to, co zaraz usłyszymy — stwierdził Barret, krzyżując ręce na piersiach.

— Wydaje mi się, że masz rację — zgodził się Drake.

Elizabeth zerknęła na Tawisa i dostrzegła złość na jego twarzy. Wiedziała że nie lubi, kiedy mówiono mu, jak powinien się zachowywać. Po chwili przyjrzała się twarzom swoich braci i doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli zaraz zacznie mówić.

— Wszystko zaczęło się, kiedy...

Kilka minut później dokończyła swoją opowieść słowami:

— I w ten sposób wróciliśmy do Nantucket. — Rzuciła badawcze spojrzenie każdemu z braci i zrozumiała, że nie spodobała im się jej historia.

— Ukradł twoją łódź? Z tobą na pokładzie? — zapytał Matt ze złością. — Nie zastanawiając się nawet, jak to może się dla ciebie skończyć ani jak to wpłynie na twoją reputację? — Spojrzał na Tawisa. — Powiem ci coś, Mackinnon, jesteś odważnym łajdakiem, skoro tutaj wróciłeś.

Tavis spojrzał na Elizabeth, a potem na Matta. Przez chwilę miała nadzieję, że nie odpowie na te zarzuty, ale jak zwykle ją zaskoczył.

— Nie wydaje mi się, żeby nabrzeże było odpowiednim miejscem na tę rozmowę — odezwał się po długiej chwili milczenia. — Ona dużo przeszła. Nie musimy jej w to mieszać. Kiedy już porozmawiasz z siostrą i nadal będziesz miał do mnie pretensje, złóż mi wizytę. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. — Skinął głową i ruszył przed siebie.

— Myślałem o tobie wiele różnych rzeczy, Mackinnon, ale nigdy nie przypuszczałem, że jesteś tchórzem! — zawołał za nim Mart.

Elizabeth poczuła, jak uchodzi z niej życie. Tavis nie zniesie takiego oskarżenia. Żaden mężczyzna by nie zniósł. Ale on znów ją zaskoczył — nie odezwał się słowem. Przystanął na moment, posłał Mattowi ostre spojrzenie, po czym odszedł.

Wiedziała, że bracia się wściekną.

Słyszała za plecami przekleństwa Haydena. Po chwili padły kolejne obelgi pod adresem Tawisa i usłyszała odgłos ciężkich butów. Hayden, który zawsze był w gorącej wodzie kąpany, ruszył za Tawisem. Chwycił go w pasie masywnym ramieniem i przewrócił.

Elizabeth spojrzała z błaganiem na Stephena, który był najspokojniejszy z jej braci. On zawsze myślał, zanim przechodził do czynów, i nigdy nie poddawał się impulsom chwili. W rodzinie to on zawsze zażegnywał wszelkie spory.

Po chwili Stephen położył rękę na ramieniu Haydena, spoglądając porozumiewawczo na siostrę.

— Hayden... nie daj się zwieść pozorom — powiedział. — I nie rób niczego, czego mógłbyś później żałować.

Hayden strząsnął rękę brata. Jego twarz była czerwona; oddychał nerwowo, na czole pojawiły mu się żyły, a oczy przepelniała wściekłość.

— Żałowałbym, gdybym pozwolił uciec temu tchórzowi. Nie mam zamiaru mu odpuścić — odparł i zacisnął pięść.

Tavis jęknął na widok Drake'a, który krzyknął:

— Uwiodłeś ją, ty bezwstydnym draniu! — I też przyłączył się do walki.

— Nie możesz tego wiedzieć — powiedział Stephen w chwili, gdy Barret zdjął kurtkę i zabrał się do bicia.

Elizabeth krzyknęła przerażona, kiedy Matt przebiegł bok niej, chwycił Tawisa za ramię i trzymając go mocno jedną ręką drugą zaczął okładać mu twarz. Tavis odsunął się, ale już po chwili odzyskał równowagę. Zamachnął się, żeby uderzyć Matta, lecz chybił i rozciął górną wargę Abla Elizabeth nigdy wcześniej nie widziała tyle krwi.

Rozglądała się bezradnie, szukając pomocy.

W krótkim czasie w porcie zebrał się spory dum gapiów. Dziewczyna przyglądała się im z frustracją widząc, że mężczyźni nawet na nią nie patrzą. Najwyraźniej przyglądanie się walce było o wiele bardziej interesujące. Nie wiedziała co zrobić. Jeden przeciwko pięciu; ta walka nie była sprawiedliwa. Spoglądała ze zdumieniem, jak Tavis, mimo krwi leżącej mu z nosa i ust, dzielnie się broni.

Podczas gdy jej ogarnięci złością bracia bili na oślep, on nie tylko doskonale unikał ich ciosów, ale sam zadawał celne razy.

Tak bardzo chciała dołączyć do walki — Gdyby mogła się bić, z łatwością rozładowałaby swój gniew i ból. Ale podobnie jak inne kobiety mogła tylko stać i przyglądać się tej krwawej jatce, kryjąc cierpienie w sercu.

Ani na chwilę nie oderwała oczu od Tawisa. Widziała, że ma podbite oko, rozciętą brew i wargę. Pod wpływem impulsu ruszyła w ich stronę, ale Stephen chwycił ją za ramię.

— Nic nie możesz teraz zrobić — powiedział.

Spojrzała na Tawisa, który właśnie wypluł krew, i krzyknęła:

— Nie pozwolę, żeby go zabili!

— Mogliby to zrobić, ale dobrze wiesz, że tego nie zrobią. Najlepiej pozwolić im dokończyć walkę Elizabeth wcale nie była tego taka pewna. Ponownie spojrzała na Tawisa i wyrwała się z uścisku brata. Pobiegnęła przed siebie, zanim zdążył ją złapać ponownie.

— Przestańcie! — krzyknęła.

Uniosła pięści i zaczęła okładać Matta po plecach.

— Przestań w tej chwili! — Posłała kolejne błagalne spojrzenie Stephenowi, a ten zaczął rozdzielać walczących.

— Trzymaj się od tego z daleko, Stephen — warknął Abel, ocierając krew z twarzy.

— Dosyć! — zawołał Stephen, chwycił Haydena za kołnierz i pociągnął go do tyłu.

Ten zamierzył się na niego, lecz Stephen zrobił unik. Hayden stracił równowagę i upadł.

Elizabeth patrzyła z przerażeniem, jak stacza się po nabrzeżu. Zakryła dłonią usta żeby stłumić krzyk, i po chwili usłyszała plusk.

W tym momencie niespodziewanie pojawili się przyjaciele Tawisa, Nathaniel i Cole. Wspólnie odciągnęli pozostałych braci od Tawisa.

— Przestańcie! Uspokójcie się! — wrzasnął Cole, chwytając Barreta za szyję. —

Co chcecie zrobić? Wdeptać go w ziemię?

Elizabeth stała bezradnie.

Nathaniel odwrócił się do Tawisa i uśmiechnął się.

— Witaj, przyjacielu. Gdzie się podziewałeś?

— Ten sukinsyn uwodził moją siostrę. Właśnie tym był zajęty przez cały czas — warknął Drake.

Nathaniel spojrzał najpierw na Tawisa, potem na Drake'a i znów na Tawisa. Ten milczał. Wziął od Cole'a chusteczkę i otarł nią krew z twarzy przyjaciela.

— Ukradł jej łódź i porwał ją — dodał Barret. Wyrwał się Stephenowi i zaczął poprawiać koszulę. — Ale to mu nie wy starczyło, bo...

— Nie mamy na to żadnych dowodów — przerwał mu Stephen.

Barret spojrzał na niego wściekle.

Cole chciał się odezwać, ale do rozmowy wtrącił się Hayden, który zdążył wspiąć się na brzeg.

— Jak możesz tak mówić? — Spojrzał oskarżycielsko na brata. Woda ociekała z jego ubrania oraz włosów, twarz miał rozciętą w kilku miejscach. — Dobrze wiesz, jaką on ma reputację. Uwiódł ją. Nawet temu nie zaprzeczy, prawda, Mackinnon?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę Tawisa, ale on nie odezwał się słowem. Jego zachowanie nie zaskoczyło Elizabeth. Właśnie tego się po nim spodziewała.

— Widzisz? — powiedział Abel. — Spójrz na jego twarz. Jest winny i dobrze o tym wie.

— Cisza nie zawsze oznacza winę — stwierdził Cole.

— Może nie dla ciebie, ale dla mnie jak najbardziej.

— Uwiódł ją, a my nie pozwolimy, żeby uszło mu to na sucho — dodał Barret.

— Będziemy bronić honoru siostry — wtrącił Hayden.

— Może wrócimy do domu i przedyskutujemy wszystko w spokoju? Nie mamy pewności co do tego, co się wydarzyło — odezwał się Stephen.

— Mamy pewność! Popatrz na jej twarz — powiedział Barret. — Nawet teraz ma diabelskie znaki na szyi! — Chwycił ją i przyciągnął do siebie. Gwałtownie odsunął jej włosy i odsłonił kołnierz. — Zobacz! — wykrzyknął.

Elizabeth czuła na sobie spojrzenia wszystkich ludzi, którzy znajdowali się w pobliżu.

Świadomość winy zawsze wydaje winnego. Dziewczyna odwróciła głowę, a dłonią zasłoniła szyję. Czuła jak ogarniają wstyd, a twarz jej pąsowieje.

— Widzisz? — rzucił Drake. — Nawet ty nie możesz temu zaprzeczyć.

— Elizabeth... — odezwał się Stephen błagalnym głosem.

Wyraz jego twarzy wiódł jak u zgubie. Nawet sam potężny Neptun władający wszystkimi oceanami nie mógłby zmyć z niej wstydu i winy. Wiedziała że bracia znów poczuli zew krwi i nie będą usatysfakcjonowani, dopóki się nie zemszczą.

— Nie. — Miała ochotę zapaść się pod ziemię albo po prostu umrzeć. Nawet śmierć nie byłaby tak bolesna, tak straszna jak ta chwila. Śmierć oszczędziłaby jej wstydu, byłaby doskonałą drogą wyjścia. — Nic nie rozumiecie — dodała, potrząsając głową. — Żaden z was nic nie rozumie.

— W takim razie wytłumacz nam — poprosił Stephen. — Po wiedz nam, co się wydarzyło.

Spojrzała na Tawisa i nie mogła już dłużej udawać. Rozpłakała się.

— Po co? Żebyście mogli odebrać mi coś pięknego i podeptać to? Czy tego właśnie chcecie? Rozejrzyjcie się. Zobaczcie, co zrobiliście. Ośmieszyliście mnie przed wszystkimi, którzy tutaj stoją. Czy dzięki temu czujecie się teraz lepiej? Czy to załatwia sprawę? Jesteście zadowoleni? Czy to przywróci wam moje dziewictwo?

Zrobiła to. Powiedziała im to, co chcieli usłyszeć. Wyznała prawdę nie tylko im, ale także połowie mieszkańców Nantucket. To dziwne. Na początku wydawało jej się, że te słowa usatysfakcjonują braci, a tymczasem dostrzegła na ich twarzach jedynie szok... szok i poczucie winy.

Mężczyźni z rodu Robinsonów zawsze byli w gorącej wodzie kąpani, tak mawiał jej ojciec.

Nigdy nie wierzyła w to bardziej niż w tej chwili.

— Elizabeth — odezwał się Mart. W jego oczach dostrzegła poczucie winy, a w głosie słyszała przeprosiny.

Mimo to odwróciła się i zaczęła biec wzdłuż nabrzeża.

Kiedy weszła do domu, udała się prosto do swojego pokoju. Sally i Meg natychmiast przybiegły i położyły się obok niej na łóżku. Po chwili milczenia Meg zadała pierwsze pytanie:

— Lizbeth, gdzie jest twoja cnota?

— Meg! — upomniała ją Sally.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała Elizabeth.

— Słyszałam, jak Barret mówił papie, że ją straciłaś, dlatego chciałam wiedzieć, gdzie ona teraz jest.

— Nie straciłam jej — odparła Elizabeth. — Po prostu zapodziała się gdzieś na

pewien czas.

— Och — odparła Meg, lecz Sally tak głośno się śmiała, że Elizabeth nie usłyszała jej odpowiedzi.

Elizabeth wzięła kąpiel i umyła włosy, a potem ubrała się w prostą ale bardzo ładną sukienkę. Zeszła na dół i niczym królowa czekała na egzekucję. Jej blond włosy, upięte na czubku głowy, przypominały złotą koronę. Wreszcie bracia oraz ojciec zeszli na dół. Po chwili Meg ? i Sally wpadły do pokoju.

— Wynocha — rozkazał Samuel.

— Ale my chcemy być z Lizbeth — upierała się Sally.

— Dobrze wiem, czego chcecie — odparł Samuel. — Chcecie zaspokoić swoją ciekawość.

— I tak możemy to zrobić — odezwała się Meg. — Możemy podsłuchiwać was przez rurę od pieca, który stoi w kuchni.

Sally uniosła rękę, żeby zasłonić usta młodszej siostrze, lecz było na to za późno.

Samuel spojrzał na nie surowo.

— Macie obie stąd wyjść — polecił. — Możecie iść wszędzie, byleby nie do kuchni.

— Papla — zdenerwowała się na siostrę Sally.

— Nieprawda — odparła Meg, wychodząc za nią z pokoju. Samuel spojrzał na Elizabeth, która wiedziała, że cieszy się z jej powrotu. Już wkrótce okazało się, że ojciec jest o wiele mądrzejszy niż jego synowie.

Kiedy wysłuchał całej historii, długo się nie odzywał. Już myślała, że nie wytrzyma napięcia i zacznie krzyczeć.

— Kochasz go? — odezwał się w końcu.

Zauważyła, że nie ma Matta.

— Elizabeth, czy ty go kochasz? — powtórzył pytanie ojciec. Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Barret:

— Czy ona go kocha? Dobry Boże! — Wzniósł ręce do nieba jakby wołał o pomstę. — Ona go kocha odkąd skończyła jedenaście lat. To nie jest w tej chwili takie ważne.

— To jest ważniejsze niż cokolwiek innego — stwierdził Stephen, spoglądając po kolei na każdego brata. — Co się z wami dzieje? Straciliście rozum? Staracie się zmusić naszą siostrę do małżeństwa i uważacie, że miłość nie jest najważniejsza?

— Ona go kocha i wszyscy dobrze o tym wiemy — rzekł Abel. — To mi wystarczy.

— Cudownie! Właśnie taką odpowiedź chciałem usłyszeć. Wszystko pięknie, tylko to nie ty masz wyjść za niego za męża.

— Możecie przestać? Możecie przestać rozmawiać tak, jak gdyby mnie tutaj nie było? — przerwała im Elizabeth. — Czy nikt nie zamierza mnie zapytać, co ja o tym wszystkim myślę? Czy nikt nie pomyślał, że mam prawo zaangażować się w planowanie własnego życia?

— Więc? — zapytał Stephen, przyglądając się uważnie twarzom braci. — Czy ma takie prawo?

— W takim razie powiedz nam, co o tym myślisz, Elizabeth — poprosił ją ojciec.

— Powiem wam, co o tym wszystkim sędzę — odparła. — Rujnujcie moje życie dobrymi intencjami. Ja nie myślę tak jak wy. Nie chcę tego co wy. Żaden z was nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobiliście. Ja nie chcę wyjść za niego za męż... Nie wyjdę za niego. Nie teraz. Nie w taki sposób.

— Nie pytajcie jej o zdanie — powiedział Abel. — Ona sama nie wie, czego chce.

— A ty to wiesz? — zapytała. Posłała mu takie spojrzenie, że bratu zrobiło się głupio i odwrócił od niej wzrok.

— Możemy nie wiedzieć, czego chcesz, ale wiemy z całą pewnością, czego ci potrzeba — stwierdził Barret.

— Masz na myśli małżeństwo? — zapytała. To dziwne, że czterej żonaci bracia ze wszystkich sił starali się ją wyswatać, podczas gdy dwaj kawalerzy, Stephen i Matt... no cóż, Stephen z pewnością był po jej stronie. Ale Matt? Nadal był nieobecny.

— Do diabła tak, mam na myśli małżeństwo — zaklął Barret. — Dobrze wiesz, że małżeństwo jest najlepszym wyjściem z tej sytuacji.

— Jakiej sytuacji? — zapytała ponownie.

— Wiesz, co mam na myśli — nie dawał za wygraną Barret. — Wiesz także, że mam prawo oczekiwać od tego drania żeby się z tobą ożenił.

— Właśnie, że tego nie wiem Jestem tylko pewna, że nie chcę wyjść za niego za męż. Nie stanę z nim przed ołtarzem bez względu na to, ile razy będzie prosił mnie o rękę. Nie zmusicie mnie do tego.

— Ale ja mogę to zrobić — powiedział Samuel, podnosząc się gniewnie z krzesła. — Wyjdiesz za niego za męż, jeżeli ja ci tak każę.

Stephen pociągnął ojca za rękaw i potrząsnął głową. Samuel spojrzał na córkę, potem na niego, pokręcił głową z niedowierzaniem i usiadł.

— Nie chciałbym zadawać ci tego pytania ale muszę — zwrócił się do siostry Stephen. — Elizabeth, czy istnieje możliwość, że zaszłaś w ciążę?

Zrobiło jej się słabo. Po chwili poczuła się strasznie głupio. Dziecko, pomyślała. Ale ze mnie idiotka! Z trudem spojrzała na brata, któremu najwyraźniej także

odebrało mowę.

Powoli wstała z krzesła i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i przez chwilę wyglądała na ulicę. Jakie to dziwne, że podczas gdy jej świat wali się w gruzy, tam wszystko toczy się swoim własnym życiem.

Po drugiej stronie ulicy pani Mayhew zamiatała krużganek, podczas gdy mały Oliver Stretor gonił siostrę po chodniku. Pani Peterson przycinała róże i jak zwykle mówiła przy tym do siebie. Abe Folger rozmawiała z kapitanem Wyere'em, który wrócił do domu po długiej podróży, podczas gdy dwa piętra nad nimi pani Swain siedziała z uchem przyklejonym do szyby w sypialni i starała się coś usłyszeć.

— To nie ma znaczenia — odezwała się w końcu. Opuściła z powrotem zasłonę i odwróciła się powoli. — Nie chcę wyjść za mąż za mężczyznę, który mnie nie chce.

— Może teraz cię nie chce, ale wtedy pragnął cię jak diabli — zdenerwował się Hayden.

— Powinniśmy zabić drania — stwierdził Barret.

— Zrobię to, jeżeli okaże się, że nosi jego dziecko — odparł Drake.

W tej chwili do pokoju, utykając na jedną nogę, wszedł Matt.

Jego twarz była poobijana i podrapana podobnie jak twarze pozostałych braci.

— Gdzie byłeś? — zapytał Samuel.

— Planowałem wesele — odparł Matt.

Elizabeth westchnęła i położyła ręce na piersiach — Nie zrobiłeś tego.

Matt skinął głową.

— Zrobiłem. Zaraz po tej scenie na nabrzeżu.

Dziewczyna jęknęła.

— Nie wierzę, że mogłeś zrobić coś takiego.

— Zgodził się? — zapytał Drake.

Matt ponownie skinął głową.

— Myślisz, że nie ucieknie? — zapytał Abel.

— Jego przyjaciele tego dopilnują. Na szczęście chociaż Nathaniel i Cole rozumieją powagę sytuacji.

Elizabeth nigdy w życiu nie była tak wściekła i tak zraniona.

— Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiliście! Moi rodzeni bracia! Myślałam, że mnie kochacie.

— Kochamy cię — zapewnił ją Stephen.

— Może ty mnie kochasz, ale oni na pewno nie — powiedziała, spoglądając wściekle na pozostałą piątkę.

— Nie było innego wyjścia, Elizabeth — stwierdził Matt.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Jak to nie było innego wyjścia?! — krzyczała.

— Mogłeś pozwolić, żeby życie potoczyło się swoim własnym torem. Prawie zatłukłeś go na śmierć! Czy to ci nie wystarczyło?

— Dlaczego starasz się go ochronić? — zapytał Barret.

— Bo go kocha, tępa głowo — odparł Hayden — Nawet głupiec by to zauważył.

— Powinniśmy byli zabić drania — nalegał Abel.

— Dlaczego?! — wrzasnęła Elizabeth, rzucając mu wściekłe spojrzenie. — Bo jest podobny do ciebie?

Abel spojrzał na nią zaskoczony.

— Do mnie?

— Właśnie do ciebie — odparła. — Już zapomniałeś, jak długo nie mogłeś się zdecydować na małżeństwo? Ile miałaś kobiet, zanim stanąłeś przed ołtarzem?

Abel najwyraźniej jej nie słuchał, ponieważ powtórzył tylko:

— Uważasz, że Tavis Mackinnon jest taki jak ja?

— Kropka w kropkę — zawyrokowała.

Z niezrozumiałych powodów Abel wyglądał na zadowolonego.

Elizabeth spojrzała na Haydena Ten także zauważył idiotyczny wyraz twarzy brata. Zerknął w stronę Barreta i powiedział:

— On ma rację. Powinniśmy go zabić.

— Czy przemoc jest odpowiedzią na wszystkie wasze problemy?! — zawołała. — Czy to jedyny sposób, w jaki mężczyźni potrafią załatwić sprawę? Czy kiedykolwiek słyszeliście o rozmowie albo o zrozumieniu?

— Uspokój się, Elizabeth — wtrącił się ojciec. — Hayden tylko żartował.

— On nie żartował. A nawet jeśli to był żart, nie wydał mi się śmieszny. To nie jest sytuacja, z której powinno się stroić żarty. Gdyby w tej chwili ważyły się twoje losy, ty też nie śmiałybyś się z takich głupich żartów.

Samuel jeszcze raz spróbował załagodzić sytuację.

— Elizabeth, uspokój się i postaraj się ich zrozumieć.

— Dlaczego im tego nie powiesz? — zapytała wskazując oskarżycielskim gestem w stronę braci.

Ojciec zignorował ten wybuch złości.

— W tej chwili każdy mieszkaniec tej wyspy wie, co zdarzyło się pomiędzy tobą i Mackinnonem i...

— I tu masz rację. Wszyscy o tym wiedzą. A kto im o tym powiedział? Wy! — krzyknęła, spoglądając na braci. — I ty — dodała, odwracając się do ojca —

ponieważ tak źle ich wychowałeś.

— Elizabeth, uspokój się — poprosił Matt.

— Po co? Żebyście mogli poprowadzić mnie na szafot niczym złęknioną owieczkę? Żebyście mogli mnie zmusić do czegoś, na co nie mam ochoty?

— Żebyśmy mogli wlać do tej twojej ślicznej szalonej głowy trochę zdrowego rozsądku. Jeżeli się nad tym zastanowisz, zrozumiesz, że nie ma innego wyjścia — odparł Matt.

— Dlaczego? Bo tak się wam podoba?

— Podoba się nam? Mackinnon nie jest dla ciebie wystarczająco dobry i wszyscy o tym wiemy — wyjaśnił Drake.

— Nie przekonaliście mnie — powiedziała. — Najwyraźniej jest w nim coś, co wam się podoba. Bo inaczej jaki mielibyście powód, żeby zmuszać nas do małżeństwa?

— Robimy to dla ciebie — odparł Matt. — Mamy na uwadze tylko to, co jest dla ciebie najlepsze.

— W takim razie niech mi pomogą niebiosa. — Wzniosła oczy do nieba. Wstała z krzesła; łzy spływały po jej policzkach. — On mi nigdy tego nie wybaczy. Nigdy. — Skierowała się do drzwi.

— Elizabeth! — zawołał za nią Stephen.

Potrząsnęła głową i machnęła z rezygnacją ręką.

— Już za późno — powiedziała, nie zatrzymując się ani na chwilę. Nawet nie odwróciła się, żeby na nich spojrzeć.

— A co będzie, jeżeli jesteś w ciąży? — zapytał Matt.

Zatrzymała się i odwróciła.

— To nie ma żadnego znaczenia. Nie znasz go tak dobrze jak ja. Gdybyście trzymali się od tego z daleka, gdybyście dali nam trochę czasu... — Roześmiała się smutno, bo coś sobie przypomniała. — Gdyby — powiedziała z naciskiem. — Znów to przekłete słowo. Gdyby mnie kochał... Gdyby pragnął tego małżeństwa... Gdyby chciał, żeby się nam udało... Ale on tego nie chce i znajdzie sposób, żeby dać mi o tym znać.

Po tych słowach wybiegła z pokoju.

— Nic jej nie będzie — rzekł ojciec. — Kiedy odpocznie i wszystko jeszcze raz przemyśli, zrozumie, że postąpiliście słusznie. Dajcie jej kilka dni, a przekona się do tego małżeństwa.

— Obyś miał rację — rzucił Matt.

— Niech nam Bóg pomoże, jeżeli będzie inaczej — dodał Stephen.

Elizabeth była zmienna jak każda kobieta.

Przez długi miesiąc zaklinała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż za Tavisę, ale w końcu i tak stanęła z nim przed ołtarzem.

Na początku opierała się braciom i ojcu i kilka razy dziennie powtarzała im, że nie zamiaru wychodzić za Tavisę Mackinnona.

Kiedy Matt oznajmił, że wątpi w jej odmowę, i stwierdził, że już wkrótce zmieni zdanie, poinformowała go, że będzie stawiać opór tak długo, aż wyzionie ducha.

— Nic nie nakłoni mnie do małżeństwa z tym człowiekiem — powtarzała, tupiąc nogą. — Absolutnie nic.

Ale myliła się.

Dwa tygodnie po tej okropnej naradzie rodzinnej przypomniała sobie, o co zapytał ją Stephen. Jeżeli naprawdę była w ciąży? Co mogła zrobić? Jak powie o tym Tavisowi? Jaka będzie jego reakcja?

Znienawidzi ją. Była tego pewna.

Już teraz cię nienawidzi, więc czy to ma jakieś znaczenie?

Westchnęła z rezygnacją. Wiedziała, że urodzi jego dziecko. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Tak naprawdę jeszcze nic na to nie wskazywało, ale życie nie obchodziło się z nią lekko. Nigdy nie ominęło jej żadne nieszczęście.

Mijały tygodnie, a ona nadal nie miała miesiączki. Była pewna tego, czego tak bardzo obawiali się jej bracia. Będzie miała dziecko.

To dziwne, jak zmieniło się jej życie. Od powrotu do Nantucket nie oddalała się zbyt często od domu. Teraz to Sally i Meg robiły zakupy załatwiały sprawy w mieście, podczas gdy ona zostawała w domu pod pretekstem robienia wiosennych porządków — Ale wiosna już się dawno skończyła — powiedziała jej kiedyś Meg. Jej piękne brązowe oczy z uwagą wpatrywały się w siostrę. Mamy początek lata. Przesilenie wiosenne było już dawno temu.

Przesilenie wiosenne? Zdziwiona Elizabeth spojrzała na Meg. Czy miała przed sobą kolejną kobietę astronoma w rodzinie? — W porządku. W takim razie mam zamiar zabrać się za letnie porządki. Czy ten zwrot bardziej ci odpowiada?

Meg skinęła głową.

— Tak, ale ja wiem, że to nie jest prawdziwy powód, dla którego nie chcesz wyjść z domu. Boisz się, że możesz spotkać Tavisę, i martwisz się tym, co mogą mówić o tobie ludzie, ponieważ straciłaś cnotę.

— Czy istnieje jakiś szczegół mojego prywatnego życia o którym nie jesteś poinformowana?

— Nie. Wiem wszystko, ponieważ przeczytałam twoje pamiętniki, kiedy byłaś daleko od domu. — Po tych słowach natychmiast wybiegła z pokoju.

Po wyjściu młodszej siostry Elizabeth włożyła fartuszek, wzięła szczotkę, ścierkę do kurzu i zabrała się do sprzątanania. Po kilku minutach ogarnęły ją jednak takie mdłości, że musiała usiąść. Kwadrans później, kiedy przyszła ją odwiedzić przyjaciółka, leżała na sofie w salonie.

— Co ci się stało? — zapytała Rebecca, wchodząc do pokoju.

— Źle się czuję — wyjaśniła Elizabeth.

— Może powinnaś wybrać się do lekarza.

— Nie jestem chora. Po prostu jest mi niedobrze, to wszystko. Zazwyczaj te nudności mijają po półgodzinie.

Rebecca uniosła brwi.

— Zazwyczaj? Chcesz mi powiedzieć, że zdarzyło ci się to już wcześniej?

— W ciągu ostatniego tygodnia kilka razy.

Rebecca otworzyła szeroko oczy.

— Chyba jednak powinnaś zobaczyć się z lekarzem. I to zaraz.

— Dlaczego?

— Ponieważ wydaje mi się, że jesteś w ciąży. Czy miałaś już miesiączkę?

Elizabeth usiadła. Jej twarz pobladła jeszcze bardziej, serce biło szybciej niż zazwyczaj.

— Nigdy nie uda mi się niczego przed tobą ukryć. Mam rację?

— Pójdiesz do lekarza?

Elizabeth spojrzała sceptycznie na przyjaciółkę.

— Po co? Przecież wiem, dlaczego mam te nudności, i żaden lekarz nie będzie w stanie nic na to poradzić.

— Uważam, że powinnaś pójść.

— A ty byś poszła, gdybyś znalazła się na moim miejscu?

Rebecca rozważała przez chwilę słowa przyjaciółki, po czym westchnęła.

— Nie. Wydaje mi się, że bym nie poszła — odparła bezradnie. — Ale skoro nie chcesz widzieć się z lekarzem i nie masz zamiaru wychodzić za mąż za Tavisę, to co zrobisz?

— Nie wiem.

— Musisz powiedzieć ojcu. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak, wiem o tym. — Elizabeth wyglądała na przygnębioną. — Ale wcale nie

mam na to ochoty.

— Ja też bym nie miała, gdybym była na twoim miejscu.

— No cóż, przynajmniej nie muszę mówić mu o tym od razu.

Rebecca zmarszczyła czoło.

— Będziesz musiała powiedzieć mu o tym już wkrótce. Nie możesz do końca życia ukrywać tego dziecka w tajemnicy przed światem. Twoje ciało i tak cię zdradzi.

Elizabeth zrobiło się niedobrze.

— Powinnaś wyjść za niego — poradziła jej przyjaciółka. — Prędzej czy później będziesz musiała to zrobić.

— Kiedy ja nie chcę.

— W porządku, ale i tak wcześniej czy później to zrobisz. Musisz zacząć myśleć o dziecku.

Elizabeth wstała z sofy i zaczęła chodzić po pokoju. Dziecko...

— Nie chcę wychodzić za niego za mąż z tego powodu. I tak byłby wściekły, gdyby go zmuszono do małżeństwa ze mną. Możesz sobie wyobrazić, co zrobi, jeżeli dostanie żonę z dzieckiem?

— Moim zdaniem, powinien był wcześniej o tym pomyśleć. Nie znalazłaś się w takim położeniu jedynie w konsekwencji swoich czynów. Nie zaszłaś w ciążę całkiem sama. On maczał w tym palce. — Rebecca zamilkła i roześmiała się. — Może nie dosłownie palce...

Elizabeth rzuciła w nią poduszką.

— Chyba jesteśmy nienormalne — stwierdziła. — Jak możemy się śmiać w takiej chwili?

— A dlaczego miałybyśmy tego nie robić?

Elizabeth spoważniała.

— Och, Rebecco. Co ja mam zrobić? Czy widzisz jakieś wyjście z tej sytuacji?

— Powiem ci, co o tym wszystkim myślę, ale ty i tak mnie nie posłuchasz. Moim zdaniem, jeżeli dziecko jest w drodze, zawarcie małżeństwa jest jedynym i najlepszym rozwiązaniem. — Rebecca wzięła przyjaciółkę za rękę. — Chodź, pójdziemy na spacer.

— Teraz?

— Oczywiście. Chyba nie masz zamiaru spędzić tego cudownego dnia na odkurzaniu i sprzątaniu tego salonu?

— Chyba nie.

Elizabeth wyglądała na załamana. Spojrzała z błaganiem na przyjaciółkę, po czym

westchnęła ciężko i usiadła na kanapie. Rebecca miała rację. Nie chciała sprzątać salonu, lecz nie miała również ochoty na spacer. Chciała zostać w domu i użalać się nad sobą. Pomyślała że może przejdą do kuchni i poplotkują trochę przy herbacie, ale wiedziała że przyjaciółka i tak wyciągnie ją na spacer.

Po spacerze Elizabeth postanowiła odwiedzić dziadka. Tak bardzo chciała porozmawiać z kimś, kto by ją zrozumiał.

Ruszyła przed siebie w kierunku latarni morskiej. Kiedy szła po piaszczystej ścieżce pomiędzy rzadkimi kępami morskiej trawy, tuż nad jej głową krążyły mewy, a ich głosy wzbijały się w jasne bezchmurne niebo. Pod nogami skakały pasikoniki koloru piasku. Czarne kaczki karmiły swoje pisklęta. Wszędzie dookoła leżały małe dzikie śliwki. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś specjalnie rozsypał po ziemi owoce, żeby zatrzymać ptaki na miejscu.

Kiedy skończyły się wydmy, Elizabeth ujrzała latarnię morską. Asa siedział przed drzwiami, czytając gazetę i wygrzewając się w słońcu.

Podniósł wzrok znad gazety i spojrzał w stronę wnuczki, chroniąc oczy przed słońcem. Nawet z tej odległości Elizabeth rozpoznała, że już o wszystkim wie.

I to boleło ją najbardziej. W oczach dziadka chciała być doskonała, a tymczasem on już wiedział, że taka nie jest. Czowała na sobie jego ostre spojrzenie. Miała wrażenie, jak gdyby oczy staruszka przewiercały ją na wylot. Stała bez ruchu, patrząc na niego, a serce biło jej niczym szalone.

— Cześć, dziadku. Wygląda na to, że miło spędzasz dzień — powiedziała.

Asa odłożył gazetę.

— W moim wieku każdy dzień jest miły — odparł. Jego spojrzenie złagodniało.

— No dobrze — dodał po chwili. — Jakie kłopoty cię tutaj sprowadziły?

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Jestem zaskoczona, że pytasz, bo przecież dobrze wiesz.

Dziadek milczał.

— Skąd wiedziałeś? — spytała.

— Twoja nieobecność o wszystkim mi opowiedziała — odparł. — Długo mnie nie odwiedzałaś.

— Byłam zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć ci w oczy.

— Myślałaś, że mógłbym przestać cię kochać?

Potrząsnęła głową. Przypomniała sobie, jak zawsze marzyła, żeby w niebieskich oczach dziadka dostrzec dumę. Wiedziała, że to, co zrobiła nie mogło napawać go dumą, ale też nic na świecie nie mogło sprawić, żeby przestał ją kochać. Spojrzała na

jego twarz i odnalazła w niej to samo zrozumienie i tę samą miłość, którą zawsze ją darzył.

— Zawsze byliśmy pokrewnymi duszami, ty i ja — powiedziała.

— Chcesz o tym porozmawiać?

Elizabeth poczuła, jak ściska się jej gardło. Nikt nie potrafił doprowadzać ją do łez z taką łatwością jak dziadek. Żałowała, że nie potrafiła cofnąć czasu, że nie może być znów małą dziewczynką. W tamtych czasach, kiedy kolana dziadka były tak rozległe jak Atlantyk i mogła się na nich kołysać, życie było takie proste. Skinęła głową.

— Wiem, że ciężko jest rozmawiać, kiedy ma się wrażenie, że cały świat ścisnął się człowiekowi na gardle — powiedział Asa. — Ale cisza nie ukoji cierpienia. Znalazłaś się w trudnej sytuacji. Nie wiesz, co zrobić. — Jego spojrzenie było pełne zrozumienia. — Nic nie potoczyło się tak, jakbyś sobie tego życzyła. Mam rację?

— Tak — przytaknęła. — Masz rację. Kocham Tavisę. Przez całe życie myślałam, że nie ma nic lepszego niż zostanie jego żoną, ale teraz, kiedy mam ku temu sposobność, zrozumiałam, jak bardzo się myliłam. Na świecie istnieje coś lepszego niż małżeństwo z Mackinnonem. To miłość.

— Jeżeli nie możesz zdobyć jego miłości, nie chcesz od niego nic poza tym? O to chodzi?

— Tak, tak mi się wydaje, ale sposób, w jaki to przedstawiłeś... No cóż, to zabrzmiało jak propozycja dobicia targu. Wszystko albo nic.

— Tak naprawdę w wielu kwestiach małżeństwo przypomina propozycję dobicia targu.

— Ale jest w tym coś więcej.

— I, twoim zdaniem, nie dostaniesz tego od Mackinnona?

— Nie, jeżeli zostanie zmuszony do małżeństwa. Potrzebuję trochę czasu, dziadku. Wiem, że mógłby się we mnie zakochać. Gdybym miała tylko trochę czasu.

— A czas jest jedyną rzeczą, której nie masz. — Asa potrząsnął smutno głową. — Jednak z drugiej strony nie możesz tego ciągnąć w nieskończoność. Bardzo mi przykro, że muszę ci to powiedzieć, ale musisz podjąć decyzję. Chyba nie zapomniałaś o małżeństwie?

Elizabeth skinęła głową; w jej oczach zabłyszczały łzy.

— Ja... wydaje mi się, że jestem za bardzo pochłonięta własnym cierpieniem, żeby móc myśleć o czymkolwiek innym. — Uklękła przed staruszką i położyła ręce na jego kolanach. — Och, dziadku, dlaczego w życiu musi być tyle rozpaczy?

— Rozpacz nie trwa wiecznie i dobrze o tym wiesz.

— Obawiam się, że moja rozpacz nigdy się nie skończy.

— Czy to nie ty opowiadałaś mi kiedyś, jak to ciotka Phoebe powiedziała ci, że należysz do rodu Brewsterów i że kobiety w tej rodzinie są niezależne i mają silną wolę?

Elizabeth skinęła głową.

— Zapomniała ci tylko powiedzieć, że kobiety z rodu Brewsterów są uparte, zaborcze, zawzięte i z góry skazane na cierpienie... o którym zazwyczaj udaje im się z czasem zapomnieć.

Elizabeth westchnęła.

— Chciałabym mieć więcej cech Robinsonów.

Asa zmierzwił jasne włosy Elizabeth.

— Niestety zdarzają się każdemu, nawet Robinsonom. Nikt nie potrafi przed nimi uciec.

— Wiem o tym, ale moje własne kłopoty w zupełności mi wystarczą. Nie mogę przejmować się problemami innych, kiedy sama jestem pogrążona w rozpacz.

— Nie trać odwagi. — Asa poklepał wnuczkę po ręce.

— Nie jestem pewna, czy sobie z tym wszystkim poradzę. Małżeństwo z rozsądku i narodziny dziecka... Już przed nikim nie ukryję mojego wstydu.

— I tak wszyscy już wszystko wiedzą.

— To zbyt wiele, dziadku. Zbyt wiele.

— Jest tylko jedna rzecz gorsza od nieszczęścia, niemożność poradzenia sobie z nim. Jesteś ze stali, Elizabeth.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Kiedyś też tak myślałam, ale tym razem nie jestem tego pewna. Teraz mam wrażenie, że obarczono mnie czymś zbyt ciężkim... żebym mogła sobie z tym poradzić.

— Jesteś młoda, ale bardzo silna — zapewnił ją Asa.

— I należę do rodziny Brewsterów. Ale nawet Brewsterowie czasem czują wstyd — dodała Elizabeth nieobecny głosem.

— Wstyd jest ozdobą młodości — stwierdził. — Wyrośniesz z niego.

Dziewczyna spojrzała na dziadka z powątpiewaniem.

— Wyrosnę z tego? Kto tak twierdzi?

— Arystoteles.

Jej spojrzenie przybrało sceptyczny wyraz.

— Nie wiedziałam, że czytałeś Arystotelesa.

Staruszek uśmiechnął się.

— A niby skąd miałbym czerpać wiedzę, która powinna przychodzić z wiekiem?

Starła się uśmiechnąć, ale smutek jest balastem, którego nie można tak po prostu się pozbyć.

Czuła, jak uchodzi z niej chęć walki. Westchnęła i odniosła wrażenie, że razem z tym westchnieniem uwalnia resztki oporu. Spojrzała na dziadka.

— Wiem, o czym myślisz.

— Naprawdę?

— Tak. Wyglądasz tak, jak gdybyś od dawna wiedział, co postanowię — odparła.

— Wiedziałem, że potrafisz podejmować słuszne decyzje — stwierdził Asa. — Zawsze byłaś mądrą dziewczynką. I nigdy w życiu nie starałaś się uciekać przez problemami.

— Może masz rację, ale chciałabym wiedzieć, gdzie jest napisane, że muszę je przyciągać.

Asa wyglądał tak, jakby miał się roześmiać.

— Wydaje mi się, że w twoim sercu... ponieważ właśnie tam zaczyna się większość twoich problemów — powiedział.

Elizabeth westchnęła i wydała cichy jęk. Oparła głowę na kolanach dziadka, a on położył dłonie na jej włosach. Czuła jak z tych starych rąk spływa na nią siła.

— Czy to byłoby takie złe, gdybyś wyszła za mąż za Tavisę? — zapytał. — Pamiętam czasy, kiedy wierzyłaś, że zawsze po deszczu na niebie musi pojawić się tęcza i że każdy ma swój promyk nadziei.

— Nie jestem pewną czy nadal w to wierzę. Minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz widziałam tęczę — odparła.

Jej słowa najwyraźniej go zaskoczyły. Dostrzegła niepokój na ukochanej twarzy i poczuła się winna. Nie chciała dostarczać dziadkowi zmartwień. Chciała posłać mu pogodne spojrzenie, ale nawet tego nie była w stanie zrobić.

— Chyba się nie poddajesz? Gdzie jest twoja wiara Elizabeth? Masz przed sobą całą przyszłość i masz wybór. Możesz wyjść za mąż za Tavisę albo mu odmówić. Niewiele osób może podejmować takie decyzje. Uważam, że powinnaś wszystko przemyśleć jeszcze raz. Nie ma czasu na użalanie się nad sobą. Poza tym zawsze potrafiłaś we wszystkim dostrzegać pozytywne strony. Dlaczego nie spróbujesz spojrzeć w ten sposób na małżeństwo z Mackinnonem? Przyjrzyj się plusom tego związku. Poszukaj tęczy, Elizabeth. Ona tylko czeka żebyś ją dostrzegła.

Dziewczyna spojrzała na staruszkę i poczuła, jak przytłaczający smutek, który

ogarniał ją przez kilka ostatnich dni, odchodzi w dal.

— Mógłbyś przekonać wilka, żeby został jarosem — stwierdziła, patrząc przed siebie. Zastanawiała się, dlaczego kiedy z nim rozmawia, życie wydaje jej się lepsze. Na nowo ogarnął ją optymizm i nic już nie mogło tego zmienić.

W jednym dziadek się pomylił. Kobiety z rodu Brewsterów były znane z nagłych przyptyków optymizmu, kiedy znajdowały się w największej opresji.

— To dziwne, ale czuję się o wiele lepiej.

— To znaczy, że podjęłaś decyzję?

— Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miała wybór. Życie u boku Tawisa ze świadomością, że mnie nie kocha, będzie bardzo trudne. Ale stracenie go na zawsze byłoby jeszcze trudniejsze. Jak mogłabym pozwolić mu odejść i zatrzymać jego dziecko? Miałaś rację, na świecie są gorsze rzeczy niż nieszczęście.

Pocałowała dziadka w policzek.

— Zdecydowałam, że dziecko powinno mieć ojca i nosić jego nazwisko.

— Więc postanowiłaś powiedzieć mu o dziecku?

— Nie. Postanowiłam wyjść za niego za męża... jeżeli się zgodzi, ale nie powiem mu o dziecku. Jeżeli zgodzi się ze mną ożenić, to zrobi to z własnych powodów. Nie chcę wykorzystać dziecka, żeby go do tego zmusić. Nie chcę, żeby później obrócił to przeciwko mnie. Nie chcę, żeby przez to nienawidził własnego dziecka.

— Nie wydaje ci się, że twoi bracia starają się go przekonać do tego małżeństwa?

— Oczywiście, że się starają ale to im nie wyjdzie na dobre. Mogą go przekonać, ale nigdy go do niczego nie zmuszą — powiedziała. — Robi się późno. Lepiej już pójdę i powiem o wszystkim ojcu i moim upartym braciom.

— Jestem pewien, że ta wiadomość ich uszczęśliwi — stwierdził dziadek.

Elizabeth sięgnęła po gazetę i podała ją staruszkowi.

— Powinieneś czytać Arystotelesa — powiedziała. — Być może już wkrótce będę chciała skorzystać z twojej mądrości, mimo że nie powiedziałaś mi dokładnie tego, co chciałam usłyszeć.

— Jakoś to przeżyję. Najważniejsze, że wiem, co powinnaś ode mnie usłyszeć. — Spojrzał na nią łagodnie. — To wszystko wzięło się z miłości.

Skinęła głową.

— Wiem, ale czasem przez to wszystko wydaje się jeszcze trudniejsze — odparła. Odwróciła się i ruszyła ścieżką przed siebie.

Tavis zaklął i kopnął w drzwi frontowe, kiedy wyszedł od niego ostatni z braci Elizabeth. Znalazł się w pułapce i wcale mu się to nie podobało. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny. Zapędzono go w kozi róg i nie było stamtąd żadnej drogi ucieczki. Nie potrafił znieść ze spokojem takiej sytuacji, zwłaszcza jeżeli dotyczyła jego ślubu. Gdyby był ze sobą szczery, musiałby powiedzieć, że to, co irytuje go najbardziej, nie miało nic wspólnego z Elizabeth i jej braćmi. Oczywiście, był na nich wściekły, ale zdawał sobie sprawę, że jest winien, i właśnie to doprowadzało go do szału. W końcu to on miał doświadczenie w tych sprawach i dobrze wiedział, co robi. Nawet jeżeli Elizabeth z ochotą przystała na jego propozycje, nie mógł jej za nic winić. Wiedział, że nie ma żadnej wymówki, że nic nie przemawia na jego korzyść. Ale ta świadomość niczego nie zmieniała. Nie było mu dzięki temu łatwiej znieść sytuacji, w której się znalazł.

Nalał sobie pełną szklankę rumu i przez chwilę stał bez ruchu, przyglądając się trunkowi. Oczywiście, mógł powiedzieć nie. Ani jej bracia, ani ktokolwiek inny nie był w stanie zmusić go do małżeństwa, ale było coś, co nie pozwalało mu odmówić.

Wiedział, że nie znajdzie pociechy w rumie i tej nocy nie poczuje się dzięki niemu lepiej.

Dziś potrzebował czegoś więcej. Chciał coś popsuć, skrzywdzić kogoś, jak gdyby w ten sposób mógł ukoić własny ból. Zmiażdżył szklankę w dłoni; szkło wbiło mu się w rękę. Zlane rumem rany piekły niczym ogień, lecz to nie miało dla niego znaczenia. Musiał znaleźć sposób, żeby wyładować frustrację i złość na siebie.

Elizabeth... Jej postać nadal była żywa w najgłębszych zakamarkach jego umysłu. Jej imię rozbrzmiewało mu echem w uszach. To prawda, że nie mógł odmówić jej braciom, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nikt by na niego nie naciskał, gdyby Elizabeth nie chciała wyjść za niego za męża.

Rzucił rozbitą szklankę i przeklął Samuela Robinsona oraz jego dzieci. Nawet teraz, miesiąc później, nie zapomniął ciosów, które zadali mu bracia Elizabeth. Domyślał się, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim będzie mógł wstawać z łóżka nie odczuwając bólu.

Ponownie kopnął w drzwi i przeklął Robinsonów tak głośno, żeby usłyszały go same niebiosy. Jego złość ustąpiła miejsca o wiele bardziej niebezpiecznym emocjom. Zmusił się, żeby usiąść i pomyśleć. Po pierwsze, będzie musiał udać się do Elizabeth. Była teraz jego narzeczoną. Wiedział, że nic nie załatwi, jeżeli przez

cały czas będzie jej unikał.

Kiedy pojawił się u Robinsonów, Sally poinformowała go, że Elizabeth nie ma w domu i że godzinę temu zabrała koszyk piknikowy i wybrała się do dziadka na cypel.

Tavis nie marnował czasu i natychmiast pośpieszył do latarni morskiej. Dotarł do miejsca gdzie morze wyrzucało na brzeg szkielety wielorybów, i tam się zatrzymał. Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć, że nie wiedział, od czego zacząć. Przygotował sobie tyle argumentów, by przekonać ją że ta absurdalna sytuacja powinna zakończyć się jak najszybciej.

Czekał ponad godzinę, ale w końcu ją zobaczył. Zmierzchało i zaczynało robić się chłodno, mimo że przez cały dzień było bardzo ciepło. Kiedy Elizabeth dostrzegła jego ciemną sylwetkę, spuściła wzrok.

Tavis zagroził jej drogę. Westchnęła i cofnęła się. Oczy miała okrągłe jak spodki, a na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

— Tavis. — To było wszystko, co powiedziała. Zachowywała się tak, jakby nie wierzyła w to, co przed sobą widzi.

Gdy na nią patrzył, powróciły wspomnienia tygodni spędzonych na łodzi i uczuć, które go wtedy ogarniały, ale już po chwili przywołał się do porządku. Musiał być chłodny i stanowczy.

— Minał dopiero miesiąc — odezwał się, kiedy zobaczył, że patrzy na niego jak na nieznajomego. — Wydaje mi się, że to niezbyt wiele czasu. Chyba nie zapomniałaś, jak wyglądam?

— Nie, nie zapomniałam — odparła. — Zaskoczyłeś mnie, to wszystko. — Zamilkła. Spojrzała na niego i zrozumiała, że to nie jest spotkanie towarzyskie. — Co tutaj robisz?

— Czekam na ciebie.

Elizabeth zadrżała, jakby smagał nią lodowaty wiatr.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — Jego oczy pociemniały. Pojawiła się w nich nienawiść. — Mamy się pobrać. A może mi się wydaje? — Niedowierzanie, które dostrzegł na jej twarzy, rozdrażniło go. — Och, daj spokój. Bądź ze mną przynajmniej szczerą. Zawsze podziwiałem twoją szczerą. Chciałaś tego, a teraz twoje marzenia mają się spełnić. Ale bądź ostrożna. Może się okazać, że to, co dostaniesz, wcale ci się nie spodoba.

Przyglądała mu się z niedowierzaniem, poniżeniem i rezygnacją. Ostrzeżenie ojca że doprowadzi do tego małżeństwa i groźby braci dotyczące Tawisa nie były najwyraźniej

tylko czczymi pogrozkami. To, czego tak bardzo się obawiała okazało się prawdą.

Od tygodni miała wciąż ten sam powracający koszmar. Śniła o tym, że nareszcie Tavis Mackinnon zostanie jej mężem, ale na zawsze straci jego miłość. Teraz sny stały się rzeczywistością. Czy życie znów postanowiło ją ukarać? Miała poślubić mężczyznę, który nie potrafił znieść jej widoku?

Z drugiej strony rozumiała Tawisa. Podobnie jak ona, padł ofiarą manipulacji. Postanowiła więc przemilczeć jego złośliwości.

Poza tym musiała zachować chociaż resztki godności. Otuchy dodawała jej myśl o ich nienarodzonym dziecku. Przez cały czas miała je przed oczami.

Tavis był zły i pragnął się na niej zemścić, ale nie był ani okrutny, ani nieczuły. Wiedziała, że nie uprzykrzy jej życia tylko dlatego, że jej rodzina wywarła na nim presję. Pogodziła się z faktem, że być może nigdy jej nie pokocha, ale nadal miała nadzieję, że po pewnym czasie nauczą się żyć jak przykładne małżeństwo. Zdawała sobie także sprawę, że złość i frustracja w niczym teraz jej nie pomogą.

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć, mimo że nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona.

— Wyglądasz... — Nie dokończyła zdania, bo musiałaby skłamać. Wcale nie wygląda dobrze, pomyślała. Na jego twarzy widniały blizny po bójce z jej braćmi. Schudł. Z oczu zniknął wesoły płomień. — Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło.

Przyglądał jej się uważnie. Jego wzrok spoczął na chwilę na dekolcie.

— Masz na myśli tamtą bójkę?

Skinęła głową.

— Dobrze się czujesz? — Spojrzała mu prosto w oczy, jakby mogła odnaleźć w nich szczerą odpowiedź.

— Dosyć dobrze — odpowiedział. — Jestem zaskoczony, że pytasz o to dopiero teraz. Minęło już trochę czasu.

— Chciałam przyjść... i zobaczyć, jak się czujesz, ale bracia mi zabronili — wyjaśniła.

— Zasłaniasz się braćmi za każdym razem, kiedy ci to odpowiada. — Zamyślił się, po czym dodał: — Ale to i tak nie ma znaczenia. Nic nie mogłaś wtedy zrobić.

— Nadal jednak... — zaczęła, lecz nie dał jej skończyć.

— Jeżeli chcesz wszystko naprawić, przerwij to śmieszne przedstawienie i odwołaj ten ślub.

— Nie mogę tego zrobić — wyznała.

— Nie możesz czy nie chcesz?

— Co powinnam zrobić, twoim zdaniem? Sprzeciwić się ojcu i braciom? Skazać się na wygnanie i żyć w pustelni na plaży? Nie tylko ty cierpisz z powodu tej sytuacji. Nie ty jesteś tu najważniejszy. — W chwili, kiedy wypowiedziała te słowa, jej serce zamarło. Modliła się, żeby nie zwrócił uwagi na nie i nie domyślił się, że jest w ciąży.

Odetchnęła z ulgą, kiedy powiedział:

— To prawda, ale ty w przeciwieństwie do mnie dostaniesz to, czego chciałaś.

— Niby co takiego? Małżeństwo z przymusu? Męża, który nie może znieść mojego widoku? Jak długo będę jeszcze musiała płacić za błędy młodości? Jestem dorosłą kobietą. Już dawno pogrzebałam swoje dziecięce fantazje. — Miała nadzieję, że dostrzeżę szczerść w jej oczach. — Nigdy nie chciałam, żeby do tego doszło. Mówię szczerze.

— Zupełnie co innego powiedziałaś mi, kiedy byliśmy razem na łodzi — stwierdził. Wiedział, że nigdy nie przestała go kochać. — Możesz mówić, co chcesz, ale twoje uczucia do mnie i tak się nie zmieniły.

— Wciąż powtarzasz to samo jak katarynka i nie masz odwagi powiedzieć, co naprawdę myślisz. Masz na myśli miłość? Tak bardzo boisz się tego słowa, że nie możesz go nawet wymówić?

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

— Nazywaj to miłością, jeśli chcesz — rzekł z nienawiścią w głosie. — Tak czy inaczej myślałem, że masz więcej dumy.

Elizabeth uniosła głowę. Dzieliło ich jedynie zimne powietrze. Stała przed nim niczym posąg, patrząc na niego z dystansem.

— Duma nie ma z tym nic wspólnego. Zostałam zmuszona tak samo jak ty. Jeżeli masz problem, rozmów się z moim ojcem albo braćmi.

Wyglądał na zaskoczonego. Uniósł jedną brew.

— Wiesz tak samo dobrze jak ją że nie wyszłoby nam to na dobre. — Z jego głosu znikła cała wrogość.

— Dlatego proponuję ci, żebyś wziął przykład ze mnie i postarał się znaleźć jak najwięcej pozytywnych stron tej nieprzyjemnej sytuacji.

— Mam przekonać się do tego małżeństwa? Czy to masz na myśli?

— Tak.

Tavis roześmiał się złowrogo.

— I może mam jeszcze przekonać siebie, że zależy mi na tobie na tyle, żeby dać szansę temu małżeństwu i... że cię pragnę. Mam wytłumaczyć sobie, że inne pary nie mają nawet tego co my, kiedy się pobierają.

Zbyt zawstydzona i upokorzona, nie potrafiła zdobyć się na nic innego poza szczerością, która zawsze dobrze jej służyła.

— Nie wiąże z tym małżeństwem żadnych nadziei. Kiedy ceremonia zaślubin dobiegnie końca będziesz mógł wynieść się do diabła.

Poczuła jak do oczu napływają jej piekące łzy, ale nie chciała się rozplakać. Ich spojrzenia znów się spotkały.

— A teraz zejź mi z drogi. — Obeszła go, ale on złapał ją za ramię i zatrzymał. — Puść mnie. Być może zostałeś zmuszony do małżeństwa ze mną, ale to nie oznacza, że jestem twoją własnością.

— Przynajmniej wiem, że można cię sprowokować. Już myślałem, że masz słaby charakter.

— Mam silny charakter. W przeciwieństwie do ciebie wiem, kiedy to okazywać. A teraz, jeżeli skończyłeś mnie poniżać, spieszę się do domu.

— A jeżeli nie skończyłem?

Miała wrażenie, jakby ziemia zaczęła usuwać się jej spod stóp.

— Nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy tutaj stali. Wiem, jak się czujesz. Powiedziałeś mi na ten temat wystarczająco dużo.

— A co ty czujesz, Elizabeth? Co ty masz na ten temat do powiedzenia?

— Dam ci tylko dobrą radę. Gdybym była na twoim miejscu i widziała wszystko w takich ciemnych barwach, zrobiłabym co w mojej mocy, żeby o tym nie myśleć.

— Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby nie dopuścić do sytuacji, w której narzeczony rzuci cię przed samym ślubem.

— No proszę — odezwała się łagodnie. — Znalazłeś rozwiązanie. Jeżeli nie chcesz się ze mną ożenić, Mackinnon, zawsze możesz zignorować ceremonię i zostać w domu.

— Nawet ja nie jestem takim draniem.

— Kiedyś w to wierzyłam, ale teraz nie jestem tego wcale taka pewna — odparła, uniosła rąbek spódnicy i ruszyła przed siebie.

— Najlepiej zrobisz, jeżeli sama nie pojawisz się w kościele! — zawołał za nią. — Inaczej będziesz miała to swoje przekłete małżeństwo, ale nigdy nie dostaniesz męża. Zdobędziesz moje nazwisko, Elizabeth, i tylko nazwisko.

Jego słowa wprawiły ją w osłupienie. Zatrzymała się jak wryta.

— Tylko tego od ciebie chcę — wyszeptala i zaczęła biec.

Biegła przez całą drogę do latarni morskiej. Wpadła do środka, zamknęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie, łapiąc nerwowo oddech. Asa przyglądał się jej z niepokojem.

— Wyglądasz, jak gdybyś ściagała się z samym diabłem — zawyrokował.

— Bo tak było — odparła i bez słowa wyszła do kuchni.

Kilka minut później wróciła.

— Znów wychodzisz? — spytał zdziwiony staruszek.

— Wybieram się nad staw — wyjaśniła. — Muszę zebrać trochę trawy na nową miotłę. — Kiedy dziadek rzucił jej pełne niedowierzania spojrzenie, dodała pośpiesznie: — Ale przede wszystkim muszę ochłonać.

— Też mi się tak wydaje — powiedział Asa. — Nie jestem tylko pewien, czy wybrałaś do tego odpowiednie miejsce.

Dzień był ciepły i spokojny. Tylko od czasu do czasu ciszę rozrywał krzyk mew. Szła nad staw zarośniętą ścieżką, zbierając po drodze kwiaty.

Minęła wydmy. Przeszła na przelaj przez pagórki i już wkrótce straciła z oczu nawet najmniejsze oznaki cywilizacji. Stała nad stawem otoczonym niskimi pagórkami i łąkami pełnymi kwiatów. Z wody wystawały długie pędy wikliny oraz pałki wodne.

Podwinęła spódnicę, weszła po kostki do wody i zaczęła zrywać wiklinę na szczotkę. Kiedy nazbierała jej wystarczająco dużo, odwróciła się i potknąwszy się o kamień, straciła równowagę. Przez chwilę leżała bez ruchu, po czym ze zwinnością i siłą godną żeglarza podniosła się na równe nogi.

Kiedy wyszła na brzeg i spojrzała na mokrą sukienkę, doszła do wniosku, że gdyby od razu ją wysuszyła, nie pozostałyby na niej plamy.

Wstydziała się rozebrać do bielizny w biały dzień, ale w końcu doszła do wniosku, że nikogo nie może tutaj spotkać. Okazało się, że koszula, którą miała pod spodem, także jest mokra, mimo to jej nie zdjęła.

Weszła do wody i splukała piasek z sukienki i koszuli.

Potem rozłożyła sukienkę na trawie i odwróciła się do wiatru, żeby wysuszyć koszulę. Kiedy promienie słońca delikatnie pieściły jej ciało, rozglądała się po łące. Wokół kwitły stokrotki, lawenda i łubin. Właśnie pomyślała, że bukiet z tych kwiatów pięknie wyglądałby w salonie, kiedy zauważyła ciemną sylwetkę.

Uniosła rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem. Nie widziała twarzy mężczyzny, ale serce i tak podpowiadało jej, kto to jest.

Po spotkaniu z Elizabeth Tavis długo stał na plaży przy wielorybich szkieletach.

Dzień był cichy. Tylko od czasu do czasu zaskrzeczała któraś z mew, krążących mu nad głową. Po jakimś czasie ruszył z powrotem do miasta, jednak po chwili zatrzymał się. Nie był gotowy wracać jeszcze do świata cywilizacji.

Chciał być całkiem sam; potrzebował trochę spokoju. Musiał przeanalizować swoje życie. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Postanowił więc przejść się trochę nad morzem. Zostawił za sobą wysokie dęby i niskie krzewy jeżynowe. Nie zwracał uwagi na piękne muszle, fantazyjne skorupy ani małże, po których deptał.

Zatrzymał się na chwilę i spojrzął na taflę wody. Ręce trzymał w kieszeniach, a jego wzrok skupiał się na samotnym oceanie. Dziwiła go złość, która go wypełniała.

Wiedział, że nie kocha Elizabeth, ale zależało mu na niej. Dlaczego więc był taki przeciwny temu małżeństwu?

Mógł przecież trafić ó wiele gorzej. Więc o co mu tak naprawdę chodziło? Starł się przypomnieć sobie wszystkie najbardziej oczywiste powody, które mogłyby sprowokować jego gniew. Zmuszono go, żeby się z nią ożenił. Nie kochał jej. Kiedyś bardzo mu dokuczyła. Wszystko to była prawda, ale żadna z tych rzeczy nie irytowała go aż tak bardzo. Przypomniawszy sobie tygodnie, które spędzili na łodzi, i ten wieczór, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy po powrocie z Bostonu. I nagle ścierpła mu skóra, a włosy zjeżyły się na głowie.

Pamiętał, że była ubrana w białą suknię, a potem przypomniał sobie rozmowę, którą prowadzili na parkiecie.

„To ci się nie uda. Nie zdobędziesz mnie, bez względu na to, jaką zastosujesz taktykę”, powiedział jej wówczas.

„Gdybym chciała cię zdobyć, Tavisie Mackinnonie, mogłabym to zrobić bez najmniejszego wysiłku... gdybym się tylko postarała”.

„Daj sobie spokój. Jestem zatwardziałym kawalerem. Nigdy ze mną nie wygrasz. Nigdy. Nieważne, jak wielu rzeczy nauczyłaś się w Bostonie, żadna z tych taktyk na mnie nie podziała. Poddaj się, Elizabeth. Nie możesz ze mną wygrać. Przyznaj mi rację”. Niczego nie przyznaję. I przestań rzucać mi wciąż to wyzwanie, bo w innym razie mogę je podjąć i wtedy cię zaskoczę. Już nie masz do czynienia z głupiutkim dzieckiem... Gdybym chciała cię zdobyć, Tavisie Mackinnonie, i nie miałoby dla mnie znaczenia, w jaki sposób cię zdobędę, zdobyłabym cię z pewnością. Zapamiętaj to sobie”.

Zapamiętał, ale problem polegał na tym, że na chwilę zapomniał. Owinęła go sobie wokół palca. Uwodziła go i doprowadzała do szaleństwa. Nigdy wcześniej nie przypuszczał nawet, że jej dziecięce zauroczenie może zmienić się w wyrachowane i chłodne zagrywki, które stosują kobiety, żeby zdobyć męża za wszelką cenę.

Najwyraźniej wygrała. Zostanie jego żoną. Ale to wszystko, co od niego dostanie.

Był gotowy do powrotu. Szedł przez wrzosowiska, kierując się ku drodze, która prowadziła do miasta. Minał staw i właśnie wtedy ją zobaczył. Stała nieopodal, skąpana w promieniach słonecznych.

Zatrzymał się. Jego oczy szybko przyzwyczyły się do rażącego słońca, które dotykało jej ciała z bezwstydną wolnością. Wyglądała niczym bogini, niczym królowa krainy fantazji.

Stała bez ruchu jak posąg. Jej skóra błyszczała, a lniana bielizna prześwitywała, ukazując ponętne kształty. Co prawda już wcześniej widział ją nago, ale ten widok ciała okrytego cienkim lnem był niezwykle erotyczny.

Podmuch wiatru rozchylił koszulę, ukazując zarys piersi dziewczyny. Kiedy spojrzał niżej, jego ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Zakazany owoc, którym dla niego była, bijące od niej ciepło, jej niemal boski wygląd zadziały na niego prawie natychmiast.

Właśnie w tej chwili odwróciła głowę, jak gdyby wyczuwała jego obecność. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym odwróciła się.

Włożyła szybko sukienkę i znikła.

Przeklinając ją, bezskutecznie walczył z erekcją. Nienawidził tej kobiety i pragnął, żeby raz na zawsze znikła z jego życia. Zaklinał się, że z łatwością mógłby o niej zapomnieć. Ale nawet wtedy coś głęboko wewnątrz szeptało mu, że to nie jest możliwe, że już nigdy o niej nie zapomni.

Pobrali się trzy dni później w domu Elizabeth, w niewielkim gronie rodzinnym. Jedynymi gośćmi byli Rebecca oraz przyjaciele Tawisa, Nathaniel i Cole.

— Myślałem, że twój brat Nicholas także się pojawi — powiedział Samuel do zięcia.

— Nick nie został zaproszony — odparł chłodno Tavis. — Wolę trzymać rodzinę z dala od tego wszystkiego — dodał, po czym odwrócił się.

— Bezczelny drań, nie uważasz? — szepnął Drake do Matta.

— Kazaliśmy mu poślubić Elizabeth — odparł Matt. — Ale nikt nie oczekiwał, że mu się to spodoba.

— Aha... Tylko na niego spójrzcie. Wcale nie wygląda na zadowolonego.

Wielebny Phipps, który najwyraźniej wyczuł napięcie panujące w pokoju, odchrząknął, spojrzał na twarze zebranych i rozpoczął ceremonię.

— Niech nowożeńcy staną przede mną i możemy zaczynać.

Elizabeth ostatni raz posłała błagalne spojrzenie braciom. Po chwili poczuła, jak

ktoś ją ściska za ramię. To była Rebecca.

— Wszystko będzie w porządku. Wiem, że tak będzie. Nie smuć się, Elizabeth. Nie w dzień swojego ślubu.

Poczuła silną nieczułą dłoń Tawisa, który stanął obok niej, i odwróciła się do niego twarzą. Ogarnęło ją przerażenie; nagle zrobiło jej się niedobrze. Dobry Boże, nie pozwól, żebym teraz zaczęła wymiotować. Nie w tej chwili.

— Nie wyglądasz najlepiej, kochanie. Tylko mi nie mów, że zmieniłaś zdanie — zadrwił z niej. — Czyżby nagle okazało się, że ta ceremonia nie będzie taka wspaniała, jak to sobie zaplanowałaś?

— Źle się czuję — odparła.

— W takim razie musimy się pośpieszyć — stwierdził ostro Tavis. Potem zwrócił się do duchownego: — Jeżeli będzie pan tak łaskawy, wielbny Phipps.

Elizabeth stała niczym marmurowy posąg. Nic nie czuła. Słuchała pustych słów wypowiedzianych przez pastora. Żołądek podchodził jej do gardła, serce waliło niczym dzwon. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej żałośnie niż w tej chwili.

Tavis stał obok niej, zimny i niedostępny. Jego twarz przypominała maskę, a jego zaciśnięte usta pobielaly.

Spojrzała na Rebeccę i ze zdziwieniem stwierdziła, że przyjaciółka jest szczerze wzruszona.

Była tak bardzo zaabsorbowana zachwytem, który malował się na jej twarzy, że nawet nie zdawała sobie sprawy, w którym momencie Tavis wsunął jej na palec obrączkę.

— Ogłaszam was mężem i żoną.

Elizabeth gapiała się bezmyślnie na złotą obrączkę lśniącą na serdecznym palcu lewej dłoni. Zrobiło jej się ciężko na sercu.

— Co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza.

Nie można rozdzielić dwojga ludzi, którzy i tak są poróżnieni, pomyślała Elizabeth zaraz przed tym, jak chłodne usta Tawisa musnęły jej wargi.

— Masz, co chciałaś, kochanie. Tak bardzo mnie pragnęłaś, że nie cofnęłaś się przed niczym, żeby mnie zdobyć — wyszeptał jej do ucha.

Chciała się od niego odsunąć, ale jej na to nie pozwolił.

— Dokąd cię to wszystko zaprowadziło? — kontynuował. — Skąd bierze się u ciebie... ta determinacja którą widzę na twojej ślicznej buzi? Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że kochałaś się ze mną tylko po to, żeby zdobyć to, czego chciałaś.

— Nigdy nie przyszło ci do głowy, że razem popełniliśmy ten błąd i że ja płacę za niego jeszcze większą cenę? — odparła szeptem. — Nie pomyślałeś, że moje życie

może być tak samo zrujnowane jak twoje? A może jeszcze bardziej?

— Nie — syknął. — Nie pomyślałem o tym.

Zamknęła oczy. Ze wszystkich sił starała się nie rozplakać na oczach zebranych.

Ze ślubu Elizabeth zapamiętała tylko tyle, że była ubrana w starą sukienkę i że nie miała kwiatów. Poza tym nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Tavis Mackinnona.

Jego oczy wiały chłodem i nieopisaną złością, a na ich dnie dostrzegła coś, co napełniło ją przerażeniem. Zrozumiała że nawet kiedy się zestarzeje, nawet kiedy będzie umierająca, ten widok jego oczu pozostanie żywy w jej pamięci.

Czy naprawdę tak bardzo jej nienawidził? Do końca życia będzie żałował tego, co zrobił? Czy już nigdy jej nie wybaczy?

Zacisnęła powieki, ale łzy, które tak długo powstrzymywała popłynęły po jej twarzy. Wiedziała że mąż czuje do niej tylko nienawiść, ale najbardziej zabolą ją słowa Nathaniela, który chciał ją pocieszyć. Przypomniała sobie, jak zaraz po ceremonii pocałował ją w policzek i powiedział:

— Nie bądź dla niego surowa, Elizabeth. Tavisowi na tobie zależy. Zależy mu bardziej, niż ci się wydaje.

Siedziała na łóżku w domu męża. Płakała i skubała satynowe wstążki koszuli nocnej. Myślała o tym, jak mogłaby wyglądać jej noc poślubna. Wcześniej często o tym myślała, ale nigdy nie przypuszczała, że jej ślub zakończy się w ten sposób.

Rozejrzała się po pokoju. Był ciemny, pusty i chłodny. Tak zimny jak serce jej męża. Cieszyła się, że znalazła się właśnie w takiej sypialni, ponieważ odpowiadała jej nastrojom. Starła się wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie nosiła jego dziecka, ale rzeczywistość tak bardzo ją przytłoczyła, że nie była w stanie skupić się na niczym innym. Nie mogła uciec. Nie teraz.

Jeżeli nie istnieje żadna droga wyjścia trzeba doszukać się pozytywnych stron w sytuacji, w której się znalazło, przekonywała się w duchu. Ludziom zdarzają się większe tragedie. Skup się na czymś innym, Elizabeth.

Już po chwili żałowała, że nie zabrała ze sobą książki, bo wtedy miałyby co robić w swoją noc poślubną. Pomyślała o książkach, które widziała u Tavis w gabinecie, i rozważyła możliwość zejścia na dół. A jeśli na niego wpadnie?

W pewnym momencie dostrzegła absurdalność swoich obiekcji. Jak można obawiać się spotkania z mężem w pierwszą noc po ślubie? To z pewnością nie było normalne. Zresztą jak wszystko w tym małżeństwie, pomyślała.

Skrzyżowała ramiona i rozejrzała się po pokoju... gościnnym. To dziwne, ale nie czuła się tutaj nawet gościem. Czuła się niechciana i nieproszona.

Pomyślała o dziecku, które miała urodzić, i wiedziała że słusznie postąpiła. Dziecko. Jej dziecko. Jej i Tawisa. Starła się wyobrazić sobie małą dziewczynkę. Ani przez chwilę nie pomyślała, że to mógłby być chłopiec. Chłopiec nie dałby jej tyle radości. Dziewczynka byłaby jej. Tylko jej. Już wkrótce zacznie zwracać się do swojego maleństwa po imieniu.

Poczuła jak ogarnia ją siła kobiet z rodu Brewsterów. Wstała z łóżka podciągnęła koszulę nocną i wyszła z pokoju. Już po chwili znalazła się w gabinecie Tawisa.

To, co zobaczyła, bardzo ją zaskoczyło.

— Och — powiedziała, zatrzymując się nagle. — Nie pukałam, bo... myślałam, że śpisz. Nie przypuszczałam, że kogoś tutaj zastanę. — Stała bez ruchu i patrzyła na niego. W jej oczach malowała się niepewność.

Zmarszczył czoło i spojrzał na nią znad sterty papierów, które przeglądał. Patrzył na nią bez szacunku i sympatii. Nie starał się nawet zatuszować zdziwienia na jej widok ani tego, jak bardzo go podnieca. Poczuła się tania. Wykorzystana. Zbrukana. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie urodziła się jako chłopiec. Nigdy w życiu nie miała ochoty uderzyć kogoś tak bardzo, jak w tej chwili chciała przyłożyć Tawisowi Mackinnonowi.

— Co ty tutaj robisz, Elizabeth?

— Przyszłam po książkę.

Spojrzał na regały z książkami.

— Wybierz sobie, cokolwiek sobie życzysz. Chociaż nie wydaje mi się, żebyś znalazła tutaj coś dla siebie. Moje książki dotyczą projektowania...

— Wiem, czym się zajmujesz.

Jego twarz poczerwieniała ze złości. Elizabeth była zdziwioną kiedy okazało się, że dokuczanie mu nie sprawia jej takiej radości, jak się spodziewała. Nagle zauważyła, że się przebrał i że na podłodze obok krzesła stoją dwie torby. Trzecią trochę mniejszą, wypchaną po brzegi papierami, zobaczyła na biurku. Jej serce zadrżało.

— Wyjeżdżasz?

— Tak.

— Dlaczego?

— Chyba powinnaś to wiedzieć.

— Uciekasz. I zostawiasz mnie, żebym sama sobie ze wszystkim poradziła.

— Nazywaj to, jak chcesz. To nie ma dla mnie znaczenia.

— Dlaczego to robisz? Nie możemy znaleźć kompromisu? Nie możesz w inny sposób wyładować na mnie złości? Chyba wiesz, że zrobiłam wszystko, żeby zapobiec temu małżeństwu.

Spojrzał jej prosto w oczy.

— Ale w końcu się poddałaś. Czy tak powinienem to rozumieć?

Spojrzała na swoje dłonie.

— Musiałam — Musiałaś czy chciałaś? Jakie to ma znaczenie? — zapytał, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

— Wystąpiły pewne... — Przerwała. Już chciała powiedzieć „komplikacje”. — Miałam swoje powody.

— Powody. Twój mały poukładany świat. Twoja wygoda. Powody... Być może uciekam, ale przynajmniej nie chowam się za fałszywymi pretekstami.

— Miałam nadzieję...

— Wiem, na co liczyłaś, Elizabeth Wiem o tym od lat. Ale nadszedł czas, żebyś zrozumiała kilka prostych faktów. Nie Kocham cię. Nigdy cię nie kochałem I nigdy nie będę cię kochał. Postaraj się przyjąć to do wiadomości, kiedy mnie tu nie będzie. Jeżeli dobrze zapamiętasz moje słowa, nie będę musiał ciągle ich powtarzać.

— Masz zamiar wrócić? — Przez chwilę zazdrościła mu tego, że jest mężczyzną. Jakie to proste móc spakować torby i uciec od odpowiedzialności.

— Wrócę... chyba — odparł. Nie powiedział nic więcej. Włożył kolejne dokumenty do skórzanej torby, po czym ją zamknął. Odwrócił się i spojrzał na Elizabeth. Na jego twarzy nadal malowała się wściekłość i rezygnacja.

Dostrzegła prawie pustką butelkę alkoholu, która stała na biurku obok pełnej szklanki. Zrozumiała dlaczego tak źle ją traktuje. Wiedziała że na trzeźwo nigdy by tego nie zrobił. Tavis miał wiele wad, ale nie był okrutny.

Spojrzał w ślad za jej wzrokiem. Westchnął, jak gdyby czytał w jej myślach. Rysy jego twarzy złagodniały.

— Nie chodzi o rum i nie chodzi o ciebie — odezwał się w końcu. — Jadę do Waszyngtonu. Będę pracował dla marynarki.

Zaprojektuję dla nich kilka okrętów i wtedy te dranie z Południa pożałują, że kiedykolwiek położyli swoje brudne łapy na moich planach.

— Masz w sobie tyle złości i pragnienia zemsty, że powinno ci się udać — stwierdziła. Dostrzegła zdziwienie na jego twarzy. Najwyraźniej jej reakcja zaskoczyła go. Czego się spodziewał? Że zacznie płakać? Albo rzucać w niego ciężkimi przedmiotami? Miał czelność myśleć, że będzie go błagała, żeby został? Nigdy w życiu. Jedź na spotkanie ze swoją wspaniałą marynarką. Zemścij się. Ucieknij od najlepszej rzeczy, jaka cię kiedykolwiek spotkała. Przez chwilę miała wrażenie, że się rozplacze.

Mogłabym cię uszczęśliwić.

— No cóż — powiedziała, odzyskując nad sobą kontrolę. — Życzę ci powodzenia, Tavisie Mackinnonie.

Popatrzył na nią tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu spojrzął w stronę okna, za którym świat był pogrążony w ciemnościach.

Kiedy odwrócił się w jej stronę, na jego twarz powróciła determinacja.

— Zostawiłem instrukcje panu Blaysdale'owi, pracownikowi banku. Będzie czuwał nad twoim kontem Gdybyś czegoś potrzebowała...

— Nie będę potrzebowała niczego, czego nie mogłaby mi zapewnić moja rodzina — odparła.

— Nie odsyłam cię do domu, Elizabeth. Bez względu na wszystko jesteś teraz moją żoną. Nie wymigam się od odpowiedzialności opiekowania się tobą.

Zapewnisz mi pieniądze i tylko pieniądze. A co z innymi sprawami, Tavisie? Do kogo się zwrócę, kiedy będę przerażona albo smutna? Kto będzie przy mnie, gdy nadejdzie czas rozwiązania? Kto zaspokoi moje potrzeby i da mi to wszystko, czego kobieta potrzebuje od mężczyzny? Czy te zadania też powierzyłeś panu Blaysdale'owi? A może zignorowałeś to, że jestem kobietą, która ma własne potrzeby? Podniósł torbę.

— Zostawiłem ci adres Nicka i Tibbie, a także adres departamentu marynarki wojennej. Oni będą wiedzieli, jak się ze mną skontaktować...

— Nie będę potrzebowała ani twojego brata, ani marynarki.

— Dlaczego jesteś taka odpychająca?

— Mogłabym zadać to samo pytanie.

— Daj spokój. Czego się spodziewałaś? To nie jest normalne małżeństwo i nawet nie próbuj udawać, że jest inaczej.

— Nie o to w tej chwili chodzi i dobrze o tym wiesz.

Jego szarobłękitne oczy obserwowały ją wnikliwie.

— Czy wiesz o czymś, o czym ja nie mam pojęcia?

— Wiem, że jesteś głupcem, Tavisie Mackinnonie. Wiem, że ucieczka da ci poczucie bezpieczeństwa ale niczego nie rozwiąże. Nadejdzie czas...

Omal nie powiedziała mu o dziecku, o którym się kiedyś dowie. Wówczas pożałuje, że ją porzucił i że sama musiała ze wszystkim sobie radzić. Uspokoiła się. Odkrycie przed nim prawdy niczego nie zmieni. Nie chciała wykorzystywać dziecka żeby go zatrzymać.

Gdyby miał zostać, musiałby tego chcieć.

— Mówisz zupełnie bez sensu — stwierdził.

— Czyżby? Jesteś tego taki pewien? — Uśmiechnęła się. — Widzę, że czekasz...

czekasz, aż ci powiem, ale chyba tego nie zrobię. Nie ułatwię ci tego, Tavisie, ale zapewniam cię, że pewnego dnia poznasz prawdę. A wtedy będziesz w stanie poświęcić swoją duszę, żeby odzyskać to, co odrzuciłeś. Tylko że będzie już za późno.

— Elizabeth, o czym...

— Wyjź! — powiedziała, machając na niego ręką. — Jedź do Waszyngtonu. Chcę, żebyś pojechał. Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć. Chcę, żebyś zniknął z mojego życia. Słyszałeś, co powiedziałam? Nie masz tu czego szukać. — Zamilkła i odetchnęła głęboko. — Nie martw się. Nie mam zamiaru wygłosić litanii ani prawić morałów. Nie powiem ci, jak bardzo mogłam cię kochać. Nie wspomnę o tym, co mogłam ci dać. Nie powiem ci nawet o tym, co zaprzepaściłeś, kiedy odszedłeś. Ale pewnego dnia zrozumiesz. Jesteś najbardziej fascynującym i najgłupszym mężczyzną jakiego kiedykolwiek spotkałam. Zmieszałeś moje uczucia z błotem i wdeptałeś je w ziemię. Ale nadejdzie godzina mojego zwycięstwa. Wtedy odzyskasz zdrowy rozsądek Pewnego dnia wrócisz i klapki opadną ci z oczu. Pewnego dnia zrozumiesz, że mnie pragniesz. Ale wtedy ja się zemszczę, ukarzę cię tak samo, jak ty ukarałeś mnie swoją słabością. Potrząsnęła głową.

— To zadziwiające. Ile rzeczy człowiek potrafi zrobić dla miłości. Pewnego dnia... — mówiła bardzo powoli i ze spokojem — pewnego dnia będziesz pełzał przede mną niczym obślizgły robak, żeby tylko mnie zdobyć.

Chciała go uderzyć, kiedy uśmiechnął się do niej z niedowierzaniem.

— Możesz się starać — odparł lekceważąco. — Zawsze możesz próbować. Ale zapominasz o jednej rzeczy, Elizabeth. Znam siebie lepiej niż ty.

— Czyżby? — zapytała, po czym odsunęła się od drzwi. — Wkrótce się o tym przekonamy. Czas pokaże.

— Mam mnóstwo czasu — powiedział. — Podejrzewam, że mam go więcej od ciebie.

— Ja jestem przyzwyczajona do czekania, Tavisie. Zmarnowałam połowę życia czekając. Ale niech ci się nie wydaje, że zrobię to po raz kolejny.

Mimo że był pijany i zaślepiiony złością, nadal wyglądał bardzo atrakcyjnie. Ale teraz poznała o nim całą prawdę. Widziała go takiego, jaki był w rzeczywistości. Zobaczyła w nim człowieka słabego i ułomnego, ślepego i omylnego jak każdy inny.

Przypomniał jej małego chłopca który spakował się, żeby uciec Tavis splótł ręce na plecach, wyciągnął się, po czym wyprostował.

Przez sześć godzin bez przerwy siedział nad deską kreślarską.

To był dla niego duży wysiłek, zwłaszcza że poświęcił temu projektowi aż sześć

miesiący. Na biurku przed nim leżały dokończone plany nowego okrętu, „Old Glory”. Te projekty przerosły jego najśmielsze oczekiwania. Wiedział, że „Old Glory” nie będzie piękna, ale z pewnością dokona rewolucyjnego przełomu w konstruowaniu okrętów wojennych. Nigdy wcześniej nikt nie skonstruował czegoś podobnego.

Ponownie spojrzął na plany i prześledził każde ulepszenie, którego dokonał. Po pierwsze, większa część okrętu znajdowała się pod wodą i dlatego ciężko było ją namierzyć, a tym samym trafić.

Gdyby jednak zdarzyło się tak, że kula dosięgłaby „Old Glory”, nic nie mogła jej zrobić, ponieważ okręt był opancerzony. Był niesamowicie potężny i szybszy o pięć węzłów od jakiegokolwiek znanego dotychczas okrętu wojennego. Jednak najbardziej zaskoczyła wszystkich jego zwrotność.

Nagle w drzwiach pojawiła się jasna głowa.

— Czekają na ciebie — poinformował kapitan Edward Pennybaker.

— Admirał właśnie dotarł na miejsce.

— Zaraz do was dołączę — odparł Tavis i zaczął zwijać projekty.

Prezentacja przebiegła bardzo sprawnie, bez większych zakłóceń.

Admirał zatwierdził plany bez wahania. Tavis szedł przez pusty hol i myślał o tym, że jego projekt zostanie zrealizowany. Zgodnie z tym, co powiedział admirał, budowa okrętu miała się rozpocząć niezwłocznie.

Gdzieś na końcu korytarza usłyszał trzaśnięcie drzwiami, a potem kobiecy śmiech. W tym samym momencie cofnął się myślami do innych czasów. Zobaczył Elizabeth stojącą na łodzi. Jej długie włosy rozwiewał wiatr, a słońce płonęło za nią niczym ogień. Kolana się pod nim ugięły. Tak bardzo za nią tęsknił.

W ciągu pierwszych tygodni pracy w Waszyngtonie nietrudno mu było o niej zapomnieć. Miał tyle zebrań oraz spotkań towarzyskich, że rzadko wracał do domu przed północą. Ale tygodnie wydłużały się w miesiące i wspomnienia zaczęły atakować go ze wszystkich stron. Bezustannie o niej myślał i dzięki temu mógł chociaż na chwilę uciec od monotonii długich godzin spędzonych przy desce kreślarskiej oraz niekończących się rozmów z ludźmi z marynarki wojennej.

Wspomnienia stały się dla mego ucieczką. Wciąż od nowa przypominał sobie każdą minutę, którą spędził z Elizabeth. Nie chciał pominąć żadnego szczegółu. Dlatego wielokrotnie odtwarzał w pamięci, w co była ubrana jak brzmiał jej głos, jak delikatny był dotyk jej dłoni. Nocami, kiedy nie mógł zasnąć, wciąż kochał się z nią w myślach.

Wreszcie rozłąka zaczęła być dla niego ciężarem, brak Elizabeth zaczął odrywać go od pracy, a pragnienie, by do niej wrócić, stało się zbyt silne, żeby je zwalczyć. Wtedy właśnie poinformował przełożonych o swoich planach.

— Panie Mackinnon — powiedział admirał, wstając z krzesła. — Na wypadek gdyby pan zapomniał, przypominam panu, że podpisał pan umowę z marynarką Stanów Zjednoczonych Rozumiem pana powody, zwłaszcza że sam jestem żonaty, ale zawsze należy wypełniać obowiązki wobec państwa w pierwszej kolejności. Już wkrótce będziemy potrzebowali pańskiego opancerzonego wynalazku. Wielu ludzi zostanie wezwanych do poświęceń w imię wolności ojczyzny. Pan jest jednym z pierwszych.

— Chce mi pan przez to powiedzieć, że nie mogę wracać do domu?

— Jak najbardziej. Nie mogę zezwolić panu na przerwanie pracy, którą podjął się pan wykonać.

— W takim razie pojedę bez pańskiego pozwolenia.

— Jeżeli pan to zrobi, zostanie pan aresztowany. — Admirał spojrzał na Tawisa tak, jakby wiedział, o czym ten myśli, po czym dodał: — Już dawno wyznaczyłem jednego z ludzi, żeby dotrzymywał panu towarzystwa.

— To znaczy, że jestem śledzony?

— W innych okolicznościach, panie Mackinnon, nie należałbym aż tak bardzo. Ale to jest wojna i muszę przedkładać pracę nad osobiste potrzeby każdego z nas. Nie opuści pan Waszyngtonu, dopóki plany nie zostaną do końca zrealizowane. Potem wyjedzie pan do Portsmouth, gdzie powstanie „Old Glory”.

Tavis zaklął, a admirał zamilkł na moment.

— Obiecuję panu, że w chwili kiedy okręt zostanie ukończony, pana obowiązki zostaną wypełnione i osobiście dopilnuję, żeby najszybszy statek, jakim dysponuje marynarka, dostarczył pana do domu. Wiem, że to niewiele, ale w tych okolicznościach nie mogę zrobić dla pana nic więcej.

Tavis słyszał, jak ktoś go woła, ale nie mógł odpowiedzieć. Patrzył przed siebie i mrugał, jakby poraziło go słońce. Potrząsnął głową starając się zapomnieć chociaż na moment o Elizabeth.

Po chwili kapitan Pennybaker podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i zapytał:

— Dlaczego nie zostaniesz na dłużej?

Tavis spojrzał na niego, jakby nie wiedział, gdzie jest i z kim rozmawia, po czym odburknął:

— Co takiego?

— Marynarka chce, żebyś zmienił zdanie. Nadal zależy im na tym, żebyś został na dłużej.

— Wydawało mi się, że już raz na zawsze przedyskutowaliśmy ten temat — odparł Tavis.

— To prawda, ale nie możesz mnie obwiniać o to, że nadal próbuję cię przekonać.

Tavis uniósł brwi.

— Admirał cię do tego namówił?

Edward roześmiał się.

— A czy mogłoby być inaczej? Tak jest, panie admirale. Porozmawiam z nim, panie admirale. Tak, panie admirale, zapytam pana Mackinnona, czy nie zmieniłby zdania w tej kwestii. Nie, panie admirale, nie mam pojęcia, dlaczego woli zostać cywilem.

— Powiem ci dlaczego — odparł Tavis. — Ponieważ nie podoba mi się sposób, w jaki marynarka stara się sprawować kontrolę nad życiem ludzi, nad moim życiem. Nigdy nie zamierzałem zostać tutaj aż tak długo. Ja... — Zamilkł, ponieważ zdał sobie sprawę, że zaczyna rozdrapywać stare rany, że powraca od tematów, o których Edward nie ma pojęcia. — Ponieważ lubię wolność.

— Wolność? — powtórzył Edward z niedowierzaniem. — Masz zamiar wybrać się na wycieczkę?

Tavis pomyślał o Elizabeth skąpanej w promieniach słonecznych.

— Być może — odparł.

Kapitana Pennybakera nauczono, że nie wolno okazywać uczuć i emocji, więc kiedy spojrzał na rozmówcę, jego twarz była nieprzenikniona.

— Naprawdę. A dokąd?

— Do domu.

— Na Nantucket?

— Tak — Hmmm. — Edward zamyślił się. Spojrzał na Tawisa kątem oka. — Nigdy nie zauważyłem u ciebie żadnych oznak tęsknoty za domem.

— Ale to nie znaczy, że ich nie było. Tak jak powiedziałeś, po prostu ich nie zauważyłeś. Ale nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Admirał wie wszystko na temat mojego powrotu do domu.

Edward uśmiechnął się.

— Ta tęsknota za domem na pewno ma jakieś imię?

Elizabeth, pomyślał Tavis.

— Zadajesz zbyt wiele pytań. — Skręcił za rogiem i podszedł do drzwi. Za plecami wciąż słyszał ciężkie kroki swojego strażnika.

Kiedy położył rękę na klamce, odwrócił się.

— Możesz przestać skrywać się w moim cieniu.

— Mam takie rozkazy, muszę pana śledzić. Dokąd idziemy?

— Ja idę do domu — odparł Tavis. — I nie mam pojęcia dokąd ty masz zamiar się wybrać.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, postanowił nie wynajmować powozu, tylko pójść na piechotę. Postawił kołnierz płaszcza, żeby osłonić się przed zimnym wiatrem. Tak bardzo chciał znaleźć się w domu, w swoim prawdziwym domu. Chciał wrócić na Nantucket do Elizabeth, ale na razie nie wolno mu było decydować o własnym życiu. Musiał zadowolić się ciasnym mieszkankiem przy Pennsylvania Avenue.

Po roku poprawiania planów okręt „Old Glory” przestał być jedynie marzeniem. Już za tydzień Tavis będzie musiał pojechać do Portsmouth w Wirginii, żeby nadzorować

prace nad jego budową. Przez kilka kolejnych miesięcy tam będzie jego dom.

Ale jego prawdziwym domem była wyspa Nantucket. Elizabeth była jego domem.

Jego myśli krążyły wokół niezliczonych tematów, dopóki nie zatrzymały się, jak zwykle, na żonie.

— Elizabeth, Elizabeth — wymówił to imię z troską i obawą w głosie. Oczyma wyobraźni widział jej piękną twarz. Dobrze zapamiętał spojrzenie żony tamtej nocy, kiedy widział ją po raz ostatni.

Nie potrafiłby zapomnieć wyrazu jej oczu, szczerych, przepelnionych miłością. Kiedyś był na nią zbyt wściekły, żeby poświęcić jej wystarczająco dużo uwagi. Jednak gdy złość i chęć zemsty odeszły w zapomnienie, dostrzegł w Elizabeth rzeczy, których wcześniej nie widział. Był zbyt ślepy, że je dostrzec. Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, pomyślał, gdybyśmy nie byli uwikłani w tę nigdy nie kończącą się wojnę.

Wspiął się po schodach z brązowego kamienia otworzył drzwi i wszedł do środka. Nie zapalił nawet lampy, tylko podszedł do łóżka, położył się i skrzyżował ręce pod głową.

Zastanawiał się, jak Elizabeth sobie radzi. Przypomniawszy sobie o listach, które do niej napisał, lecz nigdy ich nie wysłał. I o tych, które w końcu zaadresował i oddał na pocztę. Był ciekawy, czy do niej dotarły, czy po prostu nie miała ochoty na nie odpisywać.

Wiedział, że nie może jej za to winić. W końcu to on zostawił ją w noc poślubną. Prawda i okrucieństwo tego postępu nie dawały mu spokoju. Nie było nic gorszego niż wracanie do pustego łóżka ze świadomością że sam sobie zgotował taki los.

— Głupi sukinsyn — rzucił przez zaciśnięte zęby. Ale jeszcze bardziej zabolęła go świadomość, że gdyby życie potoczyło się inaczej, być może Elizabeth nigdy nie stałaby mu się tak bliska.

Może znów powinienem do niej napisać i wyjaśnić, jak się czuję. Może wtedy odpisałaby na mój list.

Zawsze podziwiał jej siłę i determinację. Żadna z kobiet, które znał, nie potrafiła tak jak ona radzić sobie nawet w najcięższych sytuacjach i nigdy się nie poddawała.

Wyobrażał sobie, jak urządzi ich dom. Obmyślił każdy szczegół, wiedział, gdzie powieszą każdą lampę. Zamknął oczy. Zobaczył Elizabeth w eleganckiej sukni, podobnej do tych, jakie nosiły damy w Waszyngtonie. Od miesięcy ogarniało go pragnienie, żeby wrócić, zobaczyć ją, powiedzieć jej...

Otworzył oczy. Co chciał jej powiedzieć? Zacisnął pięści z bezsilności. Nie wiedział. Nie wiedział, co powiedzieć.

Być może właśnie ten fakt powstrzymywał go przed powrotem Poza marynarką wojenną i tą bezsensowną wojną, oczywiście.

Westchnął. Czuł się o kilka lat starszy, wyczerpany, a budowa statku ledwo się zaczęła. Był zagubiony, niepewny. Nie wiedział, jaki powinien obrać kurs, a znikąd nie nadchodziła pomoc. Mimo to zdawał sobie sprawę, że jego życie musi iść naprzód, płynąć rytmicznym nurtem, który zabierze go do Portsmouth, gdzie zbudują jego statek. Nadejdzie wiosna, a po niej lato, a potem z drzew zaczną spadać liście. Do tego czasu „Old Glory” wypłynie na szerokie wody.

A co potem?

Budowa okrętu na wiele długich tygodni pogrążyła go w pracy. Każda linia na projekcie oznaczała dziesiątki gwoździ, które musiały zostać wbite, i niezliczoną ilość żelaza, które trzeba było przyciąć zgodnie z wyliczeniami. Przez długie godziny Tavis musiał przyglądać się, jak szlifowano i obrabiano dębowe bale, a trociny nieustannie wpadały mu do oczu. Wciąż musiał coś poprawiać, doradzać i sugerować.

„Old Glory” będzie najwspanialszym okrętem wojennym, jaki kiedykolwiek widział świat. Tavis był z niego bardzo dumny, a budowniczy uwijali się, jak mogli, żeby jak najszybciej ukończyć jego dzieło.

Pracowali najlepsi ludzie, którym dostarczono najlepsze materiały oraz narzędzia. Cały zewnętrzny pancerz umocowany został żelaznymi nitami. Dzięki temu był w stanie znieść uderzenia kul armatnich.

Mimo że Tavis nigdy sam nie budował żadnego statku, jego praca nie kończyła się na wykonaniu planów. Był znany z tego, że za każdym razem, kiedy realizowano jego projekt, dwoił się i troił, żeby wszystkiego dopilnować. Sprawdzał, czy drewno jest dostatecznie suche. Sprawdzał nasączenie solą substancji, która miała uchronić drewno przed zbutwieniem.

Mówiono o nim, że jest szczegółowym Szkotem o przenikliwym spojrzeniu, którego uwagi nie ujdzie żadna usterka.

Był takim perfekcjonistą, że podobno kiedyś jeden z budowniczych powiedział:

— On chyba nigdy nie wybuduje statku, który będzie odpowiadał jego ideałom.

— Chyba masz rację — przyznał Tavis. — Nigdy mi się to nie uda.

Wiedział, że ciężko go zadowolić, bo nic w pełni go nie satysfakcjonowało i zawsze chciał czegoś więcej. I wówczas przyszła mu na myśl Elizabeth. Nie potrafił wyobrazić sobie innej kobiety w swoim życiu.

W końcu nadszedł dzień, kiedy wbito ostatni gwóźdź. Oficerowie i dygnitarze marynarki wojennej zebrali się, żeby być świadkami chrztu „Old Glory”.

Tavis wysłuchał przemówienia a nawet sam wygłosił kilka zdań. Ale kiedy usiadł, poczuł się bardzo dziwnie. Nie cieszył go już dłużej jego nowy okręt. W tej chwili myślał tylko o Elizabeth.

Denerwował się na myśl o powrocie do domu i zastanawiał się z narastającym niepokojem, dlaczego nie odpisała na ani jeden jego list. Wiedział, że zranił ją, odchodząc, ale miał nadzieję, że w listach wytłumaczył jej, że już się na nią nie gniewa.

Spojrzał na „Old Glory”, którą spuszczano na wodę. Rozległy się oklaski. Wszyscy gratulowali mu świetnej roboty. Spekulowali, kiedy skończy się wojna, choć tak naprawdę jeszcze się na dobre nie zaczęła.

Kule szybko dosięgły Nantucket. Już wkrótce trzy domy poszły z dymem. Jeden z nich należał do Robinsonów. Nie można było nic zrobić, ponieważ ogień rozszalał się na dobre.

Elizabeth stała na ulicy naprzeciwko dziadka. Odwróciła głowę, kiedy wynosili pierwsze trzy ciała.

Nie! — krzychało jej serce. To się nie dzieje naprawdę. To jest niemożliwe. Tylko nie Sally i Meg. Tylko nie tata.

Świat zawirował wokół niej i po chwili zobaczyła przed oczami lśniąca twarz siostry Meg. Wyglądała tak samo dumnie, jak tego dnia, kiedy oznajmiła, że przeczytała wszystkie jej pamiętniki. Już nigdy nic nie przeczyta. Nigdy więcej nie wpadnie do jej sypialni w środku burzy i nie zapyta, czy mogłaby z nią spać. Nigdy nie powie, jak bardzo boi się piorunów. A Sally już nigdy nie pożyczy od Elizabeth medalionu ani nie popruje jej najlepszej peleryny. Nigdy więcej nie położy się na łóżku najstarszej siostry i nie zapyta jej, skąd jej ciało ma wiedzieć, że jest zakochana. Elizabeth już nigdy więcej nie usłyszy, jak ojciec mówi:

— Lizzie, moje dziecko, co ja mam z tobą zrobić?

Konstabl, pan Whittaker, zatrzymał się przed Elizabeth i położył dłoń na ramieniu jej dziadka.

— Bardzo mi przykro, Asa. Nic nie mogliśmy zrobić. Dom stanął w płomieniach, jeszcze zanim zdążyliśmy tutaj dojechać.

Odwrócił się do Elizabeth, skinął głową, dotykając przy tym róna kapelusza. Chciała skinąć, tak jak nakazywało dobre wychowanie, ale najwyraźniej straciła kontrolę nad ciałem, ponieważ nie mogła się ruszyć. Rozpacz dopadła ją w swoje szpony. Miała wrażenie, jak gdyby ziemia usuwała się jej spod stóp.

Odwróciła głowę. Spojrzała na trzy ciała przykryte prześcieradłami. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, jeden z przechodzących mężczyzn zahaczył nogą o prześcieradło.

Aż do tego momentu Elizabeth myślała tylko o bólu, który musieli znieść jej ukochani, oraz o swojej rozpacz. Nie zastanawiała się nad tym, co może zrobić ogień z ludzkim ciałem.

Przez moment patrzyła bezmyślnie na czarne, groteskowo powykrzywiane ciało. Zwęglone dłonie sięgały w pustkę.

Rzeczywistość ją przytłoczyła i przerosła. Elizabeth spojrzała na dwa pozostałe

ciała, o wiele mniejsze od poprzedniego, przykryte prześcieradłami. Nie chciała dopuścić do siebie tego, co widziała. To obrzydliwe zwęglone okropieństwo z rękoma oderwanymi od ciała nie mogło być jej ojcem.

Tata... wnętrzości podeszły jej do gardła. Świat zaczął się wokół niej kręcić, a w uszach zaczęło jej walić. Odwróciła się do dziadka i wyciągnęła do niego ręce, ale nie mogła go dosięgnąć. Stał za daleko. Chciała go zawołać, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Zaczęła spadać w ciemność.

Jeszcze zanim otworzyła oczy, wiedziała, że jest w domu wdowy Peterson. Pani Peterson mieszkała po drugiej stronie ulicy, przy której jeszcze do niedawna stał dom Robinsonów. Elizabeth natychmiast rozpoznała cichutki głos starszej pani i zobaczyła na ścianach niewyobrażalnie żółte róże.

— Biedna kruszynka. W mgnieniu oka straciła całą rodzinę. To nie jest sprawiedliwe, prawda, kapitanie? Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że pan również jest w żałobie po stracie syna i dwóch wnuczek. Ale żałoba jest czymś o wiele potworniejszym, o wiele trudniejszym dla kogoś tak młodego. Przynajmniej tak mi się wydaje — powiedziała pani Peterson. — Czy myśli pan, że nic jej nie będzie? Czy mam posłać po lekarza?

Elizabeth poczuła dotyk ciepłej dłoni dziadka na skroni.

— Jest po prostu osłabiona. Szok był dla niej zbyt wielki i... — Asa zawiesił głos, a Elizabeth wyczuła w jego głosie ból. Chciała wyciągnąć do niego rękę.

Chwilę później zaskrzypiało krzesło. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą ciemny płaszcz dziadka.

Asa spojrział na nią. W jego oczach błyszczały łzy. Kiedy się odezwał, głos mu drżał.

— Jeżeli mogłaby pani posiedzieć z nią przez chwilę, pani Peterson, poszedłbym po powóz.

W czasie drogi do domu i przez kilka kolejnych dni Elizabeth czuła się jak trzymane pod szkłem zwierzątko, z uwagą obserwowane przez badaczy. Ludzie wciąż pojawiali się i odchodzili. Przygotowywano dla niej posiłki. Noc przychodziła po dniu. A jasne światło na czubku latarni starym zwyczajem wskazywało statkom bezpieczną drogę.

A ból nie przemijał.

Jak można stłumić ból po stracie ukochanej osoby? — zastanawiała się. Co mogłaby zrobić, żeby zapomnieć o rozpaczce, która rozdzierała jej serce? Ich śmierć była tak nagła, tak niespodziewana. Tak ostateczna. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Nigdy w życiu nie przydarzyło się jej nic, z czym nie mogłaby sobie

poradzić. Nigdy nie znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

— To zbyt wiele — powiedziała dziadkowi w noc przed pogrzebem. Oboje siedzieli w kuchni. Na stole przed nimi stała kawa, ale żadne z nich nie piło.

Dookoła panowała cisza. Nie słychać było nawet cichego tykania zegara. Asa ze łzami spływającymi po twarzy starał się przekonać wnuczkę, że powinna coś zjeść, ale ona nie mogła tego zrobić. Miała ściśnięte gardło. Nie była nawet w stanie się poruszyć. Siedziała sztywno przy stole i zastanawiała się, dlaczego nie potrafi płakać w momencie, kiedy innym przychodzi to z taką łatwością.

Spojrzała na dziadka. Tak bardzo chciała podejść do niego i usiąść mu na kolanach, jak to robiła będąc małą dziewczynką. Pamiętała znajomy zapach wełny, bezpieczeństwo, które czuła, kiedy opierała głowę na jego piersi, a on otaczał ją ramionami.

Nie wiedziała, co było silniejsze, ból wynikający z tego, że nie może cofnąć czasu, czy agonią którą wywoływały wspomnienia. Miłość i strata. Jej życie zawsze wypełnione było miłością i poczuciem straty. Dlaczego życie odbiera mi wszystko, co kocham?

Zastanawiała się, jak dziwnie pracuje jej umysł, ponieważ nagle ze wspomnień o ramionach dziadka przeszła do wspomnień o ramionach innego mężczyzny. Pomyślała o Tavisie, o listach, które jej przysłał, i o tych, które napisała do niego. Listy, w których pisała mu o dziecku, zawsze kończyły w koszu na śmieci.

Jego także straciła. Nie czuła się jednak winną że nie wysyłała do niego listów. W końcu to on odwrócił się od niej i odszedł. Nie zasługiwał na to, żeby dowiedzieć się o dziecku.

W dniu pogrzebu słońce skryło się za chmurami. Świat wydawał się ponury i nieprzyjazny.

Elizabeth spojrzała na grób matki i przypomniała sobie pewien słoneczny dzień, kiedy klęczała tutaj jeszcze nie tak dawno temu i sadziła kwiaty. Wówczas nigdy by nie pomyślała że niedługo trzeba będzie wykopać grób dla trzech kolejnych członków rodziny. Już wkrótce, mamó, będziesz miała towarzystwo. Nie będziesz samotna. Teraz tylko dziadek i ja zostaliśmy w Nantucket.

Spojrzała na Asę i nie mogła odpędzić od siebie myśli o tym, ile zostało mu jeszcze czasu.

Stała u boku dziadka i patrzyła na łzy, które spływały po jego starej twarzy. Tyle razy coś tracili. Dlaczego? — zastanawiała się, zwracając oczy ku niebu, jak gdyby potrafiła znaleźć tam odpowiedź.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Ale odpowiedź nie nadeszła. Nie z nieba. Nie z głębi jej serca. Jedyne lodowata, trudna do zniesienia rzeczywistość uderzyła ją w twarz. Ponownie spojrzała na łzy na twarzy dziadka i zastanowiła się, dlaczego ona w przeciwieństwie do niego nie potrafi wyrazić bólu. Chciała płakać. Chciała krzyczeć i lamentować.

Tylu rzeczy nie zdążyła zrobić, tylu słów nie zdążyła powiedzieć.

— Och, tato, wybaczyłam ci, wybaczyłam — wyszeptała wspominając ten dzień, kiedy ojciec poprosił ją żeby przebaczyła mu, że zmusił ją do ślubu z Tavisem, a ona odwróciła się od niego bez słowa. Tyle razy źle postąpiła z powodu złości. W złości opuściła dom Tawisa. W złości odmówiła powrotu do domu i przeniosła się do latarni morskiej.

Pamiętała ten dzień, kiedy Meg i Sally przyszły do latarni i błagały ją, żeby wróciła do domu. Pamiętała jak mocno je ścisnęła i płakała razem z nimi, ale na koniec odesłała je z kwitkiem.

A teraz wszyscy odeszli, ojciec, Sally i Meg. Życie cały czas coś nam zabiera.

Oparła głowę na ramieniu dziadka. Patrzyła na braci, którzy zebrali się wokół grobu. Ich twarze były pełne rozpacz i bezsilnego gniewu. Trwali w żałobie, podobnie jak ona, ale oni mieli swoje własne życie i żaden z nich nie wybrał Nantucket na swój rodzinny dom. Wrócą do siebie, a pamięć o zmarłych i smutek pozostawią daleko za sobą.

Ona, dziadek i dziecko, które mogło się urodzić lada dzień, zostaną zupełnie sami.

Wiedziała że Asa i nienarodzone maleństwo staną się dla niej opoką. Dzięki nim nie podda się rozpaczy.

Tavis po przeszłodwuletniej nieobecności wrócił wreszcie na Nantucket. Od wielu dni ogarniało go nieprzemожone pragnienie, żeby zobaczyć Elizabeth i spędzić trochę czasu, patrząc na nią, upajając się jej widokiem i odnajdując zmiany, jakich mógł dokonać czas.

Kiedy szedł z portu do domu, nie mógł przestać myśleć o tym, jaka będzie reakcja żony. Już dawno zapomniał o złości i nienawiści wobec niej, a ich miejsce zastąpiło poczucie winy. Doskonale wiedział, co oznaczał brak wiadomości od Elizabeth. Zranił ją i bardzo tego żałował.

Przebiegał główną ulicę. Machał ręką za każdym razem, kiedy spotykał znajomą twarz, ale ani na chwilę nie przestał o niej myśleć. Przez ponad dwa lata nie było dnia, żeby tego nie robił. Oczyma wyobraźni widział chwilę, kiedy się spotkają. Wiele razy wyobrażał sobie żonę, jak stoi przy oknie w kuchni i na jego widok posyła mu to spojrzenie pełne uwielbienia i oddania, z jakimi patrzyła na niego, kiedy była dzieckiem. A potem odwraca się i zarzuca mu ręce na szyję. Jakiś czas temu zrozumiał, że już nigdy się od niej nie uwolni. Było w niej coś, co go do niej przyciągało. Razem stanowili jedność umysłu i ducha.

Skręcił w ulicę, przy której stał jego dom, i nagle ogarnęło go przerażenie, lęk i niepewność. A co będzie, jeśli jest już za późno, jeśli zbyt długo czekał z powrotem? Był dojrzałym mężczyzną, o dziesięć lat od niej starszym. Ona nadal była młoda, przeżywała wiosnę swojego życia.

Z każdym krokiem narastała w nim niepewność. Lizo... Lizo... co ja ci zrobiłem? Jak mogłem być taki okrutny? Zawsze mnie kochałaś, a ja pogrzebałem w popiele twoje nadzieje i patrzyłem, jak się rozsypują, a potem odszedłem.

Zatrzymał się przed domem. Serce biło mu mocniej niż zazwyczaj, dłonie się pociły. Tylko kilka kroków dzieliło go od Elizabeth.

Nagle wszystko, co chciał jej powiedzieć, wszystkie słowa, które tak długo układał w zdania, rozplynęły się w powietrzu. Zamknął za sobą bramę i stał przez chwilę bez ruchu, patrząc na dom. Czuł się niepewnie, jak ślepiec, który stara się po omacku odnaleźć drogę. Zaczął się zastanawiać, czy istnieje na świecie coś bardziej żalosego niż mężczyzna, który stracił całą pewność siebie i zmienił się w trzęsącego się, jękającego głupca. Jego stary dom wyglądał tak samo jak dawniej. Wszystko na zewnątrz było dokładnie takie samo jak tego dnia, gdy wyjechał z

Nantucket.

Wszedł po schodach i zatrzymał się. Nie potrafił przestać myśleć o zmianach, jakich mogła dokonać Elizabeth podczas jego nieobecności.

Było jeszcze dosyć wcześnie, kwadrans po dziewiątej. Przypuszczał, że jego dawna gospodyni wciąż tu pracuje. Przed wyjazdem zostawił w banku pieniądze dla niej. Wsunął klucz do zamka i cicho wśliznął się do środka. Ku jego zaskoczeniu, wszystko wyglądało jak wcześniej. Na korytarzu stało jedno krzesło i stojak, a w nim tylko jeden parasol.

Wszedł do saloniku i zapalił lampę naftową. Zdziwił się, że po tylu latach stoi tam, gdzie ją kiedyś postawił. Krzesła miały te same niebieskie obicia. Przy sofie stał ten sam stary stół z drewna różanego.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał. Tavis położył płaszcz na krzesło i w pośpiechu zaczął przemierzać wszystkie pomieszczenia. Ze zdziwieniem utwierdzał się w przekonaniu, że nic nie zmieniło swojego miejsca.

Wszedł do sypialni i doszedł do wniosku, że nie może w niej mieszkać żadna kobieta, ponieważ nadal była wyjątkowo nieprzytulna, zimna i zdecydowanie męska. W oknach nie wisiały firanki, na łóżku nie leżała narzuta, na podłodze nie było dywanu. Spojrzał na toaletkę, na której stała mała srebrna szkatułka, niewielki portret jego rodziców oraz szylkretowy grzebień i szczotka, które niegdyś należały do jego matki.

To właśnie widok tego pokoju zszokował go najbardziej. Zrozumiał, że od miesięcy nikt tu nie mieszkał. Dom Tawisa stał się muzeum, a on wyobrażał sobie, że będzie pachnieć liliami i lawendą. Zacisnął pięści.

— Sukinsyn! — powiedział, po czym wyszedł, żeby sprawdzić kolejne pokoje.

W końcu znalazł w kuchni panią Chadwick.

— Gdzie jest moja żona?! — krzyknął od wejścia.

Pani Chadwick podskoczyła i położyła ręce na piersiach.

— Na litość boską! Przestraszył mnie pan nie na żarty — powiedziała, spoglądając na niego z przerażeniem. — To bardzo miło, panie Mackinnon, że pan nareszcie do nas wrócił. Powinien był pan zawiadomić mnie o powrocie. Wysprzątałabym dom i wywietrzyła pokoje.

— Gdzie jest Elizabeth?

— Nie wiem. Sprawdzał pan w latarni morskiej?

— Nie, od razu przyszedłem do domu. Biorąc pod uwagę porę dnia, myślałem, że zastanę ją tutaj.

— Więc nic panu nie powiedziała?

— Co takiego miała mi powiedzieć?

— Że już tutaj nie mieszka. Tego dnia, kiedy pan wyjechał, wyprowadziła się. Podejrzewam, że biedactwo było tak samotne, że wolała zamieszkać z dziadkiem. Od ponad dwóch lat mieszka z kapitanem Robinsonem. — Zamilkła, a na jej twarzy pojawił się smutek i żal. — Podejrzewam, że nie wie pan, co się tutaj wydarzyło — dodała, potrząsając głową. — Tyle wycierpiała. Tavis zadrżał.

— Dlaczego? Co się stało?

— To była taka tragedia — kontynuowała. — Taka tragedia. Kapitan Robinson już nigdy nie był taki sam po tym, co się wydarzyło.

— Co się takiego stało?

— Był pożar — wyjaśniła gospożą potrząsając głową. — Dom Robinsonów i dwa budynki obok doszczętnie się spaliły. Samuel i dwie siostry Elizabeth zginęli w płomieniach.

Tavis przysunął sobie krzesło i usiadł. To był dla niego zbyt duży szok. Nie wiedział, co powiedzieć, co zrobić.

— Kiedy to się stało? — zapytał wreszcie.

— Jakies pół roku po pana wyjeździe, jeżeli dobrze sobie przypominam.

Zanim zrozumiał, co tak naprawdę się wydarzyło i jakie mogły być tego konsekwencje, zanim zdążył otrząsnąć się z szoku i żalu, pani Chadwick spojrzała na niego podejrzliwie.

— Nie wiedział pan o pożarze — powiedziała. — Ale chyba wie pan... o... dziecku.

Miał wrażenie, że lada moment jego mózg eksploduje.

— Jakie dziecko? — zapytał chłodno.

Pani Chadwick zaczęła wachlować twarz ścierką kuchenną.

— Proszę mi wybaczyć. Powinnam była trzymać język za zębami, tak właśnie powinnam była zrobić. — Spojrzała zawstydzona na Mackinnona i dodała: — Proszę, niech mnie już pan o nic nie pyta. Ja tylko przychodzę tutaj dwa albo trzy razy w tygodniu i wycieram kurze. Nic o niczym nie wiem.

— Wspomniała pani o dziecku. Czyje ono jest?

— Proszę — odparła unosząc ręce w obronnym geście. — Niech pan idzie do latarni morskiej i porozmawia z żoną. Ona udzieli panu odpowiedzi. Ja nie jestem odpowiednią osobą żeby rozmawiać z panem o pańskim prywatnym życiu. Co najwyżej mogę powiedzieć, w jakim stanie znajduje się obecnie pański dom.

— Jeśli o mnie chodzi, to ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, może się posypać w gruzy. — Tavis wstał, odwrócił się i czym prędzej wyszedł z kuchni.

Droga do latarni morskiej nie zajęła mu wiele czasu. Minał miejsce ze szkieletami wielorybów, a potem ruszył piaszczystą ścieżką mijając po drodze kałuże. Był tak zaaferowany tym, co zamierzał powiedzieć Elizabeth, że nie zwracał uwagi na drogę.

Wciąż przypominał sobie na nowo wszystko, o czym powiedziała mu gospodyni. Pan daje i Pan odbiera, powtarzał sobie w myślach. Elizabeth straciła ojca i dwie siostry. Ale urodziła dziecko.

Jak mógł ją wesprzeć? Co mógł jej powiedzieć, żeby zrozumiała, jak bardzo rozumie jej żalobę po stracie ukochanych osób? Przypomniawszy sobie czasy, kiedy był małym chłopcem i stracił rodziców, dwóch braci oraz siostrę. Dlatego tak dobrze rozumiał jej ból, rozpacz i żal. Czuł, jak odżywiają w nim wspomnienia, ale nie potrafił jej o tym opowiedzieć.

Spojrzał w stronę latarni i zobaczył stojącego nad wodą kapitana Robinsona. Kilka kroków od niego stał mały chłopiec. Kiedy Tavis podszedł bliżej, kapitan Robinson podniósł głowę. Chłopiec podążył za wzrokiem dziadka i ujrzał nadchodzącego mężczyznę. W tym momencie Tavis zrozumiał, że to jego syn.

Ten malec bez wątpienia był Mackinnonem. Miał błękitne oczy i ciemne kręcone włosy. Nie było w nim śladu Elizabeth. Tavis był jednocześnie szczęśliwy i oszukany, jak gdyby coś dostał, a zaraz potem mu to odebrano.

Kiedy zdał sobie sprawę, że ma syna zaczęło go nękać nowe pytanie. Dlaczego Elizabeth nie napisała mu o chłopcu w liście? Nagle przypomniał sobie ten wieczór w bibliotece, kiedy przyszła po książkę. Zapytał ją wówczas, dlaczego nie zrezygnowała z małżeństwa z nim, dlaczego tak bardzo nalegała. Pamiętał, jak ją obwiniał, jaki był dla niej okrutny i niesprawiedliwy.

„Ale w końcu się poddałaś, mam rację?”

„Musiałam”.

„Musiałaś, a może raczej chciałaś? Co to za różnica?” „Były pewne... Miałam swoje powody”. Zamarł bez ruchu i przez chwilę miał wrażenie, że już nigdy nie odzyska kontroli nad własnym ciałem. Tavis spojrzał na kapitana Robinsona i skinął głową.

— Dzień dobry — powiedział, podając mu dłoń.

— A więc wróciłeś — rzekł Asa. — Tak jak myślałem.

— Czy można było w to wątpić? — zapytał Tavis, spoglądając na chłopca.

— Niektórzy mieli wątpliwości. Wróciłeś na dobre?

— Tak — odpowiedział stanowczo Tavis. — I biorąc pod uwagę pewne zmiany, myślę, że dobrze zrobiłem.

Staruszek spojrzał na chłopca i Tavis podążył za jego wzrokiem — Cześć —

powiedział, pochylając się.

Chłopiec nie odezwał się, ale ani na moment nie oderwał od niego wzroku. Tavis dojrzał w jego oczach zadumę. Po chwili malec zerknął podejrzliwie na dziadka.

— Bardzo ładny statek. Sam go zrobiłeś? — zapytał Tavis.

Chłopiec spojrzał na niego nieśmiało, a potem potrząsnął głową i wskazał palcem na dziadka.

— Nie — wymówił to słowo z takim zdecydowaniem i siłą, jakby powtarzał je bardzo często.

Tavis uśmiechnął się, wstał i pogłaskał go po włosach. W chwili kiedy dotknął tego dziecka, coś w nim pękło. To był jego syn. Z trudem powstrzymał się, by nie wziąć go w ramiona. Wiedział, że jeszcze jest na to za wcześnie.

— Czy Elizabeth jest w domu? — zapytał.

— Jeszcze przed chwilą widziałem ją w kuchni — odparł Asa.

Tavis wiedział, że teraz istnieje jeden powód więcej, żeby odzyskać żonę.

Od tygodnia padał deszcz, ale dzisiaj niebo zaczęło się wypogadzać. Jedynie małe niewinnie wyglądające obłoki pozostały w górze niczym wspomnienie po ciemnych chmurach. Elizabeth wyglądała przez okno, obserwując, jak dziadek i jej prawie dwuletni syn puszczają łódkę na wodzie. Willie przez cały czas szedł obok Asy i przeskakiwał kałuże. W pewnej chwili potknął się i wpadł w jedną z nich.

Elizabeth roześmiała się. Była szczęśliwa, że w końcu słońce wyszło z chmur. Spojrzała w kierunku miasta i wtedy go zobaczyła. Wyłonił się z mgły, która unosiła się w oddali.

Jakie to dziwne, że tyle razy wyobrażała sobie, że go widzi albo słyszy tylko po to, żeby po chwili zrozumieć, że to wszystko dzieje się wyłącznie w jej głowie. W ciągu tych kilku miesięcy, zanim urodził się Willie, wciąż słyszała głos Tawisa. Ale w miarę upływu czasu ból po jego stracie był coraz słabszy. A potem Rebecca wyszła za męża za młodszego brata Nathaniela Starbucka Jasona, i przeprowadziła się do New Bedford. Zaraz potem Elizabeth straciła ojca i obie siostry. I cały jej świat legł w gruzach, pozostawiając po sobie jedynie smutek.

Od pożaru minęły już prawie dwa lata, ale nie było dnia, żeby nie wspomniała tej tragedii i nie czuła bólu w sercu. Spojrzała na dziadka. Tak bardzo ostatnio się postarzał. Tyle stracił i w przeciwieństwie do niej nie potrafił się pozbierać i iść dalej. Sprawiał wrażenie człowieka, który na coś czeka. Za każdym razem, kiedy się nad tym zastanawiała, do głowy przychodziła jej tylko jedna myśl.

Śmierć.

Wiele razy Asa powtarzał jej, że to on powinien był zginąć w tym pożarze, że już

swoje przeżył i nie ma powodu, dla którego miałby żyć jeszcze dłużej.

— To się nie powinno było tak skończyć — mawiał. — Ludzie nie powinni chować swoich dzieci.

Dwa dni temu, kiedy wieczorem wypowiedział te słowa Elizabeth zwróciła mu uwagę, że jednak istnieje powód, dla którego powinien dalej żyć, że przecież mają i Williego.

— Czy to nie wystarczy? — spytała.

— Oboje jesteście młodzi... i silni. Dacie sobie radę bez względu na to, czy z wami będę — odparł, po czym spojrzał przed siebie i pogrzyzył się we wspomnieniach. — Nigdy nie chciałem tutaj wracać — odezwał się po długiej chwili milczenia. — Nie chciałem umierać w ten sposób. Nie chciałem się zestarzeć i zniedołężnieć. Wolałbym nie patrzeć, jak odchodzą ci, których kocham. Byłoby o wiele lepiej, gdybym dał się zmieść z pokładu potężnym falam albo rozbił się o skały w czasie nawałnicy. — Popatrzył smutno na wnuczkę i dodał: — Ciężko jest człowiekowi przyglądać się, jak życie wyslizguje mu się z rąk, kawałek po kawałeczku, patrzeć, jak odchodzą rodzina i przyjaciele, i zastanawiać się, kiedy nadejdzie jego kolej.

— Być może Bóg ocalił cię, bo wiedział, że będę cię potrzebowała. Och, dziadku, nie rozumiesz, że bez ciebie nie dałabym sobie rady?

— Być może — odparł, wyglądając przez okno na morze, które tak bardzo kochał. — Ale już mnie nie potrzebujesz i czasem czuję, że mój czas nadszedł.

— Nie mów tak. Willie cię potrzebuje. Oboje cię potrzebujemy.

Nie spojrzał na nią.

— No to jestem Co prawda moje kości trzeszczą, ale ta stara głowa nadal działa tak, jak powinna, więc nie musisz się o nic martwić. Czasami czuję, że mnie do siebie wzywa... przywołuje mnie, żebym wrócił.

— Wzywa cię? Masz na myśli pragnienie zapolowania na wieloryby?

— Nie — odparł, spoglądając na szarą taflę wody. — Morze. Wydaje mi się, że czuje, że zostało oszukane. Morze nie lubi wypuszczać żywych ze swoich szponów.

— Będzie musiało się z tym pogodzić. Świetnie się czujesz i nie wrócisz już nigdy na morze. Masz przed sobą dużo życia.

— Sam nie wiem — powiedział. Nie patrzył na wnuczkę; przez cały czas wpatrywał się w wodę, jakby to właśnie z nią rozmawiał. — Nadal jesteśmy ze sobą umówieni — dodał — morze i ja.

— Twoje dni na morzu dobiegły końca. Nie będzie już spotkań z morzem ani żadnych innych niebezpiecznych eskapad poza wyjściami z Williem na plażę.

Elizabeth odchrząknęła. Dlaczego ta rozmowa tak długo pozostawała w jej pamięci? Dlaczego nie mogła o niej zapomnieć?

Nagle zaschło jej w gardle, a serce zadrżało gwałtownie. Jej oddech stał się szybki i bardzo nerwowy.

W oddali na ścieżce prowadzącej do miasta zobaczyła Tavisę.

Dawno temu kochała tego mężczyznę. Wyszła za niego za męża. Urodziła mu syna. Pragnęła go. Ale potem wszystko w niej umarło. Miejsce miłości zajęła żaloba. Od tamtej chwili Elizabeth miała nadzieję, że już nigdy go nie zobaczy. Nie czuła złości ani nienawiści. Była cichą, spokojną Elizabeth Mackinnon, kobietą oddaną dziadkowi i synowi. Cieszyły ją dni spędzone w latarni morskiej. W wolnych chwilach obserwowała gwiazdy. Nie pragnęła niczego więcej.

Miała nadzieję, że jest wystarczająco silna, żeby dodawać otuchy swojemu słodkiemu Williemu. Bardzo dobrze pamiętała ten dzień, kiedy się urodził, i słowa, które powiedziała wówczas Rebecce.

— Nigdy nie zdobędę Tavisę, ale mogę mieć jego dziecko. Ta część niego zawsze będzie należała do mnie, tego nigdy mi nie odbierze. Dzięki temu maleństwu mam cel w życiu. Kiedy kochasz kogoś, kto nic do ciebie nie czuje, przestaje się dostrzegać sens życia. Ale teraz go odzyskałam.

Tavis Mackinnon porzucił ją, kiedy nosiła w łonie jego dziecko. To on odebrał jej sens życia.

Teraz ugięły się pod nią kolana. Był ubrany tak jak zazwyczaj: miał na sobie brązowe spodnie i granatowy płaszcz. Nie widziała dokładnie twarzy, ale domyśliła się, że jego szaroniebieskie oczy nadal będą potrafiły rzucać na nią swoje uroki.

Miała duszę na ramieniu, kiedy patrzyła, jak mąż podchodzi do jej dziadka i syna. Skinął głową i podał rękę Asie. Spojrzał na Williego. Zaczął rozmawiać z kapitanem. Potem kucnął i zwrócił się do Williego. Uśmiechnął się, kiedy malec potrząsnął głową i wskazał palcem na pradziadka. Tavis pogłaskał syna po głowie, a potem wstał i zapytał o coś Asę. Kiedy starszek wskazał dom, serce Elizabeth zaczęło bić jak oszalałe.

Nie... nie... powiedz mu, żeby odszedł. Nie mów mu, że tu jestem. Nie chcę się z nim spotkać.

Nawet z tej odległości wiedziała, że idący w stronę domu Tavis jest wściekły.

Słyszała, jak otwiera drzwi, a potem jego kroki. Nadal stała przy oknie w kuchni, bojąc się poruszyć. Gdy stanął tuż za jej plecami, przez moment trwała bez ruchu z talerzem w rękę, po czym wzięła głęboki oddech i odwróciła się.

— A więc wróciłeś — powiedziała.

— Miałaś co do tego wątpliwości? — Nie starał się nawet ukryć smutku w głosie.

— Owszem — powiedziała. Starła się być silna; nie chciała mu ulec, chciała pokazać mu, że nie tylko on potrafi być chłodny i odpychający, ale zdawała sobie sprawę, że nie wychodzi jej to dość przekonująco.

Tavis najwyraźniej nie miał problemu z wyrażaniem uczuć.

— Tak wiele rzeczy chciałbym zmienić między nami — rzekł. — Żałuję, że nie powiedziałaś mi o chłopcu.

Próbowała być oschła, jak tylko potrafiła.

— Dlaczego? Jakie to by miało znaczenie? Byłbyś na mnie jeszcze bardziej wściekły, jeszcze bardziej byś mnie znenawidził?

— To prawda, że byłem wściekły, ale nigdy nie czułem do ciebie nienawiści. Wydaje mi się, że powinienem wiedzieć o narodzinach mojego dziecka. Mogłaś chociaż odpowiedzieć na któryś z listów. Zostawiłem ci instrukcje, jak mnie znaleźć, gdybyś mnie potrzebowała.

— Czyżby? Zostawiłeś instrukcje, jak wydać twoje pieniądze i jak dbać o twój dom, ale zapomniałeś o jednej rzeczy. Nie wspomniałeś o swojej żonie.

Nie miał zamiaru się poddać.

— Powinnaś była poinformować mnie, że mam dziecko.

— Dlaczego? Skoro ja cię nie obchodziłam, to skąd mogłabym przypuszczać, że będzie ci zależeć na dziecku?

Tavis nie odzywał się przez chwilę.

— Wiedziałaś, że jesteś w ciąży, kiedy wyjeżdżałem z Nantucket? Czy właśnie dlatego dałaś nakłonić się rodzinie do małżeństwa?

— Tak.

Cofnął się myślami do przeszłości. Na początku na jego twarzy malowało się niedowierzanie, ale potem się odprężył.

— To był błąd. Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Zrobiłbym wiele głupstw, ale na pewno nie odwróciłbym się do ciebie plecami.

— Skąd miałam o tym wiedzieć? Byłeś tak rozwścieczony. Myślałam, że wyjawienie ci prawdy jest najgorszą rzeczą, jaką mogę zrobić. Chciałam, żebyś najpierw przyzwyczaił się do roli męża, zanim ci powiem o dziecku. Nie miałam pojęcia, że odejdiesz w dniu naszego ślubu.

Sprawił wrażenie zakłopotanego.

— Gdybym wiedział, na pewno bym został — odezwał się łagodnie.

Elizabeth uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Gdybyś został, wyjawiałabym ci prawdę.

Chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu na to.

— To nie ma znaczenia. Już nic nie ma znaczenia. Zrzekłeś się swoich praw w dniu, kiedy mnie opuściłeś. Jak widzisz, udało mi się urodzić Williego bez twojej pomocy.

— Willie... czy tak go nazwałaś?

Chciała się na nim zemścić, zmieszać go z błotem, odpłacić za krzywdę, którą jej wyrządził, ale nie zrobiła tego, bo nagle uświadomiła sobie, że nadal pragnie być żoną Tavis Mackinnona, żoną w pełnym znaczeniu tego słowa.

— Nazywamy go Willie. To zdrobnienie od William.. William Tavis.

— Nazwałaś go Tavis na moją cześć?

— To twój syn. Masz coś przeciwko temu?

— Nie, oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie, tylko że... No cóż, zaskoczyłaś mnie.

— Dlaczego? To twój syn twój pierworodny i powinien nosić twoje imię. Nigdy nie odmówię mu tego prawa, tak samo jak nie zaprzeczę temu, że jesteś jego ojcem.

Ich spojrzenia się spotkały. Powoli upór i złość znikły z jego oczu. Pozostał jedynie spokój.

— Nie wyobrażałem sobie takiego powitania. Myślałem, że będziesz na mnie zła.

— Byłam, ale moja złość znikła zaraz po tym, jak urodziłam Williego. Nie chciałam, żeby zatruwała jego życie. Poza tym nie miałam czasu, żeby rozdrapywać stare rany. Nigdy nie przypuszczałam, że rola matki może być tak absorbująca — powiedziała mając nadzieję, że lekki ton głosu zakryje ciężar jej bólu.

Przez moment miała wrażenie, że Tavis się uśmiechnie, ale jego twarzy pozostała bez wyrazu.

— Pani Chadwick powiedziała że opuściłaś dom zaraz po tym, jak wyjechałem.

— Następnego dnia.

— Dlaczego?

— To chyba oczywiste. Szczerze mówiąc, to nie była trudna decyzja. Zdawałam sobie sprawę, że mnie nie chcesz, więc zrobiłam to, co uważałam za stosowne. Nie chciałam mieć nic wspólnego z tobą ani z niczym, co do ciebie należy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, stojąc na przeciwnych krańcach kuchni. Oboje byli przekonani o swoich racjach; żadne nie chciało przyznać się do błędu. Po chwili Tavis westchnął. Dostrzegła rozczarowanie w jego oczach.

— Zmieniłaś się — powiedział, zmuszając się do uśmiechu.

— Stałam się matką. Macierzyństwo mnie odmieniło — wyjaśniła, po czym dodała:

— Podobnie jak tragedia, która spotkała moją rodzinę.

Twarz Tawisa złagodniała.

— Słyszałem o twoim ojcu i siostrach. Bardzo mi przykro... naprawdę bardzo przykro. — Zamilkł. Poczł się jeszcze bardziej winny i zupełnie stracił pewność siebie. — Powinienem wtedy przy tobie być.

— To prawdą ale cię nie było i nic na świecie tego nie zmieni. Teraz wszystko jest inne. Porzuciłaś mnie i przez ponad dwa lata musiałam sama uczyć się żyć z poczuciem straty i żalu. Ból nie odejdzie tak po prostu, tylko dlatego że postanowiłaś wrócić do mojego życia i mnie przeprosić.

— Wiem o tym. Ale nadal zależy mi na tym, żebyś wiedziała, jak bardzo jest mi przykro.

Podejrzewała że Tavis ma na myśli śmierć swoich rodziców, braci i siostry, lecz tamto wydarzyło się tak dawno temu, a jej ból był świeży i rana nadal krwawiła. Odwróciła od niego głowę.

— Ciężko jest pogodzić się ze stratą kogoś bliskiego. Ja straciłam już tyle, że więcej bym nie zniosła. Nie myśl sobie, że pozwolę ci zabrać Williego. — Wyrzała na dwór i popatrzyła na Ase i synka. — Nie mam nikogo poza Williem i tym staruszkim. Śmierć syna i wnuczek dobiła go. Nie chcę, żeby musiał cierpieć z powodu kolejnej straty. — Ani na chwilę nie odrywała wzroku od dziadka. — Trzymaj się od niego z daleka. Trzymaj się z daleka ode mnie. Kiedy ja cierpię, on także czuje ból.

— Nie wróciłem po to, żeby cię zranić, Lizo.

Zadrzała na dźwięk swego imienia. Przypomniała sobie dni spędzone na łodzi, kiedy tak się do niej zwracał.

— Nie wiem, dlaczego zadałaś sobie trud, żeby wrócić. I nie mów do mnie Liza.

Patrzył na nią, jak gdyby coś w jej lawendowym spojrzeniu poruszyło go do głębi. Elizabeth tymczasem usłyszała głos Williego, odwróciła się i zobaczyła, że malec trzyma pradiadka za rękę i obaj są już prawie w domu.

— Jest pora obiadu. Miałam właśnie nakarmić Williama — powiedziała, po czym wyjęła z szafki miskę. Odwróciła się do Tawisa plecami, podeszła do pieca i nałożyła do niej jedzenie. Postawiła ją na stole, a potem przygotowała trzy nakrycia.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, Elizabeth, i zrobię to, nawet jeśli będę musiał mówić w ich obecności.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi.

— Możemy porozmawiać w innym pokoju — postanowiła.

Tavis poszedł za nią do salonu i zatrzymał się w drzwiach. To, co zobaczył, bardzo nim wstrząsnęło. Właśnie tego brakowało mu w jego domu. Tego się spodziewał, kiedy przekręcał klucz w zamku. Właśnie to mu odebrała, kiedy odeszła. Zamknął oczy i zacisnął pięści, jak gdyby przygotowywał się do walki.

Otworzył oczy i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Wszystko dookoła nosiło ślady życia, domowej atmosfery oraz miłości. Wszędzie było pełno zabawek. Pokój tętnił życiem. W takim pomieszczeniu dziecko mogło uciec w świat fantazji. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzał, napotykał wzrokiem żaglowce, piłki, żołnierzyki, konie, miniaturowy cyrk ze zwierzętami. Na malutkim krzeselku leżała książka z bajkami dla dzieci.

Musiał znów zamknąć oczy, ponieważ wizja życia, którego tak bardzo mu brakowało, nie dawała mu spokoju. Wszędzie unosiły się domowe zapachy. Czuł słodką woń róż, talku oraz zapachy dochodzące z kuchni. Właśnie w takim domu pragnął mieszkać. Nie chciał wracać do ciemnych pustych pokoi, które za sobą zostawił.

— Mamo... mamoo... boli... Willie jest ranny.

Tavis odwrócił głowę na dźwięk głosu syna. Malec wbiegł do pokoju, wymachując palcem.

— Co ci się stało, Willie? — zapytała Elizabeth, podchodząc do niego. Jej głos przepełniała miłość, dobroć i łagodność.

— Małża — powiedział Willie. — Boli.

— Czy mama nie mówiła ci, że nie wolno bawić się małżami? Są bardzo ostre, Willie. Mogą skaleczyć cię w palec. Mam rację?

Chłopczyk skinął głową. Przez cały czas trzymał palec w górze.

— Skaleczyły palec Williego. Widzisz?

Tavis przyglądał się, jak żona chwyta synka za rękę i podchodzi z nim do okna, przy którym wisiała apteczka z lekarstwami.

— No dobrze, Willie, pokaż mi paluszek.

Malec wyciągnął palec w jej stronę. Elizabeth pocałowała skaleczony palec. Tavis upajał się tym widokiem. Przypomniawszy sobie coś, co bardzo dawno temu powiedziała mu matka. Bóg nie może być wszędzie i dlatego stworzył matki.

Spojrzał na twarz Williego i dostrzegł uwielbienie, które malowało się na tej drobnej buzi. Czuł, jak serce rozpada mu się na tysiące kawałeczków, jak krwawi i

pęka.

W końcu Elizabeth uściskała synka.

— A teraz pocałuj mnie, Willie, i powiedz mi, czy już jest lepiej.

Chłopczyk stanął na palcach, zarzucił jej ręce na szyję, dał trzy buziaki w policzek.

— Lepiej — odparł, po czym spojrzał na nią, jak gdyby chciał dodać: Moja mama potrafi zrobić wszystko, wszystko umie naprawić.

— W porządku, a teraz zmykaj — powiedziała, klepiąc go delikatnie po pupie.
— Idź dokończyć jedzenie, zanim wystygnie.

Tavis pomyślał, że dom bez kobiety jest jak ciało bez duszy. Aż do dzisiaj nie potrafił zrozumieć znaczenia tych słów, aż do chwili, kiedy przekroczył próg własnego domu, spodziewając się...

Czego? Czego się spodziewał? Potrząsnął głową. Nie wiedział. Dopiero gdy przekroczył próg tego pokoju, zrozumiał.

Pragnął należeć do tego świata.

— Chciałbym, żebyś wróciła do domu — poprosił. Marzył o tym, żeby mieć ją blisko siebie. To wydało mu się w tej chwili celem i sensem życia. Potrzebował czegoś, co wypełniłoby pustkę.

— Tu jest mój dom — odparła Elizabeth.

— Wiesz, co mam na myśli — nie dawał za wygraną.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie, Tavisie, nie wiem. Mój dom jest tam, gdzie dobrze się czuję, gdzie mogę zrealizować swoje potrzeby. Mój dom jest tam, gdzie moje serce. I właśnie tutaj zamierzam pozostać.

— Jesteś moją żoną...

— Wiem o tym od dłuższego czasu. Jednak dziwi mnie fakt, że aż trzy lata zajęło ci, żeby to zrozumieć.

— Elizabeth...

Nie dokończył zdania ponieważ Willie zawołał z kuchni:

— Mamo?!

Spojrzała w kierunku drzwi.

— Zaraz do ciebie przyjdę! — odkrzyknęła. Zerknęła znacząco na Tawisa, sugerując mu w ten sposób, że nie ma dla niego czasu.

— Jesteś zajęta — powiedział. — Lepiej już pójdę.

— Tak. Willie jest w tym wieku, kiedy zaczyna wpadać w rozpacz, ilekroć nie ma mnie w pobliżu, gdy jestem mu potrzebna.

— Rozumiem — odparł. Pamiętał, jak wiele razy sam tak się czuł.

Elizabeth odprowadziła go do drzwi. Już sięgała po klamkę, żeby je otworzyć, lecz powstrzymała się.

— Cieszę się, że już wiesz. Mam o jedno zmartwienie mniej — powiedziała, po czym wydała ciche westchnienie, które trochę przypominało przytłumiony smutny śmiech — Często budziłam się w środku nocy i wyobrażałam sobie tę chwilę.

— Jeżeli to ci poprawi humor, to powiem ci, że ja również często myślałam o tej chwili. Co prawda nie wyobrażałam sobie, że mam syna ale... — Przerwał i ciągnął po jakimś czasie: — Myślałam o zmianach, jakich mogłaś dokonać w moim domu, o tym, jak zamieniasz go w przytulne rodzinne gniazdko. Całkiem inaczej wyobrażałam sobie to spotkanie.

— Nie możemy zmienić tego, co już się wydarzyło. — Głos Elizabeth był niezwykle stanowczy. — Mamy jednak wpływ na przyszłość.

— Jak to sobie wyobrażasz... jak wyobrażasz sobie przyszłość?

Jej spojrzenie pociemniało.

— Realistycznie. Oboje się zmieniliśmy, Tavisie. Nie możemy cofnąć czasu. A nawet gdybyśmy mogli, wcale bym tego nie chciała.

— Czy w ten uprzejmy sposób chcesz dać mi do zrozumienia że nie masz zamiaru być dłużej moją żoną?

— Powiedziałam tylko tyle, że nie chcę wprowadzić się do twojego domu tylko dlatego, że jestem twoją żoną.

— Rozumiem — odparł. Otworzył drzwi i wyszedł.

— Nie, nie wydaje mi się, żebyś rozumiał! — zawołała za nim. — Ale w końcu nigdy tego nie rozumiałeś.

Nie miała zamiaru wybrać się do miasta, nie miała żadnych spraw do załatwienia. Ale miniony tydzień był tak emocjonujący, że znalazła się na skraju wytrzymałości nerwowej. Nawet dziadek i Willie zaczęli unikać jej towarzystwa. Zbyt długo tłumila emocje. Wiedziała, że powinna coś z tym zrobić. Na dobry początek postanowiła rozprostować nogi i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Wyprawa do miasta wydała jej się więc doskonałym pomysłem.

Wcześniej rano poprosiła dziadka żeby zajął się Williem, sprawdziła listę zakupów, po czym schowała ją do koszyka, przewiesiła go przez ramię i wyszła z domu. Już po chwili szła przez wrzosowiska. Mijała krzewy, które o tej porze roku bogato obrodziły w dzikie śliwki, jeżyny i jagody.

Kiedy doszła do brukowanej ulicy, zobaczyła Tavis. Jechał w jej stronę na pięknym czarnym koniu. Koń był bez wątpienia najwspanialszym rumakiem na wyspie, a jeździec wyglądał lepiej niż kiedykolwiek. Elizabeth spojrzała na swoją starą szaro-różową sukienkę i nagle przeraziła ją perspektywa spotkania z nim. Cofnęła się gwałtownie i schowała za krzewami róż, które rosły przy płocie pani Coleman.

Patrzyła jak Tavis odjeżdża w stronę latarni. Była pewna, że właśnie tam zmierza. Nagle ogarnął ją niepokój, a instynkt macierzyński nakazywał jej czym prędzej wrócić do domu. Nie spodobał jej się pomysł, że Tavis spotka się z Williem podczas jej nieobecności. Mimo to wiedziała, że nie ma prawa trzymać go z daleka od syna, a chłopiec powinien znać ojca. Być może tak będzie dla wszystkich lepiej. Może uda im się opracować jakiś plan spotkań.

Tavis nas odwiedził, kiedy ciebie nie było — poinformował Asa wnuczkę, kiedy ta wróciła do domu.

Postawiła koszyk na stole w kuchni i zaczęła wypakowywać sprawunki.

— Wiem. Widziałam, jak wyjeżdżał z miasta.

— To zabawne, on słowem nie wspomniał, że się spotkaliście.

— Bo wcale się nie spotkaliśmy. Nie widział mnie — odparła. Gdy spojrzała na dziadka, na twarzy miała wypisane poczucie winy. — Ukryłam się, kiedy przejeżdżał obok.

Asa przyjrzał się jej uważnie.

— Teraz dla odmiany przed nim uciekasz?

— Wcale nie uciekam... to znaczy, to nie jest tak, jak myślisz. Po prostu nie

chciałam, żeby mnie zobaczył. — Otworzyła torebkę z cukrem i wysypała jej zawartość do fajansowego pojemnika. Rozejrzała się dookoła. — Gdzie jest Willie?

— Śpi.

Elizabeth skinęła głową.

— Tavis długo tu był?

— Wyszedł godzinę temu.

— Wychodził z Williem z domu?

— Wziął go na przejażdżkę i obiecał, że kupi mu kucyka.

— Kucyka?! Coś takiego! Willie jest za mały, żeby mieć kucyka. Byłoby czystym szaleństwem kupowanie dziecku kucyka kiedy ledwie potrafi chodzić.

— Może Tavis nie jest taki rozsądny jak ty — zasugerował Asa.

Spojrzała na niego ostro, ale nic nie powiedziała.

— Odniosłem wrażenie, że bardzo zależy mi na Williem... Oczywiście, przez większość czasu pytał o ciebie — kontynuował Asa. — Chyba właśnie dlatego nie zabrał chłopca na dłuższą przejażdżkę.

Elizabeth zerknęła na niego zaskoczona.

— Pytał o mnie? — Postawiła na stole dwa słoiki z miodem, po czym usiadła. — Nie wyobrażam sobie, co mógłbyś chcieć o mnie wiedzieć. Wie już wystarczająco dużo.

— Ludzie czasem się zmieniają. Rozumiem, że ty w to nie wierzysz.

Elizabeth zignorowała tę uwagę.

— O co pytał?

Asa uniósł siwą brew; w jego oczach pojawił się błysk.

— Zadawał bardzo ogólne pytania.

— To znaczy jakie?

— Czy chodzisz na przyjęcia? Czy było ci bardzo ciężko, kiedy urodziło się dziecko? Czy, moim zdaniem, kiedykolwiek zamieszkaż w mieście?

— Na pewno nie w jego domu — powiedziała stanowczo, oparła ręce na stole i wstała.

Asa przez chwilę przyglądał się, jak wnuczka zamiata podłogę, po czym powiedział:

— Dobrze wiesz, że takie rozwiązanie byłoby najlepsze dla Williego. Gdybyście oboje zgodzili się stworzyć rodzinę, wszystkim wyszłoby to na dobre. Wiem, że nadal nie możesz zapomnieć o tym, że cię zostawił, ale on się zmienił. Miał czas, żeby zapanować nad złością. Z tego, co mówił, wynika że nigdy nie planował wyjechać na dłużej niż miesiąc albo dwa. Wydaje mi się, że chce spróbować wszystko naprawić.

— Na miesiąc albo dwa? Nie wierzę w to. Nie było go przecież prawie dwa i pół roku.

— A jeżeli to nie była jego wina? Jeżeli chciał wrócić, ale nie mógł?

— Gdyby naprawdę chciał, znalazłby sposób, żeby to zrobić.

— A jeśli musiał zostać pod groźbą aresztowania?

— Nie opowiadaj mi takich rzeczy. — Elizabeth zdenerwowała się. — Jeżeli chce mi coś powiedzieć, mech sam to zrobi. — Stała przy oknie, skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na morze. — Wiesz, że zawsze chciałam wyjść za mąż za Tavis, ale on mnie porzucił. Taka jest brutalna prawda. Porzucił mnie, a ja cierpiałam. Przez ponad dwa lata byłam sama. Jeżeli Tavis zdecydował w końcu, że chce do mnie wrócić, to trochę spóźnił się z podjęciem tej decyzji. Jeśli chce naprawić stosunki między nami, będzie musiał się o to bardziej postarać. Marzyłam o nim przez połowę swojego życia, ale teraz już o nim nie myślę. Nie wrócę do niego tylko dlatego, że tak będzie łatwiej... nie zrobię tego nawet dla Williego. Wróciłabym do niego tylko wówczas, gdybym miała pewność, że jego uczucia do mnie się zmieniły. Mogę zrozumieć jego złość, a nawet chęć odwetu, ale nie jestem w stanie tolerować jego obojętności. Albo mnie pokocha, albo w ogóle nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Za każdym razem, kiedy wyobrażam sobie, że miałabym przeprowadzić się do jego domu, przypominam sobie dzień, w którym mnie porzucił. On mnie nie chce. Chce Williego. Chciałabym, żeby zostawił nas oboje w spokoju i wrócił tam, gdzie budował te swoje wspaniałe statki. Jeżeli będę musiała, zabiorę Williego i przeprowadzę się do Bostonu.

— Wiesz, że jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który by cię do czegokolwiek namawiał. Zawsze byłem zbyt łagodny dla osób o oczach w takim kolorze jak twoje.

Elizabeth odwróciła się, ale jej dziadek mówił dalej:

— Nadal uważam, że powinnaś rozważyć jego propozycję. Wiem, że byliśmy tutaj ze sobą bardzo szczęśliwi, lecz nic nie trwa wiecznie. Pójdę jutro...

Chciała mu przerwać, ale jej na to nie pozwolił.

— Nic nie mów — rzekł. — Daj mi skończyć. Dobrze wiesz, że to nigdy nie był prawdziwy dom ani dla ciebie, ani dla Williego i nawet jeśli nie chcesz o tym słuchać, nie zmienia to faktu, że nie jestem wieczny. Jestem stary, Elizabeth, i gotowy na to, by odejść. Kiedy nadejdzie ten dzień, ty i Willie także będziecie musieli opuścić latarnię. Wiesz, że wtedy ktoś inny przyjdzie na moje miejsce.

— Kiedy nadejdzie ten dzień, zabiorę Williego do Bostonu. Nadal mam tam dom po ciotce Phoebe.

Przez dłuższy czas żadne z nich nie odezwało się słowem. Patrzyli na siebie w milczeniu.

— W przyszłym tygodniu Tavis chce zabrać Williego na strzyżenie owiec — powiedział w końcu Asa.

Elizabeth ucieszyła się ze zmiany tematu. Wiedziała, że nie może spodziewać się, iż dziadek będzie żył wiecznie, ale ten stary wilk morski i syn byli jedynymi ludźmi na świecie, które jej pozostały. Tylko oni się dla niej liczyli i tylko im chciała poświęcać całą swoją uwagę. Mimo to zdawała sobie sprawę, że uczucia które kiedyś żywiła do Tawisa, całkiem nie wygasły.

— Co mu powiedziałeś?

— Prawdę. Że już wcześniej zaplanowałam zabrać tam synka.

— To wszystko?

— Nie. Powiedziałem mu także, że wynajęłam panią Morrison, żeby potem zajęła się Williem.

Elizabeth skinęła głową.

— Co on na to?

— Nic. Zapytał, czy masz zamiar zostać na tańcach I zanim zdążysz zadać mi kolejne pytanie, odpowiem ci od razu, że wyjaśniłem mu, iż zawsze zostajemy na tańcach i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zmienić nasze przyzwyczajenia Elizabeth roześmiała się.

— Powiedziałem coś śmiesznego?

— Nie. Po prostu to samo pomyślałam, kiedy byłam w mieście. To, co powiedziałeś Tavisowi... Jestem tego samego zdania. Tak pomyślałam i tak postanowiłam. Nie będę zmieniać swojego życia tylko dlatego, że on wrócił do miasta.

Asa przyglądał się, jak wnuczka stawia na piecu czajnik z wodą. Zastanawiał się, ile razy obserwował ją jak wykonywała dokładnie tę czynność i ile razy miała wtedy na sobie tę samą szaro-różową sukienkę. Sięgnął myślami do czasów, kiedy wróciła z Bostonu. Była wtedy taka elegancka. Nosiła suknie uszyte według najnowszych trendów mody. Każdy mężczyzna na Nantucket był nią oczarowany. Doskonale pamiętał także ten dzień, kiedy oddała wszystkie swoje piękne sukienki, zaraz po tym jak urodził się Willie, ponieważ stwierdziła że pewien rozdział jej życia został już zamknięty.

Asa wyszedł z kuchni. Im więcej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Elizabeth chce wyglądać jak poważną doświadczoną życiem matroną ponieważ dzięki temu czuje się bezpiecznie. Nie winił jej za to. Wiedział, że wiele przeszła i jeżeli jedyną pozostałością po jej cierpieniach były brzydkie sukienki,

to musiał przyznać, że całkiem nieźle sobie poradziła. Tyle tylko, że jej starania by wyglądać nieatrakcyjnie, niewiele dawały, bo mężczyźni i tak zwracali na nią uwagę.

Asa wiedząc, że wszystkie kobiety w mieście będą ubrane na tańcach w nowe kreacje, doszedł do wniosku, że najwyższy czas, żeby sprawić wnuczce nową sukienkę. Nagle poczuł piekący ból w żołądku. Wiedział, że jego dni są policzone. Westchnął z rezygnacją usiadł na bujanym fotelu i zapalił fajkę. Po chwili rozmyślenia zdecydował, że jutro z samego rana wybierze się do miasta i złoży wizytę w sklepie z sukienkami pani Schultz.

Następnego dnia Asa poinformował wnuczkę, że wybiera się do miasta po tabakę.

— Och, dziadku, powinienes mi powiedzieć, że już ci się skończyła. Wczoraj byłam w mieście i mogłam ci kupić wszystko, czego potrzebowałeś.

— Wiem, ale całkiem o tym zapomniałem. Moja stara głowa nie jest już taka sprawna jak niegdyś.

Elizabeth spojrzała na niego podejrzliwie.

— Z twoją głową jest wszystko w porządku — powiedziała. — Przynajmniej wtedy, kiedy tego chcesz.

Asa roześmiał się, pogłaskał ją po policzku, po czym wyruszył w stronę miasta. Natychmiast udał się do sklepu pani Schultz. Nie spodziewał się spotkać tam aż trzech kobiet naraz, dlatego zatrzymał się zaskoczony na progu.

— Dzień dobry, miłe panie — powiedział, unosząc marynarską czapkę.

Kobiety odpowiedziały na powitanie. Asa już chciał wyjść ze sklepu i wrócić innym razem, ale Alice Schultz mu na to nie pozwoliła. Na twarzy miała wypisane, że chce mu zadać tysiące pytań.

— Witam, kapitanie Robinson Co za niespodzianka. Nie widzimy pana w mieście zbyt często, a w moim sklepie jest pan chyba po raz pierwszy. Jest pan pewien, że nie pomylił pan drzwi?

W tej sytuacji Asa nie mógł wyjść, ponieważ to oznaczałoby przyznanie racji pani Schultz. Przez chwilę podrygiwał niecierpliwie w miejscu. Skinął głową do dwóch pozostałych pań, po czym w końcu się odezwał:

— Przyszedłem kupić sukienkę dla Elizabeth na tańce w przyszłym tygodniu.

— Och, jak to miło z pana strony. Wie pan, właśnie rozmawialiśmy z panią Patterson o tym, jak rzadko widzimy Elizabeth. Zauważyliśmy także, że nigdy nie nosi tych ślicznych sukienek, który przywiozła przed kilku laty z Bostonu. Proszę usiąść, kapitanie. Pokażę panu, co mam. Wie pan — trajkotała jak najęta, przeglądając eleganckie materiały — wydaje mi się, że w zeszłym tygodniu

przysłano nam taki... Tak, zgadza się, znalazłam. To jedwab w lawendowym kolorze. Będzie wspaniale podkreślał kolor jej oczu i cerę. Muszę przyznać, że za każdym razem, kiedy patrzę na ten materiał, myślę o Elizabeth Jej imię jest na nim wypisane. Nie uważa pani, pani Mabel?

Mabel Starbuck skinęła głową na zgodę.

— Będzie pasować jak ulał.

Asa zapłacił za materiał, po czym poinstruował panią Schultz, jak powinna wyglądać sukienka.

— To będzie dla mnie przyjemność, kapitanie. Prawdziwa przyjemność — odparła pani Schultz.

Kiedy opuścił sklep, pani Schultz spojrzała na Mabel.

— Co za uroczy człowiek. Tak bardzo troszczy się o swoją wnuczkę.

— Już nie musi się o nią troszczyć. Tavis Mackinnon wrócił do miasta — powiedziała Mabel.

— Tak też słyszałam — odparła pani Schultz. — Słyszałam również, chociaż to tylko plotki, że tym razem nastąpiła zamiana ról.

— Co masz na myśli?

— Z tego, co wiem, Tavis bardzo się Elizabeth naprzykrza. Mabel przysunęła się do swojej rozmówczyni.

— Co jeszcze słyszałaś?

— Tylko tyle, że Elizabeth jest zbyt dumna, żeby powtarzać błędy przeszłości. Podobno jest prawdziwym aniołem, ponieważ pozwala mu spotykać się z Williem.

— Czy poprosił ją, żeby do niego wróciła?

— Nikt tego nie wie, ale ludzie podejrzewają, że jeszcze się nie odważył tego zrobić. Moim zdaniem, dobrze robi, spędzając tyle czasu z synem.

— W takim razie dlaczego kapitan Robinson zamówił u ciebie taką elegancką sukienkę? — zapytała Mabel.

Alice nawet przez chwilę nie wahała się z odpowiedzią.

— Według mnie, istnieją dwie możliwości. Na pewno zależy mu na tym, żeby Elizabeth wyglądała olśniewająco. W ten sposób zwróci na siebie uwagę Tawisa albo kogoś innego.

— Miejmy nadzieję, że Tavis dostrzeże ją pierwszy. On nie wygląda na mężczyznę, który jest miły dla kogoś, kto kręci się wokół jego własności.

— Masz absolutną rację. Tak czy inaczej to dobry sposób, żeby zmusić Tawisa, aby publicznie domagał się swoich praw — stwierdziła Alice.

— Niesamowite! — wykrzyknęła Mabel. — Odnoszę wrażenie, że kapitan

Robinson jest przebiegły jak lis.

— Mądrzy ludzie stają się jeszcze mądrzejsi z wiekiem — zawyrokowała Alice.

— Och, to takie romantyczne — zachwycała się Mabel. — Nie mogę doczekać się tego wieczoru. Za nic na świecie tego nie przepuszczę. Zaraz pójde do biura męża, żeby uprzedzić go, że koniecznie musimy przyjść na tańce odpowiednio wcześniej.

Mabel podeszła do drzwi, po czym odwróciła się do pani Schultz.

— Alice, musisz naprawdę postarać się przy tej sukience. Słyszysz mnie? — Odwróciła się i zaczęła otwierać drzwi, ani na chwilę nie przestając mówić: — To takie ekscytujące. Muszę opowiedzieć o wszystkim Aurelii... i Sukey... i Emily. Harriet nigdy by mi nie wybaczyła gdybym jej o tym nie powiedziała. Niech pomyślę... we wtorek mam spotkanie kółka krawieckiego, a w środę wybieram się na szydełkowanie do Jemimy Fitzpatrick. W czwartek będę mogła opowiedzieć o wszystkim podczas spotkania w kościele. Dobry Boże, a komu opowiem o tym w piątek? — Po tych słowach Mabel zniknęła za drzwiami. Oczywiście ani na moment nie przerwała swojego monologu, ale jej słowa mieszały się ze zgiełkiem ulicy.

Jeszcze długo po jej wyjściu Alice stała na środku sklepu i przyglądała się belce jedwabiu, który połyskiwał srebrem. Zmarszczyła czoło i już po chwili odwróciła się, podeszła do biurka, wyjęła katalogi z modą i zaczęła je przeglądać kartka po kartce. W połowie trzeciego katalogu uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją.

— To jest to! — powiedziała do siebie. — Jeżeli ta suknia nie zdziała cudów, zjem swój kapelusz. — Wzięła do ręki belę materiału, wywiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte” i zabrała się do pracy.

Święto strzyżenia owiec zbliżało się wielkimi krokami, a kiedy wreszcie nadszedł długo wyczekiwany przez wszystkich dzień, Asa drżał z niepokoju. Zdążył już ze dwadzieścia razy odpakować sukienkę.

Teraz rozpakował ją ponownie i podrapał się po policzku. Przypomnił sobie słowa Alice Schultz, która, oddając mu sukienkę, biegła po sklepie niczym niespokojna kwoka.

— Niech pan nie pozwoli, żeby ją zobaczyła wcześniej niż na godzinę przed tańcami, wtedy będzie za późno, żeby wprowadzać jakiegokolwiek poprawki. I cokolwiek się stanie, za wszelką cenę musi ją włożyć. W innym wypadku niech pan jej nie pozwoli wyjść z domu. Znam Elizabeth Wiem, że kiedy zobaczy tę sukienkę, oniemieje z zachwyty.

Alice przerwała na chwilę i spojrzała na Asę.

— Czy pan mnie słucha? Pan wie lepiej niż ja jak sobie z tym poradzić. Wiem, że

Elizabeth za nic na świecie nie chciałaby zrobić panu przykrości. — Uśmiechnęła się. — To może być łatwiejsze, niż się nam wydawało. Ubrałaby się nawet w worek na ziemniaki, gdyby dostała go od pana.

Alice roześmiała się, a Asa jej zawtórował. Nie znał się na kobiecej modzie, ponieważ przez wiele lat żeglował po morzach i oceanach w towarzystwie samych mężczyzn. Ale po tym, co zobaczyły jego stare oczy, uznał, że kiedy wnuczka włoży tę sukienkę, olśni każdego mężczyznę.

Strzyżenie owiec świętowano na Nantucket co roku. Czekano na ten dzień z niecierpliwością. Na wyspie znajdowały się trzy owczarnie; dwie na północnym klifie, a trzecia na południowym brzegu, na wschód od stawu Macomet. W ostami dzień strzyżenia owiec Elizabeth, jej syn i dziadek wybrali się wczesnym rankiem na cypel Maxcy'ego.

Willie wszystkiemu przyglądał się z zainteresowaniem. Przez cały czas się wiercił i biegał. Po dwóch godzinach trzymania jego wijącego się ciała, Elizabeth prawie ucieszyła się na widok Tawisa.

— Wszędzie was szukałem — powiedział, po czym pogłaskał malca po policzku. — Nie wiedziałem, w której zagrodzie was szukać, więc odwiedziłem kolejno wszystkie trzy. Mogłem się domyślić, że znajdę was w tej ostatniej.

Zamilkł na chwilę i przyjrzał się ślicznej twarzy Elizabeth. Jej czoło było zroszone potem, a na policzkach dostrzegł smugę kurzu, lecz to nie miało dla niego znaczenia. Tylko tę twarz chciał oglądać.

— Daj mi go — powiedział, wyciągając ręce w stronę Williego, który bez chwili wahania wpadł w jego ramiona. — Potrzymam go przez chwilę.

— Cieszę się — odparła Elizabeth. — Z dnia na dzień staje się coraz silniejszy, a my z dziadkiem nie mamy tyle siły, żeby go pilnować.

— Chodź, Willie. Chcesz przejechać się na barana?

Malec zapiszczał z radości, a Elizabeth nie mogła opanować uśmiechu. Kiedy Tavis posadził go na ramionach, chłopiec był taki szczęśliwy. Roześmiała się, kiedy malec zakrył rączkami oczy ojca — Willie, przesun dłoń. Twój tata nic nie widzi.

Chłopiec posłuchał mamy. Tavis spojrzał na nią zdziwiony.

— W końcu jesteś jego ojcem. Myślałeś, że temu zaprzeczę?

— Nie, ale nigdy nie przypuszczałem, że przyznasz się do tego przede mną.

— Widzisz, jak mało o mnie wiesz?

— Staram się, jak mogę, żeby to zmienić — powiedział. — Niestety, spotykam się z ogromnym oporem.

— A czego się spodziewałeś? — zapytała po czym, nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i odeszła. — Przyrowadź go, kiedy cię zmęczy! — zawołała.

— Na pewno to zrobię — odparł, po czym zwrócił się do syna: — Chodźmy, Willie, zobaczymy, ile czasu potrzebujesz, żeby mnie zmęczyć.

Trzy godziny później, kiedy Elizabeth znalazła Tawisa i Williego, obaj wyglądali na wykończonych. Chłopcu oczy zamykały się same.

— Daj mi go — powiedziała. — Pani Morrison na pewno jest już w latarni. Zgodziła się popilnować go dziś wieczorem.

Tavis zmierzył ją wzrokiem od stóp po czubek głowy. Mimo ciepła które dostrzegła w jego oczach, nadal panowała pomiędzy nimi pustka. Bardzo tego żałowała. Znosiła to o wiele lepiej, kiedy nie było go na wyspie.

— Zaniosę go do domu — zaproponował.

— Nie! Ja... Muszę porozmawiać z panią Morrison, a poza tym powinnam się przebrać.

— W takim razie odwiozę was oboje.

Co prawda wyglądał na zmęczonego, ale Elizabeth doskonale wiedziała że ma wystarczająco dużo siły, żeby nie dać za wygraną — W porządku — zgodziła się.

Tavis pomógł Elizabeth wsiąść do powozu i podał jej śpiącego syna. Usiadł obok niej, chwycił lejce, ale nie krzyknął na konie, żeby ruszały. Gdy podniosła głowę, ich spojrzenia się spotkały. Nic nie działo się tak, jak powinno. Tavis odgrywał rolę męża i ojca najlepiej, jak potrafił, ale ona pozostawała obojętna. Dlaczego? Dlaczego się nie śmiała i nie żartowała dlaczego nie chciała mu pokazać, jak bardzo go kocha i jak bardzo jest szczęśliwą że go widzi? Przecież kiedyś tak bardzo go pragnęła. Nie chciała znów dać mu się poniżyć. I nie robi tego.

Była wściekłą przeklinała go w myślach i zastanawiała się, jak długo uda jej się znieść jego obecność. Odejdź. Zniknij z mojego życia. Nie wracaj tak po prostu, napełniając moje serce złudnymi nadziejami.

— Jeżeli nie chcesz, żeby ludzie zaczęli spekulować, kiedy mały Willie będzie miał młodszego braciszka powinnaś przestać patrzeć na mnie w ten sposób — powiedział nagle Tavis. — Ludzie mogą odnieść mylne wrażenie. Mogą pomyśleć, że jesteśmy zakochani.

Czuła na sobie jego spojrzenie, ale nie podniosła głowy.

— Nigdy się nie dowiesz, ile razy wyobrażałem sobie, jak trzymasz naszego syna w ramionach — rzekł po chwili.

— Dlaczego o tym mówisz? Co chcesz ode mnie usłyszeć? Jeżeli odnosisz wrażenie, że coś przegapiłeś, że zostałeś odsunięty na bok, to pamiętaj, że sam jesteś

sobie winien. To nie ja cię porzuciłam.

— Wiem o tym — odparł łagodnie. — I to jest właśnie najtrudniejsze.

Czuła, że jeszcze moment, i zacznie płakać.

— Nie wiem, czego chcesz, czego ode mnie oczekujesz — powiedziała. Nie czuła się dobrze w tej sytuacji. Wolałaby, żeby nie był pokorny; wolałaby się z nim kłócić. Chciała, żeby podobnie jak ona poczuł ból i żal po stracie ukochanej osoby, a tymczasem mówił takim głosem, że cała złość w niej topniała. Miała ochotę się do niego przytulić. Chciała, żeby wziął ją w ramiona i trzymał, podczas gdy ona opowiadałaby mu o na rodzinach Williego, o tym, jaka samotna wtedy była... o tym, jaka nadal jest samotna.

Tavis popędził konia i powóz ruszył.

— Dlaczego wróciłeś? — zapytała Elizabeth po kilku minutach — Nie. Nie odpowiadaj mi na to pytanie. Lepiej mi powiedz, dlaczego odszedłeś.

— Ze złości, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie byłem wściekły tylko na ciebie, ale na wiele różnych rzeczy. Przez całe życie doskonale sobie ze wszystkim radziłem i nigdy w żadnej sytuacji nie czułem się zapędzony w kozi róg. Nawet jako dziecko nie lubiłem, kiedy ktoś mnie trzymał. Oczywiście moi bracia bardzo często mnie łapali... przyciskali mnie do ziemi i łaskotali, aż miałem łzy w oczach. To zabawne, jak pracuje ludzki umysł. Udało mi się przejść od sytuacji, w której nie pozostawiono mi wyboru, do wspomnienia z dzieciństwa o łaskotaniu. Jednak w obu przypadkach czułem się bezsilny i nie potrafiłem tego znieść. Zawsze, odkąd pamiętam, wydawało mi się, że zwariuję, jeżeli zbyt długo będę czuł się bezsilny. — Spojrzał na Elizabeth. — Wiem, że to może nie mieć dla ciebie sensu. Dlaczego miałoby mieć, skoro ja sam niewiele z tego rozumiem? Ale wracając do twojego pytania, wydaje mi się, że odszedłem, ponieważ w moim życiu wydarzyło się naraz zbyt wiele rzeczy, nad którymi nie miałem kontroli. Najpierw ci łajdacy z Południa ukradli moje projekty. Musiałem zaakceptować coś, na co nie miałem wpływu. Moje plany przepadły, a ja nic nie mogłem na to poradzić. A potem wróciliśmy na Nantucket i zanim uporałem się ze stratą planów, zostałem zmuszony do małżeństwa.

— Wiem — powiedziała smutno. — Przepraszam.

— To nie była twoja wina — odparł. — To, co zaczęło się tam... na twojej łodzi... Wydaje mi się, że to było wspaniałe. Gdyby zostawiono nas w spokoju, gdybym miał więcej czasu, żeby uporać się z własnymi myślami, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Niezależnie od tego, co o mnie sądzisz, nie jestem takim strasznym draniem. Po prostu podjąłem złe decyzje. A potem wszystko zaczęło wymykać się spod mojej kontroli.

— Słyszałam o tym. Dziadek mi powiedział, że nie miałeś zamiaru wyjeżdżać na tak długo, że chciałeś wrócić.

— Mówił ci, dlaczego tego nie zrobiłem?

— Nie — odparła. — Nie pozwoliłam mu na to.

— Rozumiem.

Zamilkł na chwilę i przez pewien czas jechali w milczeniu. Kiedy skręcił z głównej drogi na wąską piaszczystą dróżkę prowadzącą do latarni, znów się odezwał.

— Zadałaś mi pytanie, dlaczego wróciłem.. Moja misja dobiegła końca, mój okręt został wybudowany...

— Naprawdę?

— Tak, to znaczy przynajmniej częściowo. Ale takie rzeczy nigdy nie są skończone. Chcieli, żebym kontynuował pracę nad kolejnym projektem, jeszcze lepszym i bardziej zmodyfikowanym niż ten pierwszy.

— Więc dlaczego nie zostałeś?

Spojrzał jej prosto w oczy. Elizabeth wstrzymała oddech.

— Chyba wiesz dlaczego — powiedział, po czym ściągnął lejce.

Dopiero w tym momencie zauważyła, że dojechali na miejsce.

— Wróciłem — mówił dalej — bo byłaś obecna w moich myślach o wiele częściej, niż mógłbym się tego spodziewać. Jest w tobie coś takiego, Lizo, co mnie chwyciło za serce i nie chce puścić.

— W takim razie może to ty powinieneś mnie puścić — zasugerowała.

— Możesz to nazwać szkockim uporem albo głupotą. Do diabła z tym! Możesz to nazywać, jak ci się żywnie podoba, ale musisz wiedzieć, że myślałem o tobie dużo wcześniej, zanim zdecydowałem się wrócić.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale położył palec na jej wargach i pocałował delikatnie.

— Wróciłem, ponieważ nie mogłem zapomnieć tych dni, które spędziliśmy na łodzi. Nawet się nie spodziewałem, że tak bardzo będę za tobą tęsknić. — Przyciągnął ją bardzo ostrożnie, żeby nie obudzić Williego, a potem zaczął całować jej twarz.

Elizabeth zapomniała o swoich obawach i niespodziewanie przypomniała sobie, dlaczego od tak dawna tak bardzo kochała tego mężczyznę. Tyle czasu minęło od ich ostatniego pocałunku, że już prawie zapomniała, jakie to uczucie. Na chwilę zatraciła się w jego pieścizotach i wróciła myślami do przeszłości.

Willie poruszył się i wszystko znikło. To nie jest przeszłość, napomniała się w myślach. To wszystko dzieje się teraz. Tavisowi wydawało się, że wróci po tak

długiej nieobecności, a ona od razu wcieli się w rolę przykładowej żony. Ale to nie było takie proste. Jeżeli jej pragnął, będzie musiał bardziej się postarać. Już raz ją uwiódł, ale tym razem nie pójdzie mu tak łatwo.

Odsunęła się od niego.

— Muszę już iść. Dziękuję, że nas podwiozłeś.

— Poczekam na zewnątrz i zabiorę cię na tańce.

— Nie... To znaczy, nie musisz tego robić. Dziadek będzie mi towarzyszył.

Skinął głową, ale Elizabeth widziała po jego zaciśniętych ustach, że nie jest szczęśliwy z jej odpowiedzi.

— W takim razie spotkamy się na miejscu — powiedział.

Tavis zeskoczył na ziemię, podszedł do żony i wziął od niej Williego, a potem pomógł jej wysiąść. Kiedy wchodziła do domu, rzuciła tylko:

— Dziękuję raz jeszcze.

Pani Morrison czekała już na nią przy drzwiach. Zniosła chłopca, który nawet się nie obudził, do jego pokoju.

Elizabeth tymczasem oparła się o ścianę. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Po chwili dotknęła dłonią ust. Nie wiedziała, czy bardziej trzęsą się jej palce, czy kolana.

Kiedy dwie godziny później pani Morrison kąpała Williego, Asa rozpakował sukienkę. Chwycił ją delikatnie i zapukał do pokoju wnuczki. Elizabeth, ubrana w szlafrok, wystawiała głowę za okno, żeby wysuszyć włosy. Gdy usłyszała pukanie, podskoczyła jak oparzona i przyglądała włosy.

Na widok sukienki zapomniała o potarganych włosach.

— Och, dziadku, co ty zrobiłeś? — Wzięła od niego sukienkę i przycisnęła ją mocno do siebie, a potem zaczęła tańczyć przed lustrem.

Willie, ubrany już w piżamę, wbiegł do pokoju, żeby powiedzieć jej dobranoc.

— Spójrz na nową sukienkę mamy, Williamie. Czyż nie jest cudowna? Błyszczą jak gwiazdy. Widzisz?

— Ładna — zgodził się malec.

Elizabeth spojrzała na Asę.

— Dziadku, jest cudowna, ale nie powinnam...

— Nie zapominaj o dobrych manierach i ładnie podziękuj.

Wnuczka uściskała staruszkę i pocałowała go w policzek.

— Jest za ładna jak dla mnie — stwierdziła.

— Dlaczego? Bo ktoś mógłby zwrócić na ciebie uwagę?

— Tak — przytaknęła. — Oboje dobrze wiemy, że nie potrzebuję już takich sukienek. Nadal jestem mężatką.

— To nie jest powód, żeby do końca życia chować się za starymi łachami. Poza tym nie ma nic złego w tym, że twój mąż będzie mógł obejrzeć cię w pełnej krasie. A teraz wyświadczyć przysługę swojemu staremu dziadkowi i obiecaj mi, że wystąpisz w niej dziś wieczorem na tańcach.

— Obiecuję — odparła.

— Chodź, Willie — rzekł Asa. — Zobaczmy, co możemy nabroić.

Po ich wyjściu Elizabeth ponownie przyjrzała się sukience.

Nawet w Bostonie nie widziała tak pięknej kreacji. Jedwab w lawendowym kolorze był wykończony srebrną lamówką. Stanik miał bardzo wycięty dekolt, a z bufiastych rękawów spływały srebrne wstążki.

Elizabeth wiedziała że nie powinna występować w takim stroju, przypomniała sobie jednak wyraz oczu dziadka kiedy wręczył jej prezent, i uświadomiła sobie, że nie może go rozczarować.

Elizabeth uczesała się i włożyła nową sukienkę. We włosy wpięła takie same srebrne kiście winogron, jakie błyszcząły jej na biodrach. Przejrzała się w lustrze i westchnęła na swój widok. To nie mogła być ona.

Kiedy doszła do wniosku, że to jednak nie kto inny, jak Elizabeth Mackinnon spogląda na nią z lustra, chciała natychmiast zdjąć suknię. Miała rację od samego początku. To był dla niej zbyt kosztowny strój. Zmarszczyła czoło. Nikt na Nantucket nie włożyłby czegoś takiego.

Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że suknia doskonale podkreślała wszystkie kobiece kształty. Poczula się ładna i pociągająca... i pewna siebie. Poczula się jak kobieta.

Zabawa trwała już od pewnego czasu. Tavis stał obok Nathaniela oraz Cole'a i przysłuchiwał się ich rozmowie o kobietach.

— Dlaczego się nie ożenicie? — zapytał. — Po ślubie przestalibyście marnować czas na czeze gadanie i nareszcie moglibyście się pobawić.

— Ożenić się? — zdziwił się Nathaniel. — Po co? Żebyśmy tak jak ty patrzyli zazdrosnym wzrokiem na każdego mężczyznę, który obok ciebie przechodzi? Uspokój się, stary. Ona jeszcze nawet nie przyszła.

Tavis chciał coś powiedzieć, ale nagle na sali zapanowało poruszenie. Goście, którzy stali przy drzwiach, zaczęli szeptać między sobą i pokazywać sobie coś nawzajem. Orkiestra nadal grała. Pary na parkiecie tańczyły, ale coś tajemniczego

przyciągało uwagę wszystkich zebranych.

Tavis zerknął w kierunku wejścia. Tuż przed nim stała kobieta w lawendowej sukience. Tylko jedno słowo przyszło mu na myśl, kiedy chciał określić, co czuje na jej widok. Oszołomienie. Zaszło mu w gardle.

— Mój Boże — zachwycił się Cole. — Tylko na nią spójrzcie.

— Gdybym umiał opisać to, co widzę, z pewnością wiedziałbym, co powiedzieć — rzekł Nathaniel. — Moim zdaniem, jeżeli nie postarasz się naprawić waszego małżeństwa, ktoś skradnie ci ją sprzed nosa. Kobieta, która tak wygląda powinna być zakazana przez prawo.

— Ta sukienka powinna zostać zakazana — powiedział Tavis. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

Kiedy Elizabeth ruszyła przed siebie, tłum wokół niej dosłownie falował. Każdy chciał się nacieszyć jej widokiem. Przez chwilę Tavis miał wrażenie, że wszystko dookoła niego zamarło.

Gdy stanęła w pełnym świetle, wszyscy wydali okrzyk zachwytu. Emocje, które ogarnęły tłum, były prawie namacalne. Tavis poczuł się tak, jakby zza chmur wyjrzało słońce, jakby się przyglądał przepięknemu motylowi. Widok Elizabeth zapierał mu dech w piersi. Było w tej kobiecie coś teatralnego, coś egzotycznego. Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby na salę wpadło stado słoni, pojawiła się naga bogini albo sama Kleopatra na latającym dywanie. Elizabeth była zwiastunem wiosny, amazonką, średniowieczną księżniczką... nie, królową. Poza tym nic w jej wyglądzie czy sposobie zachowania nie wskazywało na to, że jest mężatką.

— Zastanawiam się, jak długo jeszcze będzie usychać za nim z tęsknoty — odezwał się nieznajomy głos tuż za jego plecami.

— Odnoszę wrażenie, że nie musisz się już nad tym zastanawiać. Dziś wygląda tak, jakby miała zamiar o nim zapomnieć — usłyszał inny głos.

— Jestem przekonana że dzisiaj mu powie, iż nie ma zamiaru zostać jego żoną — odezwał się ktoś inny.

— Ona już jest moją żoną — warknął Tavis. Kiedy się odwrócił, zobaczył trzy przerażone twarze plotkarek.

Gdy zrobił krok do przodu, tłum rozstąpił się przed nim. Po chwili stanął przed Elizabeth. Jej oczy zabłyszczały na jego widok. Przez moment nie wiedział, co powiedzieć, a kiedy już znalazł odpowiednie słowa, nie miał śmiałości zacząć. Jego żona była tak pewna siebie. Miała w sobie tyle wdzięku i gracji niczym kotka. Wiedział, że musiał wyglądać jak głupiec, kiedy tak przed nią stał, nie mogąc się nawet ruszyć.

Nagle ukloniła się przed nim, a potem wybuchła śmiechem. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby tak się śmiała, jakby się z niego naigrywała. Pomyślał, że już do końca życia nie zapomni tego wibrującego, upokarzającego śmiechu. Zanim zdążył się odezwać, zawirowała przed nim.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz? — wyszeptał.

— Przyszłam pokazać ci, co wyrzuciłeś.

Jej szczere słowa wprawiły go w osłupienie.

— Niczego nie wyrzuciłem, a nawet jeśli to zrobiłem, nie musisz o tym opowiadać całemu Nantucket.

— Ale oni i tak już o wszystkim wiedzą. Więc w czym widzisz problem?

— Co starasz się udowodnić?

— Że mam o wiele więcej do zaoferowania, niż ci się wydawało. Że jestem wartościową kobietą. Że nie jestem jakimś tanim bublek, który został ci wciśnięty na jarmarku przez Cyganów. Jestem skarbem w przebraniu. Perłą o wielkiej wartości. — Zamilkła. Spojrzała mu prosto w oczy, po czym dodała: — I nie jestem twoja.

Tavis rozejrzał się. Wszyscy przyglądali mu się ze zdziwieniem. Chciał mieć ją na własność. Chciał mieć jej uśmiech, te wszystkie złote loki, każdy centymetr jej skóry. Chwyił ją za ramię i wyprowadził na zewnątrz.

— Tak się składa, że jesteś moją żoną.

— Czy mam być ci za to wdzięczna?

— Kiedy wreszcie skończysz to przedstawienie?

— Dlaczego ty tego nie zrobisz?

— Bo nie ja je rozpocząłem.

— Jesteś pewien?

Tavis spojrzał na nią gniewnie, starając się zrozumieć, o co jej chodzi.

— Odkąd wróciłeś, przez cały czas odgrywasz przed całym miastem rolę kochającego opiekuńczego męża. Wszyscy na wyspie wiedzą ile razy przychodziłeś do Williego. Ludzie spekulują, za którym razem zdobędziesz także mnie.

Jej słowa trochę go uspokoiły.

— Oboje staliśmy się widowiskiem — powiedział. Wziął ją pod ramię i poprowadził na parkiet.

— Zawsze byliśmy nim.

— Właśnie tego od nas oczekują więc może damy prawdziwy popis?

Nadal trzymał ją w ramionach, mimo że bardzo mu się opierała — Puść mnie.

— Moja droga Lizo, staram się puścić cię od dnia, kiedy się z tobą ożeniłem. Ale,

niestety, nie mogę tego zrobić, a całkiem niedawno odkryłem, że wcale tego nie chcę.

Uśmiechnęła się do dwóch pań, której przechodziły obok. Wyrwała się z jego uścisku, ale on szybko ją złapał.

— Możesz zacząć się przyzwyczajać do roli mojej Żory — wyszeptał.

— Przemyślę twój ą propozycję — odparła.

— Mam nadzieję, że na tym nie poprzestaniesz — zagroził, na co Elizabeth tylko się do niego uśmiechnęła.

Chwycił ją w ramiona i już po chwili wirowali na parkiecie.

— Spałeś z inną? — zapytała.

Tavis potknął się, ale zaraz złapał równowagę.

— Co ty wygadujesz?

— Pytam, czy spałeś z inną kobietą?

Nie ukrywał, jak bardzo cieszy go to, że jest o niego zazdrosna.

— A ty? — zapytał.

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się do niego. — Dziesiątki razy.

— To dobrze — stwierdził. — W takim razie jeden raz więcej nie robi ci różnicy. — Przyciągnął ją do siebie.

Twarz Tavis'a wydała jej się całkiem obca i nagle ogarnęło ją przerażenie. Przestraszyła się tego, co może jej zrobić. Aż do tej chwili prowadziła z nim niewinną grę, ale kiedy przyjrzała się uważnie temu wysokiemu przystojnemu mężczyźnie, zrozumiała, że przeholowała. Poddała się muzyce. Czas zatrzymał się w miejscu. Zamknęła oczy i poczuła jego ciało. Trzymał ją tak blisko siebie, że wyczuwała mięśnie jego ramion. Jego ciało mówiło do niej językiem, którego jej umysł nie potrafił zrozumieć.

Tym razem to Elizabeth poczuła się zagubiona.

Tavis chwycił ją za rękę. Otworzyła oczy i zorientowała się, że schodzą z parkietu. Dokąd ją prowadził? Czy aż tak bardzo go rozdrażniła? Nie widziała jego twarzy, ale poznała po sposobie, w jaki się porusza, że doskonale wie, co robi. Czowała jego ciepły oddech we włosach i zapach męskiego ciała. Prawie wcale nie zdawała sobie sprawy z obecności innych osób, które mijały ich od czasu do czasu. Nagle światła zostały daleko za nimi. Muzyka i śmiechy ucichły. Znaleźli się całkiem sami. Elizabeth była przerażona. Spojrzała na Tavis'a, ale jego twarz skrywał cień. Po chwili zatoneła w jego ramionach. Zaczął całować jej włosy.

— Chciałem to zrobić od dnia kiedy wróciłem — wyszeptał. — Wciąż przypominałem sobie, jak to jest trzymać cię w ramionach. Myślałem, że tak dobrze

pamiętam, co wtedy czułem, ale najwyraźniej wspomnienia bledną w konfrontacji z rzeczywistością.

Świat zaczął się od niej oddalać. Miała wrażenie, że spada w próżnię. To zbyt łatwe, szeptało jej serce. To zbyt łatwe i dzieje się za szybko. Chciała się odsunąć, lecz nie miała dosyć siły. Poruszała się niczym ślepiec w ciemnościach.

Kiedy pocałował ją w usta, serce zaczęło jej bić niczym szalone. Otoczyła ją głucha cisza. Tylko ramiona Tavis'a i ciepło jego ciała łączyły ją ze światem. Cała reszta wydawała się nierealna. W tej chwili nie liczyło się dla niej nic poza tym mężczyzną i pocałunkiem.

— Tavisie... — Nic nie mów — przerwał jej. — Wygrałaś, wiesz o tym. Pragnę cię. Pragnę cię tak bardzo, że zrobię wszystko, żeby tylko cię zdobyć. — Chcesz mi powiedzieć, że mnie kochasz?

— Miłość? Nie wiem, czy właśnie to czuję. Ale pragnę cię. Czy to nie wystarczy? Myślałem o tobie bez przerwy. Myślałem, że od tego zwariuję. Chcę, żebyście wrócili do mnie do domu... ty i Willie. Chcę, żebyśmy byli rodziną.

— Jak bardzo się od siebie różnimy — powiedziała. — Ty pragniesz tylu różnych rzeczy, a ja tylko jednej.

— To znaczy? Twojej miłości, pomyślała i odsunęła się od niego.

— Ze wszystkich ran, jakie mi zadałeś, najbardziej boli mnie to, że zadajesz mi takie pytania.

Tavis przyjrzał się uważnie jej pięknej twarzy. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Chciał ją zatrzymać, zanim odejdzie od niego na zawsze. Ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to pragnienie zatrzymania jej w ramionach. Pragnął jej ciepłego ciała, chciał się w nim zapomnieć. Dlaczego nie potrafił powiedzieć tego, co chciała usłyszeć? Dlaczego nie potrafił spełnić jej oczekiwań? Zanim znalazł odpowiedzi na te pytania, Elizabeth odwróciła się od niego.

— Zostaw mnie, Tavisie. Rozmyśliłam się. Już nie chcę być twoją żoną.

Po chwili stracił ją z oczu.

Asa otworzył oczy. Ból w żołądku stawał się nieznośny. Rozejrzał się, starając się przypomnieć sobie, gdzie jest. Znów śnił o minionych czasach, kiedy do brzegu Nantucket zawijało mnóstwo statków. Przez krótką chwilę wszystko wydawało się takie realne, że nawet poczuł zapach wielorybiego tłuszczu. Wciągnął powietrze, lecz jedyne, co poczuł, to zapach potrawy z ryby, którą Elizabeth przygotowała na lunch.

Ponownie go zabolalo i zwinął się wpół. Zamknął oczy i zaczął się zastanawiać,

jakie to dziwne, że poczuł zapach czegoś, co naprawdę nie istniało. Przypomniawsobiesobie czasy, kiedy polował na wieloryby. Pamiętał, jak wiele lat temu w morskim powietrzu unosił się zapach ich tłuszczu. Gdy było wilgotno i wiał silny wiatr, woń była tak silna, że czuć ją było z kilkuset metrów.

Ból narastał z każdą chwilą. Wspomnienia napierały coraz mocniej. Słona woda zawrzała mu w żyłach. Serce zaczęło wyrywać się z piersi, kiedy pomyślał o malajskich piratach, a w uszach zaczęły rozbrzmiewać mu melodie, które wyśpiewywały piękne ciemnookie dziewczęta.

Wspomnienia odeszły, ale ból pozostał. Ostatnio ten ból stał się jego nieodłącznym towarzyszem. Dwa lata temu po raz pierwszy zrozumiał, że jest poważnie chory. To właśnie wtedy zaczęły się skurcze i wymioty, które w końcu zabarwiły się krwią.

Wstał z łóżka. Kiedy usiadł w bujanym fotelu, w jego żołądku wybuchł pożar. Wiedział, że jego czas nadszedł. Wiedział, że umiera. Był tego pewien od dłuższego czasu. Tylko widok wzburzonych fal był dla niego ukojeniem. Słyszał nawoływanie morza.

Po chwili wyszedł na zewnątrz.

To był dobry dzień na śmierć. Słońce schowało się za mgłą, wiał silny wiatr, woda była mętna i ciemna. Asa zatrzymał się i rozejrzał. Wyglądało na to, że spadnie śnieg, co o tej porze roku graniczyłoby chyba z cudem. Mimo to świat zamarł od chłodu.

Już wkrótce uwolni się od bólu i cierpienia. Opuści go rozpacz i smutek. Nareszcie uda się na ostateczny odpoczynek. Już wkrótce zostawi za sobą wściekły świat i zejdzie pod wodę do Neptuna. Tam wszystko będzie spokojne, zielone i takie ciche. Morze go przyjmie.

To był dobry dzień na śmierć.

Podszedł do linii brzegowej, ale się zatrzymał. Przypomniawsobiesobie, że zapomniał o swojej marynarskiej czapce. Odkąd pamiętał, zawsze ją nosił. Spojrzał w kierunku latami. Zobaczył dwa koty, Robina i Tucka, które wyszły przed drzwi. Przypomniawsobiesobie, jak bardzo te zwierzaki nie lubią Elizabeth, i poczuł potrzebę, żeby wrócić.

Ale nawoływanie morza było zbyt głośne. Chodź do mnie... Chodź.

Gdy koty podbiegły do niego, podniósł kilka muszelek i rzucił nimi w ich stronę. Robin i Tuck natychmiast uciekły.

Wspiął się na łódź i złapał za wiosła. Wiatr rozwiewał jego białe włosy. I nagle,

ku jego zaskoczeniu, wszystko umilkło. Zrozumiał, że nastąpił koniec jego długiej podróży.

Wspomnienia zaczęły przemykać mu przed oczami z niewyobrażalną prędkością. Poczł w sobie nowy przypływ siły. Usłyszał wołanie wielorybów! Ruszył na ich spotkanie. Ciemna woda kipiała dookoła niego i wciągała łódkę w głąbinę.

Asa usłyszał krzyki harpunników i żeglarzy. Te krzyki były muzyką dla jego uszu. Zobaczył przed sobą białego ducha. To był statek widmo, który gnał do przodu wiatr.

— Zaczekaj! — zawołał. — Zaczekaj!

Podpłynął bliżej niego i nagle ból eksplodował w całym jego ciele. Tuż nad nim rozległ się hymn, który śpiewał bardzo dawno temu.

*Przerażające zebra wieloryba
Złączyły się w ponurym mroku.
Fale odeгнаły blask słońca,
Zostawiając mnie na zagładę.
Ujrzałem wrota piekieł,
Wewnątrz cierpienie dusz.
Nikt nie mógł ich zrozumieć.
Tonąłem w nieszczęściu.
W rozpaczcy wołałem Boga,
Gdy nie wierzyłem w swoje siły.
Wysłuchał moich prósb,
Wieloryb już mnie nie więził.
Jakby miał zmysł delfina,
Przybył mi na ratunek.
Zaświeciła straszna, lecz jasna błyskawica
Moja pieśń uwieczni
Tę potworną i radosną godzinę.
Oddaję cześć mojemu Bogu,
Jego sile i litości.
Twarz mego Boga Wybawcy.*

Morze zamknęło się nad nim. Zrozumiał, że ból już nigdy więcej nie dotknie Asy Robinsona.

Elizabeth weszła do latarni morskiej. Kiedy podbiegły do niej koty, zrozumiała, że stało się coś strasznego. W domu panowała głucha cisza. Prawie natychmiast puściła dłoń Williego i włożyła płaszcz. Podniosła oba koty, nie zważając na ich miauczenie. Na zewnątrz wył wiatr fale rozbijały się o brzeg. Morze świętowało swoje zwycięstwo.

— Dziadku?

Rozejrzała się niespokojnie po pokoju.

Willie przez cały czas trzymał się jej spódnicy. Elizabeth zobaczyła na stole fajkę oraz czapkę Asy. Dziadek nigdy nie wyszedłby z domu bez czapki. Postawiła koty na ziemi.

— Dziadku, gdzie jesteś?

Nikt jej nie odpowiedział.

Zabrała Williego do kuchni, posadziła go na krześle i dała mu dwa biszkopty. Potem zaczęła biegać po wszystkich pokojach i nawoływać dziadka. W odpowiedzi słyszała jedynie echo swojego głosu.

Gdy wpadła do kuchni, Willie zaczął płakać, więc wzięła go na ręce. Kołysała syna przez chwilę, po czym przykryła go swoim płaszczem i wybiegła na zewnątrz.

— Dziadku, czy mnie słyszysz?! — wołała. Słowa więzły jej w gardle. — Dziadku? Słyszysz mnie?

Odpowiedział jej tylko wiatr.

W tym momencie zauważyła, że na brzegu brakuje łódki.

Popłynął na ryby, przyszło jej na myśl. Odwróciła się w stronę domu, ale po chwili na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Przed oczami zobaczyła czapkę Asy, która leżała porzucona na stole. Dziadek nie wychodzi nigdzie bez czapki. Nie zrobiłby tego nigdy w życiu.

Chyba że nie chciałby już wracać.

Zrozumiała, co się wydarzyło. Biegiem wróciła do domu. Posadziła Williego na podłodze, dała mu zabawkę i powiedziała:

— Nie ruszaj się stąd. Niedługo wrócę.

Jej sercem zawładnął strach. Wypadła na zewnątrz i popędziła do latarni. Dysząc ciężko, wspięła się po schodach na sam szczyt wieży. Ogromny reflektor rozświetlał ciemności. Elizabeth była wyczerpana, nie mogła złapać tchu, mimo to podbiegła do reflektora i zaczęła kierować jego światło na wzburzone fale. Chciała się poddać, ale

w ostatnim momencie zobaczyła go. Wiatr rozwiewał jego siwe włosy. Bez chwili wahania zbiegła na dół, chwyciła Williego i posadziła go w powozie, którym wróciła z miasta zaledwie kilka minut temu.

Nawet nie wiedziała kiedy zajechała pod dom Tawisa. Wzięła Williego na rękę, podbiegła do drzwi i zaczęła w nie walić.

— Potrzebuję twojej łodzi — powiedziała, kiedy jej otworzył. — Gdzie ją przycumowałeś?

— Na końcu nabrzeża, ale dlaczego...

— Dziadek — odparła, zbiegając po schodach.

Tavis nie zastanawiał się zbyt długo nad tym, co usłyszał. Pobiegł za nią chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

— Elizabeth, co do diabła...

— Puść mnie! — wrzasnęła. — Nie mam czasu na rozmowę. To sprawa życia i śmierci.

— Czyjego? — zapytał łagodnie, biorąc od niej Williego. — Czyje życie jest w niebezpieczeństwie?

— Mojego dziadka — odparła uderzając w niego pięściami. — Morze mi go odbierze. Tego właśnie pragnął. Nie rozumiesz? On chce umrzeć. Chce tego!

— Lizo, nie masz najmniejszych szans, żeby go odnaleźć. Może go nie być na tej łódce.

— Widziałam go! — krzyczała. Willie zaczął płakać. — Widziałam go ze szczytu latarni morskiej. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że go widziałam? On tam umrze. Wiem o tym. — Wciąż próbowała mu się wyrwać. Tavis zobaczył w oczach żony coś takiego, że jej uwierzył.

— Popłynę z tobą — powiedział. — Zabiorę Williego do środka — dodał, zatrzymując się na chwilę. — Pani Chadwick może go popilnować.

Przerażona Elizabeth, drżąc, stała przy furtce.

— Muszę znaleźć dziadka. Nie mogę marnować czasu, kiedy ty będziesz wymiotował.

— Popłyniesz tylko wtedy, kiedy ja popłynę z tobą.

Kilka minut później pędzili wzdłuż nabrzeża. Wsiedli do niewielkiej łodzi, po czym Tavis odwiązał cumy.

Niebo było teraz prawie czarne. Wiatr wiał jeszcze mocniej; zaczął padać deszcz. Elizabeth nie widziała nic poza Tawisem i falami. Rozglądała się i modliła. On chce umrzeć, rozlegał się głos w jej głowie. On chce umrzeć.

Proszę... Proszę, Boże, nie pozwól mu umrzeć. Mam tylko jego. Odchyliła do tyłu

głowę i spojrzała w niebo. Czy nie ma tam nic poza deszczem i bólem? Powiedziałeś, że nigdy nie wyrządzisz nam więcej bólu, niż jesteśmy w stanie znieść. Ja nie potrafię tego znieść. Nie potrafię. Mimo to kolejna strata zbliżała się wielkimi krokami. Na cmentarzu pojawi się kolejny grób człowieka którego kocham Kiedy to się wreszcie skończy? Kiedy odzyskam spokój?

— Może wrócił do domu — powiedział nagle Tavis — jest już zupełnie ciemno.

Spojrzała na niego z furją — Czy ty nic nie rozumiesz?! — wrzasnęła. — On nie wróci. Już nigdy nie wróci. On tego chciał. Chciał umrzeć... w szponach morza.

Nagle ich oczom ukazała się łódka.

— Spójrz tam! — krzyknął Tavis. — Chyba ją widzę.

Elizabeth spojrzała w tamtą stronę i umarła w niej cała nadzieja.

Wszystko się dla niej skończyło. Kiedy podpłynęli bliżej łódki, nawet na nią nie spojrzała. Wiedziała, że w środku nikogo nie ma.

Na początku nie poczuła smutku ani przygnębienia. Usiadła na drewnianej ławce. Deszcze spływał po niej strumieniami. Kiedy usłyszała głos Tawisa i spojrzała na jego twarz, zrozumiała że nie ma już dla niej nadziei na lepsze życie.

— Przykro mi — powiedział. Jego głos wydawał się bardzo odległy. — Nic nie mogłem zrobić. Takie było jego życzenie. — Zawrócił łódź.

Złapała go za ramię.

— Co ty wyprawiasz?

Wyglądał na zaskoczonego.

— Zawracam. Już nic nie możemy zrobić, a pogoda wciąż się pogarsza.

— Nie zostawię tutaj jego łodzi.

Tavis spojrzał na nią z błaganiem w oczach.

— Nadchodzi burza. Jeżeli nie wrócimy, możemy zginąć.

— Nie zostawię tutaj jego łódki i nigdy ci nie wybaczę, jeżeli teraz zawrócisz.

Tavis zaklął, po czym podpłynął do łódki. Wiedziała, że poczuł pierwsze oznaki choroby morskiej.

— Trzymaj ster — powiedział. — Postaram się przywiązać ją liną.

Po trzech nieudanych próbach poczuł się fatalnie, ale się nie poddawał. Przerzucił przez burzę jedną nogę i pochylił się do przodu, żeby złapać sznur. W pewnej chwili jego twarz zrobiła się zielona. Elizabeth zrozumiała, że dopadły go mdłości.

Nagle obie łódki się zderzyły, miażdżąc nogę Tawisa. Jęknął głośno i upadł do łodzi. Elizabeth ogarnęło przerażenie. Krew tryskała na jej sukienkę.

Dwie godziny później weszła do gabinetu lekarza.

Za oknami padał deszcz. W pomieszczeniu panował półmrok i była ciepło. Wyczerpana Elizabeth starała się przestać myśleć o dziadku i skupić na Tavisie, który nadal żył. Musiała myśleć tylko o nim. Wiedziała, że nadejdzie odpowiedni moment na żałobę po dziadku.

Mała ciężkie powieki. Zaczęła słać się na nogach. Już po chwili oparła głowę na biurku i zasnęła.

— Pani Mackinnon?

Elizabeth przebudziła się. Zobaczyła krew na ubraniu lekarza.

— Czy on żyje?

— Tak, ale jest z nim coraz gorzej. Noga jest potrzaskana. Będę musiał ją amputować.

Będę musiał ją amputować. Zerwała się na równe nogi. Nie!

— Niech pan nie dotyka jego nogi.

— Pani Mackinnon, pani nic nie rozumie...

— Nie, to pan nic nie rozumie. Nie dotknie pan jego nogi — powtórzyła.

— W takim razie nie mogę mu pomóc.

Elizabeth ruszyła w stronę drzwi, za którymi był Tavis.

— Dokąd pani idzie?

— Idę zobaczyć męża, a potem zabiorę go do szpitala w Bostonie.

— Straci go pani. Umrze, zanim dotrzecie do Bostonu.

— Jeżeli odetnie mu pan nogę, to i tak go stracę. On nie będzie potrafił z tym żyć.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. W sali było nieznośnie gorąco; wszędzie unosił się zapach krwi. Podeszła do Tawisa i upewniła się, że jego noga nadal jest na miejscu. Krew ściekała po prześcieradle.

Odwróciła się i spojrzała na stojącego w drzwiach lekarza.

— Ma pan opium?

— Już mu trochę dałem.

Ponownie spojrzała na Tawisa. Widziała jego bladą twarz; słyszała jak jęczy. Przez chwilę miała wrażenie, że otworzy oczy.

— Nadal jest nieprzytomny. Może dać mu pan trochę więcej opium. Zabieram go do Bostonu. Będzie mi o wiele łatwiej, jeżeli pozostanie nieprzytomny.

Lekarz, milcząc, wzruszył ramionami i się odwrócił.

— Dam mu kolejną dawkę, ale nadal uważam, że popełnia pani wielki błąd.

— Zrobiłam błąd, przywołując go tutaj. Proszę przygotować go do podróży. Wróć tak szybko, jak to tylko możliwe.

Kilka minut później odnalazła Nathaniela i Cole'a, którzy wypożyczyli

najszybszą łódź, jaką znaleźli w porcie Nantucket. Godzinę później odbili od brzegu.

Elizabeth siedziała obok Tawisa na małej koi. Przyglądała się jego twarzy, zmieniała opatrunki i przez cały czas zwiększała mu dawki opium.

— Nie stracisz nogi — wyszeptała, po czym delikatnie po gładziła jego twarz. Jednym palcem dotknęła jego czoła a potem nosa i brwi. Obwiodła zarys jego ust i pocałowała go. Skórę miał rozpaloną. Położyła rękę na jego piersi. Drugą dłonią chwyciła koc i przykryła się nim. Chwyciła dłoń męża i zaczęła całować każdy palec po kolei.

Przypomniała sobie, jak delikatnie dotykała ją ta ręka i jak wiele sprawiła jej radości. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Nie stracisz nogi — wyszeptała. — Nie pozwolę na to.

Usiadła na krześle, nie wypuszczając jego dłoni. Kochała go tak długo, przez całą wieczność.

Tavis otworzył jedno oko, ujrzał stojącego nad nim mężczyznę i zamrugał. Przez chwilę myślał, że nie żyje, ale kiedy poczuł w nodze klujący ból, pożałował, że nie umarł.

Ponownie otworzył oczy. Z uwagą przyglądał się nieznajomemu mężczyźnie w białym fartuchu.

— Kim pan jest? — zapytał.

Mężczyzna uśmiechnął się, po czym odparł:

— Doktor Carver, do usług.

Tavis jęknął.

— Boże, mam nadzieję, że to tylko zły sen.

Mężczyzna zaśmiał się.

— Nie brakuje panu poczucia humoru. To dobry znak.

— Być może to jest dobry znak, ale czuję się piekielnie.

— Niech się pan cieszy, że w ogóle coś pan czuje. To już samo w sobie jest błogosławieństwem.

Tavis przekreślił się na bok. Spojrzał na białe ściany za plecami Carvera i pusty stolik obok łóżka.

— Gdzie ja jestem?

— W szpitalu Massachusetts w Bostonie.

— W Bostonie? Jak do... Jak się tutaj znalazłem?

— Ja cię przywiozłam — usłyszał znajomy głos.

Tavis odwrócił głowę i zobaczył siedzącą na łóżku Elizabeth. Rzucił jej zdziwione spojrzenie. Upajał się widokiem smukłej kobiecej sylwetki w sukni z szarego jedwabiu, ozdobionej czarnym aksamitem. Pomyślał, że mimo zmęczenia widocznego na jej twarzy i bladej cery jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Czuł się tak, jakby wirował w przestworzach. Wizerunek siedzącej przed nim bladej piękności rozmazywał się i przeobrażał w obraz młodej niesfornej dziewczyny. Poznał ją z wielu stron. Raz była małą czarownicą a po chwili przemieniała się w zdumiewającą czarodziejkę. Gdy była młodą dziewczyną, wodziła za nim wzrokiem. Kiedy dojrzała i stała się kobietą, zakochał się w niej. Nie potrafił o niej zapomnieć, tak samo jak matka nie jest w stanie zapomnieć własnego dziecka. Zawsze kiedy gdzieś szła wносиła ze sobą odrobinę fantazji i poezji do ponurego życia mieszkańców Nantucket.

Nie spotkał drugiej takiej jak ona.

— Przywiozłaś mnie tutaj? — zapytał.

— Tak, z pomocą Nathaniela i Cole'a — odpowiedziała.

— Gdzie oni są?

Uśmiechnęła się do niego.

— Byli przy tobie cały czas. Po paru dniach nie wytrzymałam i powiedziałam im, że jeżeli zostaną chociażby minutę dłużej, to ja odejdę.

Wyglądał na zakłopotanego.

— Czuję się bardzo dziwnie. Niczego nie pamiętam Ani łódki, ani przyjazdu tutaj. Niczego.

— Żona cały czas podawała panu opium — wyjaśnił doktor Carver.

— Dlaczego mnie tutaj przywiozłaś?

— Lekarz w Nantucket chciał ci amputować nogę.

Tavis zadrżał. Doktor Carver położył rękę na jego ramieniu.

— Spokojnie, nie stracił pan niczego z wyjątkiem wagi i dużej ilości krwi.

Wyczerpany pacjent oparł głowę na poduszce. Był zbyt zmęczony, żeby mówić. Gdy zamknął oczy, w jego głowie kłębiły się myśli, których nie był w stanie wyrazić.

— Pani Mackinnon, będę już szedł do domu — usłyszał po jakimś czasie głos lekarza. — Przyjdę jutro rano zobaczyć, jak się miewa pani i nasz pacjent.

— Dziękuję, doktorze — odpowiedziała Elizabeth.

Tavis usłyszał kroki doktora, ale nie mógł otworzyć oczu. W pokoju zapanowała cisza. Zastanawiał się, co robi Elizabeth, lecz nie był w stanie unieść ciężkich powiek.

— Dziękuję — wyszeptał. — Nie chciałbym żyć bez nogi.

— Wiem — odpowiedziała miękkiem głosem. — Właśnie dlatego cię tutaj przywiozłam.

— Trzeba było zostawić mnie na Nantucket, odcięliby mi nogę i pozbyłabyś się mnie raz na zawsze.

Spojrzała na jego bladą twarz i zapadnięte policzki.

— Nigdy się ciebie nie pozbędę — odparła, wbijając wzrok w podłogę.

Walczył, żeby otworzyć oczy.

— Elizabeth... — powiedział. Poczł jej dłoń na ramieniu.

— Nic nie mów. Musisz odpoczywać.

Po omacku znalazł jej rękę, mocno przycisnął do piersi i zapytał:

— Odchodzisz?

Odgarnęła mu włosy z czoła.

— Tylko żeby coś zjeść, a potem wrócić.

— Gdzie jest Willie?

Serce zabiło jej mocniej.

— Na Nantucket. Zostawiłam go u ciebie w domu. Jest pod opieką pani Chadwick.

Tavis myślał o wszystkich krzywdach, jakich doznała. Wiedział, że zostawienie dziecka było dla niej ciężkim przeżyciem. Pomyślał o jej dziadku. Mimo żalu, jaki czuła po jego stracie, została z nim w szpitalu.

— Przykro mi — powiedział.

— Mnie również, z wielu powodów — odparła. — A teraz spróbuj się przespać.

Elizabeth wyszła i wynajęła powóz, którym pojechała do domu ciotki Phoebe, gdzie mogła coś zjeść i się wykapać.

Kiedy tylko przekroczyła próg, pomyślała że dom wygląda tak, jakby należał do starej, niedowidzącej kobiety. Czas z wdziękiem odcisnął na nim swoje piętno. Z godnością unosiła się w nim woń starości, wymieszanej z zapachem olejku lawendowego. Gdy weszła w głąb pokoju, poczuła unoszący się zapach zgnilizny, ten sam, który przywitał ją podczas pierwszej wizyty, tydzień wcześniej. Przystanęła na środku pokoju. Spodziewała się zobaczyć ciotkę Phoebe, siedzącą w bujanym fotelu.

— Czy to pani, pani Mackinnon?

Na dźwięk głosu Elizabeth podskoczyła. Zaczęła wyjmować z kapelusza spinki, po czym zdjęła go z głowy.

— To ja, pani Willoughby — odparła.

Po chwili pani Willoughby pojawiła się w drzwiach.

— Och, biedactwo. Wygląda pani na bardzo wyczerpaną. Czy życzy sobie pani, żebym zagrzała wodę na gorącą kąpiel?

— Gorąca kąpiel jest właśnie tym, czego potrzebuję. Im cieplejsza, tym lepsza. Nie wiem dlaczego, ale po całym dniu spędzonym w szpitalu czuję się brudna.

— Niech pani przejdzie do jadalni. Potem podam gorącą kolację i pościelę dla pani łóżko.

— Nie zostanę na noc. Wracam do szpitala.

— Chociaż dzisiaj mogłaby pani spędzić noc w łóżku. — Pani Willoughby posłała Elizabeth matczyne spojrzenie.

— Muszę tam wrócić.

— Niech pani się nie przemęcza. Jest pani młodą ale i tak to się może odbić na pani zdrowiu. Proszę zapamiętać moje słowa. To się odbije na pani zdrowiu.

— Czasami czuję się tak, jakbym już podupadła na zdrowiu — odpowiedziała Elizabeth — Ale mój mąż jest już przytomny. Dzisiaj obudził się pierwszy raz od naszego przyjazdu do Bostonu. Pomyślałam, że powinnam być przy nim dzień i noc. Jutro pozwolę pani posłać moje łóżko. Obiecuję.

Elizabeth zjadła kolację, wykapała się i od razu poczuła się zdecydowanie lepiej. Po kilku godzinach wróciła do szpitala. Kiedy weszła do pokoju, Tavis spał niespokojnym snem. Zdjęła rękawiczki, włączyła lampkę przy łóżku i położyła rękę na czole męża. Był gorący, zwłaszcza dla Elizabeth, która właśnie przyszła z dworu, gdzie było bardzo zimno. Stała przy łóżku i przyglądała się dłoni Tawisa. Miał długie i szczupłe palce, tak jak Willie, który jest taki podobny do ojca, pomyślała. Miał te same czarne włosy i smukłe stopy. Kiedy na nią spoglądał, przechylał głowę w ten sam sposób co Tavis. Ile razy trzymała synka, myśląc o mężu? Ile razy patrzyła na niego, myśląc o mężczyźnie, którego kochała?

Jesteś taki podobny do swojego syna.

Ale ciemne włosy na rękach nie przywodziły na myśl drobnych rączek dziecka. Spojrzała na nagi tors Tawisa, podążyła wzrokiem za zwięzającą się ścieżką czarnych włosów znikającą pod prześcieradłem, wiodącą do jego podbrzusza.

Ogarnęło ją pożądanie. Przypomniała sobie, jak mocno i jak długo go kochała. Kiedy była dziewczynką, zdawało jej się, że Tavis jest jej przeznaczony, ponieważ pierwszy raz, kiedy go ujrzała, stał pod łukiem tęczy. Ze smutkiem potrząsnęła głową. Jeśli Bóg go jej obiecał, to coś musiało pójść niezgodnie z jego planem. Był jej mężem, ale nie czuła się od nikogo bardziej oddalona niż od niego. Tavis próbował przekreślić się na bok, mruzczał coś pod nosem, po czym przestał się wiercić. Znowu dotknęła jego głowy. Był znacznie cieplejszy niż chwilę przedtem. Elizabeth zaniepokoiła się. Przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła z doktorem Carvenem tuż po operacji Tawisa.

— Czy wszystko będzie w porządku? — zapytała.

— Było bardzo kiepsko, ale teraz jest znacznie lepiej, niż się spodziewałem. Noga jest złamana w dwóch miejscach, a skóra i mięśnie wokół są poważnie uszkodzone. — Patrzył na nią przez okulary. — W ranie było wiele odłamków kości, strzępów ubrań. Usunięcie tego wszystkiego było wyjątkowo czasochłonne.

— A co teraz?

— Możemy spodziewać się zakażenia, a nawet gangreny. Elizabeth poczuła się słabo na samą myśl o takiej ewentualności. Wizja gangreny napawała ją strachem.

— W Glasgow mieszka lekarz, Joseph Lister — kontynuował doktor Carven —

który zauważył, że złamania, nad którymi nie pękła skóra, na ogół zrastają się bez komplikacji. Natomiast złamania otwarte zwykle niosą za sobą infekcje i ropienie.

Zdjął okulary.

— Wiemy, że coś się dzieje, ale nie wiemy dlaczego. To może być spowodowane niewidzialnymi zarazkami unoszący mi się w powietrzu... czymś, co Liser nazywa chorobowym pyłem.

Elizabeth naląła wody do miski, która stała obok łóżka. Zamoczyła w niej ściereczkę, którą następnie złożyła i położyła na czole Tawisa. Godzinę później zaczął się trząść i miotać na łóżku. Usiadła obok niego, próbując go przytrzymać, a kiedy to nie poskutkowało, położyła się na nim całym ciałem.

Był coraz bardziej rozpalony, trzął się jeszcze gwałtowniej. Zaczęła mówić do niego, opowiadać o tym, jak niedługo będą wspólnie z synem chodzili na pikniki na plaży, jak wiele istnieje rzeczy, dla których powinien żyć.

— Nie poddawaj się — szeptała, całując jego czoło. Spojrzała na rozgorączkowaną twarz i pomyślała, jak znajomo, a zarazem jak obco wygląda. Minęło wiele czasu od chwili, kiedy po raz ostatni leżała u boku tego mężczyzny i czuła ciepło jego ciała.

Uświadomiła sobie, że nigdy, nawet podczas rozłąki, nie myślała o jego śmierci. Ale teraz to zagrożenie stało się bardzo realne. Wtuliła twarz w jego szyję i wyznała, jak wiele dla niej znaczy. Powiedziała, że nigdy o nim nie zapomni, jeżeli umrze.

— Nie pozwolę ci odejść — powiedziała. — Nie odpuszczę ci. Jesteś mi coś winien, Tawisie Mackinnonie. Musisz walczyć. Nie pozwolę ci odejść. Słyszysz mnie? Nie pozwolę na to.

Nie była pewna, jak długo tak leżała, ale zanim się uspokoił, jej ciało zdrętwiało.

Zsunęła się z niego, wyprostowała, położyła rękę na plecach i jęknęła cicho. Pomyślała, że czuje się bardzo staro. Bez wątpienia słyszała łupanie w kościach. Powędrowała z łóżka z powrotem na krzesło.

Siedziała, wpatrując się w męża z coraz większym zainteresowaniem. Jego widok przywoływał na myśl wiele wspomnień. Ale to nie wspomnienia dodawały jej sił. Coś się między nimi zmieniło. Z każdą chwilą czuła jak narasta w niej nowe nieznane dotąd uczucie. Nie chciała dać się przez nie opanować, nie teraz, kiedy nauczyła się żyć na własną rękę.

Poczuła się oszukana.

— Nie chcę się w tobie zakochać — powiedziała, chociaż zdawała sobie sprawę, że to, co mówi, brzmi idiotycznie. Zrozumiała że chociaż kochała go przez całe życie, jej miłość nigdy nie była większa niż w tej chwili.

Chciała odsunąć od siebie te myśli, więc wstała ponownie zmoczyła szmatkę i podeszła, by położyć mu ją na czole.

Kiedy to zrobiła, zdała sobie sprawę, że patrzy na niego inaczej niż dotychczas. Wpatrywała się w jego usta. Zapomniała co trzyma w ręku. Woda ściekała jej po palcach i kapała na podłogę. Przypomniała sobie, że kiedyś te wyjątkowe usta całowały ją namiętnie, i zrobiło jej się wstyd. Jak mogła? Przecież on był chory, może nawet umierający. Co się z nią stało?

Otrząsnęła się z szoku, położyła ścierkę na jego czole i wróciła na krzesło. Przez resztę nocy siedziała przy jego łóżku i co piętnaście minut zmieniała okład. Mimo jej wysiłku i całonocnego czuwania gorączka podskoczyła.

Przez kolejne trzy dni Tavis leżał rozpalony i majaczył. Głównie wydawał rozkazy podwładnym, posługując się przy tym jakimiś fachowymi określeniami. Elizabeth była przekonana że kilkakrotnie wymówił jej imię. Pewnego razu, kiedy doktor Carver był w pokoju, wyraziła swoje zaniepokojenie związane z brakiem apetytu Tavis'a.

— Jestem zwolennikiem Gravesa. Wierzę w karmienie pod czas gorączki. Proszę go karmić, pani Mackinnon. I proszę nie przestawać, nawet jeśli nie będzie w stanie przełknąć ko lejnego kęsa, Elizabeth trzymała się jego wskazówek. Za każdym razem, kiedy Tavis otwierał usta, wpychała mu łyżkę między zęby i wlewała jedzenie do gardła.

W końcu gorączka spadła.

Elizabeth siedziała obok męża, robiąc na drutach sweter dla Williego. Nagle z zamyślenia wyrwał ją głos Tavis'a.

— Myślałem, że jesteś aniołem.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Przyglądał jej się trzeźwym wzrokiem. Rozpłakała się. Łzy były tak obfite, że nawet wełna ze swetra Williego nie była w stanie ich osuszyć. Płakała, jakby na całym świecie nie było już nic do zrobienia z wyjątkiem wypłakania wszystkich problemów.

— Nazywam cię aniołem, a ty płaczesz — powiedział — Nigdy cię nie rozumiałem i nigdy nie zrozumie, ale to nie ma znaczenia. Wystarczy mi, że będę cię miał tylko dla siebie.

Ale jej to nie wystarczyło, nigdy nie wystarczało. Rozpłakała się jeszcze bardziej, a wreszcie wstała i wybiegła z pokoju.

Wróciła pół godziny później. Miała umytą twarz i suche oczy. W milczeniu podeszła do krzesła, stojącego obok łóżka, i jak gdyby nigdy nic wzięła druty do rąk.

Następnego dnia po południu, kiedy go karmiła Tavis zaprotestował.

— Już nie mogę. Jestem pełny.

Ale Elizabeth nie zwracała uwagi na jego protesty. Zbyt dobrze zapamiętała słowa doktora Carvera. Po chwili wytrącił łyżkę z jej ręki i stwierdził, że torturowanie mężczyzny musi sprawiać jej niesamowitą przyjemność. Opadła na krzesło i zaczęła się śmiać. Doktor Carver powiedział, że kapryśne zachowanie jest dobrym znakiem.

Dwa dni później zabrała męża do domu ciotki Phoebe. Minęły trzy tygodnie od wypadku, od dnia kiedy zmarł jej dziadek.

Tavis powoli powracał do zdrowia chociaż nadal był przykuty do łóżka. Stopniowo odzyskiwał siły. Pod koniec tygodnia doktor Carver pozwolił mu chodzić o kulach. Wtedy pojawiły się problemy. Kuśtykający po domu Tavis okazał się jeszcze bardziej niezdolny niż wtedy, gdy nie mógł się ruszać. Kiedy była pani Willoughby, Elizabeth wymyślała się pod byle pretekstem. Ale najtrudniejsze były wieczory. Tuż po kolacji, kiedy pani Willoughby wychodziła do domu, a Elizabeth oznajmiała, że chce udać się na spoczynek, Tavis chciał, żeby dotrzymywała mu towarzystwa.

Dwa tygodnie później, wieczorem, Elizabeth weszła do salonu i zastała tam męża. Chorą nogę opierał na podnóżku. Już od rana był niemiłosiernie zrzędlawy, czuła więc, że nie zniesie więcej jego humorów. Znajdowała się na granicy wytrzymałości. Żeby przestać o nim myśleć, zaczęła robić na drutach. Usiadła w bujanym fotelu nieopodal kominka dołożyła drewna do ognia usadowiła się wygodnie i zaczęła robótkę. Druty uderzały o siebie powoli i rytmicznie przy akompaniamencie skrzypienia bujanego fotela. Po paru minutach Tavis krzyknął, że nie podoba mu się ten piekielny dźwięk, i kazał jej, żeby przestała się bujać.

Nawet na niego nie spojrzała ale czuła na sobie jego wrogie spojrzenie. Zaczęła pracować nad rękawem. Liczyła ściegi nie dlatego, że musiała; chciała oderwać myśli od tego rozwydrzonego niczym dziecko mężczyzny.

— Elizabeth?

Odwróciła głowę i dostrzegła poczucie winy w oczach Tawisa.

Zawstydzona mina tak bardzo przypominała jej Williego. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Wydaje mi się, że powinienem cię przeprosić. Czasami człowiek jest tak zirytowany i wściekły, że nie może wytrzymać sam z sobą. Odnoszę wrażenie, że nic w moim ciele nie działa sprawnie, nawet umysł. Poza tym kiedy nie jem, ty karmisz mnie na siłę. Gdy jem, czuję mdłości. Od ponad tygodnia cierpię na biegunkę. Pachy mam tak poranione od kul, które dostałem od tego dobrego człowieka, że za każdym razem, kiedy je biorę do ręki, zastanawiam się, czy ich użyć, czy wrzucić do zatoki

bostońskiej. — Westchnął, po czym dodał: — Elizabeth, tutaj nie chodzi o ciebie. Wiem, ile dla mnie zrobiłaś i ile ci zawdzięczam — To z mojej winy twoja noga...

— Nie mów tak, to nie była twoja wina. To ja nalegałem, żeby z tobą popłynąć. Nie miałaś innego wyjścia.

Uśmiechnęła się.

— Kobieta zawsze ma inne wyjście — odparła spokojnie. — Nie zapominaj, że to ja nalegałam, żeby przyciągnąć łódkę dziadka.

— Prawie o tym zapomniałem. Dałaś radę wrócić z łódką na holu?

— Tak, dzięki tobie — Odwdzięczyłaś mi się z nawiązką — stwierdził, a ona kiwnęła głową i ponownie zajęła się drutami.

Przestała liczyć ściegi i zaczęła myśleć o tygodniach, które spędzili w Bostonie. To takie dziwne, że najlepiej poznaje się człowieka kiedy się nim opiekuje. Poza tym życie u boku męża tak bardzo różniło od jej młodzieńczych marzeń. Nie potrafiła dostrzec nic romantycznego w mężczyźnie, który opowiadał jej o pokaleczonych pachach i o biegunce, na którą cierpiał od wielu dni. A na dodatek za każdym razem, kiedy mówił w ten sposób, czuła, że coś w niej gaśnie.

Dalej robiła na drutach, ani na chwilę nie odrywając wzroku od robótki. Dopiero kiedy przygasł ogień, zorientowała się, że Tavis zasnął. Miał zamknięte oczy. Przyglądała mu się uważnie.

Miał delikatnie rozchylone wargi, a jego klatka piersiowa powoli wznosiła się i opadała.

Odłożyła druty i wstała, żeby dorzucić drewna do ognia. Kiedy się odwróciła, nadal miał otwarte usta. Zupełnie jak Willie, kiedy spał.

Zupełnie jak Willie, pomyślała. Był tak bardzo podobny do syna.

Nie zorientowała się, kiedy zaczęła wyrażać swoje myśli na głos..

— To wszystko jest takie dziwne, wiem., w końcu jesteśmy razem, ale nigdy nie byliśmy sobie bardziej obcy. Wciąż cię kocham Zawsze kochałam i zawsze będę. Kiedy byłam małą dziewczynką, wieczorami leżałam w łóżku, patrzyłam przez okno na gwiazdy i myślałam, że ty też na nie spoglądasz. Dzięki temu czułam się blisko ciebie.

Staneła twarzą do kominka i patrzyła w ogień.

— Może to wszystko moja wina. Może sama modliłam się o sytuację bez wyjścia.

Gdy zapiekły ją oczy, przymknęła powieki. Uniosła palce, żeby rozmasować pulsujące skronie.

— Na litość Boską chciałam cię zdobyć, ale nie w taki sposób. Co mogę zrobić?

Jak to wszystko odwrócić?

Odeszła od ognia i zamarła, gdy spojrzała na męża. Patrzył na nią oczyma okrągłymi jak spodki. Na jego twarzy malował się niepokój. Próbowwała sobie wmówić, że dopiero się obudził, że nie słyszał szaleńczej, chaotycznej mowy, ale w głębi serca wiedziała, że to nieprawda.

— A więc wszystko słyszałeś — powiedziała.

— Elizabeth...

— Nic nie mów. Proszę. Słyszałeś, co powiedziałam, więc możesz usłyszeć resztę.

— Nie musisz nic mówić.

— Wiem, że nie muszę, ale chcę. Dzięki temu kamień spadnie mi z serca. Mam w głowie zbyt wiele myśli, które sprawiają, że moje serce płacze. Wierą jaką byłam idiotką. — Czują gorzkość, wypowiadając te słowa. — Ośmieszyłam się i muszę zapłacić za swoje błędy. W końcu dostałam to, czego chciałam. Poślubiłam mnie. A teraz, kiedy jestem twoją żoną nie chcę nią dłużej być.

— Wynagrodzę ci to — powiedział. — Chcę, żebyśmy byli razem — Tak, wiem Pamiętam, jak mówiłeś, że chcesz, żebyśmy stworzyli rodzinę, ale co innego mogłeś wtedy powiedzieć? Pobraliśmy się. Mieliśmy dziecko. — Potrząsnęła głową. — Przynajmniej starasz się być w porządku. Przynajmniej masz honor. Podczas gdy ja mam tylko wspomnienie wymuszonego ślubu i męża, który mnie nie kocha.

Opuściła ręce i pomyślała o swoim życiu. Modliła się o oczyszczające łzy, ale nie uрониła ani jednej.

Po tym wieczorze zapanował między nimi złowrogi spokój. Tavis nie zrzędził już tak często, a Elizabeth poświęcała mu więcej czasu. Jej celem — jedynym celem — było jak najszybsze postawienie go na nogi. Za wszelką cenę chciała otrzymać od doktora Carvera pozwolenie na opuszczenie miasta. Chciała wrócić do domu, do Nantucket, do Williego, do... czego?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Była zbyt zajęta rekonwalescencją Tawisa, żeby myśleć o przyszłości. Ale pewnego dnia zrozumiała, że nie ma powodu, żeby tam wracać. Rodzice odeszli, siostry i dziadek również. Bracia pożenili się i pływali na statkach albo walczyli dla Unii. Miała tylko Williego.

Syna i dom ciotki Phoebe w Bostonie. Pamiętała dzień, kiedy ciotka oświadczyła, że zostawia jej w spadku tę kamienicę. Elizabeth nie potrafiła jej wtedy przekonać, że jej nie potrzebuje.

— Człowiek zawsze potrzebuje domu, do którego może wracać — odpowiedziała wówczas ciotka. — Obiecuj mi, że go zatrzymasz..

Okazało się, że ciotka dała jej więcej niż ten dom. Pomogła jej rozwiązać problemy zaistniałe między nią i Tavisem. Dała możliwość rozpoczęcia nowego życia.

Wszystko wydawało się takie proste. Elizabeth wiedziała już, co zrobić. Podjęła decyzję.

Gdy tylko dotrą na Nantucket, kiedy dowiezie Tavis do domu, pożegna się z nim na zawsze. Odbierze syna i natychmiast wróci do Bostonu. Nie wiedziała, co będzie robić później, ale była przekonana, że to najlepsze rozwiązanie. Nie mogła żyć w tym samym mieście co Tavis. Nie byłaby w stanie znieść spojrzenia, jego głosu, nie teraz, kiedy miłość umarła.

Pomyślała że nigdy więcej go nie ujrzy. Wiedziała, że ból zostanie w niej na zawsze. Kochała go jako dziewczynka i jako kobieta. Za każdym razem ją odrzucał.

Ostatniej nocy przed wyjazdem nie mogła spać. Wiele myślała o powrocie do domu, o zabranii syna i odjeździe. Ta stara kamienica ponownie miała stać się domem dla samotnej kobiety. Przynajmniej nie będzie żyła w strachu i upokorzeniu. Była zdecydowana. Nie chciała ponownie rozpatrywać swojej decyzji. Niedługo zacznie nowe życie. Wolna przestrzeń była wszystkim, czego teraz potrzebowała. Miejsce, w którym mogłaby cierpieć w samotności. Miejsce, w którym leczyłaby rany i planowała przyszłość Williego.

Wszystko po kolei. Teraz musi zasnąć. Niestety sen nie nadchodził.

Usiadła na łóżku, spuściła nogi i włożyła kapcie. Narzuciwszy szlafrok, poszła do biblioteki, gdzie widziała butelkę wina. Może kieliszek porto jej pomoże. Otworzyła drzwi i ze zdziwieniem stwierdziła, że w bibliotece pali się lampa.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał zaskoczony Tavis, który siedział przy biurku i coś pisał. Nie czekając na odpowiedź, dodał pośpiesznie: — Czemu wstałaś z łóżka?

— Nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że napiję się trochę wina.

Jego wzrok powędrował na stojącą na stoliku butelkę.

— Mogłoby ci pomóc. — Uśmiechnął się do niej. — Ale znam skuteczniejszy sposób, który nie powoduje, że rano czujesz się gorzej niż przed zaśnięciem. Wiedziała, co miał na myśli.

— Może nie bolałaby mnie głowa, ale z pewnością czułabym się zawstydzona.

— To jest wstyd? Kiedyś tak nie uważałaś. Mam nadzieję, że znów nadejdzie czas, kiedy przestaniesz tak myśleć.

Na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

— To było dawno temu. Teraz wszystko układa się między nami zupełnie inaczej.

Nie możemy cofnąć czasu.

— Nie chcę wracać do przeszłości — powiedział. — Począwszy od dnia dzisiejszego chcę iść naprzód.

— Mówisz tak, jakbyś recytował poezję — zauważyła.

— Mówię o prawdziwym życiu. Westchnęła.

— Co jest realne, a co nie? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Kiedyś powiedziałam cioci Phoebe, że czuję się tak, jakby mieszkało we mnie wiele osób. Pewnie dlatego miałam tyle imion: Elizabeth, Eliza, Liza, Lizzie. Powinnam zdecydować się na jedno z nich. Gdybym była jedną osobą, nie byłabym tak bardzo skomplikowana.

— Nie jesteś skomplikowaną tylko zagubiona. To także moja wina. Nie byłem dla ciebie zbyt dobrym mężem. Chcę tylko, żebyś dała mi kolejną szansę.

— Może nie jestem skomplikowana, ale czuję, że sprawy między nami są skomplikowane. — Przekręciła obrączkę na palcu i spojrzała na męża. — Może i jestem zagubiona, ale kto by nie był w podobnej sytuacji? Chcesz mnie, potem mnie nie chcesz.

Jednego dnia nie możesz znieść mojego widoku, innego nie wytrzymujesz bez spojrzenia na mnie.

Przez chwilę siedział i spoglądał na nią mrugając. Najwyraźniej w końcu zrozumiał, co mu powiedziała, ponieważ posłał jej kapryśne spojrzenie, odrzucił głowę i się zaśmiał.

— Może i mieszka w tobie wiele różnych osób, ale gdybyś zrezygnowała chociaż z jednej z nich, nie byłabyś nawet w połowie tak interesująca jak teraz — stwierdził z przekonaniem. Elizabeth uśmiechnęła się.

— To samo powiedziała mi ciotka.

— Więc? — zapytał, spoglądając na nią czule.

Nie odezwała się. Wyglądała tak, jakby nie mogła połączyć myśli ze słowami. Jej umysł niczego nie rejestrował. Zapragnęła być z Tavisem po raz ostatni, zanim od niego ucieknie.

Pożądanie przyprawiało ją o zawrót głowy. Miał uśmiech kanciarza, w którym można było doszukać się tylu znaczeń, a wszystkie były bardzo zmysłowe i kuszące.

— Chodź tutaj — powiedział.

— Dlaczego?

— Boja tak chcę.

— Dlaczego?

— Zadajesz zbyt wiele pytań — odparł.

— Potrzebuję wielu odpowiedzi.

— Nie zamierzasz mi tego ułatwić. Prawda?

— A powinnam? Ty nigdy mi niczego nie ułatwiałeś.

— W porządku. Chcę, żebyś podeszła, ponieważ tego chcę. Chcę cię przytulić, Elizabeth — powiedział, wspierając się na kulach. — Chcę cię przytulać i trzymać, dopóki nie przestaniesz ze mną walczyć.

Ogarnął ją strach. Odwróciła się i zamierzała uciec, ale Tavis nadszpiewanie szybko, jak na człowieka poruszającego się o kulach, znalazł się przy niej i zagroził jej drogę.

— Nie odchódź — szepnął jej do ucha.

Dźwięk jego głosu przeszył całe jej ciało. Zamarła. Zamknęła oczy. Kule uderzyły o podłogę. Wziął ją w ramiona. Miała nogi jak z waty. Odchyliła głowę. Czowała na szyi dotyk jego ust.

— Dlaczego to robisz?

— Nie wiem — odparł, muskając ustami koniuszek jej ucha. — Chcesz, żebym przestał?

— Tak — jęknęła bezradnie.

Wziął głęboki wdech i schował twarz w jej włosach. Objął ją mocniej. Potem zaczął rozpinąć guziki jej koszuli nocnej.

— Nie jest łatwo cię puścić — powiedział.

Poczuła zimne powietrze na skórze. Przed chwilą jeszcze dotykały jej rozgrzane ręce. Przeszył ją dziwny dreszcz. Każdy mięsień miała napięty. Nie spoglądając na Tavis, podeszła do stolika i nalała sobie kieliszek wina.

— Wydaje mi się, że powinnam to wypić w swoim pokoju — rzekła, nie patrząc na niego. Odwróciła się.

— Zastanawiam się... — zaczej.

— Nad czym?

— Uważasz, że nie możemy do siebie wrócić — powiedział. — Zastanawiam się...

— Nie ma się nad czym zastanawiać — odparła stanowczo. — To jest fakt.

Wybiegła trzaskając za sobą drzwiami.

Wino pomogło jej zasnąć, ale był to rodzaj snu, podczas którego się nie odpoczywa. Co chwilę budziła się i spoglądała na zasłony, wyczekując pierwszych objawów świtu.

Nagle usłyszała hałas i otworzyła oczy. Zobaczyła blade światło świeczki, którą trzymał Tavis. Usiadła na łóżku, wpatrując się w ciemność, która ich rozdzielała.

Wiedziała, że nie powinna się bać, lecz serce było mocno w piersi. Nie była w stanie nic powiedzieć. Mogła się tylko przyglądać, świadoma bolesnych uderzeń serca oddychała płytko i z trudnością. Uświadomiła sobie, że mężczyzna, który przed nią stoi, który jest obiektem pożądania wielu kobiet, jest również jej mężem. Wiele kobiet nauczyły rzeczy, które chciały wiedzieć. Kochał je. Sprawiał, że płacząc, wykrzykiwały jego imię. Potraktował ją tak samo jak dziesiątki innych. Uprawiał z nią miłość, doprowadził do tego, że płakała wykrzykując jego imię. Mógł to zrobić ponownie. Dla niego była gotowa na wszystko. Ta myśl ją przeraziła. — Czego chcesz? Co tutaj...?

Nie dokończyła pytania. Szedł powoli w stronę łóżka. Przystanął i zatrzymał na niej wzrok.

— Elizabeth...

— Nie — zaprotestowała. — Ja nie... Wiem, czego ode mnie chcesz.

Zeszła z łóżka. Utkwiła spojrzenie w krzesło, na którym wisiał szlafrok. Chciała po niego sięgnąć, ale zatrzymała się w pół drogi. Spojrzała na Tavisę. Był tak blisko. Zrobił krok w jej stronę. Przełożył świeczkę do lewej ręki, wyciągnął prawą dłoń i zarysował palcem obwód jej piersi. Kreślił przez moment kółka wokół jej sutka, a potem rozpiął guziki jej koszuli nocnej.

Kiedy koszula spadła na podłogę, zimne powietrze musnęło ciało Elizabeth, ale nie było jej chłodno. Rozpalał ją jego dotyk. Ani na chwilę nie odrywał oczu od jej twarzy.

— A teraz powiedz mi, czego się bałaś. Powiedz, co, twoim zdaniem, się wydarzy. Pomyśl, jaka będziesz bezsilna, kiedy przestanę.

Milczała; nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wysunęła język, żeby zwilżyć wysuszone usta.

— Powiedz mi — poprosił, pieszcząc ją coraz mocniej i bardziej natarczywie. — Czego się obawiałaś?

— Że będziesz się ze mną kochał — wyszeptała.

Czuła, jak obejmuje ją w pasie i chwyta w ramiona.

— Jesteś pewna? — zapytał, prowadząc ją do łóżka. — Bałaś się, że możesz mi na to pozwolić?

— I tak, i nie — odparła, kiedy ją położył. Po chwili już na niej leżał.

— Kochaj się ze mną, Tavisie.

— Z największą przyjemnością — odparł, a ona wiedziała, że jest śmiertelnie poważny. Chciała, żeby robił z nią wszystkie te rzeczy, które samym spojrzeniem obiecał jej w bibliotece. — Cholera — wymamrotał. Wiedziała, że poczuł ból w

nodze. Chciała przewrócić się na bok, ale jej na to nie pozwolił. — Nie boli mnie aż tak bardzo. Powiem ci, kiedy ból stanie się nie do zniesienia.

Ponownie zaczął ją całować. Muskał ustami jej wargi, do chwili kiedy omal nie krzyknęła z pożądania.

Kiedyś seks był dla niej o wiele łatwiejszy. Była naiwną młodą dziewczyną. Ale dojrzała i stała się kobietą, która ma potrzeby i wspomnienia. Wiedziała, jak to jest kochać się z tym mężczyzną. Pamiętała, jak to jest czuć na sobie jego usta. Chciała coraz więcej. Gdy rozchyliła nogi, Tavis jęknął. Zaczął całować jej twarz, a potem zsunął się niżej.

Nie mogła tego wytrzymać. Chciała go czuć, chciała czuć jego usta na piersiach, brzuchu i jeszcze niżej. Kiedy wsunął język między jej rozpalone uda, zadrżała. Jej ciało stało się żywym płomieniem.

— Wiedziałem, że tego chciałaś, ale nie spodziewałem się, że się do tego przyznasz — powiedział Tavis już po wszystkim.

— Ty też tego chciałeś — przypomniała, obejmując go. — Wciąż tego chcesz — wyszeptała.

— Masz cholerną rację — odparł, po czym przetoczył się nad nią. Skrzywił się i przekreślił na plecy. — Mój rozum chce, on też — wskazał na dumnie sterczący członek — ale noga...

— Wydaje mi się, że jest inny sposób. — Elizabeth usiadła na nim.

— Masz dobrą pamięć — mruknął.

Roześmiała się. Długie złote loki opadły na jego nagi tors.

Światło lampy sprawiło, że ich ciała wyglądały niczym połączane. Na policzkach Elizabeth pojawiły się im rumieńce.

Wbijał w nią wzrok, a ona czuła się jak w ekstazie.

Kiedy w nią wszedł, poczuła się w całości wypełniona. Wszystko było dla niej nowe. Gorycz mieszała się ze słodyczą. Nic więcej nie zapamiętała z tamtej nocy. Czuła się tak, jakby kochała się po raz pierwszy. To było spełnienie wszystkich jej marzeń, cudowniejsze niż najwspanialszy sen. Wiedziała, że nie będzie jej łatwo opuścić Tawisa. Ten jeden jedyny raz oddała się bez reszty przyjemności. Dotykała go. Poruszali się w tym samym rytmie.

— Kochaj mnie — wyszeptał.

— Kocham cię — wyszeptała.

Wstrząsnął nim dreszcz, a potem jeszcze jeden. Sekundę później Elizabeth poczuła, że i ona drży.

Świtało, kiedy skończyli się kochać po raz ostatni. Potem Tavis długo kołysał ją w

ramionach, aż wreszcie zapadł w głęboki sen.

Elizabeth leżała w jego objęciach. Kiedy upewniła się, że śpi mocnym snem, uwolniła się z jego rąk. Powoli zsunęła się z łóżka. Postawiła stopy na podłodze i najciszej, jak potrafiła, zaczęła szukać ubrania.

Podeszła do nocnego stolika, żeby zgasić lampkę, jednak kiedy spojrzała na męża, zobaczyła gładkie umięśnione plecy i kruczoczarne włosy rozsypane na poduszce. Przystanęła na ten widok.

Leżał całkiem odkryty. Nie musiała sobie wyobrazać żadnej części jego ciała. Był wspaniałym przystojnym mężczyzną o długich nogach i umięśnionych pośladkach.

Słońce zaczęło wdzierać się do pokoju. Jasna smuga światła spoczęła na dywanie. Elizabeth okryła męża kocem. Setki razy w podobny sposób przykrywała Williego. Odgarnęła opadające włosy z jego twarzy i pocałowała go.

— Zawsze będę cię kochała — wyszeptała i zgasła lampę.

Elizabeth stała obok Tawisa na nadbrzeżu Nantucket i patrzyła, jak mąż ściska rękę kapitana statku, który przywiózł ich na miejsce.

Gdy dyskretnie potarł nogę, zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek przestanie go boleć.

Przez nią prawie ją stracił.

Śledziła każdy jego ruch, jak gdyby robiła w pamięci notatki. Utykał delikatnie, lecz Elizabeth miała nadzieję, że to minie. Przywiozła go do domu w jednym kawałku i to było najważniejsze. Uświadomiła sobie z satysfakcją, że osiągnęła to, co, zdaniem tutejszego lekarza, było niemożliwe. Serce bolało ją na myśl o stracie, która ją czekała. Jednocześnie rozumiała, że nadszedł czas pożegnania.

— Tavis! Tavis Mackinnon! Czy to ty? — usłyszała znajomy głos.

Oboje się odwrócili i ich oczom ukazał się Nathaniel. Podeszedł do nich i mocno objął Tawisa.

— Cóż za wspaniały widok dla moich biednych oczu — po wiedział, przyglądając się przyjacielowi z uwagą. — Wyglądasz jak nowo narodzony.

Tavis uśmiechnął się szeroko.

— Jeszcze nie, ale daj mi trochę czasu — odparł.

Elizabeth obserwowała ich przez chwilę. W pewnej chwili zauważyła, jak kapitan Bourroughs odwraca się od nich. Chwyliła go za rękaw.

— Proszę zaczekać, kapitanie.

Kapitan Bourroughs dotknął palcami czapki.

— W czym mogę pani pomóc?

Elizabeth rzuciła okiem na Tawisa, który był pochłonięty rozmową z Nathanielem.

— Chodzi o to, że... — zaczęła. — Zastanawiałam się, czy... Widzi pan, chciałam wiedzieć, kiedy będzie pan wracał do Bostonu.

Przyjrzał się jej wnikliwie.

— Dlaczego pani o to pyta? Wracam pojutrze.

— Jeśli ma pan jeszcze wolne miejsce, chciałabym, żeby wziął mnie pan pod uwagę. — Zignorowała jego podejrzliwe spojrzenie.

— Tylko panią?

— Nie. Mnie i mojego syna.

Kapitan Bourroughs był najwyraźniej zaintrygowany. Jego wzrok powędrował w stronę Tawisa, a potem z powrotem na nią.

— Z przyjemnością zapraszam na pokład. Powiem pierwszemu oficerowi, żeby wciągnął panią na listę. Proszę stawić się w porcie pojutrze, piętnaście po ósmej. Odbijamy, kiedy zacznie się odpływ.

— Przyjdę. Dziękuję, kapitanie.

— Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani — odparł, dotykając palcami czapki. — Życzę miłego dnia.

Nathaniel i jej mąż patrzyli na nią przerażeni.

— Co się tutaj dzieje? — zapytał Tavis.

— Wracam do Bostonu.

— Poco?

— Wydaje mi się, że znasz odpowiedź na to pytanie.

— Jesteś śmieszna — stwierdził. — Powiedz mi, dlaczego odchodzisz?

— Czy znów musimy do tego wracać?

— Tak, chcę, do cholery, wiedzieć, dlaczego odchodzisz. Myślałem, że po tym, co zaszło minionej nocy... że wszystko zaczęło się lepiej układać, że wszystko będzie inaczej.

Zrobiło jej się cieplej na sercu na wspomnienie tej nocy. Patrzyła mu w oczy. Była zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć na Nathaniela.

— Zwracam ci wolność, Tavisie. Zawsze tego pragnąłeś. Zabieram Williego z powrotem do Bostonu. Chcę zacząć życie od nowa.

— Dlaczego?

Zerknęła na niego i zauważyła w jego oczach ciepło oraz pragnienie, za które każda kobieta oddałaby co najmniej dziesięć lat swojego życia. Ale pożądanie i życzliwość nie mogły równać się z miłością.

— Elizabeth, proszę, powiedz mi dlaczego.

— Ponieważ nasze małżeństwo było błędem. Od samego początku nic nie układało się między nami tak, jak powinno. Nie. Proszę, nic nie mów. Pozwól mi skończyć. Wiem, że to wszystko moja wina. Podobnie jak ja padłeś ofiarą mojej młodzieńczej wyobraźni. Może ci się zdawać, że przybyłeś tutaj, żeby zatroszczyć się o kobietę, ale obydwójce wiemy, że nie zaakceptujesz dziecka, które nadal we mnie mieszka. Dlatego nigdy się nam nie uda. Jestem kobietą o wielu twarzach. Nie rozumiesz tego? Jestem kobietą i dzieckiem i już na zawsze tak pozostanie.

Gdyby w tym momencie miała okazję wydostać się z Nantucket, wzięłaby Williego i uciekła, nie oglądając się za siebie.

— A jeśli ja nie chcę odzyskać wolności?

Elizabeth poczuła się zmęczona, tak bardzo zmęczona, że nie zwracała uwagi na

to, że Nathaniel Starbuck i połowa Nantucket przysłuchują się ich rozmowie. Poza tym czego mogli się od niej dowiedzieć? Od lat znali całą prawdę o Lizzie Robinson i Tavisie Mackinnonie.

Po co mieliby po raz kolejny słuchać tej samej historii. Już niedługo zaczną uciekać w popłochu, jak tylko ich zobaczą. Nie można zbyt długo rozwodzić się nad jedną rzeczą, ponieważ w końcu staje się to męczące. Prawdopodobnie właśnie dlatego poczuła się taka słaba, jakby uszło z niej życie.

— Elizabeth, odpowiedz mi.

— To nie ma znaczenia. Już jest na to za późno. Spędziłam zbyt wiele czasu, uganiając się za tobą. Przez to nigdy nie zaznałam ciszy ani spokoju. Zamierzam zrobić to teraz. Jestem zmęczona. Chcę w spokoju wychowywać syna. Pozwól mi na to.

Był pogodny, wyjątkowo ciepły marcowy dzień. Czując, jak słońce ogrzewa jej plecy, ruszyła wzdłuż nadbrzeża. Przeszła tylko kilka kroków, zanim Tavis złapał ją za rękę i zatrzymał.

— Niemądrze postępujesz.

— Nigdy nie byłam zbyt mądra — odparła. — Ty też nie zawsze postępowałeś, jak należy.

— Więc uważasz, że teraz nadeszła twoja kolej.

Westchnęła smutno.

— Chyba masz rację. Przez większą część życia marzyłam o tym, by być twoją żoną i nawet nie zauważyłam, że mężczyzną którego pragnęłam poślubić, niczego ode mnie nie chce.

— Wydaje mi się, że powinnaś wszystko jeszcze raz przemyśleć.

Potrząsnęła głową.

— Myślałam o tym całym tygodniem.

— Chcę, żebyś została.

— Wiem, że chcesz... chcesz zatrzymać przy sobie Williego.

— Nie chodzi tylko o Williego, do cholery. Proszę cię o jeszcze jedną szansę — wyznał. — Nie jest łatwo być mężem i ojcem, ale chcę się tego nauczyć, jeżeli ty także tego zapragniesz.

— Ale ja nie chcę.

— Zostań mimo wszystko. Może z czasem do mnie przywykniesz.

— Nie.

Spojrzał na jej twarz i zrozumiał, że nie wygra. Zbyt dobrze znał to zdeterminowane spojrzenie. Widział je przez wiele lat, kiedy zerkiała na niego spomiędzy drzew i

budynków, kiedy w wieku dwunastu lat poprosiła, żeby został jej mężem, i kiedy ufarbowała włosy na ohydny czerwony kolor.

— Dlaczego nie? — nie dawał za wygraną.

— Ponieważ bylibyśmy tylko dwojgiem żalonych, żyjących pod jednym dachem ludzi obwiniających się o wszystkie swoje niepowodzenia i nieszczęścia.

— Cholera! Przestań być taka uparta. Jesteś moją żoną. To jest fakt. Twoje odejście tego nie zmieni. — W chwili, w której wypowiedział te słowa, zobaczył, że nie odniosły skutku.

Elizabeth zostawiała go. Podjęła decyzję. Zabierze syna i odpłynie. Serce biło mu jak szalone. Przez chwilę zastanawiał się, czy można umrzeć z bólu.

— Zostań ze mną — poprosił, mimo że zdawał sobie sprawę ze swojej porażki. Był zdesperowany.

Zobaczył, jak bardzo jest zawstydzona obecnością ciekawskich mieszkańców Nantucket. Nagle odchylił głowę i wrzasnął:

— Elizabeth, zostań ze mną i bądź moją żoną!

Na nabrzeżu stała setka ludzi i wszyscy spoglądali w ich stronę. Elizabeth wcale się to nie spodobało.

Za to Lizzie jak najbardziej.

Niczym sir Lancelot ukłęknał, złożył ręce i spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

— Wiem, że cię zraniłem — przyznał. — Wiem, że przeze mnie wyjeżdżasz z Nantucket. — Prawie krzyczał. — Nie powinienem był cię zostawiać. Nie wyjeżdżaj. Zostań ze mną.

— Zostań z nim, Elizabeth! — zawołała jakaś kobieta.

— Stwórz Williemu rodzinę! — zawtórował jej ktoś inny.

Elizabeth zarumieniła się i spuściła oczy.

— Czy możesz przestać krzyczeć? — poprosiła łapiąc go za rękaw. Chciała podnieść go z ziemi. Przysunęła się bliżej niego i prawie szeptem dodała: — Wstań. Jesteś kompletnym idiotą. Wszyscy się na ciebie patrzą. Uśmiechnął się szeroko.

— Czy naprawdę chcesz jechać do Bostonu? Jesteś pewna, że chcesz zamieszkać z Williem w tym zatechłym domu?! — krzyczał.

Zapomniał się. Zaczął odgrywać przedstawienie.

— Chcę, żebyś została moją żoną — powtórzył kolejny raz. — Wiem również, że ty tego chcesz, ale jesteś zbyt uparta, żeby się do tego przyznać.

— W tej chwili podnieś się z ziemi — rozkazała.

— Nie pożałujesz. Wynagrodzę ci wszystko. Będę ciężko pracował. Zbuduję ci nowy dom. Nazwę statek twoim imieniem. Dam ci wszystkie bogactwa tego świata.

Wyrzeknę się alkoholu.

— Przecież ty rzadko pijesz — zauważyła i ruszyła dalej nabrzeżem.

— No to wyrzeknę się wszystkiego, czego tylko zechcesz.

— Czy przestaniesz urządzać sceny? — wtrącił się Nathaniel.

— Tak — odparł. Uśmiechnął się do niej i dodał: — A jeśli chcesz, żebym przestał robić przedstawienie, po prostu mi o tym powiedz.

Zmrużyła oczy i zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

— Jesteś pijany? — zapytała.

— Nie, oczywiście, że nie.

— A zachowujesz się, jakbyś był — stwierdziła odpychając go od siebie. — Pozwól mi odejść, Tavisie. Nie wyszłabym za ciebie za męża, nawet gdybym musiała.

— Nie będziesz musiała! — zawołał za nią. — My już jesteśmy małżeństwem.

— Nie wyszłabym za ciebie, gdybyśmy musieli przechodzić przez to wszystko jeszcze raz — poprawiła się, po czym odeszła.

Pokuśtykał za nią dogonił i złapał za rękę.

— Zostaw mnie, Tavisie — powiedziała. Położyła ręce na jego torsie i odepchnęła.

Tavis stracił równowagę i z wielkim pluskiem wpadł do wody. Zaczęła przeciskać się przez tłum na nabrzeżu. Nathaniel podał mu rękę i pomógł wyjść z wody.

— Dlaczego nie powiedziałaś jej tego, co chciała usłyszeć? — zapytał.

— Czyli czego? — zdziwił się Tavis.

— Że ją kochasz. To jest jedyna rzecz, którą każda kobieta chce usłyszeć z ust mężczyzny.

Tavis zamyślił się.

— Miłość? — zastanowił się na głos. Czy ktoś taki jak on mógł wiedzieć, czym jest miłość? Czy właśnie tego brakowało w ich związku? Czy właśnie tego tak naprawdę chciała? Elizabeth była dla niego wyjątkowa, poruszała go tak, jak tylko ona potrafiła. Ale czy to była miłość?

Nie wiedział. Ze smutkiem potrząsnął głową, zastanawiając się czemu był jedyną osobą, która tego nie wiedziała.

— Daj mi spokój — zwrócił się do Nathaniela. — Nie potrzebuję towarzystwa. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek mieszał się w moje sprawy.

Elizabeth była już daleko.

— W porządku — odparł Nathaniel. — Idź cierpieć w samotności, chociaż uważam, że to całkiem zbędne. Nie rozumiem, dlaczego nie widzisz, jak bardzo ją kochasz.

— Nathanie — warknął Tavis. — Czy przestaniesz się w końcu wtrącać?

Nathaniel zobaczył wściekłe spojrzenie przyjaciela podniósł ręce w obronnym geście i zaczął się wycofywać.

— W porządku... w porządku... Musisz być bardzo nieszczęśliwy, skoro robisz z siebie głupca w jej obecności.

Zaczęło padać. Wiosenna mżawka skończyła się tak samo szybko, jak się zaczęła. Elizabeth minęła nadbrzeże i pośpieszyła w stronę domu Tawisa. Zamierzała odebrać stamtąd Williego. Nie zastanawiała się jeszcze, dokąd go zabierze i gdzie spędzi kolejne dwa dni. Chciała go tylko stamtąd wziąć przed powrotem Tawisa. Pięć minut później zastukała do drzwi, ale pani Chadwick nie otwierała, więc znów zastukała. Wciąż nikt nie odpowiadał. Kiedy zastukała po raz trzeci, usłyszała głos Tawisa. Musiał popędzić na złamanie karku inną drogą, skoro znalazł się tu przed nią.

— Zaraz otworzę.

Uniosła ręce w obronnym geście.

— Przyszłam tylko odebrać Williego.

— Wiem, po co przyszłaś. — Wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. — Najwyraźniej go tutaj nie ma.

Zajrzała do ciemnego wnętrza.

— Pozbieram jego rzeczy, a potem poszukam pani Chadwick. To jest mała wyspa. Nie mogli odejść daleko — stwierdziła. Weszła do środka i prawie natychmiast ogarnęło ją przerażenie, kiedy usłyszała, jak zatraskują się za nią drzwi.

W domu było ciemno i chłodno. Narzuciła na siebie pelerynę. Nigdy nie była równie samotna, przestraszona i zmęczona jak w tym momencie.

— Elizabeth, błagam cię, nie rób tego. Błagam cię, żebyś została.

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

— Kochasz mnie?

Dostrzegł na jej twarzy dumę, strach i zmęczenie. Patrzył na nią i widział w niej wiele różnych kobiet, dziewczynkę, młodą dziewczynę, matkę, żonę, doświadczoną przez życie kobietę.

— Czy ja cię kocham? — powtórzył, przyglądając się jej uważnie. — Przysięgam na Boga, że nie wiem, jak ci odpowiedzieć. Nie jestem pewien, czym jest miłość.

Widział, jak ciemnieją jej oczy. Zrozumiał, że ma ostatnią szansę.

— Wiem, że kiedy o tobie myślę, robi mi się ciepło na sercu. Kiedy nie ma cię blisko mnie, zamarzam. Cenię twoją szczerą i siłą. Podziwiam twoją miłość. Tak

dobrze jak dziś pamiętam ten dzień, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy. Byłaś małą dziewczynką. Miałaś może dziesięć lat. Szłaś nabrzeżem, trzymając dziadka za rękę. Schodziłem ze statku razem z moim bratem Nickiem. Kiedy spojrzałem przed siebie, ujrzałem ciebie. Już wtedy poczułem się oczarowany. Inaczej nie zapamiętałbym tak dobrze tamtego dnia. Milczała.

— Pamiętam wiele innych rzeczy — kontynuował. — Pamiętam, jak się kochaliśmy. Jeden tydzień w twoich ramionach wystarczył, żebym zapomniał o innych kobietach. Przez te wszystkie lata spędzone z dala od ciebie żyłem w celibacie niczym mnich. Myśl o spędzeniu reszty życia u twojego boku rozjaśnia moją duszę. Natomiast kiedy myślę, że mógłbym cię stracić, ogarnia mnie rozpacz... mam ochotę płakać z bólu. Wypełniasz wszystkie moje myśli. Pojawiasz się w każdym moim śnie. Kiedy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że coś we mnie pęka, ale kiedy próbuję mówić o moich uczuciach, czuję się jak poplątany kłębek sznurka. Wiem, że jeśli mnie zostawisz, nigdy nie przestanę o tobie myśleć. Będziesz powracała do mnie w snach. — Podszedł bliżej i chwycił ją za rękę. — Jeśli to jest miłość, to znaczy, że cię kocham.

Objął ją.

— Daj mi swoją troskę, siłę i miłość — poprosił.

Spojrzała na niego i przestała rozumieć, dlaczego kiedykolwiek chciała od niego odejść. Nie obchodziło jej, czy ją kochał. Nie obchodziło jej nic poza nim.

— Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Pragnę cię. Na zawsze. Chcę, żebyś była matką mojego... — Zamilkł na chwilę, kiedy przypomniał sobie, że przecież mają już jedno dziecko. — Moich innych dzieci — dokończył.

Skrzyżowała ramiona i zachmurzyła się.

— A ile już ich masz?

Zaśmiał się i wziął ją w ramiona.

— Tylko jedno... przynajmniej na razie.

Zaczął całować jej twarz i szyję.

— Choć, Lizzie, kochaj się ze mną.

Roztapiała się pod żarem spojrzenia Tawisa. Oparła głowę na jego piersi, a kiedy zamknęła oczy, zobaczyła twarz dziadka.

Dziękuję, powiedziała w myślach, za to, że dałeś mi nadzieję.

Otworzyła oczy i zobaczyła tysiące gwiazd. Znów jestem dzieckiem, pomyślała. Odzyskałam radość życia.

Nagle zrozumiała, że jest tam, gdzie zawsze chciała być. To był jej mężczyzna; jej nadzieja, jej mały kawałek raju.

Spojrzała w okno. Przestało padać. Świat był taki senny i pełen słońca. Elizabeth dostrzegła tęczę, która rozciągała się na niebie niczym uśmiech. Obiecywała jej lepsze dni.

EPILOG

Elizabeth od rana rodziła mu szóstego syna. Tavis wiedział, że to będzie syn, ponieważ żona nigdy nie dałaby mu córki.

Wiedziała, co czuje na widok dziewczynek.

Na samą myśl o córce dostawał gęziej skórki. A mówią, że dziewczynki są takie podobne do swoich matek.

Usiadł na krześle w salonie i czekał, aż gosposia albo lekarz powie mu, czy poród dobiegł już końca. Potem będzie mógł wrócić myślami do czasów, kiedy Lizzie Robinson robiła wszystko, żeby zamienić jego życie w piekło.

Wbił wzrok w dywan i potrząsnął głową. Był wdzięczny Bogu, że nigdy nie pobłogosławił go córką i zamiast tego dał mu pięciu cudownych synów. Dopiero niedawno zrozumiał, jak bardzo współczuł Samuelowi Robinsonowi. Mimo to nie mógł przestać się zastanawiać, czy sam sprawdziłby się w roli ojca dla córki.

Z góry dobiegły go głosy dwóch młodszych synów, którymi opiekowała się niania, stara Doily Clare. Poza tym w domu panował względny spokój, zwłaszcza teraz, kiedy Willie i jego dwaj młodszy bracia wyjechali do szkół.

Pomyślał, jakim szczęśliwym jest człowiekiem, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

— Pani Mackinnon i dziecko świetnie się spisali — poinformowała go pani Forrester.

Tavis odetchnął z ulgą. Kolejne dziecko, pomyślał.

— Wygląda na to, że zostałem ojcem kolejnego syna — odparł.

Spojrzał na swojego przyjaciela, Nathaniela Starbucka.

— Tavisie, poczekaj chwilę. Pani Forrester nie powiedziała, że to chłopiec. Zawsze istnieje niewielka szansa że to może jednak dziewczynka.

Tavis wypiął dumnie pierś.

— To na pewno chłopak — powiedział. — Ona zawsze daje mi synów.

Nathaniel uśmiechnął się.

— Zawsze dostajesz to, na co masz ochotę. Powiedz mi, co byś zrobił, gdyby to jednak była dziewczynka? Oddałbyś ją?

Tavis roześmiał się.

— Gdyby wyglądała tak jak Elizabeth, na pewno bym to zrobił — odparł. Dobrze wiedział, że córką która przypominałaby swoją matkę, wyrosłaby na podobną do niej kobietę. I bez względu na to, jak piękna by była nie chciał jej nawet oglądać.

Nathaniel roześmiał się i poklepał przyjaciela po plecach.

— Co się stało, staruszkę? Boisz się, żeby historia nie zaczęła się powtarzać?

Nathaniel trafił w sedno. Tavis bał się tego jak diabli.

— To byłaby moja zguba — stwierdził poważnie.

— No ale urodził ci się syn. To chyba doskonały moment, żeby to uczcić — powiedział Nathaniel. — Nalać ci drinka?

Tavis skinął głową. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, pani Forrester ponownie zapukała do drzwi. Wsunęła głowę do pokoju i obwieściła:

— Byłam taka podekscytowaną że prawie zapomniałam panu powiedzieć. To dziewczynka... śliczna malutka dziewczynka. Ma blond loczki. Moim zdaniem, to wykapaną mamę.

Tavis spojrzał na Nathaniela.

— Nalej mi od razu dwa drinki.

Na górze w pokoju Elizabeth usłyszała najwspanialszy dźwięk na świecie, a mianowicie śmiech męża na wieść, że urodziła im się córka. Przygryzła wargi z bólu, po czym zaczęła przeć.

Pani Forrester stała obok łóżka i trzymała Elizabeth za rękę.

— Jak pani myśli, co powie, jeżeli to także będzie dziewczynka? — zapytała.

— Bóg jeden wie — odparła Elizabeth i jęknęła z bólu.

Już po chwili trzymała dziecko w ramionach. Przytuliła oba niemowlęta. Pomyślała, że ze wszystkich skarbów, jakimi obsypał ją Tavis, dzieci są najwspanialsze. Zastanawiała się, jak bardzo zaskoczyła go wiadomość o córce. Była pewna, że będzie ją kochał z całego serca, tak jak kochał ją.

Wróciła myślami do przeszłości. Przez tyle lat kochała tego mężczyznę. Jej serce tańczyło ze szczęścia, kiedy pomyślała o córkach i wnuczkach, które jeszcze będzie miała.

Nigdy nie mogłabym być bardziej szczęśliwa. Spojrzała na niemowlaki i pomyślała, że syn jest wielkim szczęściem dla matki, ale córka daje jej o wiele więcej. Elizabeth uśmiechnęła się na myśl o Tavisie. Zastanawiała się, jak zareaguje, kiedy pani Forrester obwieści mu narodziny kolejnego dziecka? Kolejnej córki?